

styczeń 1979

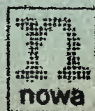
9

PROZA
POEZJA
ESEJE
KRONIKA

ZAPIS

w numerze:

Stefan KISIELEWSKI
Günter GRASS
Andrzej DRAWICZ
Jerzy FICOWSKI
Antoni PAWLAK
Stanisław BARAŃCZAK
Seweryn POLLAK
Adam ZAGAJEWSKI
Leszek BUDREWICZ
Piotr WIERZBICKI
Adam MICHNIK
Leszek SZARUGA
Tomasz BUREK



ZAPIS 9

POEZJA – PROZA – ESEJE – KRONIKA

ZAPIS 9 przygotowali:

**Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jacek Bocheński,
Kazimierz Brandys, Tomasz Burek, Anna Chmielewska,
Jakub Karpiński, Ryszard Krynicki, Adam Michnik, Kazimierz Orłoś,
Barbara Toruńczyk, Wiktor Woroszyński i Adam Zagajewski**

Styczeń 1979

Przédruk z INDEX ON CENSORSHIP

INDEX ON CENSORSHIP jest pismem poświęconym problemom wolności intelektualnej i twórczej na całym świecie. W **INDEXIE** ukazują się utwory zakazane w poszczególnych krajach przez cenzurę.

Copyright:

©Stanisław Barańczak 1979
©Leszek Budrewicz 1979
©Tomasz Burek 1979
©Andrzej Drawicz 1979
©Jerzy Ficowski 1979
©Gunter Grass 1979

©Stefan Kisielewski 1979
©Adam Michnik 1979
©Antoni Pawlak 1979
©Seweryn Pollak 1979
©Leszek Szaruga 1979
©Piotr Wierzbicki 1979

©Adam Zagajewski 1979

**NIEZALEŻNA
OFICyna
WYDAWNICZA**



**Wydanie trzecie.
Wydania pierwsze i drugie zostały
w całości skonfiskowane przez
policję.
Warszawa, październik 1979.**

ZAPIS 9 1979

SPIS TREŚCI

Na wybór Jana Pawła II	5
STEFAN KISIELEWSKI, Aforyzmy z Zachodu	6
GÜNTER GRASS, Aż do wymiotów	9
ANDRZEJ DRAWICZ, List do czytelnika <i>Zapisu</i> w sprawie pewnego szantażu	18
JERZY FICOWSKI, Wiersze z cyklu „Odczytanie popiołów”	33
ANTONI PAWLAK, Książeczka wojskowa	41
STANISŁAW BARAŃCZAK, Kątem u siebie (Wiersze mieszkalne) ..	81
SEWERYN POLLAK, Listy z niedawnych lat (O korespondencji Borysa Pasternaka)	86
ADAM ZAGAJEWSKI, O naszych strojach	96
LESZEK BUDREWICZ, Wiersze	102
PIOTR WIERZBICKI, Traktat o gnidach	106
ADAM MICHNIK, Gnidy i anioły	127
LESZEK SZARUGA, Emigracja czy izolacja?	148
STANISŁAW BARAŃCZAK, Walka w ciemności	155
Dwugłos o „Nierzeczywistości” Kazimierza Brandysa n. d., Niedorzeczywistość	159
TOMASZ BUREK, A to Polska właśnie	165
JERZY FICOWSKI, Pożegnanie	172

Radość i zgrzyty (177) X Sacrosong (178) Nowy rok akademicki Uniwersytetu Łatającego (179) Wieczory w PEN-Clubie (179) Zjazd filmowców: dyskusja i wybory (180) Dni Kultury Chrześcijańskiej we Wrocławiu (181) Jesień poezji? (181) Nowy sezon u Walendowskich (181) Ambasador USA w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich (181) Klub stu (182) Kaszubi i Günter Grass (183) Teatr Otwarty (183) Festiwal Kultury Studentów i sprawa Małgorzaty Bratek (183) „Oaza nowej kultury” (184) Pamięci Witolda Dąbrowskiego (184) Wieczór Jerzego Narbutta w ZLP (184) „Dramat Guliwera” (184) „Egzamin dojrzałości” (185) POP literatów odmawia solidarności zawodowej z represjonowanymi kolegami (185) Jacek Bierczin nie przyjęty do Związku Literatów (185) Casus Chorążuk (186) Wystąpili (186) Zmartwienia profesora Szczepańskiego (186) Ostatni tom „Głównych nurtów marksizmu” (186) Rewizja u chorego poety (186) W *Aneksie o Zapisie* (187)

NA WYBÓR JANA PAWŁA II

Zapis nie jest wydawnictwem przystosowanym do komentowania wydarzeń bieżących. Nie zajmujemy się i nie usiłujemy zajmować się aktualnościami po prostu dlatego, że nie moglibyśmy za nimi nadążyć.

Stało się jednak coś, wobec czego określenia „bieżący” lub „aktualność” wydają się za małe i nawet sama nazwa „wydarzenie” jak gdyby nie wystarczała. W tych kilku skromnych zdaniach chcemy nie tyle wypowiedzieć nasze myśli o tej sprawie, ile wyrazić nasze uczucia.

Gdy 16 października roku 1978 na placu San Pietro rozległy się łacińskie słowa *Annuntio vobis gaudium magnum* (a miały one tym razem odnieść się w szczególny sposób do Polski i Polakom niosły radość wielką), naród nasz przeżył rzadką chwilę oszołomienia, szczęścia i nadziei. Stołicę św. Piotra w Rzymie obejmował nieoczekiwanie kapłan z Krakowa, kardynał Karol Wojtyła. Inaczej mówiąc: przedstawiciel niezależnego duchowo Kościoła z poddanego tyłu zniewoleniemi Wschodu obrany został na Zachodzie papieżem Kościoła Powszechnego. Mówiąc jeszcze inaczej: okazało się, że miejsca, funkcje, rangi i losy nie są wyznaczone ludziom, stronom świata i narodom raz na zawsze. Możliwy jest zwrot w dziejach papieżstwa, Kościoła, a poniekąd także sytuacji globu.

To poculiśmy w tamten październikowy wieczór wszyscy: przejęci wzruszeniem religijnym katolicy i rozumiejący po laicku racjoniści. A przecież wydaje się, że nad uczuciami jednych i drugich dominowała pewna intuicja mistyczna: oto jak samą Opatrzność coś tknęło, to ona chyba się poruszyła, ona czyż przetrzała i zaczęła dokonywać sprawiedliwej korekty w swoich zbytek już jednostronnych zarządzaniach, zbyt długo dla nas niełaskawych. Czy wybór Jana Pawła II ma być manifestacją i symbolicznym potwierdzeniem tej szczególnej „zmiany kursu” w niebie, tak bardzo upragnionej i od tak dawna wyczekiwanej? W tamten październikowy wieczór było to wspólne pytanie mędrca i prostaczka, wspólne pytanie Polaków, wspólne pytanie Wschodu.

Jedno nie ulega wątpliwości: czujemy się teraz mniej samotni i mniej bezbronni na świecie.

Z gorącym sercem, czcią i nadzieją witamy Cię, Ojczyce Święty:

Zapis

STEFAN KISIELEWSKI

AFORYZMY Z ZACHODU

Wolność jednych prowadzi do niewoli drugich.

*

Dobrobyt nie jest synonimem wolności, sprzyja on pewnym formom wolności, a paraliżująco działa na inne.

*

Egoizm narodowy i wzajemna izolacja narodowych kultur uniemożliwiają zrozumienie specyfiki miejsc dla losów świata w danym momencie kluczowych, stąd straszliwe niespodzianki jak ta z Hitlerem.

*

Syty głodnemu nie wierzy, gdy uwierzy, będzie już za późno.

*

Dyletantyzm polityków to zmora i nieszczęście dzisiejszego świata.

*

Wojna nie przychodzi wtedy, gdy gotowi są do niej wszyscy, lecz wtedy, gdy gotowi są niektórzy.

*

Nigdy jeszcze nowe bronie nie uniemożliwiły wojny, nie dokonało tego zresztą również rozbrojenie.

*

Świat ludzki zdążył do statusu naczyń połączonych, ale zdążył doń powoli, zachowując jeszcze na wiele dziesiątków lat enklawy absurdu indywidualnych krajów, nie kontrolowanych nawet przez elementarną międzynarodową informację.

*

Interweniowanie w cudze sprawy wewnętrzne to jedyna możliwość ocalenia świata przed zaraźliwymi skurczami indywidualnego obędu.

*

Różnice językowe są i różnicami pojęć – bogactwo różnorodności bywa zagrożeniem uniwersalnego humanizmu.

*

Konflikt humanizm-nacjonalizm przenosi się z miejsca na miejsce, wędruje przez świat, przybierając różne formy.

Każda przesada staje się swoim przeciwieństwem – nadmiar swobodnej informacji na przykład prowadzi do zubożenia i zaniku reakcji.

Myśleć o problemach cudzych nie w swoim interesie to czynność szczytna i konstruktywna.

Upadek religii zuboża bezpowrotnie, łudząc jednocześnie mirażem nieskrępowanego korzystania z uroków życia.

Szczęście izolowanych krajów to niebezpieczeństwo atomizacji świata – niestety popierają to najkulturalniejsi i, jak zawsze, tendencja jednostronna przechodzi w swoje własne przeciwieństwo.

Policja, która się siebie wstydzi, jest normalna, policja z miłą to choroba społeczeństw, ich rak i gruźlica.

Ani skrajny terror, ani skrajny brak terroru nie są wyjściem godnym polecenia.

Trzeba walczyć dzielnie, zarazem powątpiewając nieco, czy walka ma sens: podwójne spojrzenie na walkę to warunek prawdziwego człowieczeństwa.

Polemika z głupstwem nobilituje je bez potrzeby.

Idee oburzające zapładniają przeciwników demaskując ich zarazem – nie trzeba się więc takich idei przedwcześnie wyrzekać.

Egoizm sytych lubi uchodzić za ideologię ładu i harmonii.

Nie ma demokracji bez oficjalnych konfliktów – wyrzekanie się konfliktowości to grób demokracji.

Statyka jest chwilowym złudzeniem, w istocie nie ma nigdy bezruchu, wszelkie sprawy tak jak i człowiek, umierają stopniowo, umierają, dążąc do śmierci w każdym momencie.

Polityka to dynamiczne dążenie do nigdy w istocie nieosiągalnej statyki.

Żadna nauka ani idea wzięta z osobna nie wyjaśnia świata.

Gdy wszyscy godzą się na jedno, traci ono swą wartość: to już wstęp do upadku i śmierci.

Punkt szczytowy jest już punktem ostatnim, wstępem do gnicia.

Mówić trzeba o wszystkim – to paraliżuje czyny pochopne.

Rządzący zawsze lubią tłumić wolność, chodzi więc o samoczynne prawa, dające rządzonym instrument indywidualnej i zbiorowej obrony.

Głupiec u władzy jest nieszczęściem, gdy instytucja władzy nie posiada wentylów ochronnych.

Nie dobrobyt jest celem, lecz dążenie do niego.

Kto się boi wojny, ten przedwcześnie dojrzał do nieszczęścia.

Ludzie odpowiedzialni nie mniej wywołali złego, co ludzie nieodpowiedzialni.

Człowiek niezastąpiony to dowód duchowego ubóstwa społeczeństwa.

Każdy upadek jednej kariery jest awansem kariery innej: natura nie znosi próżni.

Można świadomie i przewidująco oczekiwać śmierci, a jednak ona zawsze nas zaskoczy.

Gloryfikacja własnego narodu to akt pogardy dla innych.

Patriotyzm przesadny upokarza jego wyznawców, patriotyzm przypadkowy bywa najzdrowszy.

Za chwilę dobrego płaci się zawsze dopuszczeniem zła w innym miejscu.

Niewiedza narodowa poniżej bardziej niż pogarda dla siebie samego.

Ubóstwienie siebie mści się zawsze – u nieszczęśliwych i pokonanych także.

Nie ma krytyki szkodliwej, tylko brak krytyki przynosi szkodę.

STEFAN KISIELEWSKI

GÜNTER GRASS

AŻ DO WYMIOTÓW

Z Marią jestem spokrewniony. Jej ojciec jest kuzynem mojej matki. Ludzi, którzy nazywali się Kuczora, można było spotkać w Kokoszkach, w Rębiechowie i w Żukowie jeszcze za czasów Amandy Wojko. Jedną z jej wnuczek, Luiza Pipka (kuzynka Zofii), wyszła za pewnego Kuczorę z Vierecku (dzisiejszej Firogi). A więc Marię dałoby się wywieść od Leny Stubbe, która była z domu Pipka, i od Amandy Wojke; podobnie moja babcia po kądzieli będąc z domu Kuczora (jej matka miała jednak nazwisko panińskie Bach) świadczy w dostatecznej mierze o moim pochodzeniu, by uznać mnie (jak Marię) za spokrewnionego z Amandą i Leną. A że w linii Marii ze strony matki jest kilku Kurbielów i Korbielów, moja matka zaś miała wujka Kurbielę (który wywędrował do Ameryki), a biedna Sybilla Miehlau pamiętała ciotkę Korbielę (siostrę swej babki po kądzieli), która w Kartuzach sprzedawała jakoby przędzę, guziki i nici jedwabne Gutermana, przeto mógłbym się też dogadać do pokrewieństwa z Agnieszką, kucharką gotującą zdrowe potrawy, zwłaszcza że są poszlaki, iż matka Agnieszki, która jak ojciec Kurbiela została zabita na Helu przez Szwedów, miała się z domu nazywać Wojke czy Gnojke. (Trzeba także wspomnieć, że Katarzyna, młodsza córka przeoryszy Rusch, wyszła za rzeźnika nazwiskiem Kurbjuhn i że matka Doroty Swarze, zwanej Dorotą z Montewy, była z domu Wojkat).

W końcu my, Kaszubi, jesteśmy wszyscy wśród kilku miedz ze sobą spokrewnieni. Dzielił tylko las w Złotej Karczmi (pod Bysewem), krzaki malin pod Żukowem, szosa, do Kartuz, rzeka Wisła, rzeczka Radunia i cztery, pięć wieków: czas przed i po kartoflach, historia, która nad nami przeszła. O tym Maria nie wiedziała nic.

Była blondynką. Zanim zaczęła się w sklepie spółdzielczym uczyć na ekspedientkę, jej loki opadały, jak chciały. Potem koleżanka zaczęła się uczyć na fryzjerkę. Kuczorowie, poza jednym bratem mojego wuja, co w czterdziestym piątym poszedł na Zachód, mieszkają albo w Gdyni, albo we Wrzeszczu, który jako przedmieście miasta Danzig nazywał się dawniej Langfuhr. Zajmują razem z dwiema młodszymi siostrami Marii dwu-i-pół-pokojowe mieszkanie przy ulicy Lelewela, która dawniej nazywała się Labesweg. (W Kokoszkach posiadają jeszcze półtorej morgi gruntu pod kartofle i warzywa).

W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, kiedy otrzymałem po raz pierwszy wizę i wracałem z rozchybotaną pamięcią, Maria miała dziewięć lat i śmiała się widząc mnie w moich zachodnich ciuchach. Taka została: blondynka, chichotka, lubiąca tańczyć, szybko rachująca w pamięci, świetna ekspedientka, trochę zadziorna w obejściu z chłopcami, nie mająca pojęcia o niczym prócz tego, co się właśnie działo. Byłem wujkiem z Zachodu, który przyjeżdżał co kilka lat, przywoził płyty (Beatelsi), który nie umiał mówić ani po polsku ani po kaszubsku, o którym sobie coś wyobrażała: ładnie i fałszywie.

Ale i ja wyobrażałem sobie jakoś Marię. (To tak jest, kiedy się zapomina swojej mowy). Wyszło potem gorzej, niż sobie wymyśliłem. Powinienem był stworzyć inną historię dla Marii. Szczęśliwą, z kołowrotkiem małych kłopotów i odpowiednim prezentem weselnym. Ale czas był nie po temu. Maria nie była już ekspedientką w spółdzielni. Gdzie indziej zwolniło się dla niej miejsce. Chciała koniecznie poprawić sobie warunki. Zarazem nie była wcale stworzona do kuchni. (Powinna była na Mariackiej w jakimś sklepie z pamiątkami sprzedawać szlifowaną biżuterię i mieć ją na sobie: odpowiednio do włosów).

Waluta pomorska. Drobny pieniądz po długich plażach obficie leżący. Posąg wydm wędrownych. Ten, który morze Bałtyckie z powrotem wypłaciło. Już Fenicjanie nadciągający najpierw z Sydonu, potem z Kartaginy przez Kornwalię, gdzie kupowali cynę za purpurowe tkaniny, żeglowali aż tutaj i wymieniali zboże siewne (jęczmień i orkisz) na kawałki duże jak pięść. A kiedy Mestwina została ścięta, łańcuch bursztynowy z jej szyi rozsypał się daleko w głąb ładu. Amanda znalazła później kilka brył w kartofliskach. A kiedy Maria podarowała mi bursztyn wielki jak orzech włoski, poznałem od razu: stara historia rozpoczyna się od nowa, Marię ujrzałem zmienioną, była na inny sposób możliwa.

Wtedy jeszcze uczyła się w spółdzielni. Bursztyn znalazła podczas kopania kartofli na resztkę gruntu w Kokoszkach. Piękny kawałek: w skorupiasto-żółtym obrzeżu ciemno zaokrąglą się przezroczysta kropla z muchą w środku.

Nie powinnaś mi była dawać tego bursztynu. Teraz opowiem wszystko. Jak stawałaś się na inny sposób rzeczywista. Jak ci śmiech odebrało. Jak skamieniałaś.

Od lata roku sześćdziesiątego dziewiątego Maria Kuczora, która zrazu

była ekspedientką w spółdzielni, a potem siedziała przy kasie, zaczęła pracować jako kucharka w stołówce zakładowej stoczni im. Lenina w Gdańsku. Zarabiała tam o sto dwadzieścia złotych więcej niż w spółdzielni. Ponieważ brakowało jej doświadczenia z kuchni, do roboty przy kotłach stawała tylko w zastępstwie, ale że znała się na cenach i jakości produktów, powierzono jej zaopatrywanie stołówki i przechowywanie konserw.

Jej zmysł praktyczny i pogodne usposobienie dawały szybko wyniki. W stosunkach z biurokracją przydały się doświadczenia ze spółdzielni: dopomogły w uzyskaniu specjalnych przydziałów. Sprowadziła wielką zamrażarkę. (Okrężną drogą upłynęła część zamiennie do traktorów za świeże jarzyny). Jadłospis w stołówce stał się bardziej urozmaicony. Ale gdy Maria zaczęła część zakupów załatwiać przez port wolnościowy i nagle w stołówce pojawiły się owoce południowe, posprzeczała się ze swym przyjacielem Janem, śmiałym w koncepcjach, lecz skądinąd bojaźliwym młodym człowiekiem, który w dziale reklamowym stoczni opracowywał prospekty dla krajów zachodnich, a Marii okazał pomoc, kiedy starała się o pracę w kuchni przy stołówce.

Jan studiował, co prawda, budownictwo okrętowe, ale nieprzytomny był na punkcie wczesnej historii Pomorza. Nocami pisał wiersze. Jego esej o lirycie miłosnej Wisława z Rugii został opublikowany w *Almanachu Bałtyckim*. Jego cykl wierszy o córce księcia Mestwina, Damroce, pierwszej przeoryszy klasztoru w Żukowie, był tak przesycony metaforą erotyczną, że obok życzliwych recenzji spotkał się z protestem kaszubskiego towarzystwa kulturalnego. Wiele sporów wywołała jego teza, że ów wódz, który pobił i zniszczył księcia Kaszubów Świętopełka, był Duńczykiem Fortynbrasem, utrzymującym w końcowej scenie „Hamleta”, iż wraca zwycięsko z Polski. Jan chciał nawiązać do Szekspira i napisać dalszy ciąg tragedii. Brakowało mu tylko czasu. Za dnia pisał teksty reklamowe dla polskiego przemysłu okrętowego, które tłumaczono na angielski, szwedzki, niemiecki i uważano za przekonujące (w zachodnim rozumieniu reklamy). Wieczorem czekała Maria, która chciała iść do kina albo na tańce.

Poznał ją kiedyś w spółdzielni. Od początku się sprzeczcali. Odniosł wtedy puszkę zepsutego groszku konserwowego i potrzymał przed nosem kasjerce Kuczorze. Gdy wieczorem spotkali się w otwartym dla publiczności parku klasztornym w Oliwie, Jan powiedział: Maria ze swymi lokami jak korkociągi przypominała mu księżniczkę kaszubską Damrokę, siostrę jego bohatera Świętopełka i kuzynkę Wisława z Rugii. To ona założyła klasztor w Żukowie nad rzeczką Radunią z zamiłowaniem do dzikich malin, które się tam rozrosły. I zacytował pewien ustęp swego długiego poematu. Marii podobały się skojarzenia historyczne Jana. Pozwoliła mu nazywać się Damroką. Wnet się też pokochali.

A ja? Ja nie jestem Janem. Jestem na wpół kuzynem Marii. Ona jednak nazywa mnie wujkiem. Mnie bursztyn tylko podarowała. Z wtopionym owadēm. Ja jestem wtopiony. Ja w sytuacji wątpliwej: obesyjnie anachro-

chroniczny i przechowany jako szczątki. Obok mnie: ja. Poza mną: ja. W ślad za zrobionym (w konia) mną: parszające z cicha ja. Zawsze w odłączeniu, w ucieczce do innych czasów, z tyłu. Tam gdzie dziura w płocie historii. Postuchaj, Mario: To było wtedy, kiedy Mestwina nosiła na szyi burszty z przewierconymi przeze mnie otworami. Od jej córek i od córek tych córek wywodzą się Sambor, Mestwin, Świętopełk i księżniczka Damroka. Nie, to byłem ten ja, który złowił mówiącego turbota. I ten w domu cechów, gdy cechy zaczęły bunt. Ja siedziałem w wieży katowskiej i leczyłem świeże sińce. Ja byłem, kiedy mnie zaraza pozdrowiła przechodząc. I kiedy kartofel zwyciężył kaszę jaglaną. Mną zamieszała w odwrotną stronę czasu wielka, wszystko mieszająca kucharka. Jak mnie (wciąż jeszcze) warząchwą cedi. Jak mnie sprawiedliwie rozdziela. Jak ja jej moczony w occie kruszej. Lubczyk i kminek, majeranek, koperek. Mnie się doprawia. Jan, Mario, to jestem ja przyrządzony według twojego przepisu.

A kiedy Maria Kuczora przepracowała już rok w stołówce stoczni Lenina, starając się o świeże jarzyny, odpowiednie przechowywanie konserw, produkty po korzystnej cenie i (bodaj nielegalnie) południowe owoce, kiedy też na życzenie swojego przyjaciela, którego ciągle jeszcze kochała, a który ją (wieczorem, w ciemnym kinie, na ucho w tańcu) nazywał Damroka, kiedy więc Maria, ponieważ Jan sobie tego życzył, przestała już ondulować włosy u fryzjerki, kiedy nadeszła jesień i w gazetach można było wiele przeczytać o układach gotowych do podpisu, kiedy wreszcie Gomulka i Brandt w imieniu Polaków i Niemców złożyli w Warszawie swe podpisy i – jak się mówiło – dokonali dzieła historycznego, kiedy zbliżała się zima i rozpoczęły zakupy przed Bożym Narodzeniem, wtedy Maria właśnie doradziła, żeby sprawunki zrobić czym prędzej: Tyle się opowiada o wiodących zadaniach narodowych. W gazetach pisze się wzniosłe rzeczy tylko już o tym, że godzina historyczna jest wielka. O konsumpcji nie ma nic: To wszystko są niedobre znaki.

– Oni na pewno podniosą ceny – powiedziała Maria do Jana.

I tak się stało. Z rozporządzenia władz. W sprawie cukru, mąki, mięsa, masła i ryb. Jedenastego grudnia. A w czwartą niedzielę adwentu mieli się pobrać.

Od strony ekonomicznej wiele przemawiało za tym. Nie można wszystkiego subwencjonować. Tego nawet komunizm nie wytrzyma. Gdy rynek nie reguluje cen, państwo się z tym spóźnia. Ale razem z cenami zaczyna się walić coś więcej, czasem wszystko.

Kiedy w piątek – a chcieli być chytry i uwzględniłi w swych rachubach sobotę i niedzielę – podwyższono ceny podstawowych artykułów spożywczych o trzydzieści do pięćdziesięciu procent, Jan powiedział, iż faktem historycznym jest, że drożenie śledzi skańskich oraz przywożenie taniego piwa z Wismaru przyczyniało się wielokrotnie do jednoczenia skłóconych cechów i pobudzało je do wystąpień przeciw patrycjatowi. Potem zagłębił się w rozważaniach nad zniżkującymi cenami pieprzu za reformacji

i jednoczesnym brakiem mięsa w Europie środkowej, ponieważ zmniejszały się dostawy bydła rzeźnego. Maria powiedziała, że jeśli tak działo się w kapitalizmie, to w komunizmie nic podobnego nie powinno się zdarzać. Każdemu zostało to wbite do głowy jeszcze w szkole. A jeżeli związki zawodowe nic nie robią, obejdzie się bez związków zawodowych. I jeżeli mężczyźni nie mają odwagi, to już kobiety będą musiały dać mężczyznom popęd. O nie, nie, do kina ona dziś nie chce. Niech Jan biegnie i niech coś organizuje. Maria pomówi z kobietami ze spółdzielni. Ona je zna. Wiedzą tak samo jak ona, co myśleć o cenach. Połapały się już dawno, gdzie tu śmierdzi. Na nie można liczyć.

I ponieważ wszędzie (tak jak Maria swemu Janowi) dały kobiety swoim mężczyznom popęd — „A nie wracaj mi do dom, póki cen nie obniżą!” — wybuchnął nazajutrz w Gdańsku i Gdyni, w Szczecinie i Elblągu, i na całym wybrzeżu polskim wzdłuż Morza Bałtyckiego strajk pracowników portowych i stoczniowców. Przyłączyli się kolejarze i inni. Nawet dziewczęta z fabryki czekolady „Bałtyk”. Wobec tego, że miejscowe władze związkowe nie poparły ruchu, tworzono spontanicznie komitety strajkowe i wybierano rady robotnicze. Nie tylko podwyżka cen miała zostać anulowana. Żądano, by powstał samorząd robotniczy: stare, głęboko zakorzenione, fantastyczne, piękne, nie dające się zniszczyć marzenie o tym, że można by samemu stanowić o sobie.

W gdańskiej stoczni Lenina, zanim jeszcze milicja wprowadziła kontrolę, dowieziono pospiesznie więcej zapasów do stołówki. Odbyło się to nocą. Następnego dnia rano ze wszystkich przedmieść, z Oruni i Przeróbki, z Wrzeszcza i Nowego Portu przyszło może pięćdziesiąt tysięcy robotników i prowadzących gospodarstwa domowe kobiet. Przeciągnęli obok dworca głównego i zgromadzili się przed centralną siedzibą partii komunistycznej. Ponieważ niewiele dało się tam powiedzieć, odśpiewali wiele razy Międzynarodówkę. Tylko w miejscu, gdzie stał Jan (którego odsunięto nieco od Marii), toczyła się dyskusja, gdyż Janowi przychodziło do głowy mnóstwo skojarzeń historycznych, których nie potrafił zachować dla siebie. Jak zwykle, zaczął od starych Pomorzan: od Sambora, Mestwina, Świętopętka i pięknie trefionej Damroki. Tego jeszcze robotnicy słuchali, ale gdy Jan się rozpedził i zagubił w gmatwaninie średniowiecznych porządków cechowych, porównując walkę o miejsce i głos w radzie siedzącej i w radzie stojącej ze współczesną walką o samorząd robotniczy, stoczniowcy przestali słuchać.

Potem tłum zaśpiewał jeszcze raz Międzynarodówkę. Tylko Maria, która stała odepchnięta nieco na bok, widziała, jak Jan uprawia tę agitację opartą na argumentach historycznych: już bez słuchaczy, w bani powietrznej zamknięty.

Trzymała głowę lekko przekrzywioną i miała wokół ust linię, z której robi się uśmiech.

Tak przekrzywioną głowę trzymały wszystkie: z pewnym frasunkiem i jednocześnie rozbawieniem, że jest aż tyle gadania i męskiego zapału. Tak

właśnie, ale już w gotowości do drwinek, patrzyła na kaznodzieję Heggego i słuchała go przeorysza Margareta Rusch, gdy ten na Hagelsbergu wieczystą klątwą egzorcyzmował wszystkie diabły od Asmodeusza do Zaroego. Z takim zatroskaniem, ale już z uśmiechem, który się w rozrzewnienie przeradzał, zaglądała poecie Opitzowi przez ramię dziewczka kuchenna Agnieszka Kurbiela, gdy on siedział nad białym papierem bez słowa, lecz z bogactwem figur stylistycznych w sobie. Z tym wyrazem twarzy przyjęła mnie Wiga, buraczana baba z epoki żelaza, kiedyś chory na nogi wrócił kuśtykając z wędrowki ludów. Podobnie też oglądała mnie Lena Stubbe przekrzywając głowę, kiedyś ją w jakiś piątek znów skórzanym pasem złoił i zawsze potem szukał stryczka i gwoźdźcia nie znajdował. Inaczej, kpiąco, uśmiechała się Dorota i głowę na ukos trzymała, kiedyś dawał upust swemu gadulstwu w sprawach cechowych, albo przeliczał drobne pieniądze. Zofia znów była niespokojna i niepewna, gdy dla swego Fritza, który siedział uwięziony w twierdzy, wiązała paczkę pierników, a upiekła je przedtem z dodatkiem drobno siekanego, jak używka pobudzającego muchomora. I tak uśmiechała się również moja Mestwina, widząc, że biskup Wojciech zajada jej zupę rybną. Pokarmiwszy mnie na tyle, żem się uciszał (wielki, głupi dzieciak), Aua krzywiła głowę, opiekuńczo troskliwa i uśmiechnięta, bo pewna: tego to nigdy nie będzie dosyć, głód przychodzi wiecznie, przyczyna kłopotu zostaje.

Dlatego Maria trzymała głowę przekrzywioną, kiedy widziała, jak wcisnięty w masę ludzką, a jednak przez nikogo nie słuchany Jan uprawia agitację: Zaraz go kubek zimnej wody obleje, kiedy zobaczy, że został sam ze swoimi powiastkami historycznymi. Zaraz mnie zacznie szukać, żeby się przede mną wygadać. Bo beze mnie mówi tylko ze strachu. Zaraz ja powiem: Janie, masz rację. To trzeba widzieć w perspektywie historycznej. To się nigdy nie kończy. Nawet w komunizmie. Zawsze są ci na dole przeciw tym na górze. Kiedyś bonzowic nazywali się patrycjuszami. Przez nich drożały śledzie skańskie. Oni podbijali cenę pieprzu, chociaż było go pod dostatkiem. Oni zawsze mówili: Duńczyk winien. Cła w Sundzie idą w górę. Wszystko drożeje. Tak to jest. Trzeba się z tym pogodzić. To mówi Państwo jako Partia. A ona ma rację, ma zawsze rację. I ona zawsze mówi: na wolność jest jeszcze za wesele.

Kiedy Jan odnalazł w tłoku swoją Marię, powiedziała:

— No, chodź. Pójdziemy do stoczni. Tam będzie bezpiecznie. Tam niczego nie zabraknie. Tam wszystko przeczekamy. Choćby to nawet trwało nie wiedzieć jak długo. A wesele będzie po świętach i wesołe wesele, na pewno.

Dopiero kiedy tłum zaczął się rozpraszać, doszło do bójek z milicją. Przed dworcem głównym zabręczały tłuczone szyby. Palito się kilka kiosków z gazetami. Potem palił się komitet partii. Nastroj był raczej pogodny. Ludzie zobaczyli już, jak wielu ich jest. Później doszło do aresztowań, wskutek czego pewna część tłumu ruszyła pod więzienie na Strzelecką. A tam znów — benzyną w okna. Chłopiec wpadł pod gaśnice. Ale nie strzelano jeszcze.

Dopiero następnego dnia, kiedy robotnicy ze stoczni Lenina wycofali się na teren zakładu, obstawili bramy stoczni strażą przemysłową, i gdy – na wypadek interwencji wojskowej – przygotowano się do wysadzenia w powietrze ważniejszych urządzeń oraz do wodowania przed czasem nie wykończonych jeszcze statków, gdy od strony Warszawy nadjechały jednostki wojska ludowego, a milicja zacisnęła pierścień wokół terenu stoczni, gdy w stołówce zakładowej ugotowano dla przeszło dwóch tysięcy ludzi kapuśniak z kminkiem, gdy niektórzy młodzi robotnicy spróbowali przed główną bramą stoczni dyskutować z milicją, i gdy Jan Ludkowski omówił przez megafon najpierw historyczne podłoże strajku – poczynając od średniowiecznych powstań cechowych, poprzez powstanie marynarzy i robotników w Piotrogradzie przeciw biurokracji partyjnej a za systemem rad, kończąc na obecnej podwyżce cen i wysuniętym przez komitet strajkowy postulacie samorządu robotniczego – kiedy wreszcie Jan zacytował Manifest Komunistyczny, a jego donośny, dźwięczny, tylko ze względu na treść sprawy surowiej brzmiący, męski głos dobiegał daleko (aż do Starego Miasta), wtedy milicja otworzyła ogień i trafiła wielu robotników. Pięciu śmiertelnie. Między nimi był Jan.

Strzelano także w Gdyni, Szczecinie i Elblągu. Najwięcej zabitych (ponad pięćdziesięciu) było podobno w Gdyni, gdzie milicja ostrzelała tłum bronią maszynową z helikopterów i użyła moździerzy. Po czym w Warszawie obalono Gomułkę. Nowy sekretarz nazywał się Gierek. Cofnął on podwyżkę cen żywności. Robotnicy myśleli, że odnieśli zwycięstwo i przestali strajkować, choć postulat wprowadzenia samorządu robotniczego pozostał bez odpowiedzi.

Gdy milicja oddała śmiertelny strzał do Jana, trafienie otrzymał on w brzuch pełen kapuśniaku, a nie, jak sobie tego kiedyś w wierszach (za Majakowskim) życzył, w czoło. Zginął w pół zdania. Maria nie pomagała, kiedy zabitych i rannych wciągano na teren stoczni. Przyjmowała właśnie do stołówki transport konserw rybnych ofiarowany przez załogi dwóch statków radzieckich, stojących w suchym doku. Potem rzuciła się na zwłoki Jana, który miał jeszcze usta otwarte, i potrząsnęła nim, jakby chciała się posprzezać: Powiedz coś jeszcze. Powiedz, że to logiczne i jasne. Powiedz, że takie są fakty. Powiedz, że historia dowiodła. Powiedz, że już Marks o tym wiedział. Powiedz, że tak będzie. Powiedz mi coś, powiedz...

Po śmierci Jana Maria nie przestała pracować w stołówce zakładowej. Dopóki pertraktacje z nowym sekretarzem, Gierkiem, były w toku – a dochodzono częściowo do zgody – dostawy napływały obficie. Pogrzeby zabitych odbyły się z nadzwyczajnym pośpiechem, bez publiczności, na różnych cmentarzach, w Emaus, w Pruszczu i na Oruni. Rodziny nie mogły wziąć w nich udziału. Jan leży podobno na cmentarzu w Emaus. Ponieważ czterech pozostałych zabitych było Ślązakami, nikt ich dobrze nie znał. Krewnych w Katowicach i Bytomiu zawiadomiono o wiele za późno. Narobiło to złej krwi. Miały to powetować wyrazy ubolewania z góry.

Ale nie jest tak, że zabici się liczą. Motoryzacja pochłania więcej. I z coraz większą troską myśli się o sprawach bytowych wdów i sierot. Wszystkie strzały oddano w brzuch. Tak nisko trzymała broń milicja. Co prawda, zaznaczono to w aktach i miała być o tym mowa później, ale do procesu nie doszło i nie wymieniono nigdy wszystkich winnych. Lecz tak to już jest: życie toczy się dalej.

Właściwa uroczystość żałobna odbyła się między Gwiazdką a Nowym Rokiem na terenie stoczni, pod gołym niebem, bo stołówka była za mała. Maria siedziała w czerni obok innych kobiet w czerni, przed sobą miała trybunę, kwiaty, flagi, muzykę i płonące znicze. Mówcy (niemal wyłącznie członkowie komitetu strajkowego) powtarzali, że tego się nie zapomni. Mówili o zwycięstwie odniesionym przez solidarnie działających robotników, jeśli nawet nie wszystko jeszcze osiągnięto. Na pochylni obok stały dwa statki, a siedziały na nich tylko kłoby. (Wielkie zamówienia dla Szwedów. Te statki chciano przed wykończeniem spuścić na wodę, gdyby milicja zaatakowała teren stoczni). Jan pracował jeszcze nad prospektami reklamowymi, gdzie fotografie tych kadłubów miały obrazować postęp. Jeden z mówców przypomniał pracę Jana i określił ją jako pełną fantazji. (Nie przypominano ciągle odrzucanych propozycji Jana, by nowo budowane statki nazwać imionami pomorskimi jak „Świętopełk” czy „Damroka”. Stefan Batory — twierdził Jan — nie był Polakiem, lecz Węgrem z Siedmiogrodu, a mimo to pewien statek nosi dumnie jego imię).

Kiedy na zakończenie wystąpił mówca z partii, rozłożył winę na wielu odpowiedzialnych, nie wymieniając nazwisk. Ktoś ze stojącego tłumu robotników wykrzyknął nazwisko: Kociołek! Maria nie płakała, bo coś uwięzło jej w gardle. Inne kobiety w czerni płakały. W przerwach między mowami płakały głośniej. Także mężczyźni płakali.

Po przemówieniach zagrała orkiestra zakładowa najpierw uroczystą, potem bojową melodię. Z tankowców na pochylni wleciały mewy, usiadły z powrotem. Następnie pewien aktor wygłosił wiersz o śmierci, napisany przez Jana. Co prawda, w wierszu wspominającym poetę, który musi pozostać sobą aż do śmierci, chodziło o barokowego liryka i dworskiego historyografa, Martina Opitza, lecz dzięki wymownej interpretacji aktorskiej i w związku z akademią żałobną zwrot „Krwia zadławione słowa” mógł odnosić się tylko do Jana. Ten jednowierszowy refren wracał w każdej strofie. Były tam też metafory takie jak „mierzwę czerni”, co miało się rymować ze słowem „śmierć”.

Podczas recytacji wiersza zebrało się Marii, która czuła uwieranie w gardle, na wymioty. Dwaj członkowie straży przemysłowej z ciągle dławiącą się młodą kobietą w czerni przeszli obok mówców, kwiatów i flag, obok płonących zniczy i obok orkiestry, aż wyprowadzili ją między baraki zakładowe, gdzie się wyrzygała. Przed akademią żałobną była Maria u fryzjerki.

Później w stołówce, po wypiciu herbaty, nabrała gwałtownej ochoty na kiszzone ogórki. Ale ogórków już nie było. A pewna płacząca kobieta,

matka Jana, która przybyła z Chojnic, powiedziała do innych płaczących kobiet w czemi, gdy rodziny zastrzelonych siedziały w stołówce przy herbacie:

– Ona to ma od inojego syna. Przecież mieli się pobrać. Może będzie chłopak.

Były to jednak dwie dziewczynki. Ochrzczono je imionami Mestwina i Damroka. Teraz mają blisko trzy lata i znają fotografię Jana. Fotografia stoi na półce obok modelu historycznej kogi. Ale Maria, z którą jestem spokrewniony i która podarowała mi znaleziony w kartoflisku bursztyn z muchą w środku, Maria, która wszędzie, i w spółdzielni i w stołówce, uchodziła za wesołą śmieszkę, Maria skamieniała. Mówi teraz głuchym głosem.

GÜNTER GRASS
Przełożył Jacek Bocheński

ANDRZEJ DRAWICZ

LIST DO CZYTELNIKA „ZAPISU”

W sprawie pewnego szantażu

Drogi Czytelniku,

w naszym piśmie utarł się zwyczaj dość częstego pisywania listów lub w formie listów — co zapewne nie jest przypadkiem. Czasem autorzy nasi zwracali się do określonych osób; często musiało im tak właśnie być potrzebnie; a poza wszystkim innym wielu z nas odczuwało widocznie potrzebę uchwycenia w tym, co się pisze prawdziwie osobistej miary, znalezienia właściwego tonu i ściszenia głosu — żeby tak właśnie być wyraźniej słyszany na tle zbiorowych porykiwań i zagłuszeń.

Taki list chcę do ciebie pisać i ja, mając za pretekst fizyczne oddalenie, bo jestem na pewien czas poza krajem. Mimo że jesteś zbiorowością, widzę cię indywidualnie, i to upraszcza mi sprawę. Masz twarz, którą myślę, że znam, niezależnie od wieku czy środowiska. Jest to twarz, którą chciałbym widywać jak najczęściej, kiedy wrócę. Na własny użytek określam ciebie tak: jesteś tą częścią Polaków, z którą pragnę mieć do czynienia. Dużą czy małą — wszystko jedno. Wierzę mocno, że będzie cię coraz więcej. Na razie bierzesz do ręki to pismo, i to wystarcza. Chyba się porozumiemy.

Chcę ci przedstawić szkic sprawy, którą uważam za ważną; nawet — by użyć wyświechtanego słowa — za palącą. Jest to sprawa niemiecka. Uściśle: sprawa niemiecka jako instrument szantażu społecznego. Nie jestem fachowcem od tej problematyki, moja specjalność sytuuje się zupełnie gdzie indziej. Mogę pisać o tym, co wiem z doświadczenia i co osobiście sprawdziłem, opukując sprawę gestem niewiernego Tomasza. Dlatego piszę list i dlatego piszę go do ciebie; właśnie na tobie mi zależy. Będę się trzymał ziemi.

Zastrzeżenie: pisząc „Niemcy” będę miał zawsze na myśli Republikę Federalną i jej mieszkańców. NRD nie znam, więc zostawiam poza nawiasem tego listu. Jest to sprawa osobna, chyba jeszcze trudniejsza, w każdym razie — inna.

Jeszcze jedno zastrzeżenie, bo chcę być dobrze zrozumiany. W tym, co napiszę, będę się musiał często odbijać od poglądów, ropowszechnianych przez oficjalne krajowe środki informacyjno-propagandowe. Od wielu lat ugniatają one świadomość nas, Polaków, ustawicznym naporem dezinformacji na temat, który chcę poruszyć. Technika jest prosta; bodaj Jan Jaspers nazwał ją „kłamaniem prawdą”. Zamiast całości daje się małą część, margines marginesu i sugeruje, że to właśnie jest całość. A może raczej nic się nie sugeruje, tylko wykorzystując względny monopol informacji wbija w głowy, aż się w nich coś namuli i osiadzie. Trwa to bardzo długo i chyba jest skuteczne. (Sądzę ciebie po sobie; pamiętam dobrze własne najeżenie, kiedy zacząłem tu przyjeżdżać przed paroma laty i mimo woli szukać potwierdzenia tego, czym mnie naśladowywano.) Myślę, że nie wierzysz już prawie w nic, albo mało w co'z tego, co słyszysz oficjalnie; tę reakcję negatywną, to niedowierzanie *a limine*, społeczeństwo nasze doprowadziło już prawie do perfekcji. Może właśnie z tym jednym, niemieckim wyjątkiem. Bo nakłada ci się to na pewną zbitkę tradycji, na okrutne wspomnienia, czy na okrutne relacje — w zależności, czyś starszy, czy młodszy. Na echa wojny, okupacji, martyrologii. Nakłada — i na tym ugruntowuje. I w t o akurat gotów jesteś uwierzyć. Myślisz: „Chyba w tym coś jest”.

A więc jesteś manipulowany.

Moim zadaniem będzie ci dowieść, że wyjątku nie ma. Że nie powinieś wierzyć także i w t o — co dla twoich manipulatorów jest, myślę, ostatnią nadzieją na jakieś społeczne lepsze duchowe, pozwalające na trochę poczuć się jeszcze panami narodowej świadomości (ściślej: p r z e d o s t a t n i ą, ale ostatnia jest nie do ruszenia — ja, ty, oni, wszyscy wiemy dlaczego). Żałosne to, bo czysto negatywne, ale jedyne, co pozostało i przeciw czemu można nas podszczuwać; przecież Żydów praktycznie już wśród nas nie ma.

Powtórzę: w sytuacji, jaka jest, o tym propagandowym nacisku muszę pamiętać. Nie spełnię więc, świadomie, postulat — bardzo, jak sądzę, rozumnego — który wysunął jeden z krytyków naszego pisma na wieczorze *Zapisowi* poświęconym. Przeczytałem o tym w kronice numeru szóstego. Krytyk ów stwierdził, że zanedo zajmujemy się jeszcze negocjowaniem programu naszych przeciwników zamiast, uwolniwszy się od tego, swobodnie kształtować własne koncepcje pozytywne. Święta racja, zwłaszcza że cały sens działania naszego ruchu demokratycznego sprowadza się do pobudzenia społeczeństwa ku tworzeniu niezależnego, drugiego obiegu życia duchowego. Tylko że pod własne konstrukcje trzeba najpierw oczyścić grunt, i mało gdzie chyba nie musimy zaczynać od przekopania i odrzucenia na bok zwalów oficjalnych pseudoprawd. Zazdrościsz tym, którym one nie przeszkadzają i którzy już teraz czują się swobodni, ale sam sięgam, póki co, do łopaty. Właśnie w tej sprawie inaczej nie można.

Teraz już – do sprawy. Jestem w Niemczech po raz czwarty, tym razem dość długo, wkrótce minie rok. Przed sześciu laty przywoziłem tu, za pierwszą wizytą, normalny bagaż duchowy Polaka średniego pokolenia. W tym pokoleniu jestem chyba akurat dosyć typowy. Wojnę przeżyłem jako dziecko, jej strachy pamiętam dobrze, dom mi spalono, pod domem rozstrzeliwano zakładników, wuj zginął w Oświęcimiu, z matką uciekłem z transportu do Pruszkowa – a ponieważ wcześniej uciekliśmy przez zamrznięty Bug od bolszewików, a ojciec został zabity w więzieniu przez NKWD, więc odebrałem normalne, polskie przygotowanie do współistnienia z jednym i drugim sąsiadem – tak jak jest, na trzeźwo i według realnych konieczności. Powiedziałem ci już, że przyjechałem najeżony i napięty; nie będziesz się dziwić, zrozumiesz doskonale: wiozłem w sobie wszystko co nasze, nawarstwione, odleżałe, co przez dziesięciolecia nie podlegało zakwestionowaniu – włącznie z tymi szczeniackimi potwornościami, które gadaliśmy, nie wiedząc co czynimy, przy końcu wojny – że trzeba zabić tyle samo Niemców, ile było ich ofiar, tyle samo kobiet, starców, dzieci – i że to właśnie będzie s p r a w i e d l i w o ś ć !

Tacy byliśmy, i jeśli masz już swój piąty krzyżyk, to musisz to pamiętać, prawda? Wszystko, a więc i to, co jeszcze w latach sześćdziesiątych było oczywiste i utrwalane (do Marca; wtedy na własne oczy ujrzałem mechanizm faszyzowania ludzi i rozumiałem, że wszystko jest możliwe z każdym społeczeństwem, że narodów wybranych do zbrodni nie ma). Pamiętam wieczór w swoim domu z moim przyjacielem, leningradczykiem G., który, choć był obrońcą swego zagłodzonego miasta, już wtedy rozumiał i próbował nam tłumaczyć, gdy my, dobrzy Polacy, utwierdzeni w swoim, z góry nań i chórem, kogoś cytując: „Najlepszy Niemiec to martwy Niemiec, he, he!” – i w ryk, a G. spuścił oczy, zafrasował się i zmilczał, i za tego siebie, bo przecież nie za tamtego gówniarza w stanie dzikim, już mi jest wstyd...

Już wtedy, w siedemdziesiątym drugim, poczułem, jak moje napięcie nie znajduje oporu, trafia w próżnię. (Wiem: wcześniej bym pewnie tego nie poczuł, musiały upłynąć lata, ale konstatuje to, co jest teraz). Uczułem, nim sprawdziłem, że jestem w społeczeństwie normalnym. Dokoła mnie funkcjonowały demokratyczne instytucje. Duchem pruskim nie pachniało na lekarstwo. Kult żołnierski, ta – jak sądziliśmy – immanentna część niemieckiego wystroju duchowego, przepadł bez wieści; można było całymi tygodniami nie spotkać na ulicy munduru (tak tu jest, że mundur jest do służby, w koszarach, a na miasto wychodzi się w cywilu – bo i po co inaczej?). Jeśli kto hałasował i manifestował, to byli to lewicowi studenci, którzy właśnie przeżywali swoją euforię. „Wasz przykład nam nie pasuje, jesteście zbyt konserwatywni” – oświadczył mi jeden z nich kategorycznie. Z ojczystej prasy wiedziałem, że jadę do państwa policyjnego, ale ani wtedy, ani teraz nie mam tu okazji legitymowania się – poza jedynym przypadkiem: kiedy biorę z książeczki oszczędnościowej pieniądze nie tam, gdzie mieszkam i gdzie mnie znaję; nawet w hotelach nie żąda się paszportów. Wiedziałem też, że odwetowcy i neofaszyści rosną w siłę,

ale po dziś dzień nie spotkałem w żadnym z kolońskich kiosków żadnej z owych złowrogich i szmatławych gazetek, o których rosnącym wpływie tak rozdzierająco krzyczeli nasi propagandziści (słyszysz tu, że bywają, ale mnie w oko nie wpadły).

Wierz mi: byłem nieufny. Mówiłem sobie: ulegasz pozorom, stosujesz *wishful thinking*. Rozejrzyj się na trzeźwo, sprawdź, zajrzyj w głąb. Może udają; zaskocz ich, zastań nieprzygotowanymi, złap na gorącym uczynku. Robiłem to długo. Wiarygodny efekt czuję się w prawie przedstawić ci dopiero teraz, za czwartym pobycem. Jestem tu jako człowiek niezależny; porządni ludzie z mojej branży dali mi szanse pracy w zawodzie, którą w Polsce od pewnego czasu straciłem. Czuję dla nich szczerą wdzięczność, ale nie mam wobec nikogo żadnych specjalnych zobowiązań, nie muszę ani niczego oznajmiać, ani przemilczać. Nie zbierałem tu rozmyślnie żadnych materiałów do niczego, nie starałem się umyślnie trafić w określone miejsca i spotkać określonych ludzi. Żyłem i żyję, mając zwykłe, codzienne kontakty. Rozmawiam z profesorami, studentami, chłopami, robotnikami, taksówkarzami, właścicielami stacji benzynowych, sklepikarzami i z ludźmi, których zawodu nie znam, a którzy zwykle zaczepiają mnie sami przy piwie, w przejściu, albo na widok polskiej rejestracji samochodu trąbiąc i machając, żebym się zatrzymał. Zwykle są to przesiedleńcy albo ich dzieci, które śpieszą zakomunikować, że znają Wrocław, Szczecin albo Olsztyn i że miło im się te miejsca wspomina, albo od rodziców o nich słyszy. Wiem, że byłbym dla ciebie wiarygodniejszy, gdybym opowiedział o jakimś jednym przynajmniej incydencie negatywnym, o manifestacji czyjejs wrogości, w końcu czysto statystycznie prawdopodobnej - wybaczone, ale niczego tu nie zmyślam, więc nie mogę, bo nigdy niczego takiego nie doznałem. *Amicus Plato, sed...*

Normalne, demokratyczne społeczeństwo; budzący otuchę rezultat trzydziestoletniego demokratycznego wychowania. Obserwuję jego mechanizmy: działają normalnie. Nie mogę nie porównywać, wynika z tego wiele gorczy. Widziałem spontanicznie, z inicjatywy obywatelskiej zorganizowane głosowanie ludowe, które obaliło rządowy projekt reformy szkolnictwa w Nadrenii. Nie wdaję się w meritum, bo co mi do niego, ale ważne jest, że obywatele mają ustawowo zawarowaną możliwość takiej kontrstrawowej akcji i umieją z tego korzystać. Nie zdziwisz się, że myślałem sobie wtedy o różnych „wyborach” i „poddawaniach projektów pod szeroką dyskusję mas pracujących”. Widziałem, jak opinia publiczna zmusiła do ustąpienia ministra jednego z krajowych rządów za to, że w czasach Hitlera napisał rasistowską rozprawę, i – zupełnie świeżo – premiera innego z rządów za czynny udział w hitlerowskim wojennym sądownictwie. Nie zastanawiałem się przy tym, ilu ludzi z ciemną przeszłością, obarczonych odpowiedzialnością za wielkie nieraz przestępstwa, ma w naszym systemie niezakłócone prawo do spokojnej starości, a po śmierci nawet ich ponura pamięć podlega ochronie. Widziałem i widzę ciągle, jak prasa, radio i telewizja wentylują tu wszystko, wywlekają na jaw i nicują najciemniejsze sprawy z przeszłości, jak dziarscy, przeważnie młodzi, zę baci

dziennikarze nie darują nikomu, dzień w dzień przypierając do muru polityków najbardziej niewygodnymi pytaniami – i pewnie się domyślasz, że wspominałem np. żałosnej pamięci „Trybunę Obywatelską”, gdzie ileż to przykucnięć, przysiadów, ceremonii, podwyższeń i sztabów współpracowników potrzeba było, żeby władza była możliwie chroniona w czasie tego pseudokontaktu ze społeczeństwem – a i tak nic z tego nie wyszło, a nawet i to okazało się za wiele...

Wiem, o co jednak chciałbyś mnie spytać: o neofaszystów. Tu brak mi doświadczeń osobistych, bo o to niełatwo, ale zebrałem solidną dokumentację. Jest jej coraz więcej, odwrotnie proporcjonalnie do zjawiska, bo Niemcy wpatrują się w ten fragment siebie samych jeszcze bardziej podejrzliwie niż ktokolwiek poza nimi. Piszą, badają, segregują, przedstawiają statystyki i wykresy. Wiedzą, że co wolno różnym ultranacjonalistom i szowinistom pod różnymi szerokościami geograficznymi, to nie im, bo świat ma na nich alergię i ma do tego prawo. Streszczę ci stan faktyczny: rozdymana u nas kiedyś do rozmiarów wielkiego niebezpieczeństwa partia NPD liczy dziś około 9 tysięcy członków, tj. 1/3 swego maksymalnego stanu posiadania. Jej postępująca degradacja jest oczywista. Ruch ultrasowski rozdrabnia się, rośnie liczba małych organizacyjek, maleje ilość członków. Wyborcze „sukcesy” tego ruchu znasz: w granicach trzech dziesiątych procenta, mniej więcej tyle ile partia komunistyczna, i ta równowaga zminimalizowanych ekstremów wydaje się znamienna. U nas też chyba byłoby podobnie... Ostatnio widać wyraźnie załamanie się wszelkiej „ideologii”, kompletny brak rezonansu, próżnię społeczną. Konstytuuje się natomiast małe, ale agresywne jądro, sterujące ku terroryzmowi i bojówkarstwu, przede wszystkim napadom na banki i kradzieży broni. Problem jest coraz mniej polityczny, a coraz bardziej policyjny, i to budzi zaniepokojenie, jako realnie, obok terroryzmu lewackiej proveniencji, zagrożenie porządku społecznego. Aż tyle, ale też tylko tyle – przynajmniej w dostrzegalnej teraźniejszości i przyszłości. Zabawy nieodpowiedzialnych publicystów i popisywanie się lekkomyślnymi analogiami – że bojówkarze Hitlera zaczyna-li kiedyś podobnie i że nie wiadomo, do czego to doprowadzi – wół śmia-ło między inne propagandowe bajeczki, bo każde dziecko, które uczy się historii, zaczyna rozumieć, że po to, by coś się powtórzyło, potrzebne są analogiczne warunki społeczne. A tych nie ma na lekarstwo.

Niemcy lubią się określać jako „Rechtsstaat”, państwo prawa lub, lepiej formułując, praworządności. Starają się mieć do tego prawo. Ultrasi są dokładnie rozpoznani, obserwowani, niemal ponumerowani jak żubry w Białowieży. Ale prawo albo jest dla wszystkich, albo go nie ma wcale. Więc zdarza się, że policja chroni ich zebrania przed atakami lewicowców, zawsze znacznie liczniejszych. Ale czasem, kiedy ma powody, wkracza i zebrania rozpędza. W Kolonii mieliśmy dużą antyfaszystowską manifestację: 17 tysięcy ludzi. W tym czasie na przedmieściu kolońskim 50 ultrasów zamknęło się w gospodzie, i to była kontrmanifestacja. Zatrzymano trzech z nich, ponieważ przewozili samochodem drzewca od sztandarów, które – zacytuję – „zdaniem policji mogły być również wykorzystane jako broń”.

Tak to wygląda, takie są proporcje i takie reakcje. Pamiętaj o tym.

O zjazdach byłych esesmanów i innych takich, które kładą ci w uszy, w ogóle się tutaj nie czyta; jeśli jakieś drobne wzmianki na ten temat są, to giną w powodzi informacji. Ten problem nie istnieje; zjeżdżają się ciągle wszędzie wszyscy i demokratyczne państwo nie może nikomu tego zabronić, o ile nie działa antykonstytucyjnie. Zgódź się, że jawność przejawów, nawet skrajnych, jest dowodem normalności. Inna rzecz, jak się te przejawy traktuje. Hitlerowscy kombatanci nie są w najmniejszym stopniu społeczną siłą. To dogorywające szczątki eks-imperium. Byliby z n a c z a c y, gdyby działali na zbiorową świadomość, gdyby ich tradycja w tych czy innych fragmentach uczestniczyła w wystroju czy w treści życia społecznego, czy państwowego. Ale tego nie ma. Gdy się coś ujawni, staje natychmiast pod pręgierzem. I to jest oczywisty dowód demokratyczności, znowu przez naszych propagandzistów wywracany do góry nogami: patrzcie, jeszcze jeden hitlerowiec na stanowisku! Szuka się miary spokojnej oceny dawnej współodpowiedzialności, ale kto tę miarę ewidentnie przekroczy albo zrobi fałszywy gest, musi się liczyć z końcem publicznej kariery. Tak było z różnymi generałami, z niektórymi oficerami, ze wspomnianymi Puvogelem i Filbingerem. Za hitlerowskie „heil” nad grobem przestępca Kapplera niejaki Geissler dostał 9 600 marek grzywny. Widziałem wielokrotnie staranne poby gruntowania – z dość skąpego przecież materiału – tradycji antyhitlerowskiej i to ona właśnie uczestniczy w życiu publicznym. Są szkoły i ulice imienia nielicznych antynazistowskich konspiratorów – i jest ich dużo. Bardzo solennie obchodzi się dzień zamachu na Hitlera, 20 lipca: wywiady telewizyjne, przemówienia, artykuły, składanie wieńców. Jeden z głównych placów Monachium nosi imię „Ofiar narodowego socjalizmu”. Na każdym kroku wyczuwam chęć eksponowania właśnie tego aspektu przeszłości. Tak, rzeczywiście niedużo tego tworzywa. Ale ważny jest kierunek. Chciałbym dożyć do chwili, kiedy u naszych sąsiadów będzie się tak karczowało i rugowało tradycję innego ludobójcy, ale na razie czytam, że na dźwięk jego nazwiska złożone z wysokich wojskowych audytorium odpowiedziało burzliwą owacją. Więc zestaw, proszę, tę owację po słowie „Stalin” i tych dziesięć tysięcy marek grzywny za jedno prywatne „heil Hitler” – i pamiętaj o tym także.

U nas słyszałem wiele o modzie na hitlerowskie gadgety, akcesoria, emblematykę. Tu się to zupełnie nie rzuca w oczy, ale czujni miejscowi publicyści twierdzą, że sprawa istnieje i wyraża się m.in. w intensywnym szmuglu. Większa część materiałów przychodzi z za granicy, gdzie zwietrzono dobry handlowy interes. Co jakiś czas policja dokonuje konfiskat. Muszę ci powiedzieć, że i to sprawia na mnie wrażenie dodatkowego dowodu na n o r m a l n o ś ć tego kraju. Gadgetyzacja byłych okropności to, zgodzisz się chyba, dowód ich rozbrojenia i obezwładnienia. To także, szerzej biorąc, jedna z ulubionych zabaw dzisiejszego świata – w przedrzeźnianie, w wygłup, w kłucie oczu. Ciągłe widzimy wokół siebie jakichś przebierańców. Cały ten styl nie jest już, na przykład, moim stylem; należą do innej formacji, tym bardziej nie mam powodu zachwycać się wy-

grzebywaniem ze śmietnika czy podrabianiem akcesoriów III Rzeszy. Ale ich degradacja do poziomu pchlego rynku cieszy mnie – skoro już w ogóle są jakoś w obiegu. Widziałem w telewizji fragment rock-opery „Hitler”, gdzie włochaty, bez najmniejszej troski o podobieństwo, Goebels darł się błazeńsko: „Musimy wszyscy pójść za Führerem!”. Widziałem też w tutejszym „Iluzjonie” dawną propagandówkę ulubienicy Hitlera, Leni Riefenstahl, „Triumf woli”, o którymś z norymberskich Parteitagów. Poszedłem na nią, żeby patrzeć przede wszystkim na widownię: jak zareaguje? Było pustawo, trochę młodych parek; reagowały głośnymi wybuchami śmiechu w momentach największego napięcia tamtejszego „ideolo”; w ich oczach, kiedy wychodzili, widziałem zdziwienie, rozbawienie i jakby obrzydzenie jednocześnie – bez kwestii wszystko odbierali jako coś tak absolutnie obcego, że zasługującego tylko na kpinę. Taką kpiną z dorosłych, przypomnianiem im, jak się zbłąźnili, zawstydzieniem wydaje się i e ż „moda na Hitlera” (podkreślam: słyszę tu o niej, ale ma-
to jej widzę).

A w poważniejszych formach – może to też być chęć uczciwego samorozpoznania. Pisałem już ci, że nikt i nic nie jest teraz tutaj tabu, i to jest wrażenie dla przybysza od nas jeszcze bardziej szokujące niż obfitość i dostępność dóbr doczesnych. Rozdział hitlerowski takim częściowym tabu był w latach sześćdziesiątych i pięćdziesiątych. Uchodził za sprawę wstydliwą. Stopniowo nastąpiła rotacja ludzi (przeszło sześćdziesiąt procent dzisiejszych Niemców urodziło się po wojnie), zmieniły się kadry, nastawienia, zwyczaje. Dzisiejszy Niemiec w średnim wieku, nie mówiąc o młodym, chce zwyczajnie wiedzieć o swoim narodzie wszystko i nie widzi powodu do ukrywania czegokolwiek. Wcale się nie będę dziwił, jeśli hitleryzm jeszcze długo będzie tu w powszechnym polu widzenia. Wrócę jeszcze raz do tego, co mnie – co nas – boli: chciałbym, żeby stalinizm mógł być tak sumiennie rozpatrywany, przetrząsany, preparowany i cięty analitycznymi skalpelami; a z drugiej strony, żeby w świadomości powszechnej został tak sprostowany, ośmieszony, zgadgetyzowany, a więc przezwyciężony.

Pewne sprawy muszę w tym osobistym przeglądzie upraszczać, chyba jednak, z grubsza, jest tak, że Niemcy poszukują dzisiaj względnej równowagi między świadomością swojego dziedzictwa a wolnością od niego. Nie sposób obciążać kolejnych młodych pokoleń garbem ojcowskich grzechów, ale świadomość tych grzechów jest potrzebna, ponieważ – jak powiedział w Oświęcimiu kanclerz Schmidt – dzisiejsi Niemcy są odpowiedzialni za tych, którzy są odpowiedzialni. Historii w szkołach uczy się tutaj na wrywki, bo taki program, i zgłaszanie (też dyżurny chwyt naszych propagandzistów) pretensji, że Niemcy czegoś tam nie wiedzą o nas dawnych, bije w próżnię: o swojej przeszłości też dowiadują się utamkowo. To ich sprawa – natomiast sprawą świata jest troszczyć się o to, czy dobrze wiedzą o dwunastu latach (na szczęście tylko dwunastu) swojego największego upadku. Świat ma święte prawo być wyczulonym, natomiast tylko prawem aberacji mentalnej i pomieszania pojęć można tłuma-

czyć nieostrożne pokrzykiwania niektórych zachodnich publicystów na temat „powracającego faszyzmu”. Działo się to zeszej jesieni, podczas walki z terroryzmem, kiedy niemiecka demokracja ucziwie szukała sposobu skuteczniejszego zwalczania aktów gwałtu przy możliwie najmniejszym narażeniu swobód obywatelskich. Widziałem to szukanie i obserwowałem w napięciu dzień po dniu, bo wydało mi się szczególnie fascynujące: tak wyważano wszystkie projekty ustaw i zarządzeń, tak kucano i cmokano, żeby – Boże broń – nie uszkodzić czyjejś prywatności! Pozwól, że powiem o tym dwa słowa, zbaczając na chwilę z głównego tematu: otóż myślę, że terroryzm może fizycznie istnieć i utrzymywać się przy życiu właśnie w takim antypolicyjnym kraju, gdzie wolności osobiste są tak oczywiście przynależne każdemu, że nim organy ścigania zdecydują się na nakaz rewizji czy zatrzymania, to dom jest pusty i podejrzany daleko. Gdyby było tu choć trochę policyjnej samowoli, którą znasz, byłoby dawno po terroryzmie (prywatnym, oczywiście). Chwilami aż złość brała i bierze, gdy patrzy się na to cackanie (ileż to słów wypowiedziano *coram publico*, sprzecząc się, czy można sobie pozwolić na przeszukiwanie adwokatów udających się do cel terrorystów, i to już wówczas, kiedy niejednego z adwokatów złapano na gorącym uczynku współdziałania!), ale zaraz łapiesz się na myśli, żeś w takiej chwili rzecznikiem nienormalności i niepraworządności, w której żyjesz u siebie, bo prawo broni się prawem, a wyjątki tworzą stan wyjątkowy, którego trwałość obserwujemy od lat z górą sześćdziesięciu.

A więc: Niemcy szukają względnej równowagi między wieloma wypadkowymi. Oto przykład skrajności: po artykule *Spiegla* o nieludzkich warunkach w hitlerowskich obozach dla radzieckich jeńców wojennych – list czytelnika: „Rozumiem teraz, czemu się tak zachowywali w Niemczech...”. I z drugiej strony: kamer^o telewizyjna pokazuje manifestacje małej grupki ultrarasowych sierot po Hitlerze; wojskowy sznyt, zaciśnięte masywne szczęki, wyzywające spojrzenia i transparent *Wir bereun nichts* (nie żałujemy niczego). Między ekstremami, ale znacznie bliżej pierwszego, rozpościera się tutejsza normalność. Chyba więc obserwatorzy Niemiec, gdziekolwiek żyją i cokolwiek przeżyli, powinni również znaleźć równowagę między swoją uzasadnioną czujnością a lekkomyślnym zacietrzewieniem i zaślepieniem na oczywiste dowody społecznej reedukacji.* To ostatnie niczemu dobremu nie sprzyja, wrażliwszych Niemców wpędza w kompleksy, dużej masie po prostu psuje krew. Szofer taksówki, z którym gadałismy o tym tamtej jesieni, ujął to dość lapidarnie: „Po pieniądze lecą do nas wszyscy. A jak już dostaną, to zaczynają ob smarowywać. To niechby się zdecydowali – albo jedno, albo drugie!”.

Pochopni albo nieuczciwi oskarżyciele lubią potrząsać tzw. Berufsverbotenami, czyli zakazami stałej pracy państwowej dla elementów radykal-

* Mam tu na myśli oczywiście obserwatorów w zasadniczej mierze uczciwych i nieprzekupnych, a nie „dyspozycyjnych”, którym rzeczywistość w ogóle nie przeszkadza.

nych, pod które to określenie podpadają prawi i lewi ekstremiści oraz niekórzy członkowie partii komunistycznej (DKP). Chętnie się ten problem rozdyma, więc sprowadźmy go do właściwych rozmiarów. Zapewne, jest to ograniczenie demokracji, którym nikt się nie zachwyca. *Niemces-taatlichheit* ujawnili to, co na całym świecie jest robione bez hałasu, tj. zastrzeganie sobie przez państwo prawa selekcji państwowych kadr urzędniczych – i co naprawdę dramatycznego charakteru nabiera tam, gdzie państwo jest jedynym pracodawcą. Tu zakazy są stosowane indywidualnie. Można się od nich odwoływać. Można apelować do opinii publicznej i do sądów, które często wyrokują na korzyść skarżącego. W ostatnim tygodniu (jest, kiedy piszę, połowa sierpnia), *Köbner Stadt Anzeiger* ogłosił o trzech takich wypadkach, kiedy Sąd Pracy w Münster uchylił decyzje wobec nauczycieli – członków DKP (zakazy są stosowane przede wszystkim w szkolnictwie i, jak to rozumiem, racjonalne jądro sprawy polega na chęci uchronienia niedojrzałych myślowo uczniów przed naciskiem partyjnej demagogii z prawa i z lewa). W *Spiegla* z 30 stycznia br. donoszono, z pełnym współczuciem dla poszkodowanej, o wypadku niejakiej Beate Bomgard, którą ostatecznie potraktowano z iście niemiecką prawą skrupulatnością: osądzono, iż nie może być funkcjonariuszem państwowym (*Beamte*), może natomiast być pracownikiem (*Angestellte*). Tych subtelności, przyznaję nie rozróżniam. Przeczytałem natomiast, że pani Bomgard na pytanie o przynależność do partii komunistycznej odmówiła odpowiedzi, ponieważ uwłaczałoby to jej godności, i sfotografowała się dla *Spiegla* na tle plakatu protestacyjnego DKP porównującego *Berufsverbot* z prześladowaniami hitlerowskimi (nie tylko lekkomyślni cudzoziemcy wycierają sobie Hitlerem pióra i mają go przy każdym ataku na dzisiejsze Niemcy za chłopca na pamfletarskie posyłki).

Może czytałeś u nas przed paroma miesiącami o sprawie Luise Rinser? Pisała o tym, nota bene, nawet *Litieraturnaja Gazieta*, i to pod tytułem „Nastuplenije reakcji”, a tak, nic mniej! W skrócie: znana niemiecka pisarka, mieszkająca stale zagranicą, jeździła po krajach z serią odczytów. Było to zeszłej nerwowej jesieni. W jakimś wystąpieniu pisarka wspomniała o możliwości zrozumienia niektórych motywów terrorystycznego postępowania. Chadecki burmistrz małego miasteczka uznał to za oznakę „sympatii” i przewidziane wystąpienie Luise Rinser odwołał. Nadużycie władzy było oczywiste, pewne okoliczności mu sprzyjające – również. Zrobiła się wokół tego wielka publiczna awantura. Znowu: zafascynowało mnie to – tak, jak całe ówczesne, wspomniane już, uparte poszukiwanie możliwie najmniejszych odstępstw od normalności. Rzecz w końcu błaża, ale zobaczyłbyś te programy telewizyjne! To uganianie się reporterów za wszystkimi i udzielanie wszystkim po kolei głosu: burmistrzowi, radnym, deputowanym SPD, deputowanym CDU, poszkodowanej! To rozcinanie włosa na czworo i odważanie znaczenia wszystkich argumentów, żeby ustalić, dlaczego stała się krzywda i jak mogła się stać i co

zrobić, żeby się nie stawiała i kto jest za to odpowiedzialny. Pamiętaj: było to w momencie, kiedy istniały powody do zachwiania społecznej równowagi (czego też chcieli terroryści) – ale właśnie to nie nastąpiło i podniesiono larum z powodu odwołanego wieczoru autorskiego! Wpatrywałem się w to jak oczarowany, ja, przybysz z kraju totalnego, tajnie dekretowanego i bezapelacyjnego *Berufsverbots*, myśląc słowami znanego rosyjskiego westchnienia: *nam by wasze zaboty* – chcielibyśmy mieć wasze kłopoty...

Przeglądam, na wrywki, sprawy uchodzące za drażliwe i przez manipulatorów uparcie roznamtywane, więc nie pomnę i przesiedleńców. Tu odstąpiłem od zasady określonej na początku. Dowiedziawszy się, już w czasie pisania tego tekstu, że niedaleko odbędzie się zebranie powiatowego oddziału „Związku Wypędzonych” (*Bund der Vertriebenen*) specjalnie na nie pojechałem. Wiedziałem z wiarygodnych źródeł, jak dziś takie zebrania wyglądają, ale przyjęta tu zasada naoczności kazała mi to sprawdzić. Było dokładnie tak, jak mi zapowiedziano. Najpierw trochę dzieci i młodzieży w strojach ludowych tańczyło na placyku przed ratuszem tańce siedmiogrodzkie. Potem w ratuszowej sali posiedzeń udekorowanej paroma herbami eks-niemieckich miast, otwarto okolicznościową akademię (oddział obchodził 30-lecie istnienia). Było ze sto pięćdziesiąt osób, przeważały nobliwe staruszki, schludne, sztywne i przyczesane. Wiek, a może i oszczędności, sprawiały, że pito przeważnie sok owocowy, siedząc familijnie przy stołach. Otwarcie, zagajenie i bardzo długie podziękowanie wszystkim powiatowym notablom, którzy zaszczylili zebranych obecnością, brzmiały dosyć swojsko. Okolicznościowe przemówienie wygłosił sam Herbert Czaja, prezes Związku. Sprawił na mnie wrażenie generała, który stara się nie zauważyć faktu, że jego armia dawno już poszła do rezerwy i zmieniała się w towarzystwo weteranów. Twierdził, że jeszcze nie wszystko stracone, ponieważ zagadnienie niemieckie pozostaje otwarte i trzeba o tym stale przypominać światu. Dziękował, komplementował i zachęcał do wytrwałości. Wyrzekał się gwałtu, „ponieważ sami padliśmy ofiarami gwałtu”, i wyrażał nadzieję, że w wolnej Europie przyszłości wszystko się polubownie załatwi, omijał konkrety, znał wszystkie wiecowe chwytły, ale wpadłszy w trans stracił kontakt z salą, bo rąbnął ostatecznie godzinny referat programowy, co było grubo ponad siły staruszek. Najpierw przerywały mu oklaski wszędzie tam, gdzie dziękował im za nieugiętość, ale potem sztywniały w widocznym zmęczeniu. Natomiast kiedy mówił o tym, że mniejszości niemieckie na wschodzie powinny mieć normalne mniejszościowe prawa, takie jak są przyznawane w Republice Federalnej, sam o mało nie zaklaskałem, bo przyznasz chyba, że nawet Czaja może mieć w czymś rację, a tu on ją miał. Potem zastużone staruszki i staruszków dekorowano odznakami, w przerwach chór kościelny wykonywał poważny repertuar, a na wieczór zapowiedziano zabawę taneczną z orkiestrą, loterią i zimnym bufetem. Wtedy już wyszedłem, wiedząc, że mogę z czystym sumieniem donieść to, co mi już opowiadano: zebrania przesiedleńców są imprezami dla uczestników towarzyskimi, okazją

do zobaczenia krajanów i powspominania. (Czy potrafisz mi wytłumaczyć – ale wytłumaczyć, a nie pomrużyć porozumiewawczo: „ty wiesz, a ja rozumiem” – dlaczego nie mogłyby u nas powstać ziomkowstwa Lwówiaków czy Wilnian? A gdyby powstały, to czy znaczyłoby to, że jesteśmy odwetowcami, agresorami i rewizjonistami – granicznymi, oczywiście?). Dla organizatorów, a zwłaszcza dla grupki zawodowych polityków, jest to forma zbijania politycznego kapitału, coraz węższego. Dawniej było inaczej, ale czasy się zmieniły, a ludzie postarzel. Masa przesiedleńców czuje się dzisiaj gruntownie inkorporowana (choć są wyjątki), nie wróciłaby nigdy i za żadną cenę, chce natomiast mieć okazję do wspomnienia i możliwość odwiedzania dawnych stron, żeby uronić łezkę i żeby pokazać dzieciom ślady rodzinnych gniazd. O tej swobodzie poruszania mówili mi wszyscy przybysze z naszych stron jako o programie maksimum. Już zresztą sporo jej mają. Na Mazurach słyszałem nieraz, że dawni mieszkańcy odwiedzili powojennych i zaczęli ze sobą korespondować. Sam tłumaczyłem kiedyś komuś na niemiecki podziękowanie za paczkę, którą mu przysłali goście. O odwrotnych przykładach, o manifestacji ducha zemsty, odwetu, rewanzu, o czymś w rodzaju „my tu wrócimy i wtedy pokażemy” nie słyszałem nigdy; ducha krucjaty odwetowej nie wyczułem ani wśród przybyszów u nas, ani tu. Więc i te strachy na Lachy włożmy razem między propagandowe bajki.

Mało czego jestem tak pewny i mogę ci za to zaręczyć: nikt poważny i liczący się (bo ekstremiści się nie liczą, zresztą i oni są raczej w pysku mocni) nie chce tu wojować za nic więcej, niż tylko za to, co ma, i w razie ostatecznej narzuconej przez agresję konieczności. Wszystko co wojskowe jest defensywne, i inne w tak sytym społeczeństwie być nie może, w dodatku jest minimalnie widoczne. Militarizm, powtórzę, przestał istnieć. Mam w zanadru parę scenek, które by ci to uplastyczyły, ale ten list jest już i tak długi; może innym razem. Chciej wierzyć, że nie wszystkie argumenty w poruszonych sprawach mieszczą mi się na papierze; część trzymam w odwodzie.

Wszystko to wiąże się pośrednio z postawami wobec Polski i Polaków w ogóle. Przypuszczam, że w końcu zechciałbyś mnie o to spytać. Pamiętaj jednak, że udzielam odpowiedzi z ograniczoną odpowiedzialnością, tj. za te fragmenty rzeczywistości, które poznałem. Co prawda, sprawa wyrysowuje się dosyć wyraźnie i w nowych ujęciach potwierdza. Ma ona wiele płaszczyzn. Jedną z nich stanowią osobiste spotkania i kontakty. Dużo ludzi stąd do nas jeździ. Nie chciałbym znowu, byś mnie miał za lakiernika, ale co robić, jeśli tak jest: wracają z reguły ze znacznie lepszymi wrażeniami, niż można byłoby się spodziewać. Tłumaczy to optyka gości. Nasze normalne trudności mniej ich obchodzą, za to chorem podnoszą walory polskiej atmosfery, życia duchowego, gościnności. (Oczekiwałem, że usłyszę od kogoś o czyjejs w kraju odruchowej wrogości wobec „Szwaba”; nikt tego nie spotkał. Aż mi się nie chce wierzyć, ale tego by na pewno przede mną nie ukrywali, bo są na to uciążliwieni). Musisz wiedzieć, że niedostatek „duchowości” (mówię skrótami, wiedząc że się

rozumiemy) jest w tym kraju rzeczywiście problemem i wrażliwi Niemcy dobrze o tym wiedzą. Powojenne wybitcie się z nędzy ku dostatkowi zostało masowo zrealizowane, ale społeczne ideały bardzo przy tym spłaszczono i strywializowano. Słyszałem, jak pięknie i mądrze mówił na ten temat Max Frisch na ostatnim kongresie SPD, wskazując, że ta próżnia duchowa drażni młodych i że chcąc zapobiegać terroryzmowi, trzeba mieć wizję i wolę jej spełnienia. Oklaskiwano go wyjątkowo burzliwie. Otóż my właśnie wyglądamy w oczach Niemców na takich, co mają ich deficytowego towaru w nadmiarze. Jeszcze zanim tu przyjechałem, przeczytałem z ciekawością bezpretensjonalną książeczkę niejakiego Rudolfa Braunburga *Reise durch Masuren*. Pewnie to autobiograficzne; ojciec, który jako dziecko uciekł z Prus Wschodnich, właśnie odwiedza dziś polskie Mazury z dwojgiem własnych dorastających dzieci. Ojciec wzdycha, wspomina, porównuje i niejedno wypada mu na naszą niekorzyść. Na to córka: „Wyobraź sobie, tato, że my, solidni Niemcy, siedzimy nadal w Prusach Wschodnich. Czy możesz sobie wyobrazić, że w zupełnie zniszczonym mieście odbudowalibyśmy najpierw stary kościół?”. Zarazono, jak to ujmuje autor, „polskim idealizmem” dzieci dochodzą do wniosku, iż „...to, że Mazury należą dziś do Polski, a nie do Niemiec, ma swoje dobre strony”, i ojcowskie nieprzejednanie poważnie nadłamują. Wydaje mi się to bardzo charakterystyczne.

Inna płaszczyzna to stosunki oficjalne i zbiorowe. Ze swojej perspektywy widzę, że przed paroma laty, w pierwszej fazie normalizacji, mieliśmy tu wielką koniunkturę. Poczucie winy, chęć nadrobienia zaległości, zwykła ciekawość, wspomniane duchowe podciśnienie – wiele się na to składało. Kultura i myśl polska mogły dokonać duchowej inwazji Niemiec. Byłem świadkiem naocznym wielkiego głodu wszystkiego co nasze – od zespołów rozrywkowych poczynając. Tę szansę wykorzystaliśmy w stopniu nieznacznym (choć nasza obecność była wyczuwalna). Stało się jasne, że polskiej władzy zależy tylko na niemieckich pieniądzach, a nie na autentycznym zbliżeniu. Jeden z tutejszych publicystów napisał o taktyce „wpędzania Niemców w kompleks winy i czekania, żeby się zeń wypłacili w dewizach”. Kontakty są starannie limitowane; funkcje pośredników ze strony polskiej pełni znana ci dobrze, stale ta sama grupa ludzi piszących i mówiących, co im się każe. To wyraźnie chłodzi niemieckie zapęty. Zorientowali się też jasno, że w naszym satelickim położeniu nie mamy nic politycznie samodzielnego do zaproponowania i, siłą rzeczy, bardziej interesuje ich nasz mocodawca, Związek Radziecki, ho to on decyduje.

Jest więc nie po raz pierwszy i ostatni tak, że jako naród i społeczeństwo płacimy za system. Jednakże myślący ludzie całego świata uczą się różnicować te pojęcia (my również wobec Rosjan), a kontakty oficjalne i prywatne nie pozwalają – kiedy już ruszą z miejsca – ani zupełnie się ograniczyć, ani kontrolować. Więc istnieje i na pewno nadal istnieć będzie i polska tu obecność, i – mimo wszystko – coś z tej specjalnej taryfy, jaką nam przyznano. Pewne jest, że zmienił się na korzyść

ukształtowany historycznie stereotyp Polaka (jeśli będziesz miał okazję, przeczytaj o tym, jak obustronne stereotypy powstawały. w bardzo rzeczowym opracowaniu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego „Niemcy, Polacy i inni”). Myślący Niemcy liczą i na nasze odwrotne działanie. Świadomość ciężaru dawnych win nadal istnieje u wielu z nich, ale wraz z nadzieją, że nosiciele tych win nie utożsamiamy z obecnym niemieckim narodem. Dlatego tak wielkie, naprawdę historyczne znaczenie miał list naszych biskupów sprzed lat trzynastu (przypomnij sobie, z jaką furją go opluwano, i zawstydzmy się razem, żeśmy wtedy – przeważnie – nie rozumieli, o jaką wielką sprawę chodzi). Ostatnio prasa żywo zareagowała na pierwszą publikację PPN w sprawie Polski i Niemiec. Czekają się też z autentycznym zainteresowaniem i nadzieją na przyjazd Prymasa, bo wiadomo tu, kto kogo naprawdę reprezentuje.

A mniej myślący Niemcy? Ci, jak przystoi ludziom sytym, mają w ogóle życziwy stosunek do świata. Jest to tutejsza, codzienna norma: uśmiech, uprzejmość, w mniejszych miejscowościach – powitanie każdego, kogo się spotyka; niby drobiazgi, ale cieszą, i – znowu – szokują jeszcze bardziej niż wygoda życia.

W ogóle dziwnie się wszystko plecie. Pod sklepieniem drogowego wiaduktu, gdzie często przechodzę, ktoś machnął – nerwowo, konspiracyjnie, kulfoniasto, jak u nas na okupacyjnym murze, ale przecież po niemiecku: „Niech żyje rewolucyjna walka o wolność polskiej klasy robotniczej”. Pewnie jakiś lewak. Kiedy to zobaczę, robi mi się śmiesznie i rzewnie: gdzie Rzym, gdzie Krym, i gdzie kto o kim pisze...

* * *

Piszę długo, bo sprawa jest duża. Pewnie ulegam przy tym emocjom, bo staram się i zależy mi, żeby to, co piszę, do ciebie dotarło. Weź na te emocje z dziesięć procent poprawki, ale nie więcej. Znajdziesz zresztą, gdy zechcesz, inne wiarygodne źródła: skonfrontuj mnie z nimi, bądź nieufny, tak jak ja byłem.

Najlepiej byłoby, gdybyś mógł tu po prostu przyjechać. Obserwowałem już parę takich spotkań, skutek pewny – pierwsze wrażenie nie zawodzi, następane je potwierdzają.

Emocje – te pozytywne – przechodzą mi ze szczerem, gdy myślę, że powinienem ci teraz streścić mechanizm manipulacyjny szantażu, któremu jesteśmy poddawani. Czy powinienem? Jest on treścią twego codziennego doświadczenia. Weź do ręki jakikolwiek numer eks-gazety *Życie Warszawy*, która się w tym procederze specjalizuje, znajdź co trzeba i zwolnij mnie od obowiązku cytowania, choć stos wycinków mam pod ręką. Pozwól mi tego jeszcze nie używać. Dygresja: jak zwykle przy dłuższym pobycie prawie co dzień zatęskni się za czymś polskim. Ale z naszej prasy oficjalnej jestem fizycznie w stanie czytać tylko *Tygodnik Powszechny*, a kiedy wieczorem włączam telewizor, przeżywam zawsze małą chwilę radości, wiedząc, że nie zobaczę t y c h twarzy. Rozumiesz mnie? Właśnie.

Przypomnę ci tylko: kłamanie prawdą. Marginesy marginesów, mikroscopijne wycinki z ogromnych obszarów normalnej egzystencji – pracowicie wyławiane, skupiane, powiększane, komentowane. Ponieważ wszystko tu się ujawnia – więc zerowanie na każdej krytyce, super czujne przechwytywanie wszystkiego złego, co Niemcy napiszą o sobie, lub inni o Niemcach. Tworzenie mitu kraju zagrożonego i mogącego grozić innym. Zimna wojna publicystyczna, choć nie bez ostówek; alibi dla niej stanowi grupka publicystów mniej agresywnych, łagodniejszych w sformułowaniach i ostrożniejszych we wnioskach. Myślę, że to z góry założony podział pracy politprop: ci łagodniejsi są do pokazywania światu, gdy kondotierzy bez skrupułów na co dzień urabiają Polskę i nie przerywają akcji nawet wówczas, kiedy na wysokich szczeblach padają przy oficjalnych okazjach słowa dyplomatycznej sympatii, ba, serdeczności.

Kondotierzy dobrze wiedzą, co czynią. Jeszcze dygresja: z jednym z nich, bardzo zasłużonym w bojach o naszą fałszywą świadomość, kiedyś się przyjaźniłem. Przy którymś z jego pobytów w kraju zadałem mu, w dobrej wierze, pytanie językiem przez niego oficjalnie używanym: jakże więc ci Niemcy, z ich nazistami, neonazistami, militarystami, odwetowcami, żądnymi zemsty przesiedleńcami i wszystkimi takimi? Czyba mu wśród nich ciężko? Wytrzeszczył na mnie oczy, trochę zażawione niemieckim puszkowym piwem, którym zawsze wypełniał bagażnik: „Stary, coś ty! Przecież to wszystko nieprawda! Przecież ja tak muszę!”. A potem jeszcze długo, po wielokroć – w noc, w rausz, w słowiańską duszę, w to wszystko co znasz: „Przecież ja wiem... Ale co ja mam robić? No powiedz! Co?!”.

Nie powiedziałem, ale swoje ówczesne ostupienie pamiętam dobrze. To było dawno. Dziś już się nie dziwię, kiedy po nagłej, historycznej i bezsensownej kampanii na początku 1977 roku w sprawie Łambinowic, która wybuchła i zgłasza, nim się ktokolwiek zorientował (pamiętasz: była to reakcja na rzekomą „kampanię antypolską” tutaj, o której nikt w Niemczech nie słyszał; manipulowanie martyrologią jest precederem szczególnie cynicznym, ale stosowanym u nas bez skrupułów) – spytany o nią na zamkniętym zebraniu odpowiedzialny i wtajemniczony informator oświadczył publicznie i bez żenady: „Było nam to, proszę towarzyszy, potrzebne w pewnych pertraktacjach”.

Takie to proste. I tak ma się nas za głupców, którym po orwellowsku (pisał o tym w pierwszym numerze *Zapisu* Stanisław Barańczak) można z dnia na dzień amputować obszary pamięci.

Z „Roku 1984” wypiszę ci jeszcze zdanie, które też zgadza się z sytuacją. Pamiętasz, że orwellowska Oceania prowadzi nieustającą wojnę i jest nękana atakami tajemniczego wroga. Otóż: „Bomby raketowe, które spadają na Londyn, są prawdopodobnie wystrzeliwane przez wojska Oceanii na rozkaz ich własnego rządu – aby utrzymać ludność w stanie wiecznego zastraszenia”.

Na naszych bombach odczytasz: *horror teutonicus*. To właśnie nazwałem społecznym szantażem.

Jego mechanizm przedstawiłem ci jak umiałem, mając za przeciwstawienie normalność, którą tu stwierdziłem. Bez żadnych zamiarów idealizujących. Jest tu wszystko: dobre, złe, trudne, palące, na razie nierozwiązane, oczywiste, wątpliwe, ale wszystko — jak mawiał mój teść, gdy go pytano o zdrowie — „w granicach normy wieku”. Ta norma trzydziestoletniej demokracji okazuje się solidna i pokrzepiająca. Myślę, że odzyskanie Niemiec dla wolności jest bodaj największą zdobyczą powojennego świata, z której świat ten, z reguły pesymizując, mało zdaje sobie sprawę. Sami Niemcy oceniają się często znacznie ostrzej, wpatrują w siebie z troską. To ich sprawa i przywilej. Nam przystoi konstatować to, co jest — z naszej perspektywy. Perspektywy realnej. Czy podjąłbyś się sądzić o życiu w Polsce tylko na podstawie nekrologów, kroniki sądowej i rubryki wypadków?

Próbowałem, pisząc, odgadnąć twoje możliwe pytania i wątpliwości. Mam nadzieję, że nie było wśród nich jednego, bo znaczyłoby to, że źle sobie ciebie wyobraziłem. To nie byłoby twoje pytanie. Ale spróbuję odpowiedzieć i na nie, bo zdaje mi się, że gdzieś je wewnętrznie uchem wyłapuję. Brzmi ono: co ci właściwie na tych Niemcach tak zależy?

Odpowiem: nie o to mi chodziło. Niemcy dają i dadzą sobie radę bez nas. Ale sprawa niemiecka jest elementem naszej sytuacji. I pisząc o Niemczech starałem się pisać o nas. To bodaj przewartościowanie Stalina za wdzięczamy plan spętania nas Niemcami, wepchnięcia w układ istotnie niestabilny, życia w groźbie, skazania na podległość. Było to perfekcyjne, a jednak nieskutecznie wymyślone, bo Stalin, jako człowiek zły, nie miał wyobraźni dla normalności świata (dlatego ci, co go nazywają „geniuszem zła”, komplementują niezasłużenie. Takie zjawisko nie istnieje).

Leszek Kołakowski w swoim pięknym przemówieniu po przyznaniu mu frankfurckiej nagrody powiedział, że nienawiść niszczy i niewoli nienawidzących. To, na co nas dzisiaj stać, w Polsce takiej jaka jest, to stworzenie obszaru, na którym będziemy wolni wewnętrznie i zewnętrznie. Nawet jeśli będzie to przede wszystkim wolność negatywna i od niej zaczniemy: wolność od strachu i nienawiści, od szantażu i fałszywej świadomości.

Pozdrawiam cię serdecznie. Za jakiś czas się zobaczymy.

ANDRZEJ DRAWICZ

JERZY FICOWSKI

WIERSZE Z CYKLU „ODCZYTANIE POPIOŁÓW”

ZAKOŃCZENIE OBRZĄDKU

Topołą siedmioramienną
zdmuchnął wiatr
gasną stracone
iskry łbici

W kopciu wron
dymi chmurą

DO JERUSZALAIM

a droga była długa
do Jeruzalaim
jak taśes przegowana
to w światło to w ciemność
na noce i dni

stał blask Jeruzalaim
za najdłuższą nocą
i dojrzewały skrzypce
jak gruszki na wierzbie

a w berdyczowie rejwach
karczma bałaguta
i pogromy i świece
zpalane gwiazdą

i zmwiane nabożnie
słone wersety śledzia
z komentarzem cebuli
na głodów odpuszczenie

przez podlasia zarzecz
przez jesień zgarbionych lichtarzy
przez komory gazowe
kirkuty powietrzne
szli do Jeruzalaim
i martwi i żywi
w swoje powrotne ongiś

I aż tam przemycili
garstkę wierzbowych gruszek
i na pamiętkę
ze śledzia
do dziś kłującą ość

EPITAFIUM ŻYWCEM UMARŁEGO

Oszczony
śmiertelnie się bał
całe pięć lat
tego księżycy wątroby
co go rozwidniał
do środka
chłodem

tego morza martwego
oddechów
w którym nie tonąc
obraszał solą
niedoczekanie

śmiertelnie się bał
księgi mojżeszowej
swych dziesięciorga palców
i kędzierzawej góry synaj strachu
ale przeżył
ale przeżył
siebie

Nieprzeliczony schodził śnieg
usuwało się niebo w strzępach

więc wniebowstępowała
mijała bezruchem
biel za bielą
łagodną wysokość
za wysokością
w eliaszowym wozie
poniżenia

nad upadłymi aniołami
śniegów
w zenit mrozu
coraz bardziej ponad
hosanna
uniesiona
na samo dno

5. VIII. 1942

Pamięci Janusza Korczaka

Co robił Stary Doktor
w byłym wagonie
jadącym do treblinki dnia 5 sierpnia
przez kilka godzin krwiobieg
przez brudną rzekę czasu

nie wiem

co robił Charon dobrowolny
przewoźnik bez wiosła
czy rozdał dzieciom resztę
zdyszanego tchu
i zostawił dla siebie
tylko mróz po grzbiecie

nie wiem

czy kłamał im na przykład
małymi dawkami
znieczulającymi
iskał spocone główki
z płochliwych wszy strachu

nie wiem

ale za to ale potem ale tam
w treblince
całe ich przerażenie cały płacz
były przeciwko niemu

ach to było już tylko
ileś tam minut czyli życie całe
czy to za mało czy dużo
nie było mnie tam

nie wiem

zobaczył Stary Doktor nagle
że dzieci się stały
stare jak on
coraz starsze
tak musiały dogonić siwiznę popiołu

więc kiedy go uderzył
askar czy esesman
zobaczyły że Doktor
stał się dzieckiem jak one
coraz mniejszym i mniejszym
aż się nie urodził

odtąd ze Starym Doktorem
pełno było ich nigdzie

wiem

SZEŚCIOLETNIA Z GETTA ŻEBRZĄCA NA SMOLNEJ W 1942 ROKU

Ona nie miała nic
prócz oczu na wyrost
w nich całkiem niechęć
dwie gwizdy dawidowe
może by je zgasiła łza

więc płakała

Jej mowa
nie była srebrem
warta co najmniej
spłknięcia odwrócenia głowy
jej mowa płacziwa
pełna garbatych słów

więc zamilkła

jej milczenie
nie było złotem
warte co najwyżej
5 groszy może marchew jaką
bardzo grzeczne milczenie
z żydowskim akcentem
głodu

więc umarła

OPŁAKIWANIE

Łapali płatki w powietrzu
Jadący na karuzeli,
Rozwiewał suknie dziewczynom
Ten wiatr od domów płonących
Śmiały się tłumy wesołe
W czas pięknej warszawskiej niedzieli.

(Czesław Miłosz – „Campo di Fiori”)

Był i płacz

płakali szmalcownicy
szaulis rękawem otarł oczy
sturmferer ukrył w dłoniach głowę
i skomlał policyjny pies
z żąłobnie okopconą sierścią

Szedł dym
Ogromny cień ognia
gryzący dym krochmalnej
gęsiej nalewek zamenhofa
dym rudobrody chałafiarski

wiatr znosił go na tę stronę
aż tu
prosto w oczy

CO JEST

CO JEST

już nic
właściwie nawet już nie ma
niczego

tylko harmider takiej ciszy
tylko tumult pustkowie
zbity tłum nikogo
zachodzi
pod żółtą fatą słońca
aż ją zakrwawi

A MOŻE W MSZCZONOWIE
JESZCZE KTOŚ TAM
DAJMY NA TO JANKIEL SADOWNIK
KOMU ZASZKODZI JABŁKO
ON MIAŁ DOBRE JABŁKA

On był siwiutki
jak kwitnąca jabłoń
nie raz pszczoła
mruczała mu w brodzie

CO U NIEGO SŁYCHAĆ
PAN NIE POWIE ŻE
ON OSZUKAŁ NA WADZE
ALBO NA SUMIENIU

Nie powiem
U niego słycać
papierówki poblądte

to nie ucieczka
w buciorach juchtowych
z zelówkami strachu

to słycać
tupot jabłek
w rozwianym chałacie nocy
Jankiel robi swoje

CO TO ZNACZY.

Znaczy
jemu się powodzi
pogania do galopu
truchcik jabłkowity
on jedzie coraz bardziej niegdys
do kahału wieczornego snu
po dzwonko lewiatana

W szabas
czas bałaguta
złazi z kozła
można go zastać
nad lichtarzem dziewanny
co bodzie niebo
cafe w sińcach chmur
można go zastać
kabalistę dwunastu liczb
zbrojnego we włócznie wskazówek
i tarczę zegara

NO I CO Z TEGO
CO ON Z TEGO MA

No to sfruwają do niego tak myślę
imiona puste
znane na niepamięć
małki gitle rachele
i mendle jękliwe
z piołunów niosą gorzki miód
taki miód
trefną żółć światła

ODCZYTANIE POPIOŁÓW

W piątek na zakościennej
jeruzalem wzbiera
powstają złotouste
izajasze świec

pod szyldem
szatan cynamom i ska
sary małki judyty
kładą się do snu

na swoich piersi
dwugarbnych wielbłądach
wiozą gwiazdy na zasiew

koźlątko na postronku
mówi negew negew
i wszyscy wysiadają na środku pustyni
będą pod sochaczewem swoje gwiazdy siać

TWOJE MATKI OBIE

Biecie

Pod Torą nadaremna
pod uwięzioną gwiazdką
urodziła cię matka

masz dowód na nią
niezbity nie zabity
bliznę pępka
znak rozstania na zawsze
które cię nie zdążyło zabość

ty wiesz

Potem spałaś w tobołku
wyniesionym z getta
ktoś powiedział że w skrzynce
skleconej gdzieś na Nowolipiu
z dopływem powietrza
bez dopływu strachu
ukrytej w wozie z cegłą

Wymknęłaś się w tej trumience
zbawiona ukadkiem
z tamtego świata na ten świat
aż na aryjską stronę
i ogień zajął
pusty kąt po tobie

Więc nie płakałaś
płacz bywał śmiertelny
luminal cię usypiał
swoją kołysanką
I prawie cię nie było
żebyś mogła być

A matka
ocalona w tobie
mogła już wstąpić w tłumną śmierć
szczęśliwie niecała
mogła zamiast pamięci dać ci
na odjezdne
podobieństwo do siebie
i datę i imię

aż tyle

I zaraz się zakrzętała
koło twego snu
ktoś przygodny naprędce
i został już na długie zawsze
i obmył się z sieroctwa
i spowił w miłość
i stał się odpowiedzią
na twoje pierwsze słowo

To twoje matki obie
nauczyły cię
tak nie dziwić się wcale
kiedy mówisz
J e s t e m

JERZY FICOWSKI

ANTONI PAWLAK

KSIĄŻECZKA WOJSKOWA

„Wróćcie do cywiła i skombinujecie tak wszystko, że zrobicie ze mnie dupę i skurwysyna, a z siebie inteligenta i pacyfistę, który jest ponad szarym życiem pułkowym”.

Zbigniew Uniłowski: „Dzień rekruta”

I

Gdy dowiedziałem się, że mam iść do wojska, robiłem wszystko, aby to nie doszło do skutku. Pomagało mi w tym wielu ludzi, co doprowadziło do pewnego zamieszania. W końcu wezwał mnie komendant sztabu dzielnicowego. Usiedliśmy w jego gabinecie.

Naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego z takim uporem stara się pan uniknąć służby wojskowej. Przecież jest to pańskim obowiązkiem. Zresztą te wszystkie legendy, że w wojsku nie ma możliwości ani czasu, to wierutne brednie. A pan tu jakiś bałagan robi. A poza tym, nawet jakbym chciał, nie mogę panu iść na rękę. Ja, proszę pana, muszę rozliczać się z każdego, kto nie poszedł.

Staralem się mu wytłumaczyć, że studiuje filozofię, a w wolnych chwilach pisuję wierszyki, i obawiam się, że dwuletnie skoszarowanie nie wyjdzie na dobre ani moim studiom, ani też wierszykom.

— Ależ pan jest w błędzie! To, że zajmuje się pan filozofią i literaturą, w żaden sposób nie przeszkodzi panu w odbyciu służby. Zresztą, dobrze że mi pan o tym powiedział. Postaramy się skierować pana do takiej jed-

nostki, w której służba będzie w jakiś sposób współgrała z pańskimi zainteresowaniami.

Prawdopodobnie dlatego trafiłem do czołgów.

– A jakie są pańskie plany na przyszłość? Jako krytyka, oczywiście – zapytał mnie w Pałacu Kazimierzowskim Nestor Krytyków.

– Trudno mówić o planach. Za tydzień będę już w wojsku.

– Acha – sapnął N.K. z nagłym błyskiem w oku. – Tego to panu nawet zazdroszczę. Niech pan Mnie dobrze zrozumie; jest pan młodym, zdolnym człowiekiem. A groziło panu zatonięcie w kawiarnianym bagienku. (Pan wie, co oni o Mnie?). Wie pan, z tego się bardzo trudno wyciągnąć. Tam zaś będzie pan miał pole do naprawdę twórczej obserwacji. Wejście w tak odmienne środowisko, to dla każdego twórcy cenne, bardzo cenne doświadczenie.

Zdenerwował mnie tylko. Niby Żyd, a takie bzdury opowiada.

Kazik chciał uprzyjemnić mi ostatni dzień wolności. Chodź – powiedział – poznam cię z Postacią Historyczną. Lecieliśmy przez całą Warszawę, a on do końca nie chciał wyjawić, kogo miał na myśli. Postać Historyczna i tyle.

A P.H. umiał się znaleźć. Jak tylko zorientował się, w jakiej jestem sytuacji, zaczął mnie pocieszać.

– Niech się pan zbytnio nie przejmuje – mówił. – Wojsko to tylko karykatura ustroju totalitarnego, do którego – jak sądzę – zdołał się pan już przyzwyczaić. Jak panu wiadomo, ustrój totalitarny zbudowany jest na zasadzie sieci, która nas tak naokoło oplata, oplata. Ale każda sieć ma to do siebie, że posiada oka, w których przeciętnie inteligentny człowiek potrafi uwić sobie spokojne gniazdko. Czego i panu serdecznie życzę.

Przy pożegnaniu Kazik mocno uściskał mi dłoń.

– Mam nadzieję, Antoni, że doczekamy jeszcze czasów, gdy młodzi ludzie będą pełni dumy szli do POLSKIEGO wojska.

Ja nie miałem tej nadziei. Nie mam jej do dzisiaj. Zresztą, Kazik, wojsko jest zawsze wojskiem. Poza wszystkim innym.

Początkiem drogi był Dworzec Wschodni. Całe tłumy młodych ludzi. Pijanych młodych ludzi. Pijanych i wyjących młodych ludzi.

Wojskowe piosenki wzbijały się pod dach dworca. Jak barany na rzeź wsiadali do pociągów kolejni obrońcy granic. Ten koszmar towarzyszył mi przez całą drogę. W pewnych chwilach robiło mi się wręcz głupio za tę moją trzeźwość, za brak śpiewu. Wyglądało na to, że ja jeden boję się tego, co nas czeka. Że tamci jadą pełni pijanej radości, a ja jeden itd.

Stałem obok jakiegoś starszego faceta, który z pewnym niedowierzaniem obserwował ten Wesoły Pociąg. W pewnym momencie facet zaczął do mnie mówić.

– Wie pan, wojsko nie jest łatwą rzeczą. Ja się wcale nie dziwię, że oni

nie mają ochoty tam iść. Ale to w sumie niedobrze, bo powinni. Nie, nie dlatego, że to obowiązek i tak dalej. Ode mnie pan czegoś takiego nie usłyszy, nie jestem dziennikiem telewizyjnym. Po prostu tak już w życiu jest, że wojsko i więzienie to największa i najlepsza szkoła życia. Ja, panie, byłem już w paru wojskach i paru więzieniach. Najpierw, w trzydziestym dziewiątym, w polskim wojsku. Normalne. Zaraz na początku wojny Niemcy wzięli mnie do niewoli. Ale obozu jenieckiego nie zobaczyłem, bo udało mi się uciec z transportu. Do czterdziestego trzeciego byłem w AK na terenie Warszawy. I wtedy Niemcy znów mnie złapali. Tym razem Gestapo. I po raz drugi udało mi się uciec. Byłem już spalony w mieście i musiałem iść do lasu, do oddziału. A jak w czterdziestym czwartym przyszli Ruskie, to pierwsza rzecz nas zamknęli. Wtedy właśnie uciekłem z więzienia po raz ostatni. Ruscy zamykali mnie na fałszywych papierach, więc pod prawdziwym nazwiskiem wstąpiłem do kościuszkowców. Byłem z nimi, panie, aż do Berlina. Po wojnie chciałem zostać w wojsku i nawet zostałem. Ale nie długo. W czterdziestym ósmym ktoś wpadł na to, że zwiąłem Ruskim. Wie pan, wtedy się nie patyczkowali, można było i czapę lekką rączką zarobić. Zamknęli i koniec. Nawet nie miałem już ochoty uciekać. Wyszedłem zupełnie legalnie w pięćdziesiątym piątym.

I widzi pan: tyle wojsk, tyle więzień. Ale jak patrzę z perspektywy, to nawet jestem zadowolony, że los mnie tak doświadczył. Nie ma we mnie chęci zemsty na kimkolwiek. To naprawdę wielka szkoła. Oni wszyscy, a w każdym razie ci inteligentniejsi, także dojdą do tego wniosku. Bardzo w to wierzę. Oby jak najprędzej. Nie wyobraża pan sobie, jak taka świadomość może im pomóc. Przynajmniej w początkowym, najtrudniejszym okresie.

A poza tym, jakby tak porównać wojsko dwadzieścia lat temu i teraz. Toż to sanatorium. Co wcale nie znaczy, że chciałbym umniejszyć ich cierpienia. Nie, chyba po prostu tak jest, że każde pokolenie ma inny, swój udział w cierpieniu.

W miejscu docelowym byłem rano. Trzeźwy, tylko znęcony całonocną podróżą. I gnany tylko jedną myślą: muszę tutaj, teraz, jeszcze przed przekroczeniem bramy poznać kilku z tych, z którymi przyjdzie dzielić ten okres. Wydawało mi się to konieczne. Więcej niż konieczne. Byłem pewien, że w dużej mierze ułatwi to aklimatyzację. Będzie wszak ktoś, z kim można wrócić wspomnieniem do tych kilku ubogich chwil pozostawionych na zewnątrz.

Akurat napatoczyło się dwóch. Przyczepiłem się do nich, starałem się upodobnić, stać się jednym z nich lub oboma na raz. Wiedziałem, że to może być jedyna droga do ich akceptacji.

I poszliśmy w tan. Najpierw po butelce wina. Zaczęło się pierwsze macanie:

Skąd jesteś?

Ile razy udało ci się mignąć?

Itđ.

Od pierwszej chwili zdobyłem coś w rodzaju szacunku. Bowiem nie byłem nawet najstarszy, byłem dla nich po prostu stary. Cztery, sześć lat to już w tym wieku wiele. Ale dorosłość trzeba potwierdzić silną głową. Więc dalej, dalej. Więc po dwie setki i po dwa piwa. I dalej. Szliśmy przez miasteczko zbierając innych, takich jak my. Jeszcze sklep i jeszcze po trzy wina za paski od spodni. Na ulicy, a potem w domu jakiegoś miejscowego. Stamtąd też chyba jeszcze jakieś zakupy. Ale ja się nie popisałem, nie pamiętam, straciłem film.

Odzyskałem go dopiero w jednostce. Do dziś nie wiem, w jaki sposób tam trafiłem.

W jednostce najpierw przechodzi się przez coś w rodzaju powtórnej komisji wcieleniowej. Kilku lekarzy i facet wypyujący o życiorys. Tutaj właśnie przydzielają do poszczególnych pododdziałów.

Przez komisję przeszedłem bez większych kłopotów. Tylko przy tym nielekańskim stoliku wdałem się w dyskusję mocno zawiłą z jakimś majorem. Poszło o to, czy jestem karany. Powiedziałem mu, że to skomplikowana historia – i jestem, i nie jestem. Zażądał wyjaśnienia. A ja z pijackim uporem powtarzałem w kółko to samo, dodając co jakiś czas, że to trochę zbyt skomplikowane, by on zdołał zrozumieć.

W końcu dał mi spokój.

Zaczęto przerabiać mnie na żołnierza.

Najpierw strzyżenie. Fryzjer o mało nie zwariował z radości, gdy zobaczył moje spływające na plecy włosy. Od razu na zero.

Potem rozbieraliśmy się do naga i pakowaliśmy cywilne ubrania do worków, z których próbowaliśmy robić paczki do domu. I łaźnia. Nadzy i łyśi pod prysznicami z ledwie letnią wodą. Teraz już zupełnie nie mogłem poznać świeżych kolegów. Fryzjer zmienił nas w sposób zasadniczy. Byliśmy grupą anonimowych golców.

Z łaźni do kilku stoisk – jak w sklepie, tyle że bez płacenia.

STOISKO I – bielizna.

– Masz tu spodenki i podkoszulkę. Co marudzisz? Jak za duże, to i lepiej, że nie za małe.

Koszulka to nic, ale spodenki ciągle spadają.

STOISKO II – moro.

– Za duże, to skrócisz, za małe, to wymienisz. Co się tak gapisz – spierdalaj.

Szybko do następnego.

STOISKO III – kompleks alarmowy.

Jakieś chlebaczki, zapasowe gacie, koszulki itd. Po cholerę tego aż tyle.

STOISKO IV – galanteria skórzana.

A więc pasy i buty. Tutaj przynajmniej można sobie dobrać na miarę.

STOISKO V – obuwiu sportowe.

Tenisówki (j.w.)

STOISKO VI – berety.

Też na miarę.

A poza tym to właśnie tutaj jak najszybciej należało nauczyć się za-
wiązywać onuce. Coś nieprawdopodobnie trudnego. Potem wszystko
pod pachę i na kompanię.

Leżeliśmy już w łózkach próbując zasnąć, gdy — około wpół do jedenas-
tej — przyszło dwóch nowych. Spoglądali na nas mętnie, spode łba. Z za-
ciekawieniem przyglądaliśmy się ich przygotowaniom do snu. Panowało
pełne napięcia milczenie. W pewnym momencie jeden z nich zapytał:
A kiedy tu dają kolację?

Strasznie nas to rozśmieszyło. Śmieliśmy się długo i niepohamowanie.
W tym śmiechu było coś oczyszczającego. Teraz już wiedzieliśmy — jes-
teśmy w wojsku.

II

Drugiego dnia pobytu w jednostce wzbudziłem zainteresowanie sekcji
politycznej. Kazali mnie do siebie, do sztabu przyprowadzić.

Młody porucznik posadził mnie na przeciw siebie.

— Tak. Oglądałeś może telewizję w cywilu? Bo wiesz, ja tam prowadzi-
łem jeszcze niedawno program dla młodzieży...

Z przykrością poinformowałem go, że raczej nie zdarzało mi się oglą-
dać programów dla młodzieży. Ale specjalnie go to nie zniechęciło. Okaza-
ło się, że nie tylko po to mnie tutaj wezwano.

— Co wyście pokręcili wczoraj przy ewidencji z tą waszą karalnością?

Na wszelki wypadek rozejrzałem się wokoło. Ale byliśmy sami. Cóż,
trzeba się będzie przyzwyczaić do drugiej osoby liczby mnogiej.

Wyjaśniłem, że owszem, byłem karany, ale już nie jestem. Bowiem wy-
rok z zawieszeniem po zakończeniu zawieszenia ulega automatycznemu za-
tarcu. Przekonywałem mnie, że tak wcale nie jest. „Nie znacie prawa, ot co”.
Bardzo delikatnie suponowałem mu, że może być akurat odwrotnie.

Jakoś nie mogliśmy się dogadać.

No dobra — zniecierpliwiał się po chwili. — Zostawmy to narazie.
Mam nadzieję, że nie przysłiście tutaj po to, by odstąpić, ale po to, by
służyć. Bez względu na wasze (katolickie — prawda?) poglądy, powin-
niście być dumni, że możecie spełnić zaczytny obowiązek wobec oj-
czyzny. Jeżeli będziecie szczerze służyć, będzie dobrze. I, mam nadzie-
ję, nie będziecie próbowali za wszelką cenę stąd się wyrwać. Myśmny tu
nawet mieli jednego takiego, też katolik. Tak długo się wygłupiał, aż psy-
chiatrzy uznali go za szurniętego. I wyszedł, Ale co? — do dziś nie może
pracy znaleźć, a co już przeszło rok.

Porucznik poczęstował mnie jeszcze obietnicą, że jeśli podczas okresu
unitarnego będę się bardzo starał być dobrym żołnierzem, to będę mógł
pracować w ich sekcji jako „pisarz-maszynista”.

— Będiesz miał złote życie. Twoi kumple się upierdola, aż im się jaja
w pocie zagotują, a ty — jak pan.

Na pożegnanie chciał jeszcze sprawdzić, czy rzeczywiście tak biegle

piszę na maszynie. Dał mi papier i kazał napisać: „Jestem dumny i szczęśliwy, że odbywam zasadniczą służbę wojskową”. Po chwili poważnej rozterki napisałem: „Urodziłem się czwartego sierpnia pięćdziesiątego drugiego roku w Sopocie”.

Nie był ze mnie zadowolony.

Jak zawsze: najtrudniejsze są pierwsze dni.

Zostajesz wrzucony w jakąś zbiorowość i wydaje ci się, że świat, ten za murami, przestał nagle istnieć. Zanim otrzymasz pierwszy list – to jedyne potwierdzenie istnienia świata – mija tydzień do dwóch. Przez ten czas masz taką cholerną pewność, że wszyscy o tobie zapomnieli.

Przychodzą do głowy różne głupie pomysły. Na przykład: czy warto próbować ocalać siebie, swoją godność. Dla kogo, skoro i tak nikt nie uważał twojego zniknięcia z tamtego, dobrego świata.

Zaczynasz liczyć dni, które dzielą cię od powrotu.

Z początku jest ich około siedmiuset czterestu.

Przez pierwsze dni – może tydzień – mój mózg w ogóle nie pracował. Był wyłączony jak zbędne urządzenie. Nie myślałem, nie zastanawiałem się nad niczym. Kiedy pytano mnie o nazwisko, musiałem mieć trochę czasu na przypomnienie sobie. Nie tylko ja. Byliśmy wszyscy jak ściśle zaprogramowane automaty. Reagowaliśmy tylko na krzyk i tryb rozkazujący. Biegaliśmy, maszerowaliśmy, śpiewaliśmy, czołgaliśmy (się), myliśmy (się), spaliliśmy, jedliśmy, paliliśmy – wszystko tylko na rozkaz.

Własną inicjatywę przejawialiśmy tylko w sprawie potrzeb fizjologicznych. Zresztą ja dopiero po trzech dniach. Do tego bowiem czasu miałem wyłączony także żołądek.

A poza tym to deprymujące uczucie wstydu, gdy musisz przy wszystkich: – Obywatelu kapralu, szeregowy Jabłkowski melduje się z zapytaniem... Czy mogę iść do ubikacji?

A taki buc na to: Siusiu czy kupkę?

Początkowo jedną z najtrudniejszych rzeczy, obok skomplikowanego sposobu siania łóżek, było poranne mycie. Dokładnie dwie minuty na umycie – nóg, rąk włącznie z wyczyszczeniem paznokci (do sprawdzenia), twarzy, i jeszcze się ogolić.

Najgorsze było to ostatnie. W domu miałem maszynkę elektryczną, ale tutaj nie wolno. Tutaj wszyscy muszą mieć identyczne przybory, więc najprymitywniejsze maszynki żyletkowe marki JUNIOR po 45 złotych. Nigdy przedtem nie goliłem się żyletką. Po każdej próbie wyglądałem jak korporant po pojedynku.

Żołnierz przed przysięgą nie może opuszczać terenu jednostki. Nie może nawet bez opieki poruszać się poza budynkiem kampanii. Ale jednemu z nas poszczęściło się. Był w cywilu kelnerem i w związku z tym dane mu było przeżyć Przygodę. Urządzano dla rodzin kadry coś w rodzaju pikni-

ku nad jeziorem. Potrzebni byli kucharze i kelnerzy. Pojechał i on. Wrócił całkowicie załamany. Opowiadał:

Podsmażałem węgorza dla jakiegoś majora. I patrzyłem. Mówię wam, jakie dziewczyny. Jedzą, tańczą, pływają, opalają się. Dopiero jak tam byłem, uświadomiłem sobie, w co ja się dałem wpakować. Zrozumiałem, że życie przecieka mi między palcami. Że wszystko to, co jest udziałem tych dziewczyn, przemyka obok mnie. Że zostawiłem po tamtej stronie muru zbyt wiele. Chciało mi się płakać. Chłopaki, nie potrafię tego wszystkiego tak dobrze opowiedzieć, ale naprawdę miałem łzy w oczach. Nie wstydzę się tego. A poza tym, słuchajcie, one mówiły do mnie „proszę pana”. Słowo honoru. Nie istniałem dla nich jako facet, jako mężczyzna, ale mówiły „proszę pana”.

„Uprzejmie zawiadamiamy, że syn Wasz zameldował swoje przybycie do naszej jednostki w nakazanym terminie i przystąpił do odbywania zasadniczej służby wojskowej w szeregach Ludowego Wojska Polskiego.

Przekraczając bramę koszar syn Wasz wszedł w nowy okres swego młodzieńczego życia, który wywrze istotny wpływ na dalszy proces rozwoju jego osobowości. Służba wojskowa jest bowiem zaszczytnym patriotycznym obowiązkiem obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w toku której, spობiac się do obrony granic i niepodległego bytu Ojczyzny, młodzi obywatele zdobywają rozległą wiedzę i praktyczne umiejętności ofiarnej i rzetelnej służby dla dobra narodu, socjalizmu i pokoju.

Jednostka Wojskowa, w której synowi przypadło odbyć ten podstawowy obowiązek obywatelski, legitymuje się poważnymi osiągnięciami szkoleniowo-wychowawczymi. Kontynuując chlubne postępowe i rewolucyjne tradycje narodu polskiego i jego oręża, przysporzyła ona naszej ludowej Ojczyźnie liczne zastępy ofiarnych i doskonale wyszkolonych obrońców – gorących patriotów i internacjonalistów, służących z całego serca i wszystkich sił sprawie ludu pracującego.

Zdajemy sobie sprawę, że nieobecność syna w gronie rodzinnym wywołuje wśród najbliższych mu osób tęsknotę i troskę o jego los. Pragniemy przeto uspokoić Was, donosząc niniejszym, że syn Wasz godnie przyjęty został do wielkiej rodziny wojskowej, pozyskując nowych serdecznych przyjaciół oraz doświadczonych, troskliwych i sprawiedliwych przełożonych. Otrzymał należyte umundurowanie i oporządzenie osobiste, mieszka wygodnie i schludnie, otrzymuje wysoko kaloryczne pożywienie, ma solidną opiekę lekarską oraz dobre warunki wypoczynku, reakcji i kulturalnego rozwoju.

Obecnie syn przechodzi szkolenie unitarne, zapoznając się z podstawowymi powinnościami żołnierskimi i elementarnymi zasadami rzemiosła wojskowego. Jego dotychczasowe zachowanie i podejście do wykonywania obowiązków służbowych jest nienaganne. Specyfika współczesnej służby wojskowej oraz to, że Ludowe Wojsko Polskie jest armią na wskroś nowoczesną sprawia, że dalsze należyte wywiązywanie się z ciężących nań obowiązków wymagać będzie z jego strony dużej rzetelności, wysokiego

zdyscyplinowania i samozaparcia w pokonywaniu trudów żołnierskiej codzienności.

W imieniu dowództwa jednostki oraz bezpośrednich dowódców i wychowawców zapewniamy Was, że uczynimy wszystko, aby syn z honorem mógł wypełnić swój zaszczytny i odpowiedzialny obowiązek obywatelski. Prosimy jednak o pomoc z Waszej strony w postaci ciepłych, patriotycznych słów rodzicielskiej zachęty w korespondencji do syna, co z pewnością pomoże mu w pełnej adaptacji do warunków życia wojskowego oraz w osiągnięciu wzorowych wyników w szkoleniu i wychowaniu.

Z ŻOŁNIERSKIM POZDROWIENIEM*

Przez pewien czas miałem wrażenie pełnego roztopienia się w zbiorowości. Przekonanie o uniformizacji nie tylko zewnętrznej było we mnie stosunkowo silne i sprawiało mi swego rodzaju radość. W warunkach pełnej anonimowości wydawało mi się to bardzo korzystne. Temu przeświadczeniu zdawało się wszystko sprzyjać. Nie byłem sam – byłem taki sam. Tak samo jak moi koledzy odczuwałem zmęczenie, zimno, tęsknotę za domem i nienawiść do kaprali. Ale stosunkowo szybko zostałem wyrwany z samozadowalającego uczucia tożsamości. I – przynajmniej z początku – w nowej roli, w roli innego, nie czułem się najlepiej.

Pierwszy sygnał odmienności odebrałem na zajęciach politycznych. Prowadzący opowiadał nam o historii hymnu narodowego. W części dyskusyjnej zajęć o głos poprosił Adaś.

– Obywatelu poruczniku, jak ja słyszę nasz hymn, jak grają „Jeszcze Polska nie zginęła”, to mnie coś tu, o tu mnie, mnie...

I szarpie się za bluzę na piersiach.

Pomyślałem wtedy: dobry dowcip, tylko gorzej, jak się porucznik orientuje, że z niego Adaś balona robi. Po chwili jednak ze zdumieniem zorientowałem się, że chłopak mówi serio. Że oto wylewa przed nami całe swoje jestestwo. Był to dla mnie swego rodzaju szok.

Potem dowody tej niewygodnej inności posypały się już lawinowo. Byłem chyba jedynym żołnierzem LWP, który za nic nie chciał zafundować sobie pamiątki z wojska w postaci fotografii w mundurze. Wszyscy chcieli mieć takie zdjęcie, tylko ja jakoś nie. Ale mam. Do jednego zostałem formalnie zmuszony przez dowódcę plutonu.

Później, kiedy już nas puszczano do domów, różniliśmy się stosunkiem do munduru. Oni przyjeżdżając do domów zabierali się od razu do prasowania i oczyszczenia munduru i potem robili w nim obchód rodziny i znajomych. Ja inaczej. Z dworca na te swoje Stegny niemal przemykałem się podwórkami, byle tylko nikt ze znajomych nie zauważył. W domu ciskałem mundur w ką i aż do wyjazdu starałem się nawet na niego nie patrzeć. Wstydziłem się go. Wstydziłem się swego pobytu w wojsku. Ten wstyd pozostał mi do dzisiaj.

Także chusty. Kiedy wychodzi się z wojska, robi się na tę okazję chusty z kawałków prześcieradła. Taki zwyczaj. Po brzegach chustę obszywa się frędzlami. Na środku się maluje. Najlepsze elementy do wy-

malowania, elementy nieodzowne to: czołg, orzeł, goła dupa, statua wolności z tego amerykańskiego miasta oraz napis „freedom”, albo „fre”. W wolnych miejscach koledzy z poboru wpisują swoje adresy.

Wszyscy dziwili się, dlaczego nie mam chusty.

Uciekają. Wszyscy możliwymi sposobami starają się stąd wydostać. Od prymitywnych, obliczonych na krótką metę prób przeskoczenia przez mur, po sposoby bardziej wyrafinowane. Najczęściej przez zakład psychiatryczny.

ZBYSZEK - Wzorowy dowódca drużyny. Rok służby. Raptem znika. Po dwóch dniach sam wraca do koszar. Tego samego dnia wieczorem truje się jakimś tabletkami. Po odratowaniu idzie na miesięczną obserwację do zakładu. Jednakże wraca z orzeczeniem, że zdrowy i zdolny do dalszego pełnienia służby. Stara się więc o przeniesienie do innej jednostki, co przez kadrę zostaje przyjęte z ulgą. Tam pokazuje kilka podobnych numerów i nareszcie zostaje zwolniony. Na cztery miesiące przed terminem.

ANDRZEJ - Trzeci dzień w wojsku. Nie wytrzymuje ciągłego krzyku i gania. Rzuca się na dowódcę drużyny z nożem od niezbędnika. Miesięczna obserwacja i niezdolny do dalszej służby.

MAREK - Pół roku służby. Z jakichś powodów nie chcą go puścić do domu na przepustkę. W nocy, w świetlicy demonstracyjnie tnie się żyłką, a raczej - jak sam mówił - mojką. Tnie się po przegubach, piersiach, brzuchu i policzkach. Stacząmy z nim szaloną walkę o żyłkę, bo ma ochotę pokieraszować także i innych. Miesięczna obserwacja i do domu.

JAN - Uparta, chłopska walka przez całe dwa lata. Obrzucenie kadry kompanii taboretami. Pogoń za oficerem dyżurnym z siekierą w dłoniach. Ale zyskał tylko tyle, że jako jedyny żołnierz pułku nie brał udziału w zajęciach strzeleckich i nie pełnił warty. Nikt z kadry nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za wydanie mu broni czy amunicji. Ale trzymali go, nie wiadomo po co, przez cały okres służby.

ANDRZEJ II - Podciął sobie żyły na tydzień przed przysięgą. Przedtem pisał jakieś podania o zamienienie mu służby wojskowej na pięć lat więzienia. Był to typowy „git”, który był pewien, że więzienie, oprócz tego, że go nobilituje, będzie łatwiejsze. Zwolniony tylko na pół roku. Potem dalej.

RYSZARD - Przez cały rok nocne moczenie, którego w rzeczywistości nie miał. W końcu udało mu się, dostał roczne odroczenie. Ten chłopak wzbudził we mnie coś w rodzaju szczerego podziwu. Cały rok wysiłał się, aby systematycznie lać w nocy pod siebie. Wyśmiewany i bity przez kolegów, nie poddał się.

Przysięga wojskowa jest chyba najdziwniejszym ze świąt świeckich. Może to wina niecodziennych warunków, w jakich się odbywa, w każdym razie czasami wydaje mi się, że przypomina ona wszystkie sakramenty na raz. Tak jakby z każdego z nich miała po trochu.

Na wiele dni przed samą przysięgą w oddalonych czasem o setki kilo-

metrów domach trwa podniecenie. Częściej odwiedzane są sklepy. Trzeba synusiowi kupić przynajmniej trochę wędliny. Tak ich tam źle karmią, pisał przecież. I owoc, bo to zawsze witaminy, na pewno nie dają im tam owoców. Aha, i alkohol, niech se chłopak łyknie przy swoim święcie.

Rodzice, dziewczyny, koledzy. Wszyscy chcieliby jechać. Bo trzeba: tyle się go już nie widzało, a poza tym podnieść na duchu. Bo wypada: do każdego przecież ktoś przyjeżdża, a do naszego nikt? Albo po prostu dlatego, że nadarza się jeszcze jedna polska okazja do wypicia.

A potem w pociągach, gromadnie, z tobozami wypchanymi mięsem, wędliną, ciastem, słodyczami i wódką. Jedyne polskie święto, które zawsze spędza się poza domem. Od wczesnego rana przed bramą jednostki. Żołnierze z biura przepustek początkowo rewidują wszystkie bagaże w poszukiwaniu alkoholu. Potem już tylko wyrывkowo, zbyt duży tłok jak na ich możliwości. Przeciętnie na jednej przysiędce konfiskuje się (czy raczej – bierze na przechowanie) grubo ponad sto litrów alkoholu. A i tak wiadomo, że conajmniej drugie tyle udało się odwiedzającym przeschmuglować na teren jednostki.

Potem to niecierpliwe czekanie. Jeszcze tyle godzin. Sama uroczystość zacznie się dopiero około godziny dziesiątej. A i potrwa swoje. Więc kiedy się nim nacieszyć?

I już: maszerują! Czasami wręcz trudno poznać tego, do którego się przyjechało. Taki jakiś obcy. Bez brody, bez włosów i bez tej dzinsowej kurtki. Ale w sumie, popatrz matka, całkiem mu do twarzy w mundurze. No, elegancko. I na twarzy się trochę poprawił.

A w jednostce, wśród nas, już na tydzień przed, nerwowa atmosfera. Dzień w dzień wielogodzinne próby defilady i samej uroczystości. Aż do znudzenia, do upadłego.

W przeddzień zebranie w świetlicy. Ostrzeżenia kadry. – Obywatele, już niedługo wasze wielkie święto. Przysięga, po której staniecie się żołnierzami w pełnym tego słowa znaczeniu. Zwiększy się wasz zakres obowiązków, ale i zwiększą się uprawnienia. Na przykład będziecie mogli już jeździć na przepustki i urlopy, a wiem, że o to chodzi wam najbardziej. Tylko ostrzegam: żeby mi tu nie było żadnego picia na przysiędze. Jeżeli stwierdzę, że ktoś z was sobie chociaż trochę wypił ma z głowy przepustki na co najmniej pół roku. I te pół roku to nie będzie okres najmilej w życiu wspomniany. Myślę, obywatele, że doskonale się wszyscy rozumiemy i nie będzie żadnych nieprzyjemnych wypadków.

A po południu, gdy kadra spokojnie siedzi w domach przed telewizorami, taką samą pogadankę urządzają dla nas dowódcy drużyn.

– Młodzież słyszała, że ma nie pić, nie? Słuchajcie, obywatele, powoli przestajecie być jebanymi sierściuchami. Ale nie myślcie sobie za wiele. Jak mi ktoś podskoczy, to i tak go zajebię, choćby miał i tysiąc przysięg. Zrozumiano? I pamiętajcie: żadnego picia. Jak wam przywiozła wódkę, to najpierw swojego kaprala poprosić, żeby z wami wypił. Jasne? No! A wy, żołnierzu, podobno macie siostrę. Fajna chociaż? Fajna, to da dupy kapralowi, nie? Niechby spóbowwała nie dać, to będziesz miał kocie przesrane do końca mojej faki.

A ja znów obserwuję tę denerwującą inność, która oddala mnie od moich kolegów coraz bardziej. Przysłuchuję się ich rozmowom w nocy, podczas prasowania mundurów. Jesteśmy sami, w swoim gronie, kaprale już śpią. Chłopcy się naprawdę cieszą, że staną się nareszcie prawdziwymi żołnierzami, że w zasadniczy sposób zmieni się, poprawi ich sytuacja. Ale ja wiem, że zmieni się tylko o tyle, że będziemy mogli z rzadka jeździć do domu. A to przecież jest niewiele, nie zmienia to istoty zupełnie więziennego odosobnienia.

— Chłopaki, trzeba się postarać, żeby nasza kompania wypadła najlepiej ze wszystkich na przysiędze, nie?

Nie! Denerwuje mnie to wszystko. A najbardziej przeraża perspektywa mojego udziału w przysiędze. Już teraz czuję się tym upokorzony. Nie dość, że będę musiał pokazywać się najbliższym w mundurze, to jeszcze ta defilada. Jak kukła. Jak na próbach, kiedy krok defiladowy kazał nam kapral ćwiczyć w takt wierszyka. Więc maszerujemy w tę i z powrotem w dwudziestu kilku i jak idioci skandujemy:

Rączka
sprzączka
nóżka wyżej
do przysięgi
coraz bliżej

A jeszcze mam takie może trochę niedorzeczne, swoje problemy, którymi nawet podzielić się nie ma z kim. Dowiedziałem się od kilku bardziej ustosunkowanych w sztabie żołnierzy, że jest niedobra atmosfera. Nie będzie przepustek nawet na miasto. W tym pułku po raz pierwszy od paru lat.

— Rozumiesz, stary, podobno w Radomiu i jeszcze gdzieś są jakieś awantury. To przez te podwyżki. A jesteśmy obok dużego miasta przemysłowego. I w razie czego musimy być w pogotowiu.

I właśnie w związku z tym mam te swoje kłopoty. Zbyt dobrze pamiętam wypadki grudniowe, aby się nie obawiać. Co prawda, widziałem je tylko z okna, ale było to okno w Gdańsku, a nie w Honolulu. Zaczynam obsesyjnie myśleć, co się stanie ze mną, gdy wyślą nas pacyfikować jakieś miasto. Nie wiedziałem, jaki zasięg ma to wszystko w Radomiu. Ale wiedziałem, że gdyby zaszła potrzeba, wystaliby wojsko. Więc jak postąpić, co zrobić...

W przeddzień przysięgi przepisywałem coś na maszynie w sztabie. Bardzo się z tej pracy cieszyłem, bo w tym samym czasie moi koledzy mieli wyczerpujące przygotowania do defilady. Niechcący stałem się świadkiem rozmowy, która podtrzymała, wzmocniła mój niepokój. Był to telefon z dywizji. Przekazano wyraźne polecenie, aby aż do odwołania nie dostarczać żołnierzom prasy centralnej. Było to co najmniej zaskakujące, zwłaszcza, że dzień przedtem Premier odwołał podwyżki. Czyżby upadł gabinet?

Stoimy w kolumnach czwórkowych na nasłonecznionym placu. Wznosimy palce. Jak w dzieciństwie nie otwieram ust, gdy żołnierze powtarzają

słowa przysięgi. Czy chciałem mieć to dziecinne usprawiedliwienie: ja przecież nie przysięgałem... Tępo wpatruję się w trybunę honorową. Dowództwo jednostki, ojcowie miasta, kilku wiarusów ze ZBoWiD-u i przedstawiciele zaprzyjaźnionej ze mną armii radzieckiej. Ale tępy wyraz twarzy to tylko pozór. Bo oto w głowie rodzi się pomysł skontaktowania się z prawnikiem. A potem, jeśli moje domysł są słuszne, napisać artykuł „Ważność przysięgi wojskowej w świetle prawa polskiego”. I – oczywiście – udowodnić, że jest nieważna. Bo przecież musi być w ustawodawstwie polskim przepis unieważniający przysięgi i przyrzeczenia składane pod przymusem. A jeśli ma się do wyboru służbę wojskową, co w konsekwencji doprowadza do przysięgi, lub „do pięciu lat więzienia”, to trudno nie mówić o jakiejś formie przymusu.

Ta myśl pokrzepia mnie.

Na trybunę wchodzi jeden z nas. Wyciąga kartkę i czyta:

„Obywatelu Pułkowniku!

Obywatelu Majorze!

Szanowni Goście!

Drodzy Rodzice!

Żołnierze!

Przed chwilą złożyliśmy akt ślubowania Ojczyźnie – Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Jest to dla nas wszystkich wielkie przeżycie i wzruszenie. Mądre i wiele znaczące słowa przysięgi wojskowej zapadły mocno w nasze żołnierskie serca, traktujemy je jako osobiste zobowiązanie wobec narodu i partii.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że przysięga wojskowa jest wyrażeniem celów i zadań postawionych nam przez naród.

Przecież to przysięga na całe życie, przysięga Polsce, której synami jesteśmy, której praw i honoru będziemy zawsze bronić jako obywatele i jako żołnierze Ludowego Wojska Polskiego, spadkobiercy jego wspaniałych tradycji bojowych.

Pragnę podziękować wszystkim przełożonym za ukształtowanie z nas, którzy jeszcze dwa miesiące temu nie mieliśmy pojęcia o wojsku, dobrych żołnierzy.

Zapewniam, że nie zawiedziemy naszych przełożonych, że nie zawiedziemy naszych rodziców, którzy – wiemy o tym – pragną w nas widzieć swoją chlubę, że będziemy wzorowymi żołnierzami.

W imieniu wszystkich żołnierzy dziękuję serdecznie naszym droгим rodzicom za ofiarność w naszym wychowaniu i za przybycie na uroczystość.”

Na drugi dzień przyłapałem go.

– Słuchaj, stary, że byłeś współautorem tego idiotyzmu, to jeszcze pół biedy. Ale co się stało, że zgodziłeś się wygłosić to?

Zdziwił się: Przecież dostałem za to pięć dni urlopu.

Ale tu, na placu, znowu ogarnia mnie panika. Czekają mnie przecież jeszcze te odwiedziny z domu. I rzeczywiście. Tak długo brak osobistego kontaktu, tak mało czasu teraz. Duszna, niewietrzona sala pełna potu i kurzu. Z obu stron dyskretne spojrzenia rzucane wprost w oczy zegarków.

I przepaszające gesty. I zapewnienia: jakoś to przecież będzie, kiedyś się musi skończyć. A czas płynie.

Dochodzi to tego, że wracam do koszar z pewną ulgą. Ponieważ kończy się sztywna atmosfera. Wracam do miejsca, które znam, nie czuję w nim skrępowania. Chociaż nie ma też przyzwyczajenia.

Większość wraca pijana. Częstują dowódców drużyn. A raczej dają im haracz. Dowódcy drużyn bowiem nie pytają czy mogą. Chodzą między nimi dosłownie wydzierając co smakowitsze kąski.

A więc kończy się pewien etap. Od następnego dnia, od samej pobudki, będzie się tym, kogo nazywają świadomym żołnierzem. Jak się czujesz, świadomy żołnierzu? Ale właśnie fakt, że się wie o zakończeniu tego pierwszego, podstawowego etapu służby, z przerażającą jasnością pozwala sobie wyobrazić, jak długo jeszcze trzeba będzie tu siedzieć. To przecież zaledwie dwa miesiące. Liczba dni, które jeszcze przed nami, w dalszym ciągu niewyobrażalna.

III

KRÓTKI SŁOWNIK OPISOWY GWARY WOJSKOWEJ (PRÓBA)

Słownik ten nie ma ambicji wyczerpania problemu. Każda jednostka wnosi do gwary swoiste, niepowtarzalne elementy. Służyłem tylko w trzech pułkach, w związku z tym moja znajomość gwar jest raczej średnia. ANCEL – Areszt wojskowy.

BLACHA – Blaszana końcówka falomierza. Każdy rezerwista ma prawo nosić ją na pasku od zegarka. Bywa jednak i tak, że młody żołnierz jadąc na przepustkę zakłada blachę. To niedopuszczalne.

BIAŁE SZALEŃSTWO – Biały ser ze śmietaną. Bardzo często zamiast posiłku na kolację.

FALA – Tym mianem określa się ilość dni, jaka została do cywila. Np 214 dni do cywila nazywa się „Fala 214”, a zapisuje się (na murze) „F-214”.

Ale biada temu, kto pochwalił się taką falą. Falą miał prawo chwalić się tylko falowiec. Falę liczy się od tyłu. Na początku jest 714, a na końcu 0.

FALA SIĘ JEBŁA – Dostało się parę dni ancla, który automatycznie o tę samą liczbę dni przedłuża służbę. Trzeba te dni doliczyć do swojej fali.

FALOWIEC – Żołnierz posiadający falę. Falę posiada się wtedy, gdy wyszli już wszyscy, którzy mieli wyjść przed tobą i jesteś pierwszym kandydatem do wyjścia. Tylko falowcowi przysługuje prawo meldowania fali na stołowiec. Zgodnie z niepisanymi prawami, falowiec nic nie robi, wystugując się we wszystkim młodymi. Czasami kadra przestrzega tych zwyczajów, a czasami nie.

FALOWAĆ – Dawać wszystkim do zrozumienia, że jest się falowcem. Do najważniejszych atrybutów falowania należą między innymi: luzny garnitur, czapka na bakier, dłuższe włosy, wylegiwanie się w łóżku w czasie nie dozwolonym, trzymanie rąk w kieszeniach, samowolne bezrobocie, nie-

gancki stosunek do młodych, meldowanie fali, chodzenie w dzień w tenisówkach, dobre współzycie z kadrą, wystugiwanie się kociarstwem (np. czyszczenie butów, przynoszenie kolacji itp.).

FALOMIERZ – Odpowiednio spreparowany centymetr krawiecki. Prawie dzieło sztuki. Każda cyfra oznacza jeden dzień i jest lekko nacięta, aby łatwiej było ją oderwać podczas meldowania. Wiele dni Wicki pieśczą swoje falomierze w ukłyciu przed prawdziwymi falowcami. Kolorują, ozdabiają... Na odwrotnej (czystej) stronie maluje się gołe dupy i pokrzepiające wierszyki w rodzaju:

gdy rezerwa głośno chrapie
to kociarstwo kible drapie.

Falomierz nosi się w tzw. kondonierce. Instrukcja użycia falomierza zawarta jest w haśle „meldować falę”. Ponadto falomierzem można dowoli bić kociarstwo w myśl wymalowanej na odwrocie zasady:

jeśli przyjdzie ci ochota
weź falomierz uderz kota.

W niektórych jednostkach *oprócz* falomierza właściwego stosuje się także dodatkowe.

– Kupon Toto-Lotka. W tym wypadku skreśla się nie od 150, a od 49, i oczywiście zupełnie inaczej wygląda meldowanie.

– Błaznane kalendarzyki przypinane do paska od zegarka. W tym wypadku liczy się od 31 i wydrapuje żyłtką poszczególne, zdezaktualizowane liczby.

GRANAT – Nieregularaminowa komenda. Równoznaczna z „padnij”.

ILE CI ZOSTAŁO – Jedno z najczęściej stawianych wśród żołnierzy pytań. Czasami pytanie ma wydźwięk ironiczny, gdy falowiec zwraca się z nim do kota. Biada kotu, który odważy się odpowiedzieć.

JAKA FALA – Jak wyżej.

JOLI MELDOWAĆ – Odsyłacz. Przykładowy zresztą. Każą ci wykonać jakąś pracę, a ty masz falę i ci nie wypada. Mówisz wtedy: „Joli możesz to zameldować”, lub w formie skrótowej: „Joli”. Ale jest to tylko odsyłacz przykładowy. „Jola” jest w nim wymienna. Rzeczownik ten może być zastąpiony każdym innym w zależności od osobistej inwencji odsyłającego. Im bardziej jest to rzeczownik zaskakujący, tym większe wrażenie. Do najczęściej stosowanych należą: krokodylowi, babci, klempie, Zuzi, łososiowi, koniowi, Krupskiej, piździe, to już wiesz komu, końskiej kenedyckie itd.

KOMARUNEK – Drzemka w czasie niedozwolonym.

KOCÓWA – Nocny, anonimowy samosąd. Najczęściej sugerowany przez kadrę. Jeśli kadra nie daje sobie rady z żołnierzem, zaczyna stosować odpowiedzialność zbiorową z całym pododdziałem. Po pewnym czasie: Sami widzicie, obywatele, że wszyscy macie przejebane przez tego jednego chuja. Dajcie mu sami wycisk do wiwatu, to może się zmienić, może zrozumie. Jest to tzw. wychowanie przez kolektyw.

KALORYFER – Plutonowy (ze względu na dużą ilość belek).

KOT – Każdy żołnierz nie będący falowcem.

KAPRAL PODPORUCZNIK – Podpułkownik.

LASTRYKO – Plaster białego salcesonu.

LEWIZNA – Nielegalne przebywanie poza terenem jednostki.

MELDOWAĆ FAŁĘ – Fałę melduje się po zakończeniu obiadu w myśl zasady:

obiad zjedzony

dzień zaliczony

Kończąc obiad fałowiec oddziera aktualny odcinek fali od falomierza i wrzucając do resztek na talerz, krzyczy kolejną liczbę. Wywołuje to nieprawdopodobną zazdrość kociarstwa i przeważnie jest zwalczane przez kadre za pomocą sankcji. Jeśli swoją fałę próbuje meldować jakiś siersciuch, jest odpowiednio doceniany przez fałowca i nikogo to nie dziwi, nawet rzeczonego kota. W wypadku posiadania dodatkowego falomierza w postaci kuponu Toto-Lotka, zamiast cyfry melduje się odpowiadającą jej dyscyplinę sportową. I tak, zamiast np. 49, krzyczy się „ZUŻEL!!”

MŁODY – Patrz Kot.

NUREK – Szef kompanii. Od nurkowania pod łózkami w poszukiwaniu kurzu.

OLAĆ – Np. „Olać go”, czyli mieć go w dupie.

OKRESÓWA – Barszcz czerwony.

PASOWANIE – Po przysiedze na żołnierzy, przed odejściem na fałowców itd. Oczywiście pasami. I to bardzo mocno.

PRZYCINKA – Inna nazwa Pasowania, bowiem pasownie polega na przycinaniu kity (ogona).

PIĘCIOBÓJ – Żołnierz służby pięcioletniej, ochotnik. Ostatnio służba ta została zlikwidowana. Z pięciobojami bowiem zbyt dużo kłopotów, a za mało pożytku.

ROZJECHANY KAPITAN – Plutonowy; kapitan, któremu gwiazdki rozjechał walec drogowy.

SIERŚĆ – patrz Kot.

SIERŚCIUCH – jak wyżej, tyle że najczęściej w towarzystwie przymiotników w rodzaju jebany, zapchlony, niemity...

SKRĘCIĆ MURZYŃKA – delikatniej: wydalić kał.

TROTYL – ser żółty.

UCHO CZOMBEGO – Salceson czarny.

WYGONIĆ KRETA – patrz „Skręcić murzyńka”.

WICEK – Wicerezerwista. Klasa nie istniejąca wg. Fałowców.

WYŚCIG POKOJU – Kara ZOK-u (Zakaz Opuszczania Koszar). Polega ona na tym, że trzeba się kilka razy dziennie meldować u oficera dyżurnego w pełnym oporządzeniu. W bardzo różnych celach, to trochę jak loteria. Czasami po nic. Czasami oficer sprawdza, czy czego nie brakuje w plecaku. Czasem zalicza się odpowiednią ilość rundek wokół jednostki (w pełnym obciążeniu: plecak, maska, hełm), a pomocnik oficera jedzie z tytu na rowerku i poganja. Często ZOK-owiczów wysyła się do prac nadprogramowych, jak np. rozładowywanie wagonów. Właściwie wszystko zależy do tego, jaki oficer ma akurat służbę. Bo

bywają różni oficerowie. Na przykład dowcipni. Miałem akurat służbę w kuchni, gdy na ZOK-owiczach wyzywał się taki dowcipniś. Stawiał im pytania i jeśli nie znali odpowiedzi, musieli w ciągu pięciu minut znaleźć kogoś, kto mógłby im odpowiedzieć. Pytania były przeróżne:

– Jak miał na imię Zagłoba?

– Tytuły pięciu polskich miesięczników?

– Kto to naprawdę jest Joe Alex?

Siedziałem na krzeselku przed stołówką i udzielałem odpowiedzi spocynym chłopcom.

Bywają też oficerowie pieprznięci. Jeden taki ogłaszał alarm ZOK-u zaraz po capstrzyku. Zbierał wszystkich w Klubie Żołnierskim i przez godzinę czytał coś z Marksa. W ramach resocjalizacji zapewne.

ZLEW – Żołnierz zawodowy.

ZLEWISKO – jak wyżej. Najczęściej z przymiotnikami w rodzaju: jebane.

ZIOM – Kolega z tych samych stron.

ZLEWOWSKI URLOP – Dziesięciodniowy urlop przysługujący żołnierzowi, który deklaruje chęć podpisania „na zlewa”. Przeważnie po wykorzystaniu tego urlopu chłopcy wycofują się z poprzedniej deklaracji. Niemniej muszą odstąpić ten urlop – czyli siedzieć dziesięć dni dłużej. Nie opłaca się.

IV

Pierwsza przepustka na miasto garnizonowe. Po dwóch miesiącach prawie absolutnej izolacji.

Jakież to krzepiące! Ta błoga świadomość, że jeszcze nie cały świat maszeruje. Istnieje coś takiego jak spacerowy krok.

Że dziewczyny są takie jakie są, a nie takie, jak w opowieściach żołnierskich przy skrobaniu ziemniaków.

Że nie wszystkich jeszcze podstrzyżono.

Małnan pisał do Pisarza, który „ma chody”. Zrzucił mu, że ten nic nie robi w celu wyciągnięcia mnie z wojska. A powinien, od czego niby ma tę funkcję.

Pisarz odpisał: „Mogę obiecać, że poczynię starania na tyle, na ile to będzie możliwe. Muszę jednak dodać, że czynić to będę *wbrew* własnym przekonaniom, nie uważam bowiem, aby służba wojskowa, tak często lekceważona przez młodych, była czymś uciążliwym czy ubliżającym”.

To cudowne! – dla mnie akurat była jednym i drugim. Ale tego mu nie napisałem. Opisałem mu jeden dzień z życia przeciętnego żołnierza. Tylko tyle.

Odpisał, że:

– nie wiedział

– nie myślał

– nie wyobrażał sobie.

A od czego się – pytam – jest pisarzem? Chyba od tego, żeby wiedzieć, myśleć i wyobrażać sobie.

Szkolenie polityczne jest najważniejszym przedmiotem szkoleniowym

w wojsku. To jedyne zajęcia, z których prawie nikomu nie udaje się zwolnić.

Program tych zajęć nie należy do najatrakcyjniejszych. Ale nie chodzi przecież o pogoń za atrakcją. Właściwie można wyróżnić trzy podstawowe zagadnienia, które przez całe dwa lata przeplatają się ze sobą w najprzeróżniejszych wariantach:

- Prą do wojny źli Niemcy z RFN.
- Miesza się w nieswoje sprawy zły Kościół.
- My i Rosjanie jesteśmy cacy (cały nasz wielki obóz z małymi wyjątkami Chin i Albanii).

Tematy te przeplatane są informacją, czy raczej komentarzem dotyczącym wydarzeń politycznych oraz nieustającym zapewnieniem, że kapitalizm chyli się ku upadkowi.

Po serii wykładów zaświatał mi w głowie pomysł groteski. Zresztą nie takiej znów groteskowej i oderwanej, jak to się z początku wydawać może.

Próbuję pisać:

„Kapitan rzeško przechadzał się między stolikami. Zacierał raz po raz ręce, jakby mu zimno było.

– Dobrze, obywatele – rozpoczął nagle. – Dziś pomówimy o konieczności przestrzegania tajemnicy wojskowej i państwowej oraz o potrzebie czujności.

Proszę tak właśnie zanotować temat.

Zapewne doskonale orientujecie się, dlaczego w zasadzie wszystko w wojsku otoczone jest ścisłą tajemnicą wojskową. Otóż są jeszcze ludzie, którzy myślą tylko o tym, aby nacisnąć spust karabinu wymierzonego w naszą pierś. Chcą oni, że tak się wyrażę, zniszczyć nasz naród, obalić ustrój itede.

Nie będę nawet konkretyzował, o jakich to ludziach mówię, gdyż wszyscy doskonale wiemy, że chodzi o rząd i mieszkańców Republiki Federalnej Niemiec.

Wiecie dobrze, obywatele, że najskuteczniej można przeprowadzić atak mając wszelkie możliwe dane o sile zbrojnej przeciwnika. I tym właśnie tłumaczy się potrzeba zachowania tajemnicy wojskowej oraz stałej czujności wobec agentów wywiadu zachodnoniemieckiego. Dla nikogo na świecie, a szczególnie dla nas, nie jest tajemnicą, że Niemcy mają doskonale rozbudowany aparat szpiegowski, w znacznej mierze oparty na dawnych siatkach wywiadowczych Gestapo, Abwehry czy SS. Agenci niemieccy, dzięki pomysłowości i finansom swoich amerykańskich chlebobawców, są nieprawdopodobnie trudni do wychwycenia. A to z kolei wymaga naszej podwójnej czujności.

Posłużę się może przykładem dla lepszego zilustrowania tego wszystkiego, co tu wam powiedziałem. A nawet paroma przykładami.

My w Polsce doskonale wiemy, że każdy egzemplarz Mercedesa, Volkswagena czy Opla ma fabrycznie wbudowany mały zestaw wywiadowczy który składa się z mikrokamer i mikronadajników. Dobrze, obywatele, my o tym wiemy, ale przeciętny obywatel Niemiec Zachodnich nie ma o tym pojęcia. I na tym polega kłopot. Co roku przyjeżdża do naszego kraju bar-

dzo wielu turystów zachodnioniemieckich takimi właśnie samochodami. Absurdem byłoby przypuszczać, że każdy z nich jest szpiegiem czy dywersantem. A przecież w każdym ich samochodzie znajduje się sprzęt szpiegowski. Sami teraz widzicie, jak trudno naszemu kontrwywiadowi wyłuskać szpiega z tego morza prawie niewinnych ludzi.

Inny przykład. Parę lat temu nieopodal naszych koszar mieszkał pewien emeryt. Przez około pół roku, wcześniej rano, wyprowadzał na spacer olbrzymiego wilczura. Emeryt był niezwykle sympatyczny i zawsze podczas swoich porannych spacerów znalazł chwilę czasu, aby zamienić parę słów z wartownikami na biurze przepustek. Po pewnym czasie żołnierze przyzwyczaili się do niego i jego spokojnego psa. Jednakże pewnego ranka pies przyszedł sam i przedostał się na teren jednostki. Biegał po budynkach koszarowych, po Parku Wozów Bojowych i łąsił się do żołnierzy. Nikt na niego nie zwracał specjalnej uwagi. Ale zainteresował się tym przypadkiem nasz ówczesny oficer kontrwywiadu. Coś mu w tym wszystkim, jak to się mówi, nie grało. Kazał żołnierzom złapać psa i przyprowadzić do siebie. Nie będę wchodził w szczegóły, których zresztą nie znam, tylko powiem, obywatele, co się w końcu okazało. Otóż pies ten jedno oko miał prawdziwe, a drugie sztuczne. I w tym sztucznym oku zamontowana była mikroskopijna kamera filmowa.

Widzicie, jak daleko posunięta jest pomysłowość i perfidia naszego wroga. Mam nadzieję, że nikt z was nie będzie, obywatele, wątpił w konieczność zachowania czujności”.

Ale czy potrzebna groteska?

Pewien porucznik opowiadał nam o Kościele. Bo Kościół jest zły i trzeba nam o tym zaraz opowiedzieć. Żebyśmy wiedzieli, pamiętali i strzegli się na przyszłość.

Jeden nasz kardynał (tu błąd: nie zanotowałem nazwiska, które padło) to ma dobra ziemskie w Turcji. Jakiś pałac. A więc po co tak wtrąca się w nasze polskie sprawy.

A każdy ksiądz to ma swoją babę, którą wali. Absolutnie każdy. To przecież normalne, każdy od czasu do czasu musi, nie? Tylko dlaczego tak się wypierają?

A poza tym Kościół jako taki jest już niegroźny. Stał się przeżytkiem, a wierni wymierają. Jak w rezerwacie. Wystarczy wejść do pierwszego lepszego kościoła. I co widzimy? Widzimy, obywatele, tylko jakieś stare babacie które boją się śmierci i dlatego tu przychodzą. Młodzież do kościoła nie chodzi wcale. Naprawdę. Młodzież jak gdzieś chodzi, to tylko do dyskoteki. I to jest objaw ze wszech miar pozytywny.

I w tym momencie nie wytrzymałem. Coś mnie kopnęło najwyraźniej. Wstałem i przepisowo poprosiłem o głos.

Obywatelu poruczniku, chciałbym obywatelowi porucznikowi podziękować. Naprawdę. Bo, okazuje się, jeszcze w cywilu, to ja miałem, okazuje się, różne tam omamy wzrokowe. Jeszcze w Warszawie chodziłem często do takiego lokalu na Freta. I tam było zawsze kupę młodzieży.

Mnie się wtedy wydawało, że to było Duszpasterstwo Akademickie prowadzone przez Dominikanów. Teraz wiem, że to była po prostu dyskoteka.

Kiedy zorientował się w moich intencjach, obiecał, że zostanie ukarany. Ale jakoś mi się udało.

Jest informacja polityczna. Taki przegląd bieżących wydarzeń z komentarzem. A może raczej przegląd bieżących komentarzy. Gdzieś styczeń 1977. Prowadzący opowiada o Arabach czy o Murzynach. W każdym razie o jakichś facetach, których biją. Nie pamiętam. W pewnym momencie o głos prosi Józiu, taki prosty chłopak z lubelskiej wsi.

– Obywatelu kapitanie, ja chciałem zapytać o jedną sprawę. Właściwie to chciałem sam dojść do tego, ale ani w gazetach, ani w Dzienniku Telewizyjnym nic na ten temat nie było. Więc może obywatel kapitan nam powie – co to jest Komitet Obrony Robotników i dlaczego w Dzienniku nic o tym nie ma?

Zmartwiałem. Może nie tak bardzo jak prowadzący zajęcia, ale jednak. Kapitan przełknął głośno ślinę i zapytał:

– No dobrze. Ja się nie będę uchylał od tego trudnego pytania. Ale chciałbym, żebyś mi powiedział, skąd ty wiesz o istnieniu tej organizacji?

Józiu na to ze szczerym uśmiechem:

– Z Wolnej Europy, a co, nie wolno słuchać?

– Nie, nie, oczywiście, że wolno. Tego nikt nie może zabronić. Przecież wiesz, że w Polsce takie rzeczy masz zagwarantowane konstytucyjnie... Co to jest Komitet Obrony Robotników? Widzisz, odpowiedź na to pytanie nie jest taka prosta. W prasie i telewizji nie mówią o tym, ponieważ jest to marginalna grupka nie posiadająca żadnego znaczenia. Prasa i telewizja zajmuje się poważnymi problemami, nie może sobie pozwolić na zajmowanie się głupstwami. Co to jest KOR? Widzicie, jest to taka organizacja antypaństwowa, która wymyśla oszczercze i nieprawdziwe rzeczy i przekazuje je na Zachód. W skład tej organizacji wchodzi kilku dziadków, którzy nie odgrywają w naszym kraju żadnej roli. Większość z nich zawsze próbowała walczyć z władzą ludową i socjalizmem. To przeważnie byli członkowie takich faszystowskich organizacji jak NSZ. Zresztą w większości to nie są tak do końca Polacy, przeważnie Żydzi.

To mi się bardzo spodobało. Przez kilka dni nie opuszczała mnie wizja Żydów z Narodowych Sił Zbrojnych. To naprawdę wielki pomysł!

Pragnę zaznaczyć, że powyższa rozmowa nie miała żadnych skutków. Tylko następnego dnia okazało się, że żołnierzom zabroniono posiadania radioodbiorników tranzystorowych. Pobiegłem do Józia.

– Widzisz, coś zrobił, palancie...

– Nic – odpowiedział spokojnie – przecież ja i tak słuchałem Wolnej Europy na świetlicowym radziu.

Ale bywa też odwrotnie. Prowadzący zajęcia chce być śmieszny.

– Dziś mam mówić o Związku Radzieckim. Ale, prawdę mówiąc to nie bardzo wiem, co mógłbym wam powiedzieć. O, tu mam spis wszystkich reпублиk! – Leci palcem po tym spisie i po chwili z udanym zdumieniem:

– Polski tu jeszcze nie ma???

Kiedys przyuważyłem, że wśród moich kolegów krąży jakiś poszarpany zeszyt. Próbuje dowiedzieć się, co to takiego. Słyszę: pomografia. Na moje zdziwienie dookreślają: no wiesz, gołe dupy.

Oczywiście od razu pożyczylem sobie ten zeszyt.

Pełno zdjęć porozbieranych kobiet. Z *Panoramy, Razem, ITD*. A poza tym autentyczna twórczość ludowa. Utwory pisane przez nich i dla nich.

Czytam wiersz.

WARTOWNIK

Stoi żołnierz na warcie
i myśli uparcie
co lepsze: czy dupa czy żarcie
Dobra jest dupa
dobre jest żarcie
lecz przejebane jest stać na warcie

I rzeczywiście. Ten wiersz wyraził moje najintymniejsze uczucia związane ze służbą wartowniczą.

Ale reszta wierszy rozczarowuje. Prymitywna, wierszowana pomografia. „Życie seksualne”, „Bal Bernardynów”, „Uczucia nocy poślubnej”, „Kurewski pociąg” oraz poemat „O królownie Pizdolinie”.

Ale jest i proza. Próbuje czytać.

MIŁOŚĆ PO FRANCUSKU

„Rodzice moi wyjechali do Włoch ale ja postanowiłam zostać. Obok mnie mieszkał 19-letni chłopiec i miał na imię Jan. Zaprosiłam go pewnego razu do siebie. Gdy przyszedł do mojego pokoiku postawiłam kawę i ciastka. Rozmowę zaczęliśmy na dość obojętny temat lecz szybko doszliśmy do wniosku że dalsza dyskusja nie miałaby sensu. Mimo woli dotknęłam kolaniem jego kolana tak że Janek drgnął. Wzięłam go za rękę i czule gładziłam. Czułam jak Janek drżał. Wreszcie wziął mnie na ręce i przeniósł na tapczan. Ostrożnie mnie na nim położył. Całowaliśmy się dość długo. Nagle poczułam jak Janek zaczął mnie rozbierać. Gdy zostałam tylko w biustonoszu i majteczkach ściągnęłam mu koszule i slipki, i po raz pierwszy zobaczyłam męski członek. Wyglądał jak krążek kiełbasy ale po chwili był długi i naprężony i twardy jak kamień. Jan w międzyczasie rozebrał mnie całkowicie. Przytuliliśmy się do siebie, ale ja od razu nie chciałam stracić cnoty. Chciałam tylko doznać przyjemności Jan zrozumiał to doskonale dla tego przyciskał mnie coraz mocniej do siebie i całowaliśmy się namiętnie. Czułam niebawem drzenie jego członka. Wzięłam jego członek do ręki i zaczęłam nim się bawić zdejmowałam skurkę do góry i do dołu.

Jan pieścił mnie i rozchyłał moje ściśnięte kolana podciągał mnie do góry. Miałam ochotę wciągnąć go do siebie i włożyć go do pochwy. Musiałam jednak chęć wstrzymać. Jan wziął mnie na siebie i mocno przycisnął. Zaczął mnie całować po pośladkach i szparze. Ja zaś wzięłam jego członek do usta i językiem dotykałam główki na jego kńcu. Podniecaliśmy się bardzo. Jan zaś musiał go powstrzymywać aby mnie nie zadusić.

ponieważ bardziej wpychał głowę w pizdżisko. Ja natomiast ścisnęłam nogami jego głowę, tak że trudno było mu się poruszyć. W końcu poczułam że jeszcze bardziej chwila a u Jana nastąpi wytrysk. Wyjęłam jego członek z ust i włożyłam go między piersi. Wkrótce poczułam ciepły płyn na mojej piersi i brzuchu. Zresztą to uczucie dotarło do mnie jak przez sen. Gdyż w tym samym czasie nastąpił wytrysk u mnie. Takie sny powtarzaliśmy przez 7 dni”.

A więc w ten sposób przeciętny żołnierz wyobraża sobie życie erotyczne. Bo przecież napisał to i czytał (ba – rozczytywał się, chłonał!) także żołnierz. Ale krzywdzące byłoby stwierdzenie, że w tych zeszytach znajduje się sama pomografia. Zaraz po opowiadaniu cytowanym wyżej znajduje się drugie. Niestety, w tym zeszycie, który ja miałem, opowiadanie to pozabawione było tytułu. A dopiero zestawienie tych dwóch opowiadań daje pojęcie o życiu wewnętrznym żołnierza. To drugie opowiadanie jest jednak bardzo długie, więc zacytuję tylko jeden z końcowych fragmentów.

„Były tu też dzieci z Domu Dziecka. Nie знаły one potęgi śmierci. Jednocześnie wyobrażały sobie, że jest to coś najgorszego. Pewnego razu kilkoro dzieci widziało jak na cmentarz weszło małe dziecko. Z ciekawości chciały tam pójść. Poruszali się gromadką po alejach cmentarzu wpatrywały się ciekawie w mogiły i zrywały z grobów kwiaty. Nagle Mariusz krzyknął.

– Nino zobacz jaka ładna pani.

Kilkoro dzieci stanęło obok. Niżej pod zdjęciem widniały kształtne litery, lecz żadne z nich nie umiało czytać. Nina z Mariuszem stała najbliżej pomnika i przyglądała się śmiejącej pani.

Nina patrzyła na włosy i duże oczy.

Nawet kiedyś zaśmiała się, bo Mariusz powiedział że te duże oczy to ozdoba kobiety, którą widziała na zdjęciu. Nina patrzyła również na śmiejące się usta i wydawało się, że ta pani inaczej się śmieje niż przedtem. Coś pociągało ją i nie mogła ani na chwilę oderwać wzroku od fotografii. Nie widziała nawet jak wszystkie dzieci odeszły i poszły do innej mogiły. Obok Niny pozostał tylko Mariusz. Ten również wyobrażał sobie, że ta pani śmieje się tylko do niego, jest bardzo zadowolona, że ją tutaj odnalazł. Patrz Nina jak ta pani patrzy na mnie powiedział Mariusz. Przyjźnij się Nino, dobrze zobacz. Widzę, odpowiedziała Nina. Wiesz co Nina powiedział Mariusz jutro my tu przyjdziemy. Rozejrzeli się dookoła, nikogo, też nie było. Byli szczęśliwi, niż kiedykolwiek, znaleźli panią, która była ich największym przyjacielem. Od tego czasu przesiadywały na cmentarzu, przez długie godziny. Od trzech dni przychodził ksiądz, zawsze, chodził i czytał książkę”.

I tak dalej. Bardzo to wszystko wzruszające. Ta pani z nagrobkowej fotografii to, oczywiście, matka Niny : Mariusza. Natomiast ksiądz to wielka, młodzieńcza jej miłość. Zli rodzice tej pani nie zezwolili im na małżeństwo i stad te wszystkie nieszczęścia.

Obiektywnie rzecz biorąc opowiadanka te nie zasługują na głębszą

uwagę. Ale to tylko pozór. Ponieważ dla moich kolegów były najprawdziwszym przekazem o świecie rzeczywistym. Były zgodne z ich mniemaniem o życiu. Zgoda, że było to mniemanie ubogie, ale jednak. Ich świat układa się w uproszczoną kombinację prymitywnego wyobrażenia seksu i dużą skłonność do taniego sentymentalizmu. Początkowo trudno mi było w ogóle uwierzyć w możliwość takiej kombinacji. Później przyzwyczaiłem się do tych i większych, pozornych niekonsekwencji.

Z wielu piśmiek przeznaczonych dla żołnierzy żadne, jak sądzę, nie jest zorientowane w potrzebach rynku. Żadne z nich nie preferuje tego typu literatury. Można w nich spotkać co najwyżej opowiadanka i reportaże o wzorowych żołnierzach. Pożytek z tego tylko taki, że w jednostkach nie używa się papieru toaletowego i często każda gazeta jest na wagę złota.

V

Przez prawie cały okres służby wojskowej byłem przewodniczącym Sądu Koleżeńkiego. Instytucja Sądów Koleżeńskich to przedziwny ukłon w stronę tak modnej samorządności. Teoretycznie Sąd jest obieralny i rozpatruje sprawy kierowane doń przez dowódcę kompanii. W większości sprawy te dotyczą samowolnych oddaleń oraz nadużywania alkoholu. Ale, żeby było ciekawiej, Sądy te nie mają prawa karania. Mogą tylko, w razie uznania winy, wystąpić z wnioskiem o ukaranie. Decyzja Sądu ogranicza się tylko do tego, którego z przełożonych poproszą o ukaranie winnego. Prawdę mówiąc, to i tak wiele, bowiem im wyższy przełożony, tym posiada większy zakres kar. Niby więc jest jakaś możliwość manewru

W praktyce działalność Sądów Koleżeńskich bardzo przypomina działalność sądów PRL w sprawach politycznych. Przede wszystkim skład sądu wyznaczany jest przez dowódcę kompanii. Oczywiście robi się to przy zachowaniu pozorów demokratycznych wyborów, ale też nie zawsze. Przed każdą rozprawą (posiedzeniem) dowódca wzywa przewodniczącego Sądu i komunikuje mu, jakiego to spodziewa się orzeczenia. Zadziwiająco, ale przeważnie orzeczenia pokrywały się z sugestiami. Czasami, gdy przypadkiem zapadł inny wyrok, dowódca kompanii zarządził ponowne rozpatrzenie sprawy, na co Sąd przystawał bez zbędnych dyskusji. Nie muszę chyba dodawać, że były to tzw. „działania pozaprawne”. Zgodnie bowiem ze Statutem nikt nie ma prawa sugerować sądowi jego orzeczeń oraz orzeczenia te są prawomocne i niepodważalne. Ale kto by się tam stawiał dowódcy kompanii? Otóż to – ja zacząłem się stawiać. Bo w przeciwieństwie do moich poprzedników urzędowanie na stanowisku przewodniczącego zacząłem od przeczytania Statutu. I wzięłem to wszystko bardzo poważnie. Albo kierowała mną naiwność, albo też swoiste poczucie humoru. W każdym razie, po każdym posiedzeniu miałem duże kłopoty. Stałem się bardzo niewygodny dla dowództwa kompanii. Pod koniec służby dowódca kompanii bezprawnie pozbawił mnie funkcji.

Ale u podłoża decyzji dowódcy kompanii, oprócz ustawicznych moich sprzeciwów, leżała jeszcze inna sprawa. Otóż wyczytałem w Statucie, że przewodniczący może i powinien zajmować się także działalnością interwencyjną. I właśnie gdy to wyczytałem, nadarzyła się okazja. Szeregowiec S. po trzech dniach aresztu zwykłego powrócił na kompanię. Nie był to powrót z tarczą, a raczej na. Chodził jakiś poskręcany, niemrawo skarżył się, że traktowano go w areszcie niezbyt delikatnie. Wziąłem go na bok i zacząłem namawiać, aby napisał skargę na wartowników do dowódcy pułku. Z początku bał się, ale zapewniłem go, że nic mu nie grozi. W końcu zgodził się, ale pod warunkiem, że mu pomogę. Była to z jego strony niewątpliwie asekuracja. Ale nie tylko, chłopak był niemal wtórnym analfabetą. Zacząłem spisywać jego opowieść o trzech dniach aresztu i dołączyłem potem do raportu do dowódcy pułku. Zatytułowałem to OŚWIADCZENIE, ale to był horror.

S. został doprowadzony do aresztu szesnastego września około godziny trzynastej. Półtorej godziny później na wartownię, w której znajdował się areszt, przybyła następna zmiana warty. Zapowiedziano aresztantom, że od tej chwili wszystkie czynności należy wykonywać w pefnym biegu. Ale to podobno normalne w każdym areszcie. Zresztą podobnie jest w całym wojsku podczas okresu unitarnego.

Właściwe przedstawienie rozpoczęło się dopiero o godzinie siedemnastej.

S. został ubrany w plecak (około dwudziestu paru kilogramów) i kazało mu w nim wykonywać tzw. „pompki”. Ilość pompek nie została określona. Wartownicy przyglądali się stąbnącemu powoli chłopakowi. W końcu już S. nie mógł podnieść się z cementowej podłogi. Jeden z wartowników, przekonany, że ten symuluje, kilkakrotnie uniósł go za kołnierz oraz pas i rzucił o ziemię. Zorientowawszy się, że to na S.-a nie działa, dał mu spokój na jakiś czas. Akurat na tyle, by trochę odzyskał siły. Dodano mu drugi plecak, który należało trzymać w sztywno przed siebie wyciągniętych rękach. I z tymi dwoma plecakami nieokreślona porcja przysiadów. Potem odpoczynek. Ale odpoczynek w dość wymyślnej formie: kucanie na czubkach palców, kolana razem, plecakiem nałożonym na plecy wolno opierać się o ścianę, a drugi nadal w wyciągniętych sztywno rękach.

Następnie można było odłożyć jeden plecak. Z drugim marsz kucany z trzymaniem się za pięty. Znów odpoczynek w opisanej formie. Przysiadły z dwoma plecakami i pompki z jednym. W końcu S. ponownie bez sił padł na ziemię. Nie reaguje na polecenie powstania. Wartownik kilka razy wskakuje S-owi na klatkę piersiową. Po pół godzinie względnego spokoju S. ponownie „odpoczywa”. Potem biegi po korytarzu wartowni przerywane co chwila komendą „granat”. Ciężko pada na betonową posadzkę. Następnym punktem programu były zbiórki.

– Szeregowy S., w kiblu zbiórka!

– Szeregowy S., na korytarzu, w dwuszeregu zbiórka!

A że na zbiórki żołnierz musi wychodzić biegiem, niewiele się właściwie zmieniło.

W pewnym momencie wyszedł ze swojego pokoju dowódca warty i zaczął przerwać przedstawienie. Ale jego rozkaz nie był spowodowany tym, że takich zabaw nie powinno się urządzać, a po prostu tym, że przywieziono kolację. Po kolacji sam dowódca warty ubrał S-a w plecak i granaty, przysiady, biegi, podskoki, zbiórki. Trwało to tylko piętnaście minut, bo wiem dowódca się to znudziło i przekazał S-a innemu wartownikowi.

Siedemnastego S. nie mógł rano wstać. Bolały go wszystkie mięśnie. Miał tylko kilka granatów. Co prawda, mieli ochotę dalej go pompować, ale doszli do wniosku, że chłopak już naprawdę nie może, i dali mu spokój.

Następny skład warty okazał się dla S-a darem boskim. Dowódca warty był ziemkiem i chłopak miał dwadzieścia cztery godziny spokoju. To znaczy, i tak wszystkie czynności wykonywał biegiem, ale tym razem był traktowany na równi z innymi aresztantami. Był to rzeczywiście powód do szczęścia. Ale osiemnastego września powrócił poprzedni skład warty.

Zaraz po obiedzie jeden z wartowników zawołał S-a na salę wartowniczą. I od razu zdenerwowała go ślamazamość ruchów aresztanta. Aby więc „wyrobić mu szybkość”, rąbnął go trzy razy żelaznym taboretom przez plecy. Za trzecim razem S. wyleciał z sali i upadł na korytarzu, co poprawiło humor wartownika.

– No, S.! – zawołał – W co powiniem być wyposażony spadochroniarz?

Ale S. nie wiedział. Wezwano więc aresztanta o dłuższym stażu.

– Spadochroniarz powinien być wyposażony w dwa spadochrony: spadochron właściwy oraz spadochron dodatkowy.

– No widzicie, S.? – uśmiechnął się wartownik wskazując stojące pod ścianą plecaki. Nastąpiły ćwiczenia łudzaco podobne do tych, z którymi zapoznał się pierwszego dnia. Gdy ćwiczący go wartownik musiał iść na posterunek, komendy wydawał dowódca warty.

Kiedy w końcu pozwolono mu iść do celi, objął się o ściany w osłabieniu. Na ten widok dowódca śmiejąc się przywołał wszystkich wartowników znajdujących się na wartowni.

– Zobaczcie, obywatele, młody żołnierz, przysłany do aresztu, zamiast karnie poddać się procesowi resocjalizacji, upija się jak świnia.

Aby wytrzeźwiał, kazali mu się czołgać. Po wszystkich pomieszczeniach wartowni. Nawet ubikacji, gdzie z powodu zepsutej instalacji sanitarnej było po kostki różnych nieczystości. Właśnie w tej ubikacji był taki moment, że S. zatrzymał się na krótki odpoczynek. Dostał wtedy kopniaka w podbrzusze. Z początku zatkało go, ale potem czołgał się ze zdwojoną energią. Czołgał się tak, jak mu kazano – z szybkością światła.

Spisałem to wszystko i pobiegłem do Jasia, który mimo kapraleskich dystynkcji robił na mnie wrażenie inteligentnego i wrażliwego chłopaka.

– Normalka – powiedział. – Tak jest we wszystkich aresztach. Znajdują sobie ofiarę i wyżywają się. Nie wiedziałeś?

Nie, nie wiedziałem. A nawet więcej – trudno mi było w to uwierzyć. Zacząłem wypytywać innych. Potwierdzali. Zaczął mi się rysować zupełnie niesamowity, makabryczny obraz aresztu. Napisałem raport do do-

dowódcy pułku, w którym zażądałem skierowania sprawy do prokuratury wojskowej. Nadmieniałem, że opowiadanie szeregowego S-a „przypomina mi łudząco wspomnienia z Alei Szucha”. Ale obowiązywała mnie droga służbowa, więc zaniósłem to do dowódcy kompanii. Przeczytał i popatrzył na mnie ze zdziwieniem, pomieszanym z lekkim podziwem.

– No, no. Aleja Szucha, nie przebierasz w słowach. Mógłbyś zostać oficerem politycznym.

Nie odpowiedziałem. Po chwili dowódca odchylił się na krzesło i zapytał:

– To ciebie pobili?

– No, nie.

– Więc o co chodzi?

Próbowałem wytłumaczyć, że zostały drastycznie przekroczone pewne przepisy. Dowódca jednak stwierdził, że to nie szkodzi, bo S-owi i tak należał się „ciężki wpierdol”. Mój argument, że został jednak ukarany trzema dniami aresztu, a nie „ciężkim wpierdołem”, nie znalazł poparcia w jego oczach. W ogóle nie potrafił zrozumieć, dlaczego się tą sprawą przejąłem. W końcu obiecał to załatwić. Ale, jak się należało domyśleć, sprawa została zatuszowana. Przede wszystkim raport mój nie trafił do dowódcy pułku. Mój dowódca poszedł po prostu z nim na kompanię wartowniczą i zapoznał z treścią dowódcę tej kompanii. Oczywiście wartownicy, jak jeden, wyparli się wszystkiego. A ten, który nad S-em najbardziej się znęcał, dostał trzy dni aresztu z zawieszeniem na trzy miesiące, za „przeprowadzenie z aresztantem musztry specjalnej w budynku aresztu”. Bo, zgodnie z regulaminem, trzeba przed. Był to skandal, lecz wydawało mi się, że nic już w tej sprawie nie mogę zrobić.

Wkrótce zresztą S. dopiął swego i został przedterminowo zwolniony z wojska. Kiedy, już w cywilnym ubraniu, przyszedł się ze mną pożegnać, namawiałem go, aby się nie poddawał. Radziłem, by spróbował pisać skargę do Głównego Zarządu Politycznego WP. Dałem mu nawet adres.

Prawdopodobnie S. skorzystał z mojej rady, bowiem po dwóch miesiącach w jednostce wybuchła miała bomba wodorowa. Zjechała się cała ekipa śledcza WSW. Przesłuchiwano aresztantów z całego półrocza. Być może to tylko przypadek, ale gdy zjawiła się ekipa śledcza, wezwał mnie dowódca kompanii.

– Chciałeś jechać na urlop. No, na ślub tego twojego kumpla. Jutro możesz jechać.

Czterech wartowników, w tym dowódcę warty, stanęło przed sądem wojskowym. Najwyższy wyrok, jaki zapadł w tej sprawie: półtora roku.

Niedługo potem przestałem być przewodniczącym Sądu Kołczyńskiego.

VI

Wszystkich puszczano na przepustki w piątek po południu. Mnie nie. Dowódca kompanii powiedział: pojedziesz jutro rano.

Niby jakaś pilna robota. Jednak zbyt długo byłem pisarzem kompanij-

nym, bym się dał na to nabrać. Dość szybko zorientowałem się, że nie jest to nic pilnego. Równie dobrze można to było zrobić i za tydzień. Zacząłem zastanawiać się, dlaczego mam jechać dzień później niż wszyscy. Jakiś powód musiał istnieć, ale nic mądrego nie przychodziło mi do głowy.

W sobotę po południu stałem na peronie czekając na pociąg do Warszawy. W pewnym momencie podszedł do mnie sierżant WSW.

— Wy nazywacie się Pawlak? Tak, to pozwólcie. Muszę sprawdzić, co macie w tej paczuszce, a nie chciałbym tego robić tak tu, przy ludziach. Wiecie, to nie wypada. Pójdziemy na dworcowy komisariat milicji. Bo wiecie — uśmiechnął się pojednawczo — możecie przecież wywozić tajne materiały.

Przestraszyłem się. Było to niemal jawne podejrzenie o szpiegostwo. Poszliśmy.

W komisariacie zażądał osobnego pomieszczenia. Zaczął przeglądać zawartość paczki. Były tam dwie książki, które odwoziłem do domu, i szkice wierszy. Książki interesowały go tylko przez chwilę. Sprawdził, gdzie wydane, i odłożył na bok. Bardziej przejął się rękopisami.

— Słuchaj, ty spieszysz się na pociąg, więc będę musiał te wierszyki zatrzymać. Jest tego dosyć dużo, a jeszcze tak niewyraźnie piszesz. Jak wrócisz z urlopu, to ci zwrócimy.

— W żadnym wypadku, obywatelu sierżancie. To są jedyne egzemplarze. Nie mam żadnej pewności, czy to się gdzieś u was nie zawieruszy. A dla mnie byłaby to zbyt duża strata.

— Daję ci słowo, że nic się im nie stanie.

— Niemniej nie zgadzam się. Będę w tej sprawie zmuszony złożyć skargę.

Zrozumiałem, że podróż do domu mam już z głowy. Trudno, ale tak łatwo ze mną nie pójdzie. Ale on miał widać trochę inne instrukcje. Spojrzał na mnie wrogo i poszedł do drugiego pomieszczenia. Przez szybę w drzwiach widziałem, że gdzieś dzwoni. Po chwili wrócił i oddał mi rękopisy. Jeszcze tylko małe obmacanie i kazał iść na pociąg, który akurat zatrzymywał się na peronie drugim.

Wezwano mnie do kancelarii tajnej w sztabie.

— To wy? — zapytał zaspany sierżant. — Zaplątała się tu przesyłka do was. Kolega z Krakowa przysłał książkę.

I dali mi. Osobno kopertę, osobno książkę, osobno list. „Szkice z psychologii religii” Fromma, od Adama.

Zaskoczyła mnie forma. Co prawda, dotychczas wszystkie przesyłki też przychodziły rozdarte, ale zachowywano jakieś pozory. Zawsze odbierałem je w wewnętrznej poczcie jednostki. O ile się orientuję, byłem pierwszym żołnierzem pułku, który otrzymał korespondencję za pośrednictwem kancelarii tajnej. To zaczynało być niepokojące. A poza tym była to jakaś nieostrożność, która dawała mi wreszcie pretekst do jakiegoś działania. Nie namyślając się pobiegłem do zastępcy dowódcy pułku do spraw politycznych. Zameldowałem o całym wydarzeniu i wyraziłem roz-

goryczenie faktem, iż została złamana praworządność. To podziało na politycznego jak czerwona płachta na byka.

– Ależ słuchaj, to na pewno jakaś pomyłka. Nieporozumienie. Ja to osobiście sprawdzę. Jutro cię w tej sprawie wezwę, ale to na pewno jakieś nieporozumienie.

Czekałem cały miesiąc i nic. Przez ten czas rozważyłem sobie wszystko od początku. Jeżeli rzeczywiście kontrolowano mi korespondencję, to niewątpliwie była to sprawka kontrwywiadu. To nie ulegało wątpliwości. Ostatecznie ten pion sam z siebie jest najbardziej policyjny. Postanowiłem zastosować trochę hazardową rozgrywkę. To się chyba nazywa *va banque*. Zgłosiłem się do oficera kontrwywiadu. Zacząłem mu wmawiać, że jest on tutaj także po to, aby stać na straży poszanowania praw konstytucyjnych, paktów praw, paktów helsińskich i wielu innych, jakie mi tylko do głowy przyszły. We wszystkich tych dekretach zapewnione jest prawo do tajemnicy korespondencji. Moje prawo zostało w tej jednostce naruszone w sposób oczywisty i nie podlegający dyskusji przez kancelarię tajną, albo też kogoś, „kto za tym stoi”. I oto zgłaszam się do niego jako do osoby kompetentnej, pełen wiary w jego pomoc.

Oficer kontrwywiadu śledził mój natchniony monolog z lekkim niedowierzaniem. Co chwila rzucał mi baczne spojrzenia. Ale to była rola mojego życia. Nie wyglądałem wcale na takiego, który by z kogoś robił balona. A poza tym miałem za sobą wielki atut: twarz o wyrazie pełnego ufnej naiwności imbecyla. I to przeważyło. Obiecał, że zbada sprawę.

– Tak dobrze, żeście się do mnie z tą sprawą zwrócili, kolego. Co prawda, nie przypuszczam, żeby to była jakaś represja w stosunku do ciebie, ale rozumiem, że możesz tak myśleć. Sam bym tak myślał. Szczególnie, że ten idiota polityczny tak to załatwił. Ja to zbadam. I gdzieś za tydzień wpadnę tutaj, żeby tobie powiedzieć co i jak. No, cześć, kolego.

W ten sposób zostałem kolegą oficera kontrwywiadu. Ale to nic. Oczywiście nie zjawił się po upływie tygodnia. W ogóle starał się mnie unikać. Czekałem półtora miesiąca, a potem przeniesiono mnie do innej jednostki.

Kontrolowano mi korespondencję, rewidowano na dworcu, nie puszczano przez pewien czas na urlopy i przepustki, przepytywano niektórych kolegów, o czym z nimi rozmawiałem.

Niby nic takiego – można się przyzwyczaić. Ale w końcu sytuacja stała się nie do zniesienia. Napisałem skargę do Głównego Zarządu Politycznego WP. Opisałem te wszystkie dziwne przypadki mnie dotyczące i ostro zaprotestowałem, że niby kontrwywiad mi przeszkadza.

Reakcja była wyjątkowo szybka. Już po tygodniu siedziałem w wygodnym fotelu naprzeciw trzech umundurowanych panów: przedstawiciela władz wyższych, przedstawiciela dowództwa jednostki oraz oficera kontrwywiadu. Przedstawiciel władz wyższych zapytał, czy zgodzę się rozmawiać w tym gronie, czy też mam specjalne życzenie rozmawiać z nim w cztery oczy. Odpowiedziałem, że nie mam się czego wstydić i w razie czego gotów jestem rozmawiać „w obecności całego stanu osobowego

pułku". I rozpoczęła się rozmowa, której celem było udowodnienie mi, że nie mam racji. Że jestem po prostu głupi.

Oficer kontrywywiadu wmawiał mi nawet, że powinienem odczuwać coś w rodzaju wdzięczności dla odpowiednich czynników wojskowych, że poświęcają mi tyle uwagi i czasu. Wdzięczności nie wyraziłem. Być może było to niedopatrzenie, więc tą drogą nadrabiam.

Moja sytuacja na skutek skargi poprawiła się o tyle, że „wyrzucono” mnie na upragniony urlop. Po powrocie jednak wszystko wróciło do normy.

Ale żeby zupełnie nie przewróciło mi się w głowie, na następną skargę nie otrzymałem odpowiedzi. A szkoda, bowiem oprócz powtórzenia wszystkich zarzutów z pierwszej skargi, zażądałem natychmiastowego zwolnienia ze służby wojskowej z powodu szykanowania mnie za poglądy polityczne. Wiem tylko, że był ktoś z władz wyższych, ale tym razem nie wyraził ochoty porozmawiania ze mną. Szkoda, miałem mu tyle do powiedzenia. W każdym razie do dziś nie tracę nadziei i cierpliwie czekam na odpowiedź Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego.

VII

Odbywa się wielka dyskusja nad nowymi regulaminami. Coś mają zmieniać. Trend na nowoczesność.

PRÓBUJĘ PISAĆ:

„Pułkownik R. na inspekcji w garnizonie jakimś nieważnym. Ponury, stary budynek koszar z poniemieckiego odzysku. Buntują się nieremontowane od lat instalacje sanitarne. R. z obrzydzeniem przygląda się zapchanym, cuchnącym klozetom. Raptem napada go myśl zhawienna. Przyszpila ją długopisem do notatnika.

W raporcie do Ministerstwa zaproponować istotną poprawkę do Regulaminów. (Słowa zdecydowanie skapują z długopisu na kartkę). Żołnierz zobowiązany jest do powstrzymywania swoich potrzeb fizjologicznych w wypadku awarii instalacji sanitarnych aż do odwołania.

Zresztą nie musi być od razu poprawka do Regulaminów. Na początek wystarczy drobne Zarządzonko. Okólniczek małej. Ot, taka sobie Dyrektywka”.

Izba chorych to coś pośredniego między lazaretem polowym a aresztem. Każdy chory wie, że jego podstawowym obowiązkiem jest nie chorować oraz sprzątać tzw. „rejony”. Rejony sprząta się bez przerwy, bowiem bardziej chodzi o to, by sprzątano, niż o to, by było sprząnięte. Sanitariuszcy ani szefa izby nie interesuje, czy chory jest zdolny do jakiegokolwiek pracy. Od pracy zwalnia tylko fala lub kaprałski stopień.

Ponadto sanitariusze żywią się kosztem chorych. I słusznie: leżący zużywa mniej energii i nie musi tyle jeść. Porcje więc dostawaliśmy zmniejszone. A takich rarytasów, jak kompot, czy coś w tym rodzaju, wcale.

Najciekawsza jest jednak rola lekarza. Przez sześć dni pobytu w izbie nie widziałem, aby dotknął pacjenta. Na przykład po to, aby osłuchać czy zajrzeć do gardła. Obchód przypominał z lekka karty z Dziełnego Wojaka Szwejka. Sanitariusz ogłaszał zbiórkę chorych. Czekaliśmy cierpliwie na korytarzu, aż wywołają każdego z nas osobno do gabinetu lekarskiego. Lekarz pytał o samopoczucie i temperaturę. Pytał – nic więcej.

Gdy tylko udawało mu się u kogoś zbić temperaturę, wyrzucał z izby. Chodziło się potem z niezaleconą chorobą.

Prawdziwe życie erotyczne żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego jest niezwykle ubogie. Co najwyżej niektórzy próbują nadrabiać na przepustkach i urlopach. Zresztą najczęściej jest to tylko nadrabianie miną. W każdym razie w dobrym tonie jest po powrocie z przepustki rzucić tak od niechcienia: – Chłopaki, ale mnie czubek boli.

Co ciekawsze, nie zauważyłem nawet prób homoseksualizmu. A przecież warunki były bardzo sprzyjające.

Tylko wieczorem, po capstrzyku, kwitł onanizm. Mieliśmy stare, skrzypiące łózka. Trudno było zasnąć przy skrzypieniu dwudziestu kilku łóżek. Ale do wszystkiego się w końcu można przyzwyczaić. Po powrocie do domu nawet mi trochę brakowało tych dźwięków.

Przez ostatni okres służby zastanawiałem się tylko nad jednym: jak opowiedzieć.

Dotąd nie było tego problemu. Dotychczasowe pobyty w domu były tak krótkie, że ograniczałem się do pozdrawiania przyjaciół. Nie było czasu na rozmowy. Teraz będzie.

Mógłbym opowiedzieć o honorowym krwiodawstwie.

Ktoś tam próbował namówić mnie do oddania krwi. Odmówiłem. Powiedziałem, że nie mogę. Przechodziłem kiedyś żółtaczkę i moja krew może okazać się szkodliwa. A na tym tle jestem szczególnie drażliwy.

Śmiał się. Przecież nie muszą się zorientować – przekonywał – a dwa dni urlopu to jest coś.

Bo jest to zwykły handel krwią. Za dwieście mililitrów kupowało się dzień uropu. Za czterysta – dwa dni.

VIII

Mógłbym także opowiedzieć o pewnej kantynie na poligonie. O tym jedynym kiosku na przestrzeni wielu kilometrów. O kawierence na piętnaście stolików.

Pracowaliśmy na tym poligonie kilka tygodni. Dwustu żołnierzy i sześciu opiekunów, ekonomów z kadry.

Był to cholemiem zimny grudzień siedemdziesiątego szóstego roku. Otwarta przestrzeń pełna ustawicznych wiatrów od morza. Praca przez cały czas na wolnym, odkrytym terenie. Mieszkanie w namiotach i ciągłe

kłopoty z węglem do piecyków. Kadra mieszkała w znakomicie ogrzewanym hotelu garnizonowym. Całe dni, oprócz krótkich wypadów w celu sprawdzenia, czy zamiast pracować nie grzejemy się przy ogniu, spędzała w kantynie.

My do kantinej nie mieliśmy wstępu. Dwustu żołnierzy wracając z pracy ustawiało się cierpliwą kolejką przed drewnianym podestem pod oknem kantyny. Kupowaliśmy papierosy, znaczki, zapałki...

Ale już dość. Może mnie ponieść, i zamierzona chłodna relacja zmieni się w płacziwą dziewczynkę z zapałkami...

Żołnierze zawodowi poza jednostką:

Całują panie w rękę.

Rozmawiają czasem o literaturze i filmie.

Znąją takie słowa, jak „proszę” oraz „dziękuję”.

Ale to tylko pozór. Udawanie kulturalnego człowieka, na które wielu ludzi daje się nabrać. Nie ma kulturalnych oficerów. Nie ma kulturalnych podoficerów. Oczywiście, jeżeli przyjmieni, że kultura osobista to coś więcej niż natętnie ślinienie kobiecych rąk. Aby naprawdę ocenić tych ludzi, trzeba ich widzieć wtedy, gdy są w swoim żywiole. Gdy są w jednostce.

Bowiem przekroczyć bramę jednostki to nie to samo, co przekroczyć bramę zakładu pracy. Wchodząc na teren jednostki przekraczasz granicę kultur. Z w miarę demokratycznej Polski wchodzisz w kastową społeczność koszar. Cofasz się o kilka wieków w historii ludzkości. Tutaj żołnierz zawodowy jest niemal wszechwładny. Taki facet może z tobą zrobić prawie wszystko.

Postawić cię w kolejce do wewnętrznego sklepu mięsnego, co wiąże się z wstaniem o godzinę, dwie wcześniej.

Wybierając się z żoną na całonocną zabawę do kasyna, zostawić cię do pilnowania dzieci.

Wysyłając na przepustkę, zobowiązać cię do poświęcenia krótkiego pobytu w domu na bieganie po sklepach. Po linkę do sprzęgła, klej SKOROLEP, książki dla studiującej córki...

Kazać wysprzątać sklep, w którym pracuje jego żona.

Posłać do sklepu po chleb i masło, bo żonie nie chce się rano wstać, a trzeba śniadanie dzieciom do szkoly.

Polecić malowanie mieszkania.

Poprzestawianie mebli.

Zafatwić przeprowadzkę, bo kolegę przenoszą do innej jednostki.

Wytrzepać dywany.

Nazwać cię przy wszystkich chujem i kazać przytaknąć – tak jest, oby-watelu sierżancie.

Przezołgać bez powodu, ot tak, gdy brak mu innych rozrywek.

STOP!!!

Przecież żadnej z tych rzeczy nie może on, nie ma prawa, wymagać od żołnierza. Fakt. Ale wymaga. Żołnierz to parias i Murzyn. Polski niewolnik. Zwierzę.

Nie wiem, dlaczego zlikwidowano istniejącą jeszcze przed wojną funkcję ordynansa. Prawdopodobnie chodziło o wprowadzenie demokratycznych zasad współżycia w wojsku. Prawdopodobnie niektórym reformatorom wydawało się, że funkcja ta obraża godność żołnierza. I bardzo dobrze, że tak się stało. Dziś pan oficer nie ma ordynansa. Dziś ordynansem jest każdy żołnierz. Dowódca kompanii wystawia głowę z kancelarii na korytarz i woła pierwszego lepszego żołnierza: wyczyście mi buty! Oczywiście, wyczyścimy!

Ale sprawa ta ma jeszcze drugi aspekt. Traktowani jak by było żołnierze często sami ponoszą część, i to niebagatelną, winy za taką sytuację. Ta część winy polega na przyzwoleniu. Nie stać ich nawet na delikatne zamknięcie swojej godności. Zepchnięcie do woli sługi często, widac, wytwarza w człowieku pewne zadowolenie z takiej sytuacji. Jest więc i taka możliwość, że kadra zawodowa po prostu nie zdaje sobie sprawy z tego, że żołnierzy można traktować inaczej.

Pozwolono nam oglądać jakiś film. Nie zdarzało się to zbyt często, więc frajda duża. Było to na poligonie zimowym. Telewizor stał w namiocie – świetlicy. Oczywiście w najwyższej cenie były miejsca przy kopającej kozie. Zostały zajęte na długo przed rozpoczęciem filmu. Ale pech chciał, że akurat tego dnia zepsuł się telewizor w świetlicy hoteliku garnizonowego (do którego, nota bene, nie mieliśmy wstępu). Tutech oficerów przyszło więc oglądać telewizję do nas. Weszli tuż przed rozpoczęciem filmu.

– No, obywatelu, już widzę trzy wolne miejsca przy piecyku – zażądał jeden z nich.

Oczywiście nikt się nawet nie ruszył. Uparcie gapiliśmy się w rozkoszną Edytkę, udając, że jego słowa skierowane były do kogoś zupełnie innego. Podobnie zareagowaliśmy na, tym razem dużo głośniejsze, ponowne polecenie. Ten brak subordynacji wyraźnie zdenerwował oficerów.

– Powstań. Baczność. Przed namiotem w dwuszeregu, zbiórka!

Tego można się było spodziewać. Ale był to już jak najbardziej formalny rozkaz i nie można było dłużej ciągnąć zabawy w głuchy telefon.

Stojąc pod namiotami pozwalaliśmy sobie na niewybredne epitety pod adresem naszych przełożonych. Oczywiście nie na tyle głośno, aby mogli nas usłyszeć. Chodziło raczej o wyładowanie własnego gniewu. W pewnym momencie wpadł mi do głowy pomysł – zaproponowałem zrygnowanie z filmu.

– Pewnie, niech się tropy pierdolone same udtawiają.

– Dobrze mówić.

Poparli mnie koledzy. Nie jestem pewien, czy był to najlepszy pomysł. Ale zawsze była to jakaś manifestacja, jakaś zapowiedź istnienia pewnej granicy, do której można nami pomiałać. Jednak z mojego pomysłu nic nie wyszło. Gdy po chwili pozwolono nam wejść do świetlicy, wszyscy skwapliwie skorzystali.

Leżąc na pryczy słyszałem częste wybuchy śmiechu. Podobno była to niezła komedia. Mojego aktu kontestacji nikt nie zauważył, a film straciłem.

Chcesz u niego załatwić przepustkę? To trzeba tak:

– Obywatelu sierżancie, jakaś przepustka by się zdała...

A on na to: To zapierdalał żołnierz do „Zochy” po dwa wina i zobaczymy, co da się zrobić.

I tachasz zlewowi te wina, za własną kupione forszę. I wcale nie wiesz, czy pojedziesz. Bo wina niczego jeszcze nie gwarantują. Są tylko czymś, co pozwala mu w ogóle zastanowić się nad tym, czy zasługujesz na przepustkę.

Jedną z największych zdobyczy socjalnych dwudziestolecia międzywojennego w naszym kraju było zapewnienie osmiogodzinnego dnia pracy. I dziś jest on nam prawnie gwarantowany.

Część służby upłynęła mi w jednostce budowlanej. Na niektórych placówkach praca trwała dwanaście godzin na dobę. Oczywiście po odliczeniu przerw na posiłki – chodzi mi o czas czystej pracy. W niedzielę trwa trochę krócej. Przeważnie do obiadu. Taki system, szczególnie w lecie, był czymś zupełnie normalnym.

Szlag trafia nasze zdobycze socjalne w tym najlepszym z ustrojów? A może rację miał Wojtek, gdy mówił, że służba wojskowa to czasowe pozbawienie praw obywatelskich?

Jakis mędrzec w sztabie wpadł z nudów na pomysł: oszczędniej gospodarować materiałami pędnymi. A tymczasem trzeba było wykonać dosyć poważne roboty ziemne.

Więc: wojska raketowe. Szczyt techniki; ziemia-powietrze, czyli stara, dobra łopata w naszych dłoniach. A obok stoją przedsię i zasiębiejne koparki, stoją spychacze...

Murzyni? Chyba Wojtek miał rację.

IX

To nie Daniel Olbrychski ani grupa Smokie kojarzyli nam się z pojemem gwiazdorstwa. Dla nas gwiazdą numer jeden był Wojciech Zyms i jego koleżdy. Bowiem Dziennik Telewizyjny, a potem Wieczór z Dziennikiem to audycje obowiązkowe. Nawet regularnie to ściśle określa. Za uchylanie się od oglądania tej audycji grożą surowe kary.

Organizacja młodzieżowa teoretycznie odgrywa niezwykle ważną rolę w życiu wewnętrznym jednostki. Praktycznie zaś jest w każdym punkcie ściśle podporządkowana sekcji politycznej i nie bardzo ją stać na jakąkolwiek samodzielność. Niemniej wszystkie pozory są zachowane. I tak, na przykład, wybór na stanowisko przewodniczącego zarządu pułkowego jest jednoznaczny ze zwolnieniem z niemal wszystkich tzw. „obowiązków żołnierskich”. Przewodniczący zarządu pułkowego to prawie etat.

Ale moje kontakty z organizacją nigdy nie odbywały się na tak wysokich szczeblach. Niemniej były dość swoiste.

A wszystko, jak zawsze, zaczęło się bardzo niewinnie. Było zebranie sprawozdawczo-wyborcze na szczepku kompanii. Ustępujący zarząd chwalił się tym, co zrobił, a potem mieliśmy wybrać nowy zarząd. Mieliśmy – bowiem było to zebranie otwarte, na którym musieli być wszyscy żołnierze pododdziału. Jeden z kaprali, który jeszcze parę tygodni temu lubił patrzeć, jak się czołgam, zaproponował moją kandydaturę na stanowisko przewodniczącego.

– I tak jest pisarzem – uzasadniał. – To nie chodzi na zajęcia. Ma czas. Wszystkim się ten pomysł bardzo spodobał.

– Bardzo dziękuję za okazane mi zaufanie – powiedziałem wstając – ale nie mogę przyjąć tej funkcji.

– Co to znaczy nie możesz? – zdenerwował się mój kapral.

– Ponieważ nie należę do organizacji.

Wydawało mi się to proste. Ale nie doceniłem moich kolegów. Dla nich nie było spraw niemożliwych.

– To nie szkodzi – zapewnił mnie autorytatywnie jeden z nich.

– Jak nie należysz, to się możesz zapisać.

– Ale ja nie chcę.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie odpowiada mi program tej organizacji.

I potem pytano mnie przez kilka dni, co to znaczy. Bo niby dlaczego miałby mi nie odpowiadać. Zresztą, co za program, ostatecznie nikt z nich go i tak nie czytał – po co? Właściwie – przekonywali mnie – to żadna różnica, czy się należy, czy nie. Jedna legitymacja więcej, czy mniej...

Ale ja się uparłem.

Po roku, już w innej jednostce, miałem podobną propozycję. Tyle, że tym razem bardziej konkretną i pochodzącą od przełożonego. Było to podczas rozmowy z oficerem opiekującym się z ramienia partii (polskiej, robotniczej i zjednoczonej) organizacją w kompanii.

– A nie zechciałbyś być przewodniczącym? Zapiszemy cię, wybierzemy...

No, nie wiadomo.

– E, wiesz, jak to jest. A potem dostaniesz własną kancelarię i będziesz miał święty spokój.

Wykręciłem się. Ale otrzymałem polecenie zostania czymś w rodzaju nieoficjalnego sekretarza przewodniczącego kompanijnej organizacji. Nie pomogły zapewnienia, że organizacja jest mi obca ideologicznie. Rozkaz to rozkaz. Prowadziłem dokumentację, pisałem sprawozdania, co zwalniało mnie z pracy. Gdyby ktoś na serio zechciał poczytać, co tam wypisywałem, miałby niezłą zabawę.

W końcu ponownie zostałem wezwany na rozmowę do tegoż oficera. Na rozmowę tak poważną, że ta poprzednia zbladła przy niej zupełnie.

– Nie zapisałaś się do partii?

– Nie.

– Słuchaj, zastanów się dobrze. O ile wiem, coś tam sobie pisa-

A chyba zdajesz sobie sprawę, że przynależność do partii może ci wiele ułatwić.

No tak. Ale ja nie mam ochoty brać na siebie odpowiedzialności, nawet pośredniej. Za to wszystko, co ta organizacja w kraju wyrabia. A poza tym nie odpowiada mi jej program.

– Ależ to żaden problem! Kto by się tam *przyjmował* programem? Musisz zrozumieć, na jakim świecie żyjesz.

– No właśnie, wydaje mi się, że rozumiem. Jak mógłbym spojrzeć w oczy moim przyjaciołom, gdybym to zrobił?

– A czy oni muszą o tym tak od razu wiedzieć?

I tak rozmawialiśmy godzinami przez parę dni. Nie mogliśmy się zupełnie porozumieć. Niby obaj mówiliśmy tym samym językiem (był to język polski), ale nijak nie rozumieliśmy się nawzajem. W końcu obaj przestaliśmy traktować tę rozmowę w kategoriach sporu ideologicznego. Przerzucaliśmy się słowami dla zwykłego zabicia czasu.

Stanęło na tym, że zostałem, niemal siłą, wciągnięty na listę uczestników kursu wiedzy o partii. Chciałem sobie świadectwo kursu powiesić na ścianie obok świadectwa ukończenia kursu przedmałżeńskiego przy kościele św. Mikołaja w Gdańsku. Ale nie dostałem świadectwa. Zresztą nie żałuję, że uczestniczyłem w tym kursie. Byłem tylko na jednym wykładzie, ale dowiedziałem się od prelegenta, że „fakt, iż kontrolujemy pracę robotnika, nie jest wynikiem naszego braku zaufania do jego pracy, a wręcz odwrotnie – dowodem naszego do niej zaufania”. Sam bym tego nie wymyślił.

Jednym z najbardziej rozbudowanych pionów w wojsku jest pion polityczny. Jego głównym zadaniem jest podnoszenie moralno-politycznego poziomu żołnierza oraz przekonanie go, że Pana Boga nie ma. Po prostu. Widocznie jakiś wariat go sobie wymyślił.

Polityczni robią to w sposób prymitywny, przeważnie na zajęciach politycznych, niemniej są konsekwentni. Boga nie ma – kto przeciw?

Zabawne jest w tym to, że zdarzają się im wpadki. W dodatku, wpadki, które nie mają prawa zdarzyć się poważnym pracownikom propagandy.

Żołnierze odchodzący do rezerwy zostali obdarowani przez sekcję polityczną nagrodami za ofiarą – jak to się tutaj mówi – służbę. Wśród nagród rzeczowych także książki. Jedną z nich właśnie wzbudziła moja zgrozę. To, że wydana przez PAX, to jeszcze pół biedy. Ale jej treść!!!

Było to jakieś irlandzkie powieściłko historyczne. Bez przerwy ktoś się tam z kimś bił. Przeważnie dobrzy katolicy ze złymi protestantami. Po stronie katolickiej co rusz pojawiali się różni święci faceci i czynili cuda. Pełna groza.

Widocznie znów kupiono książki na sztuki. Bez pomyslenia. Bywa.

W przeddzień wyborów do Rad Narodowych wezwał mnie dowódca kompanii.

– Słuchaj, jutro są wybory...

– Wiem.

– Ja wiem, że ty wiesz – zniecierpliwiał się. -- Chciałbym się ciebie właśnie zapytać: jak będzie?

Zrobiło mi się ciepło na sercu, że oto stałem się dla mojego dowódcy wyrocznią w sprawach politycznych. Postanowiłem nie zawieść pokładanego we mnie zaufania.

– No cóż – odrzekłem zgodnie z najszczerzym przekonaniem. – Sądzę, że Front Jedności Narodu wygra.

Ale okazało się, że niezupełnie o to chodziło. Chciał się dowiedzieć, czy ja, w związku z wyborami, nie szykuję żadnego „numeru”. Nie szykowałem.

Wybory w wojsku mają swoistą poetykę, związaną ściśle z atmosferą miejsca, w którym się odbywają. Przede wszystkim każda jednostka stanowi odrębny okręg wyborczy. W przeddzień wyborów w każdej kompanii odbyły się spotkania z dowódcami pododdziałów. U nas dowódca powiedział: „MAM POMYSŁ”. I był to naprawdę fajny pomysł. Bo niby dla czego, rzeczywiście, mamy głosować dopiero po śniadaniu, jak tam będą wszyscy, będzie tłok i stracone pół dnia, kiedy możemy wstać półtorej godziny wcześniej i głosować przed śniadaniem, kiedy będzie zupełnie pusto. No pewnie, wstać półtorej godziny wcześniej czy później to żadna sprawa. Przynajmniej dla niego. Potem okazało się, że na ten pomysł wpadli, zupełnie przypadkowo, wszyscy dowódcy. I, w dalszym ciągu przypadkowo, komisja składająca się z wyższych oficerów sztabu mogła już o ósmej iść do domu. Ale to oczywiście czysty przypadek. Ponadto nie było w tej sprawie żadnego rozkazu, ale zgodnie z delikatnymi sugestiami dowódców wszyscy żołnierze poszli do urn w mundurach wyjściowych. Na cały pułk tylko ja z Ryśkiem w polowych i, mimo nieprzychylnych spojrzeń, nikt się właściwie nie przyczepił.

Około siódmej rano oficer dyżurny jednostki wezwał do siebie wszystkich podoficerów dyżurnych.

– Słuchajcie podoficerowie – powiedział – do godziny ósmej sto procent każdej kompanii ma być po głosowaniu. Zrozumiano?

Zrozumiano. Co mielszmy nie zrozumieć – był to przecież wyraźny rozkaz. I tylko ja jeden zastanawiałem się, jak on z tego wybnie. Przecież wydanie takiego rozkazu stawia go w kolizji z kodeksem prawnym. Ale nikt tego nie zauważył. Zresztą, kto by się tam przejmował drobnostkami, najważniejsze, że FJN wygrał wybory.

X

Prace porządkowe w wojsku wykonuje tylko młodzież. Tak mówi niepisane prawo, wedle którego nie liczy się nic, nawet stopnie wojskowe, oprócz przynależności do określonych poborów, oprócz fali. Żołnierze mający ponad rok służby nie zajmują się pracą, co najwyżej przypilnowaniem, aby młodzież solidnie pracowała. Jest to w naszym wojsku chyba

najstarsze, a w każdym razie najrygorystyczniej przestrzegane prawo.

Prawo to funkcjonuje w myśl zasady: kiedyś mnie goniono, teraz ja gonię. Takie jest pojęcie sprawiedliwości.

W pierwszej chwili to zaskakujące, ale nigdy nie dostałem tak w kość od przełożonych, jak od starego wojska. Ale to zupełnie normalne.

Zawsze jest do wykonania jakaś praca zlecona przez przełożonych. Wiadomo, że starzy nawet palcem nie ruszą. Tak więc młodzi, przy nieustannym popędzaniu, wykonują podwójną robotę. Za siebie i za „panów fałowców”. Na ogół nawet się nie skarżą. Bo to w ogólnym rozrachunku się nie opłaca. Lepiej cierpliwie czekać. Niedługo samemu będzie się starym, a wtedy pogoni się innych młodych.

Najciekawszy jest stosunek kadry zawodowej do tego problemu. Bo staje się to problemem dużej wagi. Sekcja polityczna próbuje z tymi zwyczajami walczyć, jednak robi to bez specjalnego przekonania. I nic dziwnego. Na dobrą sprawę, trzeba by bowiem zacząć od uzdrowienia całej instytucji. A na to oni nie pójdą, bo stąd prosta droga do zanegowania armii w jej obecnym kształcie. A połowiczne próby rozwiązania problemu przez politycznych doprowadzają do groteskowych rezultatów. Zresztą zachowują się oni często jak słońce w składzie porcelany.

Kiedyś wezwano nas, pięciu kotów przed przysięgą, do sekcji politycznej. Przesłuchiwano każdego osobno. Ja byłem ostatni. Poprosili (nie kazali!), abym usiadł, dali papierosa i w ogóle bardzo się chcieli ze mną skunplować. Po paru tygodniach, w ciągu których słyszałem tylko krzyk, było to dla mnie coś niesamowitego. Zacząłem nabierać zaufania, rozluźniłem się. Już chciałem wylać przed nimi całe moje biedne serce, gdy wtem przyszła mi z pomocą opatrność. A raczej pewien nawyk. Bowiem, gdy znajduję się w nowym otoczeniu i minie już początkowe spięcie, pierwszym objawem rozluźnienia jest u mnie ciekawskie rozglądanie się. I wtedy także — omiotłem wzrokiem całe pomieszczenie. Pod biurkiem zauważyłem zwykły mikrofon do magnetofonu. Kabel biegł do biurka. To rozwiązało całą moją ufność. Inna sprawa, że zaraz po wyjściu zacząłem zastanawiać się, czy sobie czasem tego wszystkiego nie wymyśliłem. Przecież to aż nieprawdopodobne, by próbowali robić to w tak prymitywny sposób. Ale tego samego dnia wieczorem jeden z kolegów zapytał, czy ja także zauważyłem ten mikrofon pod biurkiem. A więc to nie był żaden zwid.

Trochę podobna historia wydarzyła się na egzaminach z zajęć politycznych zaraz po przysiędze. Egzaminował nas zastępca dowódcy jednostki do spraw politycznych. W pewnym momencie zapytał nas, jakie książki przeczytaliśmy tu, w wojsku. Był zaszokowany i zrozpaczony, że nikt z nas nic nie przeczytał. Przeważ chwilę zastanawiałem się, czy to jego pytanie podyktowane było naiwnością, czy też wyjątkowym sadyzmem. Bowiem fakt, że nie czytaliśmy, tylko po części dawał się wytłumaczyć naszym niskim poziomem intelektualnym. Wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby któryś ze starych żołnierzy lub dowódców drużyn zobaczył mnie z książką. Dostałbym taką szkołę, że do końca życia bym zapamiętał.

Zupełnie inaczej na problem stosunków między żołnierzami różnych poborów zapatruje się kadra kompanii. Ci ludzie są dalej od sprawozdań miesięcznych, a bliżej rzeczywistości. I dlatego bardzo często kadra kompanii powiera niepisane prawa. Są jej na rękę. Dają pewność, że przynajmniej część ludzi będzie coś robić i praca będzie wykonana.

Próby walki z tymi zwyczajami na szczeblu kompanii kończą się przeważnie sromotną klęską kadry. Prowadzą do sytuacji, kiedy nikt nie pracuje. Starzy, bo im nie wypada ze względu na fałę, a młodzi, bo „co, mamy być gorsi...”

Jeszcze będąc kotem zastanawiałem się nad tym, jak będę się zachowywał, gdy będę już starym żołnierzem, gdy będę miał fałę. Była mi bardzo potrzebna świadomość, że będę wtedy inny. Wiedziałem też, że będzie to najtrudniejsza próba zachowania własnej godności. Nie spodziewałem się, że będzie to próba tak ciężka.

Wojsko bowiem wytwarza pewne ciśnienie psychiczne. Niezwykle trudno jest nie „przypierdalać” młodych, nie wysługiwać się nimi. O wiele trudniej niż wydaje się to tobie, moralisto, siedzący w wygodnym fotelu. Jest bowiem w nich (a przedtem była i w nas) jakaś trudna do zniesienia służalczość. Czasami brała ochota przegonić chłopaka właśnie za tę mentalność służącego, aby mu to wybić z głowy. Kilka razy próbowałem coś zrobić dla tych zagonionych i wystraszonych ludzi. Brałem takiego na bok i tłumaczyłem, że nie powinien dawać się poniżać. Ale – odpowiadał – przecież to wojsko. Tak, dla nich to wszystko było normalne. Zrozumiałem, że tak nie można. Ale nie mogłem podawać siebie za przykład faceta, który nie dał się zgnać w początkowym okresie. Ja nigdy nie byłem służalczy i często się stawiałem, ale miałem za sobą atuty, których oni nie mieli. Byłem pisarzem kompanii jeszcze przed przysięgą i narazić mi się, mimo że przecież byłem młodym żołnierzem, nie było najgorszej. Ja mogłem sobie na wiele pozwolić. Zresztą moje próby podburzania młodych odnosiły jeszcze jeden nieprzewidziany skutek. W swej nieufności nie ufali moim intencjom. Podejrzewali, że moje postępowanie jest tylko wstępem do jakiejś perfidnej gry, której mają być przedmiotem, a której jeszcze nie mogli pojąć. Inna sprawa, że przez moje apostołskie zapędy i wysoki współzycie z kolegami z jednego poboru stawało się mocno utrudnione. Zaczęto mnie traktować z wroga pobłażliwością. Jak stuknętego.

Odsunąłem się więc od wszystkiego. Przyjąłem postawę biernego obserwatora.

Opowiadało mi:

Miał tylko osiemdziesiąt dni do cywila. Wyobrażasz sobie – tylko osiemdziesiąt. I na służbie zamknął się w magazynku broni i strzelił sobie w łeb. Widziałem go. Cała czaszka rozwalona. Krew i mózg, krew i mózg. Na samochód wrzucili go jak worek kartofli.

Podobno dziewczyna go rzuciła i dlatego. I – popatrz, co za wariat – tylko osiemdziesiąt dni do cywila! A taki idiotyzm.

Tutaj wszystko liczy się dniami do cywila. Reszta nie jest ważna. Samobójstwo młodego żołnierza wzbudziłoby tylko politowanie, ale nie zdziwienie. Lecz ten?

W stosunkach międzyludzkich w wojsku istnieje jednak, jak sądzę, problem daleko ważniejszy niż konflikt młodzi–starzy. Mam na myśli podoficerów służby zasadniczej, czyli kaprali, dowódców drużyn. W pewnym sensie bowiem są to tacy sami żołnierze jak wszyscy inni. Też z poboru na dwa lata. I raczej wbrew własnym chęciom. A jednak są tak bardzo różni.

Ich wojskowa edukacja przebiega nieco inaczej. Pierwsze pół roku służby spędzają w szkołach podoficerskich, gdzie uczą się dowodzenia na szczeblu drużyny. Uczą ich także wielu innych rzeczy. Często zastanawiałem się, czego i jak. Nigdy się nie dowiedziałem. Widziałem tego rezultaty, a te były zaskakujące.

Kapral wie, że w hierarchii wojskowej jest czymś gorszym od żołnierza zawodowego. Ale z drugiej strony jest święcie przekonany, że jest czymś daleko lepszym od każdego żołnierza służby zasadniczej.

Znałem dość blisko wielu kaprali. Byli to często bardzo inteligentni i kulturalni ludzie. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak dali sobie wzmówić tę nieprawdopodobną lepszość. Prawie żaden z nich nie spoufalął się ze zwykłym żołnierzem. Często dziwili się, dlaczego mnie traktują jak równego sobie. Zresztą przepisy chroniły ich przed zbyt dużym kumplowaniem się z nami, szarymi żołnierzami. Spali w osobnych salach zwanych podoficerkami, w stołówce jadali przy wydzielonych stolikach. Mieli daleko więcej praw niż przeciętny żołnierz. Już chociażby to, że na ZOK biegali bez plecaków i hełmów. Nigdy nie byli wyznaczani do prac porządkowych. Nawet podoficerki sprzątane były przez innych, gorszych żołnierzy.

Ich pogarda dla żołnierza była konieczna z wychowawczego punktu widzenia. Tylko bowiem człowiek, który nami gardził, mógł nas w tak nieludzki sposób ganiać po poligonie.

Jeden z tych inteligentniejszych opowiadał mi następującą historię:

– Wiesz, nie potrafię tego zrozumieć. Byłem w domu na urlopie. Chciałem zrobić rodzicom przyjemność. Opowiedziałem im, jak się ze mną liczą, jakie znaczenie mam tutaj. Opowiedziałem, jak postępujemy z młodymi. Że czyszczą mi buty, że bez szemrania słuchają, jak im każę raptem pompować za listy, albo co. I matka w czasie obiadu wyszła do kuchni, a ojciec zbeształ mnie jak szczeniaka. Że niby faszysta. Jak tak można?

Tak, jak tak można? Przecież oni robią to w celu wychowania dobrych i karnych żołnierzy. Zdyscyplinowanych żołnierzy.

Dobry żołnierz nie klnie. Szczególnie, gdy jest młodym żołnierzem. Więc w twarz.

Dobry żołnierz nie choruje. Każda choroba ma w sobie coś z symulacji. Więc jeśli któremuś zbierze się na kaszel, to aplikuje mu się przysiadki aż do skutku. To znaczy, aż przestanie kasłać.

I tak dalej. Bo trzeba nam zdrowych i kulturalnych żołnierzy.

A to, że czasem zaścielą nam łóżko, wypraszają mundur, wyczyszczą broń, dadzą połowę paczki z domu, wyczyszczą buty, przyniosą obiad ze stołówek, śpiewają i tańczą, aby nas rozzerwać... To co? Oni są nawet zadowoleni, że mogą coś zrobić dla swojego kaprala

XI

Ostatnie miesiące wojska...

Ania przestrzegają mnie przed tym. Przypominała więziennie doświadczenia swoich przyjaciół. I rzeczywiście. Ostatni okres przymusowego skoszarowania jest najcięższy psychicznie. Im mniej czasu dzieli nas od wyjścia, tym trudniej wytrzymać. I jeszcze to denerwujące, ciągłe liczenie dni.

Wzrasta nerwowość. Coraz częściej się pije. Z początku jeszcze w pełnej konspiracji, potem już coraz częściej przestaje się zważać na własne bezpieczeństwo. Nie chce się myśleć i czytać. Nie mówią już o robieniu jakichkolwiek notatek. Potrafiłem w ostatnim tygodniu przeleżeć w łóżku około dwudziestu godzin na dobę. I nikt nam nawet nie zwracał uwagi na niestosowność zachowania.

Wiarygodność wyjścia oddalała się prawem jakiegoś paradoksu.

Przeciętny żołnierz dwa razy w życiu ma okazję do spożycia obiadu w towarzystwie dowódcy jednostki. Po raz pierwszy w dniu przysięgi, po raz drugi w dniu odejścia do rezerwy.

I nie są to takie zwykłe obiady. To jakby starochrześcijańska AGAPA – uczta miłości i pojednania. Całe misterium.

Ten pierwszy obiad jest po to, by żołnierz zapomniał o okresie unitarym. Aby zapomniał o tych kilku tygodniach, kiedy traktowano go, jak zwierzę wymagające bezwzględnej tresury.

Ten drugi jest po to, aby żołnierz zapomniał, że było dwadzieścia i parę następných miesięcy. Miesiące, gdy był kimś z niższej kasty:

pariasem
murzynem
żydem
metekiem.

Najczęściej pamięć knebluje się kotletem schabowym.

Żołnierze powoli kończyli obiad, Rezerwista dokładnie, z namaszczeniem składał niezbędny. Wstał, wrzucił do cynowej miski po zupie blachę i głośno krzyknął:

Koniec syfu,
Koniec fali,
Już nie będą
W chuja grali
ZEROOOO...

Uśmiechnął się wyrozumiale widząc pełne zazdrości spojrzenia kociarstwa.

Tak właśnie wyglądał koniec.

XII

Adam, gdy sam wychodził po jakimś kilkutygodniowym przeszkoleniu, przestrzegął mnie przed tym momentem. Pisał o tym, jak długie oczekiwanie na upragnione wyjście fałszuje perspektywę. Świat, do którego ma się wyjść, przestaje być w nas światem rzeczywistym. Powstaje gdzieś w głębi marzeń w opozycji do tego, który tak długo był naszym udziałem.

A przecież to, co nas wita, to nie Eldorado. To nie Utopia. Zakres wolności się zwiększa, ale nie jest za duży. Zwiększa się nasza możliwość poruszania się, ale też tylko w obrębie trzydziestoletnich granic, z których często trudniej jest się wyrwać niż na przepustkę z jednostki. Już nie trzaskamy obcasami, ręka bezwiednie nie wędruje do daszka czapki. Fakt, ale w dalszym ciągu potulnie wysłuchujemy kretyńskich rozkazów byle sierżanta.

Z początku dajemy się nabrać na pełnię wolności. Potem na nowo uczymy się sztuki życia w tym kraju. Jak dziecko uczące się chodzić, uczymy się widzieć.

Na razie stawiam pierwsze kroki.

ANTONI PAWLAK

Kwiecień — sierpień 1978

STANISŁAW BARAŃCZAK

KĄTEM U SIEBIE (Wiersze mieszkalne)

MIESZKAĆ

Mieszkać kątem u siebie (cztery ściany a
szpieg piąty, sufit, z góry przejrzy moje
sny), we własnych czterech
cienkich ścianach (każda z nich pusta,
a podłoga szósta oddolnie napiętnuje
każdy mój krok), na własnych śmieciach,
do własnej śmierci (masz jamę w betonie,
więc pomyśl o siódmym,
o zgonie,
ósmym cudzie świata, człowieku)

CAŁE ŻYCIE NA WALIZKACH

Całe życie na walizkach z własnej skóry
(to najtańsza imitacja tektury);
kątem pośród swych składanych kości
(prawie plastik, lecz gorszej jakości);
wprowadzając się przejściowo w mózgu zwoje
(mniej ustawne niż przechodnie pokoje);
na odchodnym z przedsionków serca
(byłe klatka schodowa jest szersza);
na wylocie ze źrenicy oka
(nie tak jasnej jak kuchnia bez okna);
w tym lokalu nie umeblowanym
z tymczasowym żyj zameldowaniem,
choć nigdy się twoim nie stanie
twoje życie, zastępcze mieszkanie

RAZEM Z KURZEM

Razem z kurzem na książkach, z odciskami
palców na szkle (ostrożnie,
nie rzucać), razem
z kartką na cukier i krzyżem na drogę
(ostrożnie, nie upuszczać); przeprowadzam się
razem z pisaniem na kolanie, z tysiącem terminów
na głowie (ostrożnie, nie przesuwac), z tysiącem
na czarną godzinę (ostrożnie, nie
przeczuwać), razem z miną na schwał i raną
na przestrzał, z obietnicą na odczepnego i nadzieją na
wprost (ostrożnie, nie dowierzać), razem
z można na upartego i trzeba na gwałt,
razem z będzie na pewniaka i zapomniałem na śmierć (ostrożnie,
nie umierać), razem z zaczniemy na nowo
i odpukać na wszelki wypadek i wszystko
na próżno, i razem z miłością, która
jedyna mi zostanie na zawsze, na przekór
i naprawdę, ostrożnie, tragarze,

to wszystko jest znacznie cięższe, niż na to wygląda

JEŻELI PORCELANA, TO WYŁĄCZNIE TAKA

Jeżeli porcelana, to wyłącznie taka,
krócej nie żał pod butem tragarza lub gąsienicą czołgu;
jeżeli fotel, to niezbyt wygodny, tak aby
nie było przykro podnieść się i odejść;
jeżeli odzież, to tyle, ile można unieść w walizce,
jeżeli książki, to te, które można unieść w pamięć ci,
jeżeli plany, to takie, by można o nich zapomnieć,
kiedy nadejdzie czas następnej przeprowadzki
na inną ulicę, kontynent, etap dziejowy
lub świat:

kto ci powiedział, że wołno ci się przyzwyczajać?
kto ci powiedział, że cokolwiek jest na zawsze?
czy nikt ci nie powiedział, że nie będziesz nigdy
w świecie
czuł się jak u siebie w domu?

DYKTO, SKLEJKO, TEKURO, PŁYTO PAŹDZIERZOWA

Dykto, sklejko, tekturo, płyto październowa,
jeszcze się wyprostuję i kość pacierzowa

wstawi się za mną, we mnie nieugięcie skleci
pacierz prosty jak mebli odwróconych plecy

z dykty, z płyty piłśniowej, ze zklejki, z tektury;
ja jeszcze zmartwychwstanę, chociaż nie wiem, który

ja; przestanę się garbić, chodział kręgow dyktat
nie przetrwa w moim ciele tak długo jak dykta,

co wpaja plecom szafy niezłomność pionową;
jakby się Księżyc nagle swą ciemną połową,

odwrócił ku mnie – stoję i przykładam ucho,
i puste serca mebli głucho w nich i sucho

dudnią swą nieśmiertelność tandetną; ja jeszcze
wyprostuję się przecież, podźwignę się, zmieszczę

w sobie ten cały prosty świat, moja grobowa
płyto, dykto, tekturo, płyto październowa

CZAS SKOŃCZYĆ Z TAKIMI

Czas skończyć z takimi
praktykami – skarży się lokator
własnościowego życia – czekam co dzień,
a On nie raczy się zjawić,
fachowiec od siedmiu boleści; wszystko
paczy się, pęka, psuje,
a On nic przyjdzie, chociaż sam zawinił
w swoim czasie
wszystkie możliwe usterki;
zapytuję, jak długo można modlić się na kłęczkach,
chodzi w końcu o zwykłą
rzetelność; na początku było słowo
honoru, że przyjdzie i naprawi,
a teraz tylko domaganie się kolejnych zaliczek;
i jak On chce, żebym w Niego wierzył,
ten niesolidny rzemieślnik
bujający w obłokach;

czas skończyć z takim spoglądaniem z góry
na człowieka;

czy On sobie wyobraża, że jest moim Panem?

CHOĆBY NAJGRUBSZY RYGIEL

Choćby najgrubszy rygiel,
najwymyślniejszy zamek:
cóż żelazny ich rygor,
gdy z zewnątrz i wewnątrz zamęt?

Na nic zatrask i sztaba,
pek patentowych kluczy:
pięść mroku rygle kruszy,
gdy na drzwi twoje spada.

Przez niewidoczną szparę
zamkniętych na łańcuch drzwi
wciśnię się dłoń koszmaru,
który otwarcie drzwi

z twoich zamknięć i zakłęb;
a w drzwi wprawiony judasz,
choć obojętność udasz,
każe ci w ciemność patrzeć.

I wołanie o pomoc,
wierno i wieczne wołanie,
kpiąc z opłaconych polis,
do domu ci się wtamie

miazdząc najgrubsze rygle,
najsolidniejsze z zasuw.
Spoza światów i czasów
własny głos cię doścignie.

Z RZADKIEGO BŁOTA, Z GLINY

Z rzadkiego błota, z gliny wilgotnej wyrosła wieżowce,
w jedenastopiętrowy swój byt na mur-beton wierzące,
czy naprawdę? powiedzcie, naprawdę obca wam rozpacz?

tego, kto dach nad głową ma jak nad głową wiszący
miecz, kto jednym tchem życia śmierć sam sobie wyrządza
i nie ma chwili, by z częścią siebie nie musiał się rozstać?

Otwartymi oknami spójrzcie: z terjerem zawzięcie węszącym
powraca ze spaceru mieszkaniec, ciało w jesionce,
wilgotna gina, której co chwila nowy rozkaz

wydać śmierć. Lecz on o tym wie. Wierzy w lata, w miesiące
nie tak jak wy, wieżowce, swą wieczność wyniosłą wieszczącą
i nieświadome, że gina przetrwa betonu rozpad.

SKORO JUŻ MUSISZ KRZYCZEĆ, RÓB TO CICHU

Skoro już musisz krzyczeć, rób to cicho (ściany
mają
uszy), skoro już musisz się kochać,
zgaś światło (sąsied
ma
lornetkę), skoro już musisz
mieszkać, nie zamykaj drzwi (władza
ma
nakaz), skoro już
musisz cierpieć, rób to we własnym domu (życie
ma
swoje prawa), skoro
już musisz żyć, ogranicz się we wszystkim (wszystko
ma
swoje granice)

KAŻDY Z NAS MA SCHRONIENIE

Każdy z nas ma schronienie w betonie,
oprócz tego po jednym balkonie,
na nim skrzynkę, gdzie sadi begonie;

odbywamy śmierci i porody,
oglądamy prognozę pogody,
aby żyć, mamy ważne powody;

jednocześnie nam biją godziny,
jednakowo się kłócimy, godzimy,
odpoczynek nasz jest jaki? – godziwy;

z okna widać w porze szarówki
stuwatowe w innych oknach żarówki;
a pod blokiem kredens z ciężarówki

właśnie znosi firma transportowa
i ktoś dzwiga – plez się zmordował –
sofę, która jest jak zawsze bordowa.

czerwiec-październik 78

NOTA: wyrażenie „jama w betonie”, oznaczające mieszkanie spółdzielcze, autor
zawdzięcza niezmordowanej inwencji językowej Lecha Dymarskiego.

STANISŁAW BARAŃCZAK

SEWERYN POLLAK

LISTY Z NIEDAWNYCH LAT (O korespondencji Borysa Pasternaka)

Borys Pasternak tworzył w epoce, którą krytykom badającym i oceniającym współczesnych im poetów i prozaików najporęczniej było rozpatrywać, czasem *ad usum Delphini*, w kategoriach różnych i na różnych głębokościach przebiegających przełomów. Wydaje mi się, że to słowo, które tak łatwo pozwala godzić sprzeczności, słowo niekiedy tylko określające wielką wewnętrzną przemianę, ale czasami po prostu mylące gwałtowną przemianę, odstępstwo czy nawrócenie z dojrzwaniem, klarowaniem się pierwotnej, nigdy nie zaprzeczonej idci – słowo to jest w wielu wypadkach nadużywane. Myślę, że jest ono nadużyciem także wobec Borysa Pasternaka.

Jeszcze niedawno, kilkanaście lat temu sam zresztą byłem bliski tej koncepcji. Dopiero kiedy na twórczość Pasternaka spojrzełem jako na wielką zamkniętą sprawę, odstoniła się jej wewnętrzna konsekwencja i ciągłość: bo wszelkie w niej przeciwieństwa były zawsze pozorne, bo godził je w każdym okresie twórczości podstawowy stosunek Pasternaka do życia i sztuki. „Nasze niewinne dzień dobry i do widzenia nie miałyby żadnego sensu, gdyby czas nie był nasycony jednością zdarzeń naszego życia...” – pisze Pasternak w „Liście żelaznym”.

Swoje główne tezy, dotyczące człowieka, jego związków z przyrodą, podstawowej roli sztuki, wypowiedział młody Pasternak już jesienią 1910 roku na którymś zebraniu „Musagetu”, grupy młodszych symbolistów z Andrzejem Biełym na czele. W zagubionym później referacie „Symbolizm i nieśmiertelność” sformułował poeta tezy, które pozostały dla niego do końca żywe i ważne. Kiedy w „Szkicu do autobiografii”, streszczając ów referat, mówi on o relacji subiektywnych wrażeń z percypowanym

światem zewnętrznym, o tym, że subiektywny odbiór wrażeń jest jednocześnie ponadjednostkowy i uczestnicząc w gatunkowej podmiotowości uczestniczymy w historii istnienia ludzkiego rodu – to w gruncie rzeczy nie ma w tym nic, czego by Pasternak pod koniec życia się wyrzekał.

Z ową ponadjednostkową podmiotowością szło w parze rozumienie sztuki, jako czegoś wynikającego z poznania świata w jednym ośnieniu, w jednym intuicyjnym objawieniu. Ten uczeń szkoły marburskiej, dla której poznanie było wyłącznie rzeczą myśli, bo myśl dla neokantystów konstruuje sobie sama wiedzę o przedmiotach – nie był widocznie zbyt dobrym tej szkoły wyznawcą, skoro identyfikuje się on niejako z przyrodą i z jej objawieniami.

Kiedys już o tym pisałem, że całe życie poety – w jego filozofii twórczości – uwikłane jest w przyrodę i świat rzeczy. Zjawiska jej nie są ani przedmiotem opisu poetyckiego, ani nawet materiałem opisu, ale przedmiotem i materiałem samej poezji, są świadomością poety, jego myślą, a zarazem przedmiotem jego wiedzy o świecie. Elementarne siły przyrody są dla niego jednorodne z siłą twórczą. Jednorodna jest namiętność i żywiołowość zarówno w przyrodzie jak i w jej odczuwaniu.

Jam – życie ziemi i jej zenit,

Pierwszy stworzenia dzień

– pisze Pasternak już w 1914 roku.

Z poczucia tej jedności wynika też stosunek Pasternaka do sztuki. Jego poezja to świat w ruchu. W jednym z listów do Jacqueline de Froyart, autorki znakomitej przedmowy do pierwszego tomu michigańskiego wydania jego dzieł, pisał już pod koniec życia, w latach pięćdziesiątych: „Lubiłem ruch w najbardziej różnorodnych jego przejawach, zjawisko siły, rzeczywistości. Lubiłem chwycić i przekazywać ten gwałtownie wzburzony świat”.

Ale jeśli deklarował on zawsze korne chłonięcie świata, jeśli w jednym z wierszy mówił kiedyś: „Zeszyt otwarty, strugo, sącz się”, to przecież nie było to bierne poddanie się żywiołom, bo takiemu poddaniu przeciwstawił zawsze aktywny stosunek do świata. Już w 1913 roku w liście do Aleksandra Szticha, przyjaciela z lat szkolnych, mówiąc o pierwszych inspiracjach poetyckich podkreśla on ową „zdolność rządzenia tym, co nieproszone, rozpoczynania od siebie tego, co do tej pory zjawiało się bez początku i, ujawnione po raz pierwszy, już stało tuż obok jak natura”.

Ów porządek sztuki to dla Pasternaka porządek przede wszystkim etyczny. Jedność wszystkich poczynań, jedność świata, przyrody i uczuć człowieka jest zarazem dla Pasternaka jednością dążenia etycznego. A zarazem jedność przyrody, poezji i historii w jej ustawicznym ruchu była dla niego podstawą tego, co nazywał realistycznym widzeniem świata.

W artykule o Szopenie, artykule, którego sformułowania Pasternak uważał za wyraz swoich poglądów na sztukę, pisze on: „Wszędzie, w każdej sztuce realizm nie jest zapewne oddzielnym kierunkiem, ale stanowi szczególny stopień nauki, wyższy stopień autorskiej ścisłości”. I dalej tłumaczy, że owa ścisłość twórcy – wierność sobie i swemu życiu

„jako narzędzia poznania każdego życia na świecie” — „chroni go przed dowolnością, a jednocześnie nakłania do nowatorstwa i oryginalności”.

I nie trzeba było czekać do lat czterdziestych, kiedy Pasternak zaczął upraszczać stylistycznie materię swych wierszy, ani do późniejszych konstatacji, zakończonych w „Szkiecie do autobiografii” ostatecznym stwierdzeniem, że „najbardziej zdumiewających odkryć twórcy dokonali wtedy, gdy przepełniająca artystę treść nie dawała mu czasu na zastanowienie i gdy naprędce wypowiadał on swoje nowe słowo w dawnym języku, nie zastanawiając się, czy jest on dawny czy nowy”. To stwierdzenie wynika przecież z innej formy, wypowiedzianej prawie ćwierć wieku wcześniej w przemówieniu na Pierwszym Zjeździe Pisarzy Radzieckich — w 1934 roku: „Poezja to proza, proza nie w sensie zbioru, czyichś tam utworów prozaiicznych, ale sama proza, głos prozy, proza w działaniu, a nie w odtwarzaniu. Poezja to język organicznego faktu, to zriaczy faktu mającego żywe skutki (...) czysta proza w jej komunikatywnym napięciu — to poezja”.

Oczywiście są to echa Tołstoja i jego teorii sztuki — a właściwie u Tołstoja — zaprzeczenia sztuki. U Pasternaka owo dążenie do bezpośredniości wypowiedzi wynika z poczucia jedności praw natury i historii, ścisłej współzależności wszystkich elementów istnienia. Stąd też jego, jak bym nazwał, anachroniczny historycyzm (co, nawiąsem mówiąc, w przykładach poetyckich przejawiało się w dążeniu do uwspółcześniania tłumaczonych tekstów). Wspomina o tym w „Liście żelaznym” pisząc:

„Lubiłem żywą treść historycznej symboliki, inaczej mówiąc, ten instykt, którym posługując się niby jaskółki salangany, zbudowaliśmy świat — ogromne gniazdo ulepione z ziemi i nieba, z życia i śmierci, i z dwóch czasów, obecnego i nieobecnego”.

Owa koncepcja ścisłej współzależności ludzkiego losu, historii i miłości, podporządkowanych nadrzędnym prawom etycznym, jest jak gdyby osnową całej twórczości Pasternaka, całego jego widzenia świata. Dostrzec ją można zarówno we wczesnej poezji, jak i — wyraźnie rozwiniętą, uświadomioną i podkreśloną przez chrystianizm, który na tym tle się klaruje — zarówno w „Doktorze Żywago”, jak i w wierszach ostatniej doby. O owym przeobrażającym skalaniu świata mówił Rilke, że przypominę tylko jego zdanie z listu do Witolda Hulewicza (z 13 listopada 1925 roku), że „celem naszym jest tak głęboko i tak namiętnie, i z takim cierpieniem przyjąć w siebie tę przemijającą, nietrwałą ziemię, aby znów 'niewidzialnie' odrodziła się w nas jej istota”.

Kiedyś, we wczesnej młodości, Pasternak pisał, że sztuka jest gąbką, że powinna wchłaniać i nasycać się. Nie jest to bynajmniej postawa bierna, bo towarzyszy temu chłonięciu cierpienie i uniesienie ducha. W trzydziści kilka lat później czynniki te klarują się już wyraźnie w poczuciu wspólnoty z ludźmi. W poetyckim suplemencie do „Doktora Żywago” znajduje ostateczną dla tej postawy formułę:

Ze mną są ludzie bez nazwiska,

Odludków, dzieci, drzew sąsiedztwo.

Jam zwyciężony przez nich wszystkich —

I tylko w tym moje zwycięstwo.

Tę końcową strofę wiersza „Świt” poprzedza zdanie nader dla zrozumienia postawy Pasternaka istotne:

Ja za nich wszystkich czuję, za nich,
Jak gdybym był w ich własnej skórze...

Element niepokoju moralnego, tylekroć podkreślany jako istotny nurt „Doktora Żywego”, pojawił się w tej powieści już jako wynik długiego procesu krystalizowania się u Pasternaka świadomości o nadrzędności etyki, co zresztą zawsze stanowiło integralną, choć w różny sposób w różnych latach formułowaną część jego programu artystycznego. Dlatego też – nawiasem mówiąc – nie przekonuje innie teonia przełomów w twórczości Pasternaka. Chyba, że za przełom w tej twórczości uznany – powtarzam – poprzez zmiany środków formalnych dążenie do zharmonizowania wypowiedzi poetyckiej z tym, co powinna była w mniemaniu poety wyrażać.

W różnych okresach różny był stopień odwagi, której wymagało od pisarza postępowanie zgodne ze wszystkimi postulatami moralnymi, jakie stawiał sobie i swojej twórczości. Czasy, w których przypadło żyć i tworzyć Borysowi Pasternakowi, nie należały bynajmniej do czasów łatwej odwagi. On, który za Tołstojem uważał, że między przekonaniem etycznym, społecznym i artystycznym powinna panować wewnętrzna zgodność, poświęcił w imię tej zgodności bardzo dużo i w listach jego ta właśnie sprawa jest wciąż podskórną obecna.

Lidia Czukowska w przedmowie do wydanych w 1976 roku „Notatek o Annie Achmatowej” pisze między innymi: „Znamienne dla moich notatek z epoki terroru jest to, że ukazywane są w nich w pełni jedynie sny. Realność nie poddawała się mojemu opisowi, więc jej – nie robiłam nawet prób, aby ją opisywać w dzienniku. W notatkach tych całkowicie brak treści naszych ówczesnych rozmów, szeptów, domysłów i przemilczeń. (...) Zasadnicza treść moich rozmów ze starymi przyjaciółmi i z Anną Andriejewną także została pominięta. Czasami tylko jakiś znak, aluzja, jakieś inicjały, znaki dla przyszłości, której nigdy nie będzie – i tyle. (...) Zapisywać nasze rozmowy? Czyż nie byłoby to równoznaczne z narażaniem jej życia? Nie pisać o niej nic? To także byłoby przestępstwo. Pełną niepewności, pisałam to szczerzej, to bardziej ukrywając właściwe znaczenie, chowałam moje notatki to w domu, to u przyjaciół, tam, gdzie wydawało mi się bezpiecznie. Ale niezmiennie odtwarzając możliwie dokładnie nasze rozmowy, opuszczałam lub zaciemniałam zasadniczą ich treść: moje starania związane z Mitią, jej – z Lową; nowiny z tych dwóch frontów; wiadomości o tych, co zginęli w ciemnościach nocy”.

Rozmowy literackie w moim dzienniku w sposób nie odpowiadający rzeczywistości wysunęły się na pierwszy plan (...)”.

Ten cytat doskonale charakteryzuje atmosferę życia i rozmów w owych latach i dopiero na tym tle możemy zastanawiać się nad treścią i tonacją listów Pasternaka.

Pseudonimowanie każdego niemal przejawu życia, pseudonimowanie literatury, korespondencji, rozmów – było świadectwem nie tyle braku

odwagi osobistej, ile rozumiały ostrożnością, by nie narazić bliskich, a z czasem tego rodzaju postawa wytworzyła styl, który dobitnie wpłynął na całą literaturę, na jej treść. Listy Pasternaka pisane były w czasach, kiedy ludzie nie tylko zdawałoby się „bez powodu” zrywali korespondencję, ale nawet znajomości, kiedy samo odezwanie się do kogoś było nieraz aktem odwagi i wyrazem określonej postawy.

Oczywiście musiało to w jakiś sposób wpłynąć i na treść listów Pasternaka. Musiało wpłynąć na to, że począwszy od połowy lat trzydziestych w listach jego nawet do najbliższych przeważają sprawy osobiste. Nie znaczy to, aby choć na krótki czas przerwał listowne rozmowy o sprawach literackich, i nie znaczy również, by kiedykolwiek w jakimkolwiek przypadku wyrzekł się korespondencji z kimś, kto w określonym czasie, nawet w najstraszniejszych latach, mógł go pośrednio kompromitować czy narazić na niebezpieczeństwo.

Niepodobna zdać sobie sprawy z genezy „Doktora Żywago” nie przeczytawszy rozprawy stanowiącej suplement, a właściwie esecystyczne zamknięcie „Wojny i pokoju”. Powieść Pasternaka nie jest oczywiście oparta bezpośrednio na tezach Tolstoja, więcej, bo postępowanie bohatera, płynącego pod prąd wydarzeń, zdaje się być czymś w rodzaju indywidualistycznej polemiki z założeniami wielkiego starca z Jasnej Polany – a przecież z jego właśnie ducha płynie nie tylko pisanie Pasternaka, ale i postępowanie.

W liście do Renaty Schweitzer z 18 września 1958 roku Pasternak pisząc o niedawno minionych latach i wspominając „zatrącenie całych społeczeństw, morderstwo milionów, tysiące zburzonych miast”, mówi jednocześnie: „wydaje mi się, że sam przez się nie zrobiłem niczego nowego, że moi poprzednicy i nauczyciele, nasi wielcy powieściopisarze (i Skandynawowie) może napisali to wszystko moją ręką, że zapaliłem świecę Maltego, stojącą bez płomienia i bez użytku, i że światłem Rilkego w rękę wyszedłem w mgłę z domu na podwórze, na ulicę, pomiędzy ruiny. Pomyśl, jak często w swoich szkicach (jak i Proust) nie znalazł on po prostu zastosowania dla swej genialnej przezierczości, a teraz – patrz – sterty, góry możliwych zastosowań, straszne, błagające impulsy dla twórczości. Jakkolwiek nasza rzeczywistość nie nadaje się na dowcipy, jakkolwiek jest tragiczna i poważna, to jest to nasza ziemiska rzeczywistość, poetycka konkretność. A więc płacemy ze szczęścia i przerażenia”.

Takie oto było bezpośrednio zetknięcie się z historią, zanurzenie się Pasternaka w historię. Ale już dobrze przed wojną, przed trzydziestym siódmym rokiem i w latach wojny, a – jak wiemy – i później, aż do końca był on po tysiącokroć wciągnięty w nurt historii, czy chciał czy nie chciał, musiał się w niej zanurzyć – i było to pierwszą przyczyną, pierwszym bodźcem do wniosków dalszych – przede wszystkim etycznych, do pierwszego nakazu pisarza: czystości odczuwania, solidarności z ludźmi, poczucia odpowiedzialności za nich. Nie na próżno w 1937 roku, jednym z najstraszliwszych, niemal przerywa się korespondencja Pasternaka, nie na próżno zawiadamiając w rok później Ninę Tabidze o narodzinach synka, pisze on o przerażeniu żony, kiedy chciał go na cześć Paola Jaszwilego, który zginął

w 1937 roku, nazwać Pawłem. I nie na próżno wspominając ten straszny rok, w 1942 roku w liście do Czukowskiego, wracając myślą do okresu wielkiej czystki i nie chcąc uczestniczyć w obłudzie powoływania się na Tołstoja, mówi z oburzeniem:

„Kiedy pięć lat temu odmówiłem Stawskiemu podpisu pod lajdactwem i gotów byłem za to ponieść śmierć, a on mi tym groził i tak czy inaczej oszukańczo i fałszywie dał mój podpis, to krzyczał: 'Kiedy skończy się to tołstojowskie opętanie?' I oto nagle Lew Nikołajewicz został bohaterem”.

Pełno jest w jego listach, nawet przy czysto teoretycznych rozważaniach, tych konkretów, które lepiej niż długie rozmowy malują sytuację, w jakiej przypadło wówczas żyć ludziom. I jakże często te odwołania się do historii są dokumentem życia poety, dowodem bezpośredniej interwencji w to życie historii w jej najokrutniejszych przejawach. W liście do Iwanowów z 8 kwietnia 1942 r., opowiadając o ciężkiej chorobie syna Zinaidy, Andriana Neuhaus, i o swoich lękach o jego życie, wtrąca zdanie: „Ukrywamy przed nim także los Henryka Gustawowicza (ojca chłopca), ale pewno wreszcie powiem mu prawdę (podzielił on los Iwana Kapitonowicza i Wsiewołoda Emiliewicza, jeśli jeszcze o tym nie wiesz), aby chłopiec nie myślał, że ojciec zginął podczas bombardowania”.

Ciosy historii w mniejszym stopniu odczuwał poprzez własne losy niż przez bliskich, przez przyjaciół. Od czterdziestu blisko lat jeszcze teraz chodzą legendy o telefonicznej rozmowie Pasternaka ze Stalinem w sprawie Mandelsztama po jego pierwszym aresztowaniu w maju 1934 roku. Ta nocna rozmowa ze Stalinem była dla Pasternaka przeżyciem tak wielkim, że wracał do niej przez długie lata rozstrząsając wszystkie swoje muemane uchybienia i niedopowiedzenia, przez długie lata na wspomnienie o tej rozmowie tracił spokój ducha. Ale w jego korespondencji tylko raz natrafiłem na ślad tej sprawy, na jedyną wzmiankę zaszyfrowaną w zdaniu w liście z 27 IX 1934 roku do pisarza Sergiusza Spasskiego, z którym się przyjaźnił. Pasternak pisał: „Rzecz polega na tym, że chociaż Pana co do telefonu nie oszukano (był na wiosnę, a nie przed zjazdem)* i stosunek do mnie na zjeździe był całkowitą niespodzianką, to przecież wszystko to jest znacznie bardziej skomplikowane, niż może sobie Pan wyobrazić, a najważniejsze, że dzięki pośrednim przyczynom wiążącym te sprawy ze mną — jest bardziej szare i powszednie (...)”.

Trudno powiedzieć, o jakich pośrednich przyczynach mówił tu Pasternak, bo tekst, drukowany w moskiewskich *Woprosach Literatury*, w tym miejscu się urywa. Ale jeśli zabrakło tu pauz wyjaśniających słów czy zdań, samo to, że owa wielka dla Pasternaka sprawa tylko raz wydojła się w listach na powierzchnię, więcej niż cokolwiek mówi nam o nieporównywalności pisarskiej korespondencji tego czasu z korespondencją np. Manna czy któregośkolwiek z wielkich literackich epistolografów.

Istnieją różne, a często nawet krzywdzące Pasternaka wersje tej rozmowy. Pisze o niej obszernie Anna Achmatowa w swoim wspomnieniu o

* Mowa tu o Pierwszym Zjeździe Pisarzy Radzieckich w sierpniu 1934 r.

Mandelsztamie, a wiarygodność jej relacji mnie osobiście potwierdziła Nadieżda Jakowlewna Mandelsztam.

Podaję w dużym skrócie okoliczności sprawy: Mandelsztam został aresztowany 13 maja, kiedy po całonocnej rewizji znaleziono u niego wiersz pt. „Wilk”. Rewizja ta zastała Achmatową w mieszkaniu Mandelsztamów. „Pasternak, u którego byłem tego samego dnia – pisze Achmatowa – poszedł do *Izwestii* prosić Bucharina o interwencję w sprawie Mandelsztama, a ja poszłam na Kreml do Jenukidzego (...). Jenukidze był dosyć uprzejmy, ale od razu zapytał: ‘A może jakieś wiersze?’ W ten sposób przyspieszyliśmy i prawdopodobnie złagodźliśmy rozstrzygnięcie. Wyrok – trzy lata w Czerdyni, gdzie Osip wyskoczył z okna szpitala i złamał rękę, ponieważ wydało mu się, że przyszedł po niego. Nadia posłała depezę do KC. Stalin nakazał rewizję sprawy i pozwolił wybrać inne miejsce zesłania, a potem zadzwonił do Pasternaka”. Stało się to po liście Bucharina do Stalina, który pisał, że „Pasternak też się niepokoi”.

Dalej Achmatowa pisze: „Stalin powiedział, że wydane zostało rozporządzenie i z Mandelsztamem wszystko będzie dobrze. Zapytał Pasternaka, dlaczego nie robił starań. ‘Gdyby mojemu przyjacielowi pocie zdarzyło się nieszczęście, to stawałbym na głowie, żeby go ocalić’. Pasternak odpowiedział, że gdyby nie robił starań, to Stalin nie dowiedziałby się o tej sprawie. ‘Dlaczego nie zwróciłeś się do mnie albo do organizacji literackiej?’ – ‘Organizacje literackie nie zajmują się tym od 1927 roku’ – ‘Ale przecież to pański przyjaciel?’ Pasternak zaważał się, a Stalin po krótkiej pauzie pytał dalej: ‘Ale przecież on jest doskonały, doskonały?’ Pasternak odpowiedział: ‘To nie ma znaczenia’. Borys Leonidowicz myślał, że Stalin sprawdza go, czy wie on o wierszu, i tym tłumaczył chwiejność swoich odpowiedzi. ‘Dlaczego wciąż mówimy tylko o Mandelsztamie, od dawna już chciałem z wami porozmawiać’ – ‘O czym?’ – ‘O życiu i o śmierci’. Stalin odwiesił słuchawkę”.

Tyle Achmatowa, która przed tą relacją podaje, że wraz z Nadieżdą Jakowlewną uważały, że „Pasternak zachował się na czwórkę z plusem”. Warto tę relację uzupełnić informacją dramaturga Aleksandra Gładkowa, autora wydanego w 1973 roku tomu pt. „Spotkania z Pasternakiem”. Gładkow spędził z Pasternakiem okres ewakuacji w Czystopolu. Mówi on również o tej rozmowie telefonicznej i dodaje: „...Borys Leonidowicz był potem długo w rozpacz, robiąc sobie wyrzuty, że nie potrafił powiedzieć czegoś bardzo ważkiego dla ulżenia losowi Mandelsztama i rozgniewał wielkiego wodza niestosowną familiarnością”. Ale sam Gładkow dodaje: „Wedle słów Nadieżdy Jakowlewny Mandelsztam, wdowy po pocie, ‘Borys Leonidowicz mówił ze swym rozmówcą tak, jak rozmawiał ze wszystkimi ludźmi – ze mną, z Anną Andriejewną, z kim bądź. I dlatego właśnie coś zostało znakomicie powiedziane – niespodzianie i ściśle do ostatnich granic. I wszyscy troje – Anna Andriejewna, Osip Emiljewicz i ja – bardzośmy to wysoko ocenili’ ” – cytuje Gładkow z listu Nadieżdy Mandelsztam, dodając od siebie, iż z punktu widzenia praktycznego cała ta rozmowa była czymś bardzo naiwnym, Pasternak bowiem niewiele pomógł Mandelszta-

mowi, a pogorszył stosunek do siebie, a i w tym wypadku pozostał sam sobą — człowiekiem wyjątkowo naturalnym i bezpośrednim.

Nie sądzę jednak, aby nawet ostatnie zdanie rozmowy ze Stalinem było czymś nainym. W ustach Pasternaka miało ono znaczenie całkowicie konkretne, wyzbyte wszelkich abstrakcyjnych skojarzeń, było lapidarnym odwołaniem się do ogólnej sytuacji, do sprawy życia i śmierci w doświadczeniu zbiorowym. Zresztą w dwa lata później Pasternak naraża się bezpośrednio. Niech nas nie złudzi żartobliwy wniosek z listu do Tycjana i Niny Tabidze z 8 kwietnia 1936 roku: „W kłopotach niedawnej przeszłości wiele było rzeczy *złudnych*, nieokreślonych. Poczuję to od razu. Nikt nie zamierzał mnie zaczepiać, zrobiłem głupstwo i upomniałem się o innych — o Pilniaka i Leonowa. Pozwoliłem sobie po prostu, zwyczajnie powiedzieć, że artykuły w gazetach nie podobają mi się i że ich nie rozumiem. Co się tu działo! Zamiast wydrukować w gazecie, że popełniłem polityczną gafę (co byłoby dla mnie cięższe), winę mi pomniejszono i za karę zaliczono mnie na pięć dni do formalistów”.

List ten pisał Pasternak w niespełna trzy miesiące po lutowym przemówieniu na zjeździe prezydium Związku Literatów Radzieckich w Mińsku. Przemówienie to zostało wydrukowane w kilka dni później, 16 lutego 1936 roku, w 12 numerze *Litieratnoej Gazety*. Mówiąc o zarzutach, jakie padały wobec niego za to, że nie brał udziału w wieczorach autorskich, Pasternak przeciwstawił się takiemu pojmowaniu roli poety: „Poczuję, że stoję przed możliwością narodzenia się jakiegoś drugiego życia, wstrętnego w swoim tanim blasku, fałszywego i sztucznego, i to mnie odepchnęło z tej drogi. Ujrzałem swoją rolę w odrodzeniu zbioru poezji ze stronicami wymownymi dzięki sile ogłuszającego milczenia i zacząłem naśladować bardziej wzniosłe utwory”.

Jak widzimy, już tam padały zdania ostre, już tam Pasternak wypowiadał się jako wróg sztampy i pseudorewolucyjnego banału. Ale pisząc do Tycjana i Niny Tabidze mówi wyraźniej: „Jeśli jest cząstka prawdy we wszystkim, co się drukuje i mówi, to jest ona jedynie w tym, co zbiega się z najszerzej widzianą skalą czasu, z jej historyczną nieskończonością. Jakże nieskończoność może być *cząstką*? I to jeszcze tak nędznej całości jak ta manna kaszka krytyki, którą tak wzruszająco pojadałismy przez cały miesiąc. Oto odpowiedź: ta prawda wydzielana była w przynętniebiająco słabym rozтворze: straszną prawdę burzy rozrzedzano sianą i mlekiem”.

Nie przeraża go burza, nie jest lchórzliwy. Epizod ze Stawskim, wszechwładnym w owych czasach sekretarzem RAPP-u, a od 1936 roku generalnym sekretarzem Związku Literatów Radzieckich, świadczy o tym najlepiej, podobnie zresztą jak rozmowa telefoniczna o Mandelsztamie, jak interwencja w sprawie Pilniaka. A kiedy na wspomnianym tu plenum w Mińsku mówi o „bankietowo-pisarskiej” praktyce swoich kolegów, kiedy mówi o „rozpuście estradowych recytacji”, to obecnym tam uznanym poetom przeciwstawia Demiana Biednego.

Jeśli jest w tym niewątpliwa przekora, to osobliwa. Pasternak wielokrotnie w listach swoich cnotę skromności i szczerości stawia najwyżej. Jednak-

że sens tej pochwały zrozumieć można tylko ogarnawszy to, przeciwko czemu jest zwrócona. Demian Biedny jest samą użytecznością i prostodusznością, sam sobie wyznaczył tę rolę nie przestaniając jej żadnym programem poetyckim. Jest częścią życia i po swojemu służy sprawom życia. Wolno mu. Takiemu wolno. Ale tym, którzy mają bodaj przecucie poezji – tym nie wolno. A sam Pasternak sobie w swej poetyckiej samowiedzy stawia zadania najtrudniejsze. I jeśli zapowiada on w tym samym przemówieniu: „będę teraz pisał jak szewc”, znaczy to, że do prostoty Biednego będzie musiał dojść przemierzwszy niewyobrażalne dla tamtego i dla innych przestrzenie. „Będzie to źle – mówił – pod wieloma względami: pod względem artystycznym, gdyż ten przelot z pozycji na pozycję będzie musiał odbyć się w przestrzeni rozrzedzonej przez publicystykę i abstrakcję, niezbyt obrazowej i niekonkretnej (...) A ponieważ jesteście w większości, to i tym razem będzie to spór fatalny, a jego wynik – wyjdzie na wasze”.

Wszystkim jego uczuciom, wszystkim słowom nieodłącznie towarzyszy nieco podniecona tonacja, ów ton wewnętrzznego napięcia, świadczący o stałej samokontroli i przede wszystkim o stałym uniesieniu uczuć. Podobne uniesienie cechuje również Tuwima, zarówno w jego wierszach, jak i – co znamienne i charakterystyczne dla obu poetów – zwłaszcza w zachowaniu i korespondencji.

Najbardziej owo napięcie uczuciowe przejawia się u Pasternaka tam, gdzie może mówić najszczerzej i najprościej – w listach do Tycjana i Niny Tabidze, a po aresztowaniu Tycjana, w listach do Niny. Dochodzi do tego, że czasami moglibyśmy fałszywie oceniać stosunki, jakie łączyły tych dwoje. Ale warto porównać listy Pasternaka do Niny Tabidze chociażby z listami do Spasskiego, a przekonawszy się, że to uczucie żywej przyjaźni i serdeczności dyktuje mu do obojga słowa o wiele stopni cieplejsze, niż jest to zazwyczaj przyjęte w konwencjonalnej przyjacielskiej korespondencji.

W listy swoich Pasternak przeżywa świat w taki sam sposób, w jaki przeżywa go w swych wierszach i w tym samym dramatycznym napięciu. W rok po samobójczej śmierci Maryny Cwietajewej pisze w wierszu poświęconym jej pamięci:

Tak trudno mi wyrazić zgodę
Śmierć sobie wyobrazić twoją,
Jak trudno milionerkę pojąć
Skąpą dla siostr gnębionych głodem.
Co czynić, bym dogodził tobie?
Daj znać mi w jakikolwiek sposób.
W milczeniu twoim i w żałobie
Jest wyrzut, który nie ma głosu.

(Przełożył Mieczysław Jastrun)

A w liście do Niny Tabidze pisany 20 marca 1942 roku, a więc jednocześnie, czy też niemal jednocześnie z wierszem: „Pozostanie dla mnie na zawsze nierozwiązaną zagadką, jak mogła ona dojść do sytuacji bez wyjścia i bez ulgi, gdy tuż obok wiedzieli o tym Trieniów i Asiejew, laureaci nagród, mający wpływy i jednak ją ceniący. Była poetką o genialnych możliwościach. Tak bardzo dobrze znałem i lubiłem samą istotę jej i jej losu, że chociaż byłem w Moskwie, a to się stało tutaj, nad Kamą, i nie ma między tym żadnego związku, to tak czy inaczej jedynym winowajcą tego gorzkiego niedbalstwa byłem ja sam”.

Pasternak doskonale wie, że nie był w żadnym wypadku winien śmierci Cwietajewej. Przyjechała ona do Jełabugi 21 sierpnia 1941 roku, bo miała trudności z zameldowaniem w odległym o 20 kilometrów Czystopolu, gdzie osiedliła się duża grupa ewakuowanych z Moskwy pisarzy. W kilka dni później, nie mogąc dostać żadnej pracy poza pracą pomywaczki w stołówce, pracą, na którą, skrajnie wyczerpana, nie miała siły, pojechała do Czystopola, gdzie mieszkali między innymi Asiejew i Trieniów, i w trzy dni później wróciwszy z niczym powiesiła się. Nie wiadomo, jak wyglądała jej rozmowa z Asiejewem, do którego przed śmiercią napisała list z prośbą o opiekę nad synem. Wiadomo na pewno, że żadnej w tym winy Pasternaka być nie mogło, bo w tym czasie, jak sam zapewnia i zapewniają inni, nie był go w Czystopolu.

Wróćmy jeszcze na chwilę do cnoty pasternakowskiej skromności, którą tak podkreśla Aleksander Gładkow w swej książce. Ta cnota, jeśli zrodzona nawet z pokory, to przecież nie ewangelicznej: nie wobec okoliczności i nawet nie wobec losu. Źródłem jej jest samowiedza poety, który wbrew okolicznościom i losom uzmysławia sobie istotny sens swego życia.

W liście do Niny Tabidze z 6 kwietnia 1950 roku pisze: „Jestem bardzo zadowolony ze swego losu, możliwości zarabiania uczciwą pracą, z jasnego stanu mego ducha. Nigdy nie uważałem się za pokrzywdzonego lub pominiętego w jakimkolwiek sensie. Jeśli ktoś sądzi, że komuś patrzącemu z boku mogę wydać się „męczennikiem”, to po pierwsze nie odpowiadam za cudze majaczenia albo chimery, a po drugie wystarczy, by ci, których interesują takie rzeczy, wypuścili moje zatrzymane książki, a mnie samego na estradę – a ów „pozór męczeństwa”, dla mnie *nieistniejący*, odpadnie sam przez się. Oświadczenie zaś w „eterze”, że nie jestem męczennikiem, jest dla mnie nie do pomyślenia jako szczyt idiotyzmu (...). Poza tym, kiedy podejrzany o męczeństwo oświadcza, że jest mu bardzo dobrze, to nasuwa się podejrzenie, że do tego oświadczenia zmuszono go torturami. Wszystko to krąg niemoralności i największego głupstwa. Kim trzeba być, aby zajmować się tym wszystkim”.

Upłyną lata i każde z tych zdań obrośnie gęstwą komentarzy i przypisów odtwarzających okruciny rzeczywistości. Nic jednak w czasie, kiedy realia wydadzą się niezrozumiałe, a komentarze znużą drobiazgowością, nie odbierze tym zdaniom powagi dramatu.

ADAM ZAGAJEWSKI

O NASZYCH STROJACH

Przywykliśmy do tego widoku od wielu lat. W maju studenci przebie-
rają się. Stroje wypożyczają niekiedy z teatralnych rekwizytorni, częściej
przygotowują je sami; niektórzy zapewne starannie i przez wiele tygodni,
inni – szybko, na gwałt improwizują, trzymając w ustach szpilki i upina-
jąc fałdy materii. Oczywiście, najłatwiej jest zawsze przebrać się za ko-
bietę (jeśli się jest mężczyzną) i odwrotnie. Na kilka przynajmniej dni
można się wyrwać z obozu własnej płci i zasmakować cudzych spojrzeń,
zmylonych w pierwszym momencie przez strój, wypchane ręcznikiem
piersi i grubą warstwę szminki. Stare marzenie o czapce niewidce niełatwo
zrealizować, chodzi jednak o krótkotrwałe choćby wymknięcie się spod
nieubłaganej władzy *principium individuationis*.

Prócz tych najłatwiejszych przebrań spotyka się jeszcze wiele innych,
niektóre śmiertelnie głupie, inne śmieszne i pomysłowe. Kusi historia,
czasem więc trafi się na ulicy podchorąży z listopada 1830 roku, ułau
z niewiadomego rocznika, rycerze wracający spod Grunwaldu, a obok
nich zupełnie obojętny na sprawy polskie neandertalczyk z inteligentną
twarzą studenta socjologii. Na ogół dobór poszczególnych epok z dziejów
Europy, naszego kraju, czy też całej naszej planety motywowany jest,
jak się domyślam, mniej przez ich zainteresowania, bardziej przez dobór
dostępnych właśnie w tej chwili, w domu, akademiku czy sklepie z prze-
cienionymi tkaninami, materiałów i sztuk odzieży.

Tych kilka majowych dni u osób wrażliwych na problematykę po-
wiedźmy, epistemologiczną, wywołuje niezbyt groźny, ale jednak – nie-
pokój. Jeśli się bowiem żyje na codzień w zbożnym przeświadczeniu, że
rzeczy mają się tak, jak się mają i że na przykład zagadnienie stroju nie
odgrywa wcale większej roli, inaczej niż sprawy poważniejsze, prawdy

czy dobra, musi się w maju przeżyć chwilę zdziwienia: o! nie tylko oni są przebrani, my także. Na ogół bowiem stroje nasze traktujemy z wielką tolerancją i nawet kostiumowe filmy nie burzą tej pewności, tej metafizycznej drzemki. Nie uszkadzają przekonania, że ubranie leży na nas, a więc ludziach dwudziestego wieku (używając tego określenia nie odczuwam wcale dreszczyka emocji) gładko, nie marszczy się, przylega do skóry. Gdy na ulicach pojawiają się kolorowi ludzie, przebrani studenci, trzeba też zastanowić się nad szatami wszystkich pozostałych przechodniów. Jedni wybierają strój dżinsowy i brezentowe chlebak, jakby sądząc, że w taki sposób uwolnią się od działania prawa ciężkości wschodniej Europy, inni wciąż ufają klasycznej doskonałości garniturów, których klapy, rezultat wielowiekowej ewolucji, przypominają resztki niepotrzebnych już do niczego, szczytkowych skrzydeł. Może tylko ci szczęśliwcy, którzy – jak wiadomo – w ogóle nie mają koszuli, nie przebiegają się wcale.

Otóż w pewien piątek, a było to trzynastego maja 1977 roku, gdy właśnie rozpoczynały się w Krakowie kolejne juwenalia, stałem około godziny szóstej wieczorem na rogu ulicy Karmelickiej i Garbarskiej. Nie były to całkiem zwykłe juwenalia, bo w tygodniu, który je poprzedził, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach student polonistyki i filozofii, Stanisław Pyjas. Już rano tego dnia widziałem, jak wokół prowizorycznych, wypisanych pełnymi dobrej wiary kulfonami klepsydr gromadziły się grupki mieszkańców miasta. Po południu zaś miało się rozpocząć radosne i beztroskie święto studenckie. Kontrast tych dwóch nastrojów, żałoby i beztroski, był tak uderzający, że jakiegokolwiek rozwiązanie wydawało się niemożliwe. Żaden kompromis nie mógł przecież załagodzić starcia wielkich mas ciepłego i zimnego powietrza. Na niedzielę, piętnastego maja, zapowiedziane było poświęcenie kościoła w Nowej Hucie. Miała to być także, co za zbieg okoliczności, niedziela czynu partyjnego. Przygotowano zapasy granatowej farby olejnej i żwiru. Żwir, żeby nim wysypać błotniste alejki, farbę, żeby odmalować wybiakłe i zardzewiałe żelazne kraty i płoty.

Kościół w Nowej Hucie, chociaż zbudowany całkiem niedawno, miał już dość długą historię za sobą. Co więcej, nowoczesna architektura świątyni, którą ludowy rozsądek przyrównał do łodzi lub okrętu, zapowiadała, zgodnie z ezoterycznym proroctwem, koniec świata. Kraków, słynący raczej z umiarkowania niż popędliwości, znalazł się więc w tamtych dniach w niebezpiecznej strefie. W atmosferze średnio-wiecznej eschatologii, wśród krzyżujących się i zwalczających nawzajem interpretacji, czy koniec świata nastąpi dokładnie w dniu i godzinie poświęcenia kościoła, czy też raczej w dwa tygodnie później, leżało to miasto jakby w oku cyklonu, pozornie nieruchome i spokojne, naprawdę jednak zagrożone przez niejedną burzę. Niepokój ten nie był widoczny, ulice niczym nie zdradzały zagrożenia. Jak zawsze, przed sklepami zbierały się kolejki, a turyści karmili na rynku słodko gruchające gołębie.

A do tego jeszcze ci przebiegawcy, którzy w piątkowe popołudnie za-

czeli pokazywać się między zwyczajnymi przechodniami. Inaczej niż w średniowieczu, kiedy to, jak sądzę, całe miasto, o wiele mniejsze niż obecnie i bardziej zjednoczone w swych zajęciach i troskach, musiało wiedzieć o grożących mu niebezpieczeństwach – tym razem jedni wiedzieli, inni nie wiedzieli wcale. Jedni najspokojniej w świecie przebierali się za neandertalczyków, ułanów i za płeć przeciwną, inni tymczasem wybierali płaszcze szare i ciemne, ponieważ nie było im wesoło. Staliśmy na rogu Karmelickiej i Garbarskiej (była moja żona, pewien rysownik i znajomy rysownika) i z przejęciem przyglądaliśmy się tej dziwacznej, dziewiętnastowiecznej ulicy Karmelickiej, ogrodzonej przez dwa rzędy niezbyt wysokich kamienic, godzącej ze sobą stary kościół i austriackie koszary. Wyjdą czy nie wyjdą, zastanawialiśmy się, będzie kolorowo czy szaro? Zwycięży żałoba czy bezprzedmiotowa radość?

Byli, wychodzili skądś, z akademików i szarych kamienic. Oglądali się wokół siebie, nieśmiało sprawdzali, czy ulica ich przyjmie. Inni zaś wchodzili w tłum buńczucznie, czerpiąc odwagę z alkoholu lub ze sfermentowanej młodości. Ci nieśmiali zdarzali się zawsze, co roku, to przecież wcale nie łatwe, ni stąd ni zowąd pokazać się na pospolicie codziennej ulicy w papuzim stroju. I to w biały, majowy dzień, wśród ludzi zapracowanych, przepychających się z jednego końca miasta na drugi, wśród ludzi ubranych w prochowce i ortalionowe kurtki. Zwłaszcza jeśli się jest w pojedynkę, albo tylko we dwójkę i trzeba przemykać się do najbliższej grupy; dopiero grupa chroni przed złośliwymi komentarzami, wytwarza własne pole magnetyczne. Nie było więc jeszcze nic nadzwyczajnego w tym oglądaniu się, w trwożliwych, a przynajmniej ostrożnych spojrzeniach, badających, czy kolor się przyjmuje, czy przebranie wtapia się w ulicę, czy powstaje jakiś nowy związek chemiczny, czy też grozi kakofonia, rażąca jak zgrzyt noża ześlizgującego się po porcelanie. Oni nie wiedzieli, nie przypuszczali. Należeli do tej części miasta, z pewnością zresztą bardzo znacznej, która nie wiedziała. Może wiedzieli o nadciągającym końcu świata, może orientowali się, że nadchodzi niedziela czynu partyjnego, ale nie sądzili, że panuje żałoba. Obiektywnie rzecz biorąc panowała żałoba i to, niezależnie od jakiegokolwiek mędrkowania, jednoczyło uczciwych ludzi.

Znajomy rysownik wypowiedział jakąś sarkastyczną uwagę pod adresem któregoś z kolorowych. Właśnie przechodziła w pobliżu, ocierając się prawie o nas, kilkunastoosobowa grupa przebranych. W odpowiedzi usłyszeliśmy piosenkę, bodajże „Wpadła mi do sedesu odznaka ZMS-u”, a ten kolorowy, który został zaczepiony, odwrócił się i spojrzał wymownie na nas, nie przebranych. Co było w jego spojrzeniu? Lekceważenie, pogarda i niechęć. Wyczytałem w tym spojrzeniu niechęć dla *m i e s z c z a n*, bo kto się nie przebiera i w dodatku potępia kolorowych, musi być mieszczaninem, łykiem, filistrem, *square*, człowiekiem pozbawionym fantazji, tępym i płaskim, krótkowzrocznym i małostkowym, może nawet biurokrata, urzędasem, kolonizatorem.

Okazało się w jednej chwili – wystarczyło wymowne spojrzenie – że ci, co wiedzą, i ci, co nie wiedzą, przebywają w różnych światach. Bo ko-

lorowi byli pewni, że przebijając się zdobywają wolność. Gdy się jest przebranym, można tańczyć wokół milicjanta przebranego w siny mundur, można maszerować środkiem jezdni, jeździć za darmo niebieskim tramwajem, krzyżeć tam, gdzie się milczy, i milczeć tam, gdzie się krzyży, zmienić płęć na kilkadziesiąt godzin. Nagle nie jest się już przypisanym do miejsca, nosi się skromny odpowiednik czapki niewidki, która zapewnia nam najwyższy rodzaj swobody, bo co prawda nie ma nas, znikamy, ale też za nic nie ponosimy odpowiedzialności.

Żeby jednak cieszyć się swobodą uzyskaną tak łatwo, metodą czysto krawiecką, trzeba nie wiedzieć o czymś, co się wydarzyło, co zobowiązuje. Więc pełne ekspresji spojrzenie przebranego trafiało w pustkę, było tylko refleksem głębokiego nieporozumienia.

Kiedy się zaczęło to studenckie kolorowe przebijanie się? W średniowieczu, odpowie nam znawca. Powoła się na średniowieczny kanawał, który w szyderczy i witalny zarazem sposób wywracał na nice solenność religijnej i scholastycznej powagi. Znawcy posłuchamy chętnie, ale w tym wypadku lepiej ograniczyć się do historii o wiele nam bliższej. To Październik, rok 56, ofiarował nam kolorowe stroje. Razem z jazzem, z klubami dyskusyjnymi, z żółtymi i fioletowymi skarpetkami, za które już odąd nie usuwano z organizacji młodzieżowej, z tygodnikami, które pełne były polemik i rozkwitły felietonami, z tłumaczeniami światowej literatury i reprodukcjami światowego malarstwa przyszły także juwcnalia. Szczególnie dobrze przyjęły się w Krakowie, mieście o średniowiecznym, do dziś funkcjonującym układzie urbanistycznym. Może więc nie zwyczajny przypadek sprawił, że zmierzch epoki przebijania się nastąpił także w Krakowie, półtora roku temu.

Bo gdy staliśmy na rogu Garbarskiej i Karmelickiej, widzieliśmy, jak na dłoni, że coś się zmienia, coś się kończy. Duch czasu opuścił szeregi przebranych. To już nie było śmieszne ani porywające, ani młodzieńcze, ani święte. Czasem widzi się ostro, są takie chwile, gdy włączony przez kogoś silny reflektor teatralny, zbyt jaskrawy jak na teatr, oświetla stroje statystów i okazuje się, że brokaty zrobione są z tektury, król ma brodę z paku, a mur warowny wcale nie istnieje. Kto w czas żałoby urządzi bal maskowy, ten na długo pusze smak do masek. Żeby wierzyć w iluzję, trzeba chcieć w nią wierzyć, trzeba pozostawać w granicach wytyczonych przez jej wewnętrzną konstytucję. Reflektor musi być osłonięty przez czyjąś przyjazną dłoń. Trzeba przyniknąć trochę oczy i rozmarzyć się. Wyciągnąć się wygodnie w fotelu. I chętnie się to wszystko robi, tak długo, póki nie zjawi się nowa rzeczywistość, silniejsza i prawdziwsza niż ta, którą wypiera.

Czy ten mityczny Październik był istotnie tylko pokazem mody, nowym zestawem konfekcji, rewią kolorów? Nie, był rzetelną próbą odzyskania swobody, ale ponieważ już po roku, dwóch, trzech to, co w tych usiłowaniach było najgłębsze, najbardziej podstawowe, natrafiło na przeszkody nie do pokonania, więc najdłużej działaniu nieprzyjaznej historii oparły się stroje i kolory. Maski i peleryny. Oprócz zapowiedzi

innych wolności, Październik przyniósł swobodę przebierania się. Przedtem, w okresie stalinowskim, nie wolno było nawet się przebierać. Proszę zauważyć, jaka to różnica. Drobną, lecz nie do pogardzenia. Przedtem w szafie wisiął tylko jeden kostium, skromny i jednakowy dla wszystkich, kombinizon z granatowego drelichu. Nagle szafa wybuchła kolorami jak tąka w czerwcu. Mogłeś zostać awangardzistą, mogłeś zostać surrealista albo tradycjonalistą. To, rzecz jasna, tylko dla artystów. Mogłeś też zostać cybermetykiem, jeśli matematyka nie sprawiała ci trudności. Albo genetykiem. Albo kompozytorem muzyki nie odbiegającej od dwudziestowiecznych kanonów. To wciąż stroje dla utalentowanych. Mogłeś też zostać inżynierem, albo majstrem, albo chirurgiem lub waluciarzem. Życie jest bogate jak totalizator sportowy, a w garderobie mnóstwo ubrań.

Bo my przecież nosimy stroje, ubieramy się. Można się przebrać w socjalizm albo w katolicyzm. To znaczy: można być katolikiem naprawdę, do krwi, do ewangelii, a można tylko nosić strój katolika. Można być artystą, albo tylko ubierać się w artystę. Można swoje słowa odziewać w wolność, sprawiedliwość i prawdę, a w gruncie rzeczy być zwyczajnym policjantem. Możesz się przebrać w socjalizm, nie wierząc, żeby to słowo jeszcze cokolwiek znaczyło. Możesz być pospolitym donosicielem i ubierać się w postępowe idee. Możesz włożyć na siebie znoszoną i wytartą, chociaż wcale nie robociarską bluzę marksizmu.

Czy w ogóle można nie być przebrany? Język jest zdradliwy i bezwładność puszczonej w ruch asocjacji także; wystarczy raz zacząć mówić o strojach, żeby stać się dalekim kuzynem strukturalistów, relatywistów, który wszystko w kosmosie sprowadziłby zaraz do ubiorów, obnażyłby człowieka tak, jak Wisława Szymborska rozebrała w swoim wierszu cebulę. Nie, wcale tak nie myślę. Przypomina to trochę czarodziejską sztuczkę, jeśli się bowiem weźmie pod uwagę wartości rzeczywiste, rzeczywiste zobowiązania, jeśli poczuje się ból, nudę, cierpienie i radość świata, problem ubioru nagle znika.

Ale w tamten piątek kolorowi wciąż jeszcze krążyli po Karmelickiej. Wzięli na siebie niewdzięczne zadanie wizualnej reprezentacji tej wielkiej rzeszy przebranych, którzy zakładają swe wymyślne stroje w sposób niewidzialny. Spłowiełe trykoty studenckich przebrań przypominały sztandar, który za długo nosi się pod koszulą – chociaż bez patosu, jak mówią te pamiątki. Tu, prawdę mówiąc, nosiło się na wierzchu raczej samą chorągiew, a ciepłą koszulę i sweter pod spodem.

Oni mogą jeszcze bardzo długo chodzić po Karmelickiej, ci przebrani. Będziemy cierpliwie stałi na rogu Garbarskiej. Niedobre sztuki też nieraz grywa się miesiącami, nadwyreżając zaufanie widzów i budżet teatru. Będą szli, nawet w złą pogodę, wkładając pod kolorową powłokę coraz więcej ciepłych rzeczy, posłużą się nawet futrem. zobaczycie. Będą chodzić, ale my przestaniemy na nich patrzeć. Wolimy zwykłe jesionki, od kunsztownych kompozycji z udawanego aksamitu. Lepsza prawdziwa elana niż sztuczny złotogłów.

Między piątkiem a niedzielą była jeszcze sobota, której się nie pamięta.

Której ja nie pamiętam. Wszystko jednak trwało nadal: prorocstwo o końcu świata nie przestało być aktualne i dalej nikt nie wiedział, czy zagłada nastąpi w niedzielę, czy dopiero po dwóch, a może nawet czterech tygodniach. Zapasy granatowej farby olejnej i żwiru rosły. Do Nowej Huty zjeżdżali się katolicy z Polski i z zagranicy. Na ulicach starego Krakowa nie ustawał pojedynek między przebranymi i ubranymi. Walka karnawału z postem nie była jeszcze rozstrzygnięta. Przed bramą kamienicy w ulicy Szewskiej zbierała się chciwa wzruszeń żałobna kolejka. Sobota ucierała składniki wydarzeń jak masę świątecznego tortu.

W niedzielę zaś pod kościołem Dominikanów tym, którzy wychodzili z wnętrza ciemnej nawy, przyglądał się tłum barczystych mężczyzn, przebranych w popielate garnitury. Każdy z nich nosił w klapie marynarki upięty szpilką paperek ze znaczkiem PCK. Okazało się, że, poza wszystkim innym, tego dnia zbierano też na potrzeby Czerwonego Krzyża.

Nie było końca świata, na jakiś czas jeszcze został odroczoney. Był tylko, wieczorem, milczący pochód wzdłuż Plantów. Płomyki świec przesunęły się między czarnymi drzewami. Kościół w Nowej Hucie został poświęcony. Nadchodził zwykły poniedziałek.

Nagość, mówi Albertynka w „Operetce” Gombrowicza, tylko nagość. Niech żyje nagość. Ale my nie będziemy się rozbierać, bo żyjemy w chłodnym kraju. Ubierzmy się za to w szaty proste, dopasowane do sylwetki.

ADAM ZAGAJEWSKI

LESZEK BUDREWICZ

WIERSZE

KOD FLAG

Przy wywieszonej fładze białej
kąpiel w morzu jest dozwolona
do granicy boi czerwonych
Przy wywieszonej fładze czerwonej
kąpiel w morzu dozwolona jest
do granicy żółtych boi
Przy wywieszonej fładze czarnej
kąpiel w morzu
jest zabroniona
Przy wywieszonej fładze
białoczerwonej
musisz wybrać
musisz wybrać
twoją połowę flagi

UNIVERSAL POLICEMAN

cele wszystkich komisariatów świata
mają ten sam grymas ust
każda inkwizycja
buduje sobie domki jednorodzinne
z kart powołań
na karty historii
policjanci w mundurach
różnych kolorów skóry
dostają tak samo tresowane rozkazy
oficerowie prowadzący do boju swoich chłopców
przebranych za ludzi
mają spojrzenia podobne do portretów
które za plecami miały ścianę
chore na raka myśli
oddają do chłodnych lombardów
jak ciało waltu disneya
idąc nocą
czujesz jak Lorca oddech
międzynarodówki policjantów

A NASZYM SERCOM DAJ ODWAGĘ

a naszym matkom dajcie ręce
żeby udźwignąć mogły więcej
kiedy nas wezmą pod ramiona
a naszym ojcom dajcie spokój
niech nas nie wypatrują w mroku
gdy dzień już kona
a naszym braciom wiarę w rozum
żeby przejęli lejce wozów
gdy nam z rąk wyjmą
a naszym siostróm mocne nerwy
by nie pytały nas bez przerwy
o noc mafijną
nasze dziewczyny uwielbione
niech nas nie ciągną w drugą stronę
z wielkim rozsądkiem
przecież ktoś musi stanąć prosto
rzucić im w mordę tamtą wiosną
naszym majątkiem
a naszym synom jeśli będą
nie będzie machał nikt komendą
przed bladą twarzą
a nasze sny co już chore
zanim wejdziemy w nie wieczorem
uciekną strażom
a nasi z serca przyjaciele
co wiedzą o nas tak niewiele
niech będą blisko
niech będą rzewnie grać cyganie
na wielkiej stypie po tyranii
jak nad kołyską

* * *

są miejsca tak znane
że aż obce
są ludzie tak żywi
że aż martwi
są deszcze tak ciemne
ża aż łez
są cienie głębokie
na dno twarzy
są wiary tak proste
nie do wiary
są chłopcy tak mali
że aż mądrzy
są słowa tak twoje
że aż moje
coś jeszcze tak bardzo
że aż chcesz
to wszystko tak blisko
że aż wiersz

BLADZI WŁADCY CZERWONEGO ZAGŁĘBIA

co będzie pytać
kiedy fabryki popłyną żyłami robotników
jak błękitna krew
przyjdzie doker
i zawiesi na bramie prawdziwy sztandar
który trzyma złożony w kostkę
w szufladzie serca
ministrom od zmiany wyobraźni
na strefę ciszy
śnią się po nocach
rektorzy noszeni na ramionach
i uniwersytety wylewające się na ulice
co zrobią
jeśli szkoły przestaną
masować nas jak miętę ćwiczebną
a policjanci zwani milicjantami
odepną białe pałki
od pobladłych twarzy
kogo poproszą o bratnią pomoc
gdy na poligonach sojusznicznych armii
chłopcy w gimnastycznych koszulkach
będą grali w koszykówkę do zmroku
co zrobią w dniu
końca gazet
kiedy zacznie się prawda
codziennie umieramy ze strachu
że nie mają się czego obawiać

VIRTUTI PARAMILITARI

Pałac marihuany
układając filozoficzne traktaty
strzelając z karabinów samopowtarzalnych
pitrasząc zalewajkę
zalewając robaka
odbębniając zebrania
zbierając etykietyki zapalczane
z pożarów historii
histeryzując
nad rozjechanym na ulicy
małym puszystym kotem
zanurzeni w przyszłość
gdy zmęczenie powietrza
zapędzi nas w sen
przykuci do okrągłych zdań
roztańczonych się jak świąteczne ciasto
po telewizyjnym ekranie
jeżdżący nowymi
spalinowymi samochodami
po Parkach Narodowych
Ubrani Odświeżenie
na małopolskich uroczystościach
wielkopolskich powstań

**jestemy wszyscy
młodzież kobiety i kombatanci
zatopieni w niepamięci
o czarnej eleganckiej damie
która przyjdzie do mnie
do Edwarda Gierka
do szefów lokalnych komórek
do domów wariatów
do pseudohippisów
żujących lak z braku
do dziewczyn
oddających się w komis
ekskluzywnych hoteli
schizofreników
czyszczących co rano myśli
szczoteczką do nerwów
roznosicieli mleka
do niezauważonych nawet na tamtym świecie
i bywalców świeczników**

**żeby nas zanadto nie przestraszyć
stosuje przeważnie politykę małych kroków**

**nocą czai się w kącie pokoju
w którym śpi Elisabeth Taylor**

LESZEK BUDRĘWICZ

PIOTR WIERZBICKI

TRAKTAT O GNIDACH

1. DZIEJE POJĘCIA GNIDY

Gnida nie jest pojęciem wymyślonym przeze mnie. Stworzył je i zastosował w swej twórczości zarówno pisanej jak mówionej Janusz Szpotański, pisarz i intelektualista, którego rola w życiu umysłowym współczesnej Polski jest wyjątkowa. U Szpotańskiego na jednym biegunie polskiej społeczności znajdują się „czerwoni” (partyjnicy), na drugim „gęgacze” (opozycja). Gdzieś pośrodku pomiędzy jednymi a drugimi żerują „gnidy”. Gnida to taki biały, niekomunistyczny pachołek czerwonych. Odkrywcą gnid powiedział o gnidach wystarczająco dużo, żeby można było bezbłędnie i w każdym wypadku odróżnić gnidę od niegnidy. Poczytni też na temat gnid masę obserwacji szczegółowych. Nie próbował jednak stworzyć na temat gnid syntezy.

Ponieważ doszedłem do przekonania, że fenomen gnidy jest jednym z najbardziej posjonujących fenomenów współczesnej Polski i że niektóre uroki tego tematu ujawnić może jedynie systematyzująca i mająca ambicje kompletności monografia, stawiam oto krok w tym kierunku. „Traktat o gnidach”, który oddaję do rąk Czytelników, jest właśnie syntetycznym szkicem takiej monografii, dokonany niestety metodami chałupniczymi i z pełną świadomością, że właściwa synteza powinna być dziełem zbiorowym, napisanym przez zespół specjalistów albo nawet komitet ekspertów, najlepiej pod przewodnictwem profesora Jana Szczepańskiego albo profesora Janusza Reykowskiego.

Jeżeli napisałem na początku, że gnidy zostały odkryte przez Janusza Szpotańskiego, to nie chciałem przez to powiedzieć, iż do tekstów tego

autora ogranicza się poświęcona gnidom literatura przedmiotu. Zebrało się już tego trochę więcej. Na przykład: czy przypominają sobie Czytelniczcy z powieści Konwickiego „Kompleks polski” kobietę w za dużym kapeluszu? Tę, co to stojąc w kolejce bez przerwy dogaduje, że za granicą też nie lepiej? Ta kobieta to oczywiście mogła być „czerwona”, której sumienie partyjne kazało bronić ustroju zagrożonego przez szemranie kolejkowiczów. Ja jednak dałbym głowę, że to była właśnie gnida, gnida z lekkim, to prawda, odchyleniem charakterologicznym, gnida przekorna wobec tłumu, gnida – indywidualistka, ale gnida, realizująca swój gnidzi proceder służenia nowym panom, wspierania ich konceptem i łagodzącym słowem. Jest to i owo na temat gnid w najnowszej poezji. Ale czułbym się nie w porządku, gdybym się nie przyznał do tego, że wprost nieoczekiwaną pomocą przy pisaniu tego szkicu była dla mnie również moja własna powieść „Cyrk”. Ta książka, która w swej warstwie najgłębszej jest książką o maleńkości na tle wszechogarniającego kosmosu, która w swej warstwie najpłytszej jest książką o pieskim świecie, która w swym sensie bardziej aktualnym jest książką o upodłonym, co prawda nie do końca, narodzie... ta książka zatem stanowi dla badacza gnid kompendium niezastąpione.

A gdyby w stosunku do pojęcia „literatura przedmiotu” wymagania obniżyć i zaliczyć do niej również dzieła tych autorów, którzy gnidy opisują mimowoli, nie zdając sobie sprawy, o czym mówią, czyniąc z nich pozytywnych bohaterów lub przynajmniej szarych obywateli, i gdyby w dodatku pojęcie „dokumentów” należycie szerzyć, włączając do nich również osoby samych autorów, ich wywiady, wspomnienia, odpowiedzi na pytania ankiety, wypowiedzi na aktualne tematy i przemówienia wygłaszane na zjazdach oraz syntypozjach, to by się mogło okazać, że monumentalną kartotekę do tematu „gnidy” stanowi cała polska niemal współczesna literatura polska.

2. DEFINICJA GNIDY

Gnidy są, jak się powiedziało, czymś pośrodku pomiędzy czerwonymi a gęgaczami. Czymś pośrodku pomiędzy nowymi panami Polski a czynnymi opozycjonistami jest większość polskiego narodu, zniewolona do biernego przynajmniej uczestniczenia w socjalistyczno-radzieckim spektaklu nad Wisłą. Czyżby gnida to był po prostu szary obywatel Polski? Czyżby gnidą był chłop, który wygaduje, że za Bieruta było lepiej, robotnik, który daje się zapędzić do współzawodnictwa pracy, urzędnik, wysłany z proporcją na ulice Warszawy, żeby witać umiłowanego przywódcę Kraju Rad? Czyżby gnidą był każdy, kto nowym panem ze strachu z lekka czapkuje? Nie, gdyby gnidowatość to był po prostu synonim uległości, to nie byłoby się czym zajmować. Uległość jest zjawiskiem banalnym, wszechhistniejącym i starym jak świat. Gnidowatość jest czymś bardziej specjalnym. Jest – to można powiedzieć od razu – zjawiskiem charakterystycznym nie dla społeczeństwa jako całości, lecz jedynie dla jego najwyższych piętér intelektualnych. Nie szukajmy gnid wśród

chłopo-robotników, kasjerów i sprzątaczek. Szukajmy ich raczej wśród rektorów, redaktorów i artystów. Czyżby zatem gnida był rektor, który z nakazu kogoś z rządu czy KC przyjmuje na studia dygnitarskiego synka, redaktor, który ze strachu przed cenzurą napisał połowę tego, co widział, malarz, który dla zarobku maluje jakąś główkę ze spiczastą brodką? Nie, to znówu objawy czystej uległości, o których pisać nie warto. Gnidowatość polega na czymś jeszcze innym. Gnida służy swoim panom w wielce specyficzny i wyrafinowany sposób. Ona im służy cichą pracą swoich szarych komórek. Gnida staje na dwóch łapkach i myśli. Nad czym? Nad tym, jak uzasadnić, że to, co jest, być powinno. Uzasadnianie nie jest najmocniejszą stroną naszych nowych panów. W uzasadnianiu wyręczają ich gnidy. Gdy rektor przyjmuje na studia na żądanie kogoś z góry dygnitarskiego synka, to jest to zwykle ugięcie karku. Gdy profesor pisze tekst wykazujący, jak to od wieków intelektualści rwali się do władzy z pobudek ambicjonalnych, i publikuje go właśnie wtedy, kiedy z tymi intelektualistami rozprawia się po swojemu UB, to jest to już sytuacja bardziej wyrafinowana. Tu na tylnich łapkach staje nie ciało, lecz duch. Tu do służenia biorą się szare komórki.

Pacholek czerwonych... Czym on się różni do czerwonego? Nie jest to po prostu czerwony niższej rangi? Ekatowy pracownik komitetu zakładowego PZPR, taki od „przynies-podaj” – gnida to czy też nie? Stanowczo nie powiedzieliśmy o gnidach jeszcze czegoś arcyważnego i wciąż jeszcze nam się one z niegnidami myślą. Otóż właściwością gnidy jest to, że ona, służąc czerwonym, jest w głębi duszy biała, kontrewolucyjna, przedwojenna, reakcyjna, prozachodnia, wroga. Gdyby na amerykańskich czołgach wjechali pewnego dnia do Warszawy amerykańscy żołnierze, gnidy witalyby ich z ogromnym entuzjazmem.

A więc cynicy, wyrafinowani oszuści, ludzie interesu? Otóż to. Gnida – cynikiem! Gdyby gnida była cynikiem, ten szkic już się dawno powinien skończyć. Gdyby gnida umiała być cynikiem, nie powstałby ów wielki wrzód gnidzi zatruwający polską kulturę. Ale gnida cynikiem być nie umie. Cynik to ktoś, mający odwagę kłamać bezczelnie. Bezczelnie, ale tylko raz. Cynik robi i mówi nie to, co myśli, ale myśli swoje. Kłamstwem naznaczone są jego słowa i jego działania, ale sfera jego myśli jest od kłamstwa wolna. Cynika stać na życie w konflikcie. Gnidy na to nie stać. Gnida więc, trudząc się nad tym, żeby różne postęпки nowych panów Polski uzasadnić, musi się jeszcze trudzić nad tym, żeby przekonać do tych postępków samego siebie. Gnida zadaje nieustanny gwałt swojej duszy. Gnida, w przeciwieństwie do cynika, który nie próbuje „być w porządku”, stara się za wszelką cenę „być w porządku” i aby to uzyskać, dokonuje cudów. Opowiemy o nich za chwilę. Na razie podsumujmy:

Gnida jest to intelektualny, naukowy lub artystyczny pomocnik nowych panów Polski, antykomunistyczny w głębi duszy, a zajęty uzasadnianiem ich władzy i swojej wobec nich uległości.

3. GENEALOGIA GNIDY

Historykom pozostawiamy wykrycie protoplastów gnidy w minionych epokach. Zajmując się teraźniejszością, wskażemy jedynie na jego przodka najbliższego. Otóż tym, z czego gnida wywodzi się w sposób bezpośredni, jest tzw. „pozytywny bezpartyjny”, który zamieszkiwał Polskę za Bieruta. Pozytywny bezpartyjny był to obywatel Polski Ludowej zaangażowany w odbudowę kraju, popierający linię generalną przodującej partii, odnoszący się z sympatią do Związku Radzieckiego, uczciwy, uczynny, zdyscyplinowany, mający jednak na swym pionie ideologicznym drobne naleciałości „starego”, jakieś niejasne pochodzenie społeczne, jakiś inteligencki sposób wyrażania się, jakieś skłonności do wpadania w estetyzm. Właśnie z powodu tej drobnej naleciałości obcej pozytywny bezpartyjny do organizacji walczącej nie należał. Działał za to bardzo aktywnie w organizacjach o charakterze ogólnohumanistycznym, jak Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Liga Kobiet, Komitet Obrony Pokoju, Front Narodowy, PCK. Pozytywny bezpartyjny był to zazwyczaj profesor średniego pokolenia, spoglądający z ciepłą sympatią na partyjno-ubocko-zetemponskie egzekucje dokonywane na polskiej nauce, sędziwy pisarz-esteta udzielający stalinowskim czynnikom rozgizczenia z wyżyn Bacha i Chopina, przedwojenny inżynier entuzjasta ruchu racjonalizatorskiego. Pozytywny bezpartyjny był postacią bardzo znaną w swoim środowisku. Odznaczał się bowiem pewną bardzo pozytywną cechą: chodził pilnie na wszystkie, liczne w owym czasie zebrania, a na niektórych zasiadał nawet w prezydium.

Pozytywny bezpartyjny odgrywał raczej bierną rolę w toczącej się wówczas w kraju walce klasowej. Nie demaskował wrogów ludu, rzadko kiedy ostro występował na zebraniach, w nowym ustroju akcentował jego cechy humanistyczne raczej niż rewolucyjne. Nie miał też oczywiście nic do gadania. A jednak był potrzebny. Stalinowsko-bierutowscy czynownicy cenili go i hołubili bardziej niż niejednego ze swoich. Nawet czasem jeździł „Demokratką”*. Każdy związek twórczy, każda dyscyplina naukowa, każdy zakład pracy miał bardzo istotną funkcję wychowawczą: pokazywał, że wprawdzie najlepsi Polacy to członkowie PZPR i pracownicy UB, to jednak obywatel bezpartyjny, jeśli tylko zechce, też może stanąć, no może nie w pierwszym, ale w każdym razie w drugim szeregu.

Pozytywny bezpartyjny, bezpośredni przodek gnidy, różnił się od niej w dwóch przynajmniej punktach. Gnida jest osobą z kręgów artystyczno-naukowo-intelektualnych. Pozytywny bezpartyjny występował również wśród chłopów (szczególnie wśród biedniaków, rzadziej wśród średniaków), robotników, inżynierów i wszelkiego typu innych pracowników.

Po drugie pozytywny bezpartyjny proszony do prezydium, do orderu, nawet do Demokratki, nie był nigdy proszony o to, czym gnida trudzi się

* Demokratki – luksusowe samochody marki Chevrolet zakupione w pierwszych latach Polski Ludowej dla najlepszych z najlepszych.

bez przerwy: o wymyślanie argumentów. Argumentów dostarczali wówczas najlepsi z najlepszych osobiście. Czasy były bowiem ciężkie. Zapłuty Karzeł Reakcji (czyli AK) strzelał do nowych panów Polski jak do kaczek, średniak nie chciał przyłączyć się do biedniaka, były dziedzic rozrzucił po polach stonkę z pokładu amerykańskiego samolotu. W tej sytuacji władza ludowa nie mogła argumentowania pozostawić w rękach obywateli pewnych wprawdzie, ale nie na sto, tylko na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Zresztą wymyślanie nowych argumentów nie było konieczne. Żył przecież jeszcze Chorąży Pokoju, pierwszy naukowiec i filozof świata, największy geniusz ludzkości: Józef Stalin. Jego argumenty w zupełności wystarczały.

4. RODZAJE GNID

Gnidy zamieszkują głównie stolicę Polski oraz niektóre większe miasta wojewódzkie. Największymi skupiskami gnid są Warszawa i Kraków. Gnidy skupiają się na uniwersytetach oraz w innego typu wyższych uczelniach, w prezydium, w komitetach, sekretariatach wydziałów oraz instytutach Polskiej Akademii Nauk, w instytutach naukowych podległych poszczególnym ministerstwom, w związkach twórczych oraz w prasie, głównie w redakcjach tygodników oraz miesięczników literacko-społecznych. Gnidy występują wśród najmłodszych, średnich wiekiem i wśród najstarszych, wśród aryjczyków i wśród Żydów, wśród katolików i wśród ateistów. Gnidy – od pewnego poziomu intelektualnego wzwyż – występują wszędzie, rodzą się w każdym pokoleniu, w każdej grupie społecznej, rasowej i światopoglądowej. Stąd mnogość ich odmian jest imponująca. Nie kusząc się na przeprowadzenie ich pełnej systematyzacji w oparciu o jednolite kryterium podziału (to zadanie dla któregoś z naszych czołowych naukowców, np. dla profesora Macieja Żurowskiego) spróbuję zilustrować tę różnorodność paroma przykładami.

A więc przyjrzyjmy się, na początek, gnidom artystycznym, literackim głównie. Kogóż tam widzimy? Wydaje się, że przynajmniej trzy odmiany osobników:

1. *Sędziwy twórca – humanista i esteta.* Gnidy należące do tej odmiany, najbardziej znane i popularne w społeczeństwie, otrzymały od nowych panów Polski prawo do noszenia się ze swą staroświeckością, przedwojennością i europejskością. W zamian za to wymaga się od nich tylko tego, żeby akceptującym, wyrozumiałym uśmiechem uszlachcały co pewien czas socjalistyczno-radzieckie chamstwo zalewające Polskę. Mają one pełne usta Bacha, Chopina, Leonarda i Tolstoja, czasem zasiadają w jakichś prezydiach, a także wygłaszają piękne przemówienia okolicznościowe.

2. *Młody twórca – awangardzista.* Gnidy tej odmiany są wyjątkowo wprost chytre. Wiedzą one, że za Bieruta twórca awangardowy był przez najlepszych z najlepszych traktowany ozięble. I wiedzą również dobrze, że obecnie (za Gierka) awangardzista jest przez władzę ludową traktowany ciepło, bo dziś groźna jest dla niej nie forma lecz treść, i niech już be-

kocze, zgrzyta i maluje oślim ogonem na płótnie, byle tylko nie zajmował się tym, co się naprawdę w Polsce dzieje. Liczą jednak na to, że szerszy ogół tej wołty władz wobec oślego ogona nie zauważył. I ustrojeni w piórka nonkonformistów bujają w oparach czystej formy. Zadanie, jakie od swych panów otrzymali jest nadzwyczaj skromne: nie widzieć, co się dzieje w kraju. I nie widzą w miarę swych sił i umiejętności.

3. Twórca średniego pokolenia – mały realista. Tym gnidom panowie Polski na kraj patrzeć pozwalają, ale pod pewnym jednak warunkiem: że powstaje z tego takie skrętne, drobiazgowe, babskie ple-ple-ple. Mały realista, który sobie w mózgu posiekał Polskę na drobniutkie kawałki, żeby je mogła przełkać cenzura, otrzymuje od władzy prawo pisania, publikowania, a nawet krytykowania jednostkowych błędów i niedociągnięć. W zamian za to dostarcza publiczności czytelniczszej dowodów na to, że jak się chce opisywać codzienną rzeczywistość, to można, trzeba tylko to robić umiejętnie, tak żeby niepotrzebnie nie drażnić cenzury. Mały realista – wół roboczy literatury gnidziej – to jest takie zwierciadło, które zamiast przechadzać się po gościńcu, myszkuje w jakichś kątach i szparach, aby zamiast prawdy znaleźć tam podrzucone mu przez jego panów kilkugrosikowe srebrniki.

Powiedzieliśmy już wcześniej, że gnida, służąc czerwonym, jest w głębi duszy biała, antykomunistyczna, prozachodnia. Byłaby zatem gnida tworem jakby rozpiętym między dwoma biegunami: biegunem jej antykomunistycznych poglądów i biegunem jej wobec tegoż komunizmu pachotkowania. Powiedzieliśmy również, że po to, aby sprzeczność między tymi biegunami zmniejszyć, wykonuje gnida na sobie niustannie cichej pracy wewnętrznej, polegającej na częściowym zapieraniu się swych antykomunistycznych poglądów. To wszystko jednak, co powiedzieliśmy dotychczas na ten temat, dotyczy tego, jak u gnidy wygląda stan faktyczny.

Pozostaje jeszcze do zanalizowania, jak gnida prezentuje się – w dziedzinie postawy politycznej – na zewnątrz, w działaniu, wobec otoczenia. I tu znowu uderza znaczna różnorodność gnid. Można wyróżnić – ze względu na postawę polityczną – przynajmniej cztery ich odmiany.

1. Gnidy partyjne. Czyżby nieporozumienie? Gnida czerwona? A jednak. Przewodząca partia, aczkolwiek krytykowana bez przerwy za dogmatyzm i sztywność, jest bowiem w gruncie rzeczy niesłychanie elastyczna i toleruje w swoich szeregach obywateli nader nietypowych. Jeżeli więc wolno być członkiem przewodzącej partii chodząc do kościoła i wyznając światopogląd fideistyczny, byle tylko uznawać jego niższość wobec marksizmu-leninizmu, to dlaczego miałoby być nie wolno należeć do przewodzącej partii będąc gnidą?. I trochę gnid do partii rzeczywiście należy. Gnida partyjna jest w kawiarni i w salonie literackim absolutnie nieodróżnialna od gnidy bezpartyjnej. Jeśli wykonuje zawód pisarza lub dziennikarza, poświęcony jest bez przerwy kulturowaniem najbardziej światłych i huma-

nistycznych tradycji socjalizmu oraz zwalczaniem najbardziej twardogłowych frakcji działających w łonie przodującej partii. Gnida partyjna bez przerwy wyszydza jakiegoś partyjnego zamordystę. Proszę sobie przypomnieć polemiki prasowe prowadzone (dawniej lub obecnie) z takimi pismami jak „Walka Młodych”, „Prawo i Życie”, „Ekran”. Są to z reguły polemiki z bijącymi w oczy skrajnymi, kuriozalnymi idiotyzmami prowadzone w imię liberalizmu, humanizmu i zdrowego rozsądku. Publiczność czytelnicza solidaryzuje się z autorami tych polemik i wykazuje nawet skłonność do traktowania ich jako odważnych bojowników lepszej sprawy, niemal opozycjonistów. A harcownik „opozycyjny”, z kapitałem zbitym na polemikach z idiotyzmami, może bez obawy o swoją reputację ogłaszać co parę lat artykuł uzasadniający konieczność kolejnej podwyżki cen i jej nieodzowność dla dalszego wzrostu stopy życiowej ludności. Gnida partyjna funkcjonuje na codzień jakby na wariackich papierach. Wolno jej specjalizować się w krytyce i polemice, nie musi co dzień pisać o marksizmie-leninizmie i miłości do ZSRR. Raz na kilka lat natomiast występuje jako osoba zupełnie normalna: otrzymuje zadanie, spełnia usługę, czyni swą powinność. Niektóre gnidy partyjne już dawno doprzyły do tego, żeby zamocnić się w gnidy bezpartyjne, i tkwią w przodującej organizacji jedynie siłą inercji oraz strachu przed mumą aparaczczyka, którą ten uczyni, widząc zwracaną mu na zawsze tak wartościową dla organizacji gnidzią legitymację partyjną.

2. *Gnidy centrowe.* Stanowią one zdecydowaną większość populacji gnid. Gnida centrowa (bezpartyjna oczywiście) jest lojalnym obywatelem kraju; mimo takich czy innych zastrzeżeń co do prowadzonej aktualnie polityki nie popada nigdy w konflikt z władzą ludową, wspiera tę władzę pracami naukowymi ukazującymi nieudolność rządów w Polsce przedwzręśniewej oraz narastające wówczas w kraju tendencje faszystowskie, artykułami na temat wynaturzeń konsumpcyjnego stylu życia w krajach Zachodu, reportażami o zbrodniarzach hitlerowskich, którzy uniknęli kary, książkami na temat pozytywnych przeobrażeń, jakie, mimo popełnianych błędów, następują w naszym kraju. Gnida centrowa z rzadka otrzymuje zadanie bronięcia przodującego ustroju w momentach trudnych i sytuacjach dramatycznych. Nie bierze ona zasadniczego udziału w nagonkach politycznych, nie pisuje tekstów ofensywnych, robi tylko tyle, ile musi, a więc na przykład pracując w redakcji nie napisze z własnej inicjatywy ataku na robotników Radomia i Ursusa, ale jak redaktor naczelny poprosi ją, żeby napisała na ten temat anonimowy komentarz redakcyjny, to prośbę spełni, bardzo się przy tym starając, żeby tekst był możliwie kulturalny, a potem bardzo się chwając, że zamiast „bandyci”, jak ktoś proponował, użyła w stosunku do demonstrantów łagodniejszego określenia „chuligani”. Gnida centrowa jest przekonana, że na mapie politycznej kraju znajduje się gdzieś pośrodku między opozycją a władzą, i że postawa, którą przejawia, jest najbardziej naturalną, normalną i uzasadnioną, jaką w polskich warunkach może zająć inteligent.

3. *Gnidy nonkonformistyczne*. Gnida nonkonformistyczna, występująca rzadko, jest to gnida, która wywalczyła sobie status notorycznego i niepoprawnego bojownika zwalczającego otaczające nas dookoła nonsensy. Gnida nonkonformistyczna nie wygłasza pochwalnych przemówień, nie pisze propagandowych rozpraw naukowych, nikt nie proponuje jej, żeby napisała uzasadniający coś artykuł wstępny. Ma ona opinię uczciwej, odważnej i nieprzekupnej. I takie są też jej teksty. Gnidzie nonkonformistycznej nie wolno przekroczyć tylko jednego progu: nie wolno włączyć się w jakąkolwiek działalność opozycyjną. Tylko za to, że ona nie podpisuje listów protestacyjnych i nie chodzi na nielegalne zebrania, pozwala jej się działać i funkcjonować jako osobie publicznej. Wymaga się od niej rzeczywiście niewiele. Ale też żeby zostać gnidą nonkonformistyczną, trzeba się porządnie napracować, byle kto nią nie zostaje. Tu trzeba mieć jakiś wielki atut, na przykład nie kwestionowany talent, wyjątkowo mocną pozycję zawodową. Gnidy nonkonformistyczne, uczciwe, utalentowane, krytyczne wobec otaczającej rzeczywistości, a do konfliktów z władzą się nie posuwające, są dla niej cenne pod warunkiem, że nie wymkną się spod kontroli. Od czasu do czasu jakaś gnida nonkonformistyczna rzeczywiście wymyka się spod kontroli, podpisuje zbiorowy list czy protest i przechodzi do kategorii wrogów ludu.

4. *Gnidy – ofiary represji*. Wydawałoby się – sprzeczność sama w sobie: ofiara represji nie może być przecież gnidą, ofiara represji to przecież opozycjonista niezłomny, do największych poświęceń gotowy. A jednak gnidy – ofiary represji istnieją. Dzięki czemu? Dzięki temu, że przodujący ustrój wypracował bardzo specyficzny sposób walki z wrogiem wewnętrznym. W reakcyjnych formacjach społecznych państwo rozprawiało się z tym wrogiem poprzez uderzanie w niego samego. Było to poważne naruszenie zasad dialektyki, która zakazuje odrywania czegokolwiek i kogoś od jego społeczno-ekonomicznej bazy. Dlatego też w Związku Radzieckim, a później w Polsce Ludowej oraz w pozostałych krajach socjalistycznych wprowadzono metodę rozprawiania się z wrogiem poprzez uderzanie nie tylko w niego samego, lecz również w jego dzieci, prababki, wujenki, stryjenki, sąsiadki, znajomych, a także wszystkich, którzy by go znali, gdyby mogli, oraz tych, którzy by go znać nie mogli, ale i tak, samoistnie, są wrogami, przynajmniej potencjalnymi. Dziewięćdziesiąt dziewięć i ileś tam dziesiątek po przecinku procenta kilkudziesięciomilionowej publiczności Archipelagu Gułag to byli ludzie, którzy osobiście na Kraj Rad nigdy ręki nie podnieśli. W Polsce Ludowej to zjawisko wystąpiło w skali nieporównanie mniejszej, ale z nadatkiem wystarczającej, by więzieniach oraz po prostu na bruku znalazło się trochę osób przypadkowych, które nie tylko nie były wrogami ludu (czyli nie walczyły z Niemcami w AK), ale – wprost przeciwnie – zamierzały właśnie z tym ludem się dogadać i wesprzeć go radą oraz dobrym słowem, albo nawet już zaczęły go wspierać, tylko widocznie nie zdążono tego odnotować. Tak doszło do tego, że niektóre rzeczywiste oraz potencjalne gnidy

stały się ofiarami represji. W roku 1956 gnidy wyszły z więzienia, zostały zrehabilitowane i teraz rozpoczęła się ich wielka gnidzia kariera. Runęły do współpracy ze swoimi panami jak burza. Natychmiast też zaczęły przodować w lizusostwie, lizusowskim intryganctwie i półdywersyjnym podszywaniu się pod opozycję. Ich krzątania musiała się wydać podejrzana każdemu, kto odróżnia humanistyczno-liberalistyczne slogany od moralnej i politycznej treści konkretnych działań. Ale ich krzątania nie wydała się nikomu podejrzana. Mieli przecież za sobą przeszłość męczeńską, byli ofiarami represji. Zdali praktyczny egzamin z nieugiętości. Nikt już nie pamiętał tym męczennikom z przypadku, za co mianowicie byli prześladowani. Ludzka pamięć jest krótka. Siedział w więzieniu – więc bohater.

(Ta sama naiwna wiara, że więzienie to jest egzamin z charakteru, podbudowuje reputację również niektórych dygnitarzy partyjnych. Kadar, zanim w listopadzie 1956 roku wezwał armię radziecką, żeby zdławiła powstanie w Budapeszcie, siedział w więzieniu. Husak, główny filar udzielających braterskiej pomocy okupantów, siedział też w okresie stalinowskim w więzieniu. Pytanie tylko, za co oni siedzieli w więzieniu. Husak jakoby za nacjonalizm słowacki. Tylko że podobno (ja słyszałem, ale nie jestem pewny tej informacji, może ją ktoś sprostuje, na przykład wybitny uczony doc.dr Jerzy Janusz Terej) ten nacjonalizm słowacki polegał na tym, że Husak był za przyłączeniem Słowacji do ZSRR, co Stalin uznał za szkodliwą politycznie nadgorliwość.)

Ta krótka pamięć ludzka pozwala gnidom – ofiarom represji panoszyć się w niewiarygodny wprost sposób.

Gnid, które siedziały przez przypadek w więzieniu, nie jest tak dużo w Polsce. Ale czy trzeba więzienia, by gnida mogła paradować w pióropuszu męczeństwa? Wystarczy jej forma prześladowania o wiele łagodniejsza, na przykład zwolnienie z pracy, degradacja, pominięcie w awansie, zdjęcie przez cenzurę „ostrego” artykułu, wstrzymanie druku powieści. Przewodzący ustrój stwarza dla tego typu prześladowań nieograniczone wprost możliwości. W kraju, w którym o stanowisku, pensji i możliwościach awansu współdecyduje postawa moralno-polityczna (czytaj: stopień służalczości wobec władz), nie istnieją przecież żadne stałe i racjonalne kryteria oceniania pracowników i posadę można bardzo łatwo utracić bez uprzedniego popolenia jakiegokolwiek błędu, bez uprzedniego zaryzykowania czymkolwiek, z najczystszeo przypadku, na przykład dlatego, że stanowisko utracił (też zapewne przypadkowo) ktoś na górze. Gnida wyłana z pracy natychmiast wkłada na głowę pióropusz męczennika i staje się nietykalna. To samo zdjęcie czegoś przez cenzurę. W kraju, w którym cenzuruje się pierwszego sekretarza rządzącej partii, w którym cenzuruje się wszystko i wszystkim. Kto pisuje artykuły lub powieści, musi się zetknąć z cenzurą, choćby starał się pisywać tylko o Leninie, humanizmie i pokoju. Prędzej czy później musi błąd popełnić i na przykład użyć jakiegoś nazwiska właśnie od wczoraj wyklętego albo, odwrotnie, pominąć coś, co od dziś ma obowiązywać. Nikt jeszcze w Polsce nie odgadnął wszystkich intencji cenzury. Toteż fakt, że cenzura coś

komuś zdjęta, o niczym absolutnie nie świadczy, a w szczególności nie świadczy o tym, że był to tekst „ostry”. Wcale nie jest wykluczone, że – wprost przeciwnie – był on nie za „ostry”, lecz na przykład zbyt antyamerykański, a tu akurat PRL zabiegała w USA o nową porcję dolarów. Oczywiście gnida, licząc na to, że publiczność mechanizmów cenzury nie zna, obnosi swą konfiskatę jak bliznę po wojennych przewagach.

Poświęciliśmy gnidom-ofiarom represji trochę więcej miejsca niż innym odmianom gnid nie bez powodu. Uważamy bowiem męczenników z przypadku za najbardziej niebezpieczną odmianę gnid. Gdy kiedyś jakiś tłum wielki wylegnie na ulicę, by się każdy rozliczył z tego, co zrobił dla Polski, człowiekiem, który wejdzie na trybunę ze słowami „jeszcze poczekajcie”, będzie właśnie owiany oszukańczą aureolą bohaterstwa zaświadczonego cierpieniem, nadęty majestatem moralnego autorytetu on: męczennik z przypadku, supergnida nad supergnidy.

5. MECHANIZM KSZTAŁTOWANIA SIĘ GNIDY

Obywatel PRL – zakładamy to – gnidą się nie rodzi. W którymś okresie życia następuje w nim proces albo też ujawnia się w nim jakiś pierwiastek gnidogenny. Sposoby stawania się gnidą są rozmaite. Nam udało się wykryć i rozróżnić cztery:

1. *Złe pochodzenie społeczne.* Przewodzący ustrój jest tak doskonały i moralnie wzniosły, że bez przerwy przyprawia różnych ludzi o kompleksy. Za Bieruta takim bardzo typowym kompleksem był kompleks pochodzenia społecznego. Jak wiadomo, najwyżej notowanym pochodzeniem społecznym jest w Polsce Ludowej pochodzenie robotnicze. Na drugim miejscu plasuje się pochodzenie chłopskie, przy czym lepiej być dzieckiem chłopa ubogiego niż bogatego (za Bieruta kryterium to stosowane było bardziej konsekwentnie niż obecnie: popierane były dzieci biedniaków, dzieci średniaków już mniej, a pomiot kułaków, czyli właścicieli gospodarstw na przykład piętnastohektarowych, nie mógł nawet marzyć, aby się dostać na wyższe studia). Na trzecim miejscu plasuje się pochodzenie inteligencji (przy czym za Bieruta rozróżniano tutaj dwie możliwości: „inteligencja pracująca” – grupa bardziej pozytywna, i „inteligencja” – grupa zdecydowanie podejrzana). Na czwartym miejscu plasuje się pochodzenie „prywatna inicjatywa”, fatalne oczywiście. A co jest potem? Długa, długa przerwa. po której idzie coś pod słońcem najgorszego: pochodzenie od przedwojennych właścicieli ziemskich, arystokratów i fabrykantów. Gdy – mowa o epoce za Bieruta – trudno było być dzieckiem rodziców, którzy mieli więcej niż dwie krowy, to czy można było wówczas znieść ciężar bycia dzieckiem bankiera, dziedzica, arystokraty, słowem wyzyskiwacza i wroga ludu, który w zмовie z obcym kapitałem pchał Polskę w przepaść klęski wrześniowej? Dla niektórych było to ponad siły. Wytworzywszy w sobie na ile niewłaściwego pochodzenia społeczny kompleks

winy, postawili sobie za cel tę winę czymś zmasać i doprosić się łaski władzy ludowej. Kariera partyjna była dla nich zamknięta, otworem natomiast stała kariera gnidzia. I zostali gnidami. Hrabia do wynajęcia, pozytywny hrabia to ważny element socjologiczny współczesnej Polski. Jest on żywym dowodem humanistycznej wyrozumiałości awangardy proletariatu, która zamiast pogruchotać kości – hołubi, a także patriotycznej jedności wszystkich Polaków, skupionych, mimo dzielących ich takich czy innych różnic, wokół przodującej partii i jej przywódców.

2. *Chęć bycia kimś.* To jest najpowszechniejszy i najbardziej banalny zarazem mechanizm gnidotwórczy. W kraju, w którym żeby zostać już nie dyrektorem, lecz jakimś podrzędnym kierownikiem lub naczelnikiem pożądana jest, a zazwyczaj wręcz wymagana przynależność do PZPR, droga do kariery życiowej i sukcesu stoi otworem tylko przed tymi, którzy rządzą, i tymi, którzy się im podlizują. Jeśli się nie jest bardzo wybitnym i niezastąpionym w określonej dziedzinie inżynierem, matematykiem, fizykiem, chemikiem, astronomem, to po to, aby zrobić karierę, należy albo zapisać się do przodującej partii, albo zostać gnidą. Niektóre zawody są dla pozostałych obywateli po prostu zamknięte. Na przykład zawód dziennikarza. Dziennikarz jest w przodującym stroju nie fachowcem od podawania oraz komentowania informacji, lecz „pracownikiem frontu ideologicznego”, czynownikiem od wykonywania czynowniczych instrukcji propagandowych. Dziennikarz w Polsce Ludowej ma obowiązek bronić i wychwalać aktualną ekipę PZPR do ostatniej godziny jej urzędowania, choćby ona (grudzień 1970) posyłała właśnie ckm-y przeciw robotnikom, następnie zaś krytykować ją i gromić bez pardonu w sekundę po obaleniu jej przez nową ekipę PZPR. Do tych zadań nadają się tylko partyjni i gnidy (oczywiście, dzięki bałaganowi, który panuje w naszym kraju, do zawodu dziennikarskiego trafia trochę bezpartyjnych niegnid, a nawet pewna ilość osób partyjnych, które nie pójdą na każdą robotę, ale nie ci ludzie robią w tym zawodzie karierę). W takich oto warunkach dane jest nam żyć. A do natury gnidy należy, że ona musi mieć w życiu dobrze, że musi być jako tako urządzona i że za żadne skarby nie pójdzie pracować na pocztę, w przedszkolu czy MPO.

3. *Lojalność totalna.* Znakomity polski kompozytor znalazł się pewnego dnia (lata siedemdziesiąte) w otoczeniu swoich kolegów-muzyków u jednego z wiceministrów kultury i sztuki. W trakcie rozmowy dotyczącej problemów muzyki ktoś zwrócił wiceministrowi uwagę na to, że za granicą przebywa dwóch wybitnych polskich kompozytorów, Andrzej Panufnik i Roman Palester, i że na polskich estradach od wielu już lat nie wykonuje się ich muzyki. Wiceminister odpowiedział: „Nie widzę żadnych przeciwwskazań, jak chcecie ich grać, to grajcie”. A na to odezwał się ów znakomity polski kompozytor: „Panie Ministrze, a widział Pan na obwołucie płyty Panufnika ten antyradziecki akcent?” (chodziło o utwór poświęcony pamięci ofiar Katynia). Minister nie widział, stropił się i powiedział, że skoro sami muzycy mają w tej sprawie zastrzeżenia, to on się nią zajmować nie będzie. Sprawa odblokowania Panufnika i Palestra została na pewien

czas odwleczona. Powstaje teraz pytanie, co powodowało znakomitym kompozytorem, gdy składał donos na swego emigracyjnego kolegę. Hipoteza, którą proponujemy, brzmi następująco: lojalność. Znakomity kompozytor, laureat nagrody państwowej, darzony szacunkiem przez ministrów i wiceministrów, wyjeżdżający bez przerwy za granicę, nie umie się wprost zachować nielojalnie. Jeśli jeden minister zezwala mu na wyjazd za granicę, drugi prawi komplementy, a trzeci daje nagrodę, jeśli przodująca partia akceptuje jego cokolwiek przecież podejrzaną estetykę, to czy on miałby prawo zachować się jak Judasz? Nie, przed wiceministrem, który darzy zaufaniem, nie wypada niczego ukrywać. Wiceminister był już gotów zgodzić się na Panufnika, bo o tej antyradzieckiej obwołucie oczywiście nie wiedział. Czy wybitny kompozytor nie miał obowiązku uświadomić wiceministra, jak naprawdę rzeczy się mają? Miał obowiązek moralny oczywiście. Wybitny kompozytor należy do gatunku lojalistów totalnych. Lojalista totalny chce być w porządku wobec wszystkich. A ponieważ to, co każdego obywatela PRL otacza ze wszystkich stron najbardziej, najgęściej i najszczelniej, to jest władza, więc lojalista, chcąc być w porządku wobec wszystkich, jest lojalny przede wszystkim wobec niej. Lojalistów totalnych nie jest zapewne zbyt wielu w Polsce.

4. Prawda leży pośrodku. Istnieje, ach znany aż zbyt dobrze, typ charakteru i intelektu ukształtowany według tej formuły: „prawda leży pośrodku”. To kompromisowcy, ludzie, którzy nigdy nie opowiedzą się wyraźnie po żadnej stronie, bo taki już mają miękki charakter i intelekt. Na każdą sytuację chowają wprost nieograniczony zestaw argumentów „za i przeciw”. Uważają, że władza w Polsce jest zła, ale są też pewne pozytywy, że w Szwecji rządy są lepsze, ale... że zależność od Rosji to bardzo zła rzecz, z drugiej jednak strony... Gnidy typu „prawda leży pośrodku” pozbawione są w znacznym stopniu istotnej cechy gnidziej: one niemal nie pracują nad sobą, żeby zamącić sobie w głowie, one te zamącone, zakażone kompromisowością i połowicznością głowy otrzymują gotowe w chwili narodzin. Istnieją podstawy, by zakładać, że gdyby zmienił się ustrój, to „gnidy z urodzenia” w nowym niekomunistycznym systemie zachowałyby się tak jak obecnie, a więc z rezerwą i chwiejnie (w przeciwieństwie do pozostałych gnid, które oczywiście natychmiast ustroiłyby się w piórka niezłomnych antykomunistów). Gnidy z urodzenia, mniej zakłamanie od pozostałych, pełnią jednak w PRL identyczną jak te same gnidzią funkcję, są w dodatku dość liczne, szczególnie w środowiskach uniwersyteckich.

6. ŻYCIE SPOŁECZNE GNIDY

Guida jest obywatelami czynnym zawodowo, mało czynnym: niezwykle aktywnym, zaangażowanym, wręcz walczącym. Z czyni gnida walczy? Pewnie z dyktatorem Somozą, rewizjonistą Straussem, jastrzębiem Brzezińskim? Ach, nie przyznawajmy się do tego, że nie wiemy o gnidach nic. One walczą z przejawami zła występującymi nie tam gdzieś za granicą,

lecz tutaj, u nas, w Polsce. Gnida, najogólniej mówiąc, nie może pogodzić się z tym, że wokół więzień i aresztów nie wszędzie jeszcze rosną róże. I gnida walczy o klomby oraz rabaty. Poświęca tej sprawie życie zawodowe, interweniuje, pisuje artykuły oraz listy do redakcji. Proszę wziąć do ręki rocznik jakiegokolwiek dziennika z roku 1956, 1968, 1970, 1976. Zobaczymy tam liczne gnidy w działaniu. Jedna poświęca cykl reportaży niewłaściwie odrestaurowanej kamieniczce w Gdańsku, druga grzmi z powodu zaniedbanego grobu jakiegoś poety, trzecia uważa, że w Radomiu można by postawić karuzelę, czwarta zapowiada, że nie spocznie, aż w Ursusie pomalują wreszcie parkan w ogródku jordanowskim, piąta jest zdania, że kartki na cukier można by umać jakimś ozdobnym szlaczkiem. I tak za sprawą gnid odbywa się nieustanne doskonalenie naszej rzeczywistości.

7. ŻYCIE TOWARZYSKIE GNIDY

Jak gnida żyje, ile zarabia, gdzie mieszka, jak zachowuje się w różnych sytuacjach, jakich ma znajomych i przyjaciół? Trudno odpowiedzieć na te pytania, bo gnida – jak już zostało powiedziane – gnidzie nierówna. Trzeba się zadowolić zatem odpowiedzią nieco ogólnikową. A zatem – żeby zacząć od spraw podstawowych – gnidzie powodzi się w Polsce Ludowej nienajgorzej. Gnida jest osobą w życiu urządzoną. Ma posadę naukową, intelektualną lub artystyczną, pensję powyżej pięciu tysięcy, mieszkanie powyżej M-3, być może sanochód, być może domek letni na Mazurach, w górach lub w pobliżu miasta. Gnida na ogół założyła rodzinę, raczej posiada dzieci (bo to ważny element w życiu gnidy – ale o tym później), czasem lub często wyjeżdża za granicę, ma dość szerokie kontakty towarzyskie, chodzi na przyjęcia i sama urządza je u siebie (to bardzo znamienny szczegół: nie istnieje ani jedna gnida pędząca samotniczy tryb życia). Gnida zadaje się zazwyczaj z gnidami. Są oczywiście odstęstwa od tej zasady. Dotyczą one kontaktów zarówno z partyjnikami, jak z opozycjonistami. Jeżeli idzie o partyjników, to gnida zadowala się na ogół tylko jednym przedstawicielem tej odmiany, jednym, ale dobrym nieprzypadkowo. Któż to taki? To najbliższy zwierzchnik gnidy, jej naczelny, prezes, profesor. Kontakt, który utrzymuje gnida z partyjnikiem – swoim zwierzchnikiem (bardzo serdeczny, nacechowany intymnym nieco szacunkiem, choć niezbyt częsty) jest zazwyczaj przez nią ukrywany przed resztą znajomych. Gnida obawia się i tego, że zwierzchnikowi-partyjnikowi mógłby się ktoś z tego towarzystwa nie spodobać, jak i tego, że to towarzystwo pomyśli sobie o nim źle. Źle, to znaczy jak? Że on sam jest czerwony. Gnidzie – trzeba wiedzieć inianowicie – niesłychanie zależy, by otoczenie nie utożsamiało jej z partyjną hołotą. Niektóre gnidy do tego stopnia gotowe są dystansować się od partyjników, że utrzymują kontakty z opozycjonistami. Może „z opozycjonistami” to powiedziane za mocno; taka gnida miewa w kręgu swoich znajomych na ogół jednego opozycjonistę. Cierpi z tego powodu nieraz katusze strachu

(gdy opozycjonistę z numerem telefonu gnidy w kalendarzyku wpakują do aresztu), ale za to jaka się czuje wówczas dzielna, mężna i antypaństwowa! Większość gnid jednak unika opozycjonistów, a gdy znajomy nieopozycjonista staje się dysydem, natychmiast rozluźnia z nim kontakty.

Gnida plotkuje w kawiarni i judzi na system, kibicuje wrogom ludu i wicherzycielom, czytuje wydawnictwa opozycyjne (ach, jaka się z tego powodu czuje dysydenka), sama jednak nigdy nie podpisuje żadnych listów protestacyjnych, nigdy nie pisuje tekstów antypaństwowych i nigdy nie miesza się do afer, za które można wylecieć z pracy. Gdy w miejscu, gdzie ona działa, na przykład w redakcji, w związku twórczym wybucha konflikt natury politycznej, gnida stara się doprowadzić do zgody, łagodzi różnicę stanowisk. Gdy wybucha nagonka na Sołżenicyna, Kołakowskiego, Sacharowa, gnida ośmiela się zwrócić uwagę, że polemizować z nimi można, nawet trzeba, ale należy to robić w sposób umiemy, kulturalny; napaści zbyt ostre i gołosłowne przynoszą skutek odwrotny. Gdy partyjnicy przypuszczają atak polityczny na jakiegoś znakomitego artystę, gnida, nie przyłączając się do ofensywy, wypowiada sceptyczną lub wręcz negatywną opinię na temat czysto artystycznych walorów jego dzieła.

8. ŻYCIE WEWNĘTRZNE GNIDY

Wkroczyliśmy w najważniejszy fragment tego traktatu. Nastąpi teraz bowiem coś o wiele ważniejszego od rozważań na temat genezy, rodzajów i zachowań gnid: próba przedstawienia jej systemu myślowego, próba opisu gnidziej struktury intelektualnej. Czyż mogliśmy pominąć ten rozdział? Byłoby to w stosunku do gnid pominięcie jaskrawo krzywdzące. Wszak ów system myślowy, wszak ta struktura intelektualna to jest właśnie ten dorobek, którego gnidy w drodze cichej pracy myślowej nad sobą dochrapały się w trakcie trzydziestu kilku lat istnienia PRL, który wypracowały zbiorowym wysiłkiem gnidnich szarych komórek i który jest ich bronią i tarczą. Przyjrzyjmy się mu więc dokładnie.

A. ARGUMENTY, ŻEBY NIE PODPISYWAĆ LISTU PROTESTACYJNEGO

Dzyń, dzyń, dawno nie widziany gość, herbatka, gadu, gadu... Do gnidy przyszedł jego znajomy ze sfer opozycyjnych. Oburzają się wspólnie na jakąś nową łapankę, masakrę lub przepojoną uczuciem do ZSRR poprawkę do konstytucji. Drzwi i okna szczelnie zamknięte, można psioczyć do woli. Nagle gość sięga do kieszeni marynarki i wyjmując stamtąd kartkę maszynopisu. Podaje gnidzie, ta zaś szybko przebiego wzrokiem gęsto zapisane linijki podpisywanego właśnie kolejnego listu protestacyjnego. Gnida kończy lekturę i zaczyna zadawać rzeczowe pytania na temat dotychczasowego zasięgu akcji. Gość odpowiada, gnida słucha. Ale słucha tylko pozornie. W istocie zajęta jest czymś innym: obmyśleniem sposobu uzasadnienia, iż ona podpisywać nie może. W tym miejscu czytelnik tego teks-

tu zawoła zapewne zde gustowany: jak to „obmyślanie”, to po to gnidy od trzydziestu kilku lat wysilają swe szare gnidzie komórki w cichej pracy koncepcyjnej, by teraz ich przedstawiciel zniecka przyciśnięty do muru, musiał na poczekaniu, na chybicka wymyślać argumenty przeciw podpisywaniu! Czytelniku, cierpliwości i więcej do gnid zaufania. Ależ oczywiście, że one mają te argumenty obmyślane, wypóbowane i przećwiczone na wszystkie sposoby. Jednak to przecież co innego teoretycznie wiedzieć, jak się zachować, gdy ktoś podaje kartkę do podpisu, a co innego znaleźć się wobec kartki i opozycjonisty oko w oko. Gnida musi – w zależności od sytuacji i osoby rozmówcy – zdecydować o rodzaju zastosowanej argumentacji. A oto repertuar, jaki ma do dyspozycji:

a) *Odpowiedzialność wobec rodziny*. Gnida nie może podpisać listu protestacyjnego, ponieważ jest człowiekiem odpowiedzialnym. Nie chodzi jej oczywiście o nią samą, ona nie może dopuścić do tego, aby nienial pewne konsekwencje podpisu dotknęły jego bliskich. Mniejsza już o żonę, męża, ciocię i babcię. Chodzi przede wszystkim o dzieci. Można odnieść wrażenie, że nikt na świecie nie kochał tak i nie kocha swych dzieci jak peerelowska gnida. Myśl, że dziecko będzie jadło zamiast parówek salceson, a zamiast bananów jabłka, że wyrzucą je ze żłobka, nie przyjmą do przedszkola, nie dadzą odznaki wzorowego ucznia w szkole, jest dla niej nie do zniesienia. List protestacyjny – to dobre dla kawalerów, niezamężnych kobiet, a także ludzi z gruntu nieodpowiedzialnych. Ona ma ręce spętane. Kiedyś, jak jej dziecko zda maturę, zrobi magisterium i doktorat. to może, może... oczywiście pod warunkiem, że nie pojawią się wnuki. Dla dobra wnuka gnida będzie się musiała być może jeszcze trochę pohamować. Ale w niebie to już zaprotestuje na pewno, z całą mocą.

b) *Umiłowanie zawodu*. Gnida nie może przyłączyć się do protestu, ponieważ wprost ogromną rolę odgrywa w jej życiu wykonywana przez nią praca zawodowa. Bez swej redakcji, bez swego teatru, zespołu filmowego, związku twórczego, bez możliwości wydawania książek życia by sobie nie wyobrażała. Podpisanie protestu oznacza wyrzucenie z pracy, zakaz publikowania, unicestwienie zawodowe. Gnida sobie na to nie może pozwolić. Uczyniłaby to oczywiście natychmiast, gdyby miała tak silną pozycję jak N. N jest nietykalny, jak N podpisze, nie zrobią mu nic. W ogóle powinni podpisywać tacy jak N, nietykalni właśnie. Tu gnida ogarnia myślą milionowe szeregi emerytów. Jakaż to mogłaby być armia opozycjonistów. Co mogą zrobić emerytowi? Przecież emerytury nie odbiorą. Dlaczego to do emerytów nikt nie dotrze z listem do podpisania? A chroniccy – rozmarza się wprost gnida – nieuleczalni, ci z onkologią... Czy taki, co mu już PRL nic zrobić nie może, nie podpisze? Po szpitalach trzeba podpisywaczy szukać, a nie ludzi szczególnie narażonych na represje narażać. Po szpitalach i po domach starców.

c) *Nieodpowiedni moment*. Gnida marzy wprost o wzięciu udziału w jakiejś akcji protestacyjnej, ale teraz akurat jest zupełnie nieodpowiedni moment. Że też nikt nie przyszedł do niej z listem do podpisania we wrześ-

niu. Protestować, i to ostro, należało we wrześniu, ale przecież nie teraz. Ta akcja jest po prostu spóźniona. Spóźniona, a w pewnym sensie zarazem przedwczesna. To jest zbyt poważna sprawa, by rozegrać ją w sposób nieumiejętny. Zastanówcie się nad tym, co robicie. Ja ostrzegam.

B. PROWOKACJA

I tylko tyle, i tylko trzy argumenty na obronę przed natrętem, który podsuwa do podpisania list? Ach, więcej zaufania do gnid, więcej wiary w ich mądrość, więcej szacunku dla ich dorobku. Te trzy argumenty to jest tylko niejako pierwsza, najdalej wysunięta linia obrony, to są sposoby, których gnida przyparta do muru, chwyci się najprawdopodobniej w swoim pierwszym odruchu. Ale przecież oprócz tego, co gnida powie w swoim pierwszym odruchu, są jeszcze całe pokłady myślowego dorobku przygotowanego na sytuacje bardziej skomplikowane, nadające się do wykorzystania po nieco głębszym przeanalizowaniu sytuacji... A prócz tych argumentów rezerwowych istnieje przecież jeszcze do czerpania pełną garścią – całe wnętrze gnidy, cały jej świat intelektualny cała struktura myślowa. Czyżby w pewnym sensie, wszystko to, co gnida ma w środku, nie zgromadzone zostało – w rezultacie cichej pracy koncepcyjnej – po to, by się wykręcić od podpisania protestu? Spróbujmy zatem o tym wewnątrz powiedzieć teraz coś nowego.

Otóż gnida posiada nieodpartą, przemożną i wszechogarniającą skłonność, aby we wszystkim, co się dzieje naokoło, upatrywać prowokację. Prowokację – oczywiście – partii lub UB. Mysz machnęła ogonem przeciw kotkowi. Naiwny myśli: akcja antykotkowa. Gnida wie lepiej: nie antykotkowa, lecz wprost przeciwnie, kotkowa. Kotek maczał w niej rękę, inspirował, myszkę podpuścił, żeby mieć w rękach dowód. Dowód na co? Że ona go nie lubi. Studenci wyszli na ulicę – prowokacja. Robotnicy Radomia i Ursusa zaprotestowali przeciw decyzji o podwyższeniu cen – prowokacja. Powstał KOR – prowokacja. Powstał Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela – oczywiście prowokacja. Skąd gnida wie, że to wszystko prowokacje? No przecież, gdyby nie maczało w tym rąk UB, to by nikt na ulice nie wyszedł, przeciw niczemu nie zaprotestował i niczego założyć nie zdołał. Sam sukces akcji przesądza o jej prowokacyjnym charakterze. UB nie pozwoli, żeby działo się coś nie po jego myśli. Gdyby pewnego ranka gnida po obudzeniu się zastała Polskę wymiecioną z organizacji partyjnych, oddziałów radzieckich, milicji, UB, TPP-R, ORMO i rządzoną przez rząd londyński, to na pewno tak długo upierałaby się, że jest to nowa prowokacja władz PRL, aż by nie zdołano jej przekonać, iż niczego nie będzie musiała podpisywać.

W jakim celu – według gnidy – władze PRL podpalają komitety wojewódzkie, wypędzają studentów i robotników na ulice oraz podjudzają naiwnych intelektualistów do organizowania akcji protestacyjnych? Oczywiście w tym celu, żeby wyłowić nie wyłowionych dotychczas przeciwników reżimu i żeby mieć pretekst do kolejnego przykręcenia śruby.

Gnida perfidię władz przejrzała, wymanewrować się nie da i w żadne podejrzane akcje wmieszać się nie da.

(Pogląd, że wszystko, co się dzieje wbrew władzom PRL, to jest prowokacja, zdołały narzucić gnidy znacznej części społeczeństwa, a nawet niektórym opozycjonistom. Patrzą oni niezmiernie podejrzliwie na środowiska opozycyjne o nieco innym zabarwieniu politycznym, święcie przekonani, że jeśli jacyś ludzie prowadzą działalność opozycyjną po swojemu i nie siedzą jeszcze w więzieniu, to znak, że macza w tym ręce UB.)

C. LIBERAŁOWIE I TWARDOGŁOWI

Gnida jest wielkim ekspertem w pewnej dziedzinie wiedzy, do której, zdawałoby się, nie powinna mieć dostępu. Zna się ona mianowicie doskonale na walkach frakcyjnych w Itonie PZPR. W wiedzy na ten temat gnida przerasta nie tylko szeregowych członków przodującej partii, lecz również wielu członków KC, a być może nawet niektórych sekretarzy, nie mówiąc już o członkach sekretariatu. Tak jak gnida zna partyjne układy, nie zna ich niemal nikt, no może jedynie CIA. U podstaw tej wiedzy leży przekonanie, że członkowie Biura Politycznego oraz ich zastępcy, sekretarze i członkowie sekretariatu, kierownicy wydziałów KC oraz pierwsi sekretarze komitetów wojewódzkich dzielą się na dwie kategorie działaczy: liberałów oraz twardogłowych czyli zamordystów. Liberałowie starają się, jak mogą (niestety, mogą niewiele), aby polityka gospodarcza była bardziej racjonalna, aby w kulturze panowała większa swoboda i aby milicja oraz władze bezpieczeństwa rozprawiając się z opozycją stosowały możliwie łagodne metody. Twardogłowi czyli zamordyści dążą do tego (i niestety, im się to udaje), aby w gospodarce zacisnąć pasa, w kulturze przykręcić śrubę, a w rozgrywce z opozycją zastosować najostrejsze środki. Do tego frontu wewnątrzpartyjnego dochodzi jeszcze – w przekonaniu gnid – drugi konflikt dzielący cały aparat władzy: konflikt między partią jako całością a bezpieczeństwem. Bezpieczeństwo jest – według gnid – siłą niezależną, prowadzącą własną politykę. Pewne powiązania z bezpieczeństwem posiadają niektórzy twardogłowi wewnątrz partii. Jednak partia jako całość ze swym pierwszym sekretarzem włącznie ma na poczynania bezpieczeństwa wpływ ograniczony. Milicja w Radomiu torturuje robotników – Gierek o tym nic nie wie. Bezpieczeństwo zaszczuwa członków KOR, wybitnych intelektualistów i artystów – minister kultury i członek Biura Politycznego, Tejchma, o tym nic nie wie. Liberałowie partyjni w ogóle bardzo mało wiedzą i jeszcze mniej mogą. A dlaczego tak mało mogą? I tu dochodzimy do największego, być może, osiągnięcia gnidzich szarych komórek: bo opozycja ich pozycję osłabia.

Co taki liberał Tejchma wzmocni, co zbierze się w sobie, by śrubę w kulturze odkręcić, to zaraz jakiś list pisarzy w sprawie losu Polaków w ZSRR lub w sprawie poprawek do „Konstytucji” wszystko mu popsuje. Zamordyści mówią bowiem natychmiast: chcieliście, towarzyszu, śrubę odkręcić, zapewnialiście, że już będą grzeczni, no a co powiecie na ten

list? I minister Tejchma odpowiedzi nie znajduje, list protestacyjny wytrącił mu z ręki argumenty.

Program działania, który wynika z gnidziej diagnozy, jest prosty: obywatel świadomy powinien postępować tak, aby skrzydło liberalne w partii umacniać. Co osłabia owo skrzydło? Listy, protesty, strajki, demonstracje i niecenzuralne książki. Co umacnia je? Brak listów, strajków demonstracji i niecenzuralnych książek. Chcesz liberalizacji – powstrzymaj się od nierozważnych działań, nie protestuj, nie stawiaj żądań, nie wychodź na ulicę, nie składaj w wydawnictwie prowokacyjnej książki, tylko ją sam w domu porządnie ocenzuruj. Odbywa się Zjazd Związku Literatów Polskich. Ponad Zjazdem, gdzieś w górze, odbywa się oczywiście zacięta walka między liberalnym ministrem Tejchmą a zamordystycznym sekretarzem Łukaszewiczem. Zjazd wybiera zarząd złożony z pisarzy sterowanych przez partię, opozycja nie dochodzi do głosu. „Zwycięstwo Tejchmy” – mówią z ulgą w głosie gnidy. W tygodniku literackim ukazuje się – zapewne przez przypadek – rysunek wymierzony przeciw antysemitom, a więc antypaństwowy. Gnidy redakcyjne ogłaszają żałobę: „stała się rzecz straszna, daliśmy argumenty do rąk twardogłowych, teraz dopiero dobrać się do pisma, trzeba odtąd pilnować, żeby ci idioci (naczelny) znowu czegoś nie puścili”. Chcesz liberalizacji, nie chcesz, aby do głosu doszli twardogłowi, sam stań na straży porządku, przeciwdziałaj nieodpowiedzialnym poczynaniom, cenzuruj swoje i cudze teksty (bo co się stanie, jak cenzura puści przez przypadek, a potem twardogłowi to zauważą). Chcesz liberalizacji – walcz z wolnością. Dlaczego? Bo inaczej przyjdą zamordyści i wezmą za mordę.

D. PRZYJDZIE GORSZY

Zajrzyjmy do duszy gnidy średnio lub wysoko usytuowanej w hierarchii społecznej, ot na przykład kierownika działu w tygodniku społeczno-kulturalnym, dyrektora instytutu naukowego. Czy on nie ma już po dziurki od nosa tego pisywania wiernopoddańczych artykułów wstępnych, tego musztrowania przez niedouczonych aparatczyków z KC? Ma po dziurki od nosa i nawet więcej: on już dziesięć razy dojrzał do tego, żeby stanowisko rzucić i robić co bądź. Ale jeżeli jest gnidą naprawdę, to on nie uczyni tego nigdy. Dlaczego? Bo przecież jak odejdziesz, to na jego miejsce przyjdzie gorszy. A do tego dopuścić nie wolno. Przyjdzie i robotników z Radomia wyzwie, nie jak dotychczas od chuliganów, tylko od łobuzów, przyjdzie i uczonych idealistycznych zaatakuję nie za idealizm, lecz za subiektywizm, przyjdzie i książkę niecenzuralną złożoną w wydawnictwie odrzuci po chamsku, z wywiskami, zamiast odesłać ją po pół roku trwających serdecznych rozmowach. Wszyscy powinni – zdaniem gnid – na swych stanowiskach trwać, znosić ciężary odpowiedzialności, nawet upokorzenia, w imię racji wyższych. Jakich? Dobra kultury polskiej, oczywiście. Dobro kultury polskiej jest wartością nadrzędną. Trzeba umieć dla niej poświęcić interesy osobiste. Gnidy poświęcają się więc. Służą, każda,

cenzurują, utracają, nawet donoszą – dla dobra polskiej kultury. Co pewien czas kraczą i lamentują. „Jak jego zdejmą (redaktora naczelnego tygodnika literackiego – P.W.), to koniec”. „Jak jego zabraknie (redaktora naczelnego miesięcznika literackiego – P.W.), to zacznie się rzeź”. Nie ma takiego zawodowego policjanta, nie ma takiego wirtuoza służalczości, którego nigdy nie ogłoszą wielką i ostatnią ostoją polskiej kultury, jeżeli tylko od niego zależą jakieś etaty i losy jakiejś gnidziej instytucji.

(Argumentację typu „przyjdzie gorszy” przejęli od gnid ci partyjnicy i kandydaci na partyjników, którzy twierdzą, że trzeba należeć do partii, bo jak uczciwi i porządni ludzie nie zapisują się do partii, to uzyskują w niej wpływy łobuzy i skurwysyny.)

E. ŚWIAT W OCZACH GNIDY

Jak wygląda współczesny świat w oczach gnidy? Jest to oczywiście świat podzielony na dwa bloki: amerykański i radziecki. Polska jest zależna od Związku Radzieckiego, który jest oczywiście państwem totalitarnym. Co prawda nie ma dziś na świecie – poza dwoma, trzema mocarstwami – państw zupełnie niezależnych. Walka o pełną niepodległość Polski jest nierealna. Zachód jest oczywiście lepszy od ZSRR, ale też ma na sumieniu różne sprawy. Wolna Europa podaje czasem ciekawe wiadomości, ale na ogół przesadza. Lepsze jest BBC. Nacjonalizm, zacierzawienie narodowe jest rzeczą złą, najlepsza jest postawa przejawiana przez łagodne lewicujące intelektualne ośrodki na Zachodzie: humanizm, postęp, wartości ogólnoludzkie. Liberalizacja to jest coś dobrego. Walka o niepodległość Polski trąci myszką i obskurantyzmem.

(Postawę wobec nacjonalizmu przejęły gnidy od niektórych lewicujących odłamów opozycji, którym słuszne i uzasadnione potępienie dla nacjonalizmu pojętego jako antysemityzm, rozciągnęło się w dziwny sposób na wszelki nacjonalizm; czy również w Gruzji, na Litwie, na Łotwie, w Estonii, w Armenii nacjonalizm ma charakter obskurancki? Czy również Litwin, Łotysz, Estończyk, Gruzin i Ormianin, zamiast być nacjonalistą, powinien stać się zwolennikiem liberalizacji i entuzjastą Berlinguera?)

F. AUTORYTETY GNIDY

Gnidy uważają się za jednostki moralnie czyste, nonkonformistyczne, nie splamione żadną brudną, a nie daj Boże mokrą robotą. Są humanistami i moralistami. Przeciw brutalnej rzeczywistości PRL-owsko-partyjnej wystawiają otoczkę utkaną z zasad moralnych i wyższej kultury. Cóż odgrywa zasadniczą rolę w gnidziej moralności i kulturze? Oczywiście wzory, konkretni ludzie. Gnida, żeby czuć się dobrze i żeby być sobą, potrzebuje busoli w postaci jakiegoś koryfeusza, jakiejś jednostki sławnej i moralną czystością tudzież wyższą kulturą się odznaczającej. Jest to zazwyczaj profesor, hołubiony i lansowany przez PRL, ale w jakimś tam okresie z lekka represjonowany, prześladowany, a w każdym razie od stanowisk

odsunięty, potem zaś w glosii do łask przywrócony. Profesor ów w opinie niezłomnego uzbrojony, wygłasza potem niezliczoną ilość pięknych przemówień, siedzi w niezliczonych prezydiach, mówi się o nim jako o wielkim uczonym, a w gazetach cytuje go co drugi dziennikarz. Taką to właśnie wielką gnidę lub osobę gnidopodobną obiera sobie gnida za busołą. Ponad zgietk opozycyjnych krzykaczy wznosi się jej wielka statua, by dodać ducha, wesprzeć i rozgrzeszyć.

G. GNIDA CHCE BYĆ KOCHANA

Duchowo oraz towarzysko spokrewniona z liberalną opozycją, cielesnie stowarzyszona z partyjnymi panami PRL, stara się gnida dogodzić wszystkim i chce przez wszystkich być kochana. W środowisku opozycjonistów pragnie uchodzić za wprawdzie niezaangażowaną w opozycyjne działania, lecz moralnie czystą, niezłomną, nonkonformistyczną. W instytucjach PRL-owskich chce uchodzić za wprawdzie apolityczną, lecz obowiązkową, kochającą swą pracę, lojalną. Od opozycjonistów oczekuje akceptacji. Od PRL-u premii, awansów, nagród i orderów. I zazwyczaj – trzeba przyznać – jej się to udaje. Opozycja jest nadzwyczaj wyrozumiała, władza ludowa wyjątkowo wprost hojna. Gdy któraś ze stron gnidę akceptować przestanie, gnida podnosi niesamowity wprost gwałt. Niektóre gnidy zdradzone zostały, przejściowo, przez swych PRL-owskich panów: To męczennicy z przypadku, o których mówiliśmy w jednym z poprzednich punktów tego traktatu: popadnięci w niełaszkę z reguły przypadkowo, bez żadnego poprzedzającego podpadnięcie działania opozycyjnego, powracają szybko na łono PRL-u w oszukańczych piórkach niezłomnych ofiar represji. Gnidy, którym dobrała się do skóry opozycja, policzyć można na palcach jednej ręki. Gnida skompromitowana, przyłapana na słuźalczności, wpada zazwyczaj w wielką panikę. Mobilizuje znajomych, którzy mają wpływy u opozycjonistów, biega po mieście i gęsto się tłumaczy. Wkrótce też pojawiają się jej adwokaci wykazujący, że skrzywdzono prawego człowieka, że on ma bardzo specyficzną sytuację, że jego nie można zestawiać na jednej płaszczyźnie z ewidentnymi konformistami, że on to bardzo przeżył, itp. Gnida przyłapana na gorącym uczynku chwytą się najbardziej fantastycznych sposobów obrony. Polegają one, najogólniej biorąc, na dorabianiu antypaństwowych ukrytych intencji do prorządowych jawnych działań bądź tekstów. Na przykład dziennikarz specjalizujący się w stawieniu światowej rewolucji wzięty w dwa ognie i przyparty do muru, potrafi powiedzieć, że on pod maską krytyki prezydentów i królów uprawia krytykę przywódców państw totalitarnych jak ZSRR, PRL. Metodę tę powinny gnidy upowszechnić. Mogłyby dzięki temu udowodnić, że sławny „List do Prezydenta” (Bieruta – P.W.) napisany przed laty przez wybitnego polskiego pisarza, to był w istocie list do Andersa, że apel w sprawie bomby neutronowej, wystosowany przez wybitnego polskiego artystę, to był w istocie apel w sprawie radzieckich zbrojeń raketowych, że protest w sprawie amerykańskiej interwencji w Wietnamie uchwalony

przez delegatów na Zjazd Związku Literatów Polskich, to był w istocie protest przeciw radzieckiej interwencji na Węgrzech, itd., itd. Gnidy potrafią się bronić, nie ma co.

9. KTO MA PRAWO PISAĆ O GNIDACH

Opowiedzieliśmy o genealogii gnid, ich rodzajach, zachowaniach i poglądach. Natrafiliśmy na sporą różnorodność opisywanego materiału. W przyszłej monografii poświęconej gnidom, a przygotowywanej przez zespół ekspertów pod redakcją prof. Jana Szczepańskiego albo prof. Andrzeja Grzegorzczaka, ta różnorodność objawi się zapewne jeszcze silniej. Ale wypada teraz podzielić się z Czytelnikami jedną jeszcze impresją: mimo tej różnorodności polegającej na tym, że gnidowatość jest cechą, która występuje w najróżniejszych dawkach, i że istnieje sporo najróżniejszego rodzaju twórców pośrednich, gnidopodobnych (na styku populacji gnid zarówno z opozycjonistami jak z panami PRL) ... mimo tej różnorodności zatem chodzi po Polsce wyjątkowo dużo gnid klasycznych, typowych, wzorcowych, ogromnych w swej gnidowatości, gnid, które działają według gnidzich reguł, jak szwajcarskie zegarki, gnid, których każdy krok, każde słowo można z dużą dozą prawdopodobieństwa z góry przewidzieć. Gnidy olbrzymie i białe jak słońce. Jak tu nie pisać o nich, nie stawić ich wdzięku.

Pozostaje nam jeszcze tylko, na zakończenie tego szkicu, postawić jedno formalne, ale nie tylko formalne pytanie: kto powinien pisać o gnidach, kto ma do tego prawo? Odpowiedź wydaje się prosta: o gnidach powinna pisać niegnida. Ale ta odpowiedź jest prosta tylko pozornie; któż z czystym sumieniem może o sobie powiedzieć, że jest niegnidą? Któż? Jest to tragedia polskiej-inteligencji, polskiej kultury i Polski po prostu, a poza tym powód, dla którego ten tekst został napisany: wszyscy lub prawie wszyscy jesteśmy lub jesteśmy częściowo, lub byliśmy do pewnego stopnia g n i d a m i .

PIOTR WIERZBICKI

ADAM MICHNIK

GNIDY I ANIOŁY

Pierwszym uczuciem, jakie mnie ogarnęło po przeczytaniu eseju Piotra Wierzbickiego, był zachwyt i zarazem zawiść; zawiść, że to nie ja jestem autorem „Traktatu o gnidach”. Ież to razy – doprowadzony do pasji „gnidzią” kondycją bliźnich – ostrzyłem pióro, odgrażałem się, wyglądałem strzeliste tyrady. Wszelako nic nie napisałem. I myślę, że nie tylko z powodu niedostatku talentu: dlatego również, że ilekroć opuszczała mnie pasja, tylekroć wyczuwałem w tak emocjonalnym ujęciu jakiś fałsz. Dopiero lektura eseju Wierzbickiego uświadomiła mi, na czym ów fałsz polegał, i pozwoliła sformułować własny punkt widzenia.

Powiada Wierzbicki: „Historykom pozostawiamy wykrycie protoplas-tów, gnidy w minionych epokach”. Poczuwając się do związków z profesją historyka, pozwalam sobie poczynić kilka uwag dla uzupełnienia.

Genealogii fenomenu „gnidy” szukać należy w sytuacjach politycznych, kiedy obca przemoc nad narodem polskim przybierała charakter chroniczny, a nadzieje na zbrojną obronę wartości narodowych były całkowicie iluzoryczne; kiedy kompromis z zaborcą stawał się niezbędny, aby ocalić istnienie narodu. Problem dopuszczalnych granic kompromisu bywał wtedy codziennym wyzwaniem dla rozumów i sumień ludzi, którzy w podbitym kraju chcieli żyć i działać. Totalna afirmacja formuły kompromisu bywała drogą do moralnej kompromitacji i duchowej kapitulacji; totalne odrzucanie formuły kompromisu bywało drogą do – mniej lub bardziej heroicznej – izolacji. Postawy kompromisowe i sytuacje

trudnego wyboru były w epoce zaborów polskich chlebem codziennym. Wymieńmy kilka, tytułem przykładu.

Oto Hugo Kołłątaj, którego słusznie dziś czcimy. Jeden z twórców Konstytucji 3 maja, jeden z organizatorów powstania kościuszkowskiego, czołowy ideolog Obozu Reform, gorący patriota i niemal symbol niezniszczalnego dążenia Polaków do niepodległości, za które zapłacił osmioletnim pobytami w austriackim więzieniu po klęsce insurekcji kościuszkowskiej.

Kołłątaj miał w swej biografii fragmenty, które uprawniają historyka, by zaklasyfikował autora „Listów anonimów” do gatunku protoplastów gnidy. I tak na przykład, kiedy w trakcie wojny polsko-rosyjskiej szala zwycięstwa przechylać się zaczęła zdecydowanie na rzecz Rosji, Kołłątaj nie tylko skutecznie skłaniał króla Stanisława Augusta do podpisania konfederacji tagowickiej, ale i sam do Targowicy zgłosił akces. Wprawdzie dwa dni później wyjechał z Warszawy na emigrację, wprawdzie wnet przystąpił do organizowania przysiężenia patriotycznego, wprawdzie jego gest nie miał żadnego praktycznego znaczenia, a Targowica pozbawiła go i tak majątków i beneficjów — to jego podpisu pod dokumentem targowiczanką nie da się z kart historii usunąć. Wielu — wśród nich Walerian Kalinka — osądziło Kołłątaja bardzo surowo. Aleksander Świętochowski w swej „Genealogii traźniejszości” powiedział o Kołłątaju, że „dbał nade wszystko o swoje majątki i dochody, Gdy te zostały zagrożone, napisał tajemne przystąpienie do Targowicy i wyjechał za granicę w nadziei, że mu się uda przyjaciół oszukać, nieprzyjaciół przejednać i dobrą odzyskać”. Dalej cytuje Świętochowski opinię ambasadora rosyjskiego: „Kołłątaj wyjechał do Krakowa i stara się przyłączyć do naszego stronnictwa. Każdy może go kupić”. Sam Kołłątaj pisał na ten temat w liście do przyjaciela, z września 1792: „Nie wstyd mi tego, że chciałem zrobić akces, bo go chciałem zrobić jako człowieka wolnego, nieprzymuszony, bo go chciałem zrobić wcale w innym celu, to jest w celu uratowania wielu dobrych rzeczy, nie tak jak się teraz pokazuje. Jeżeli więc to dojdzie do wiadomości przyszłych czasów, pokaże się oczywiście, że ja nie byłem tak zaślepiony, własnego pojęcia miłośnik, że bym nie chciał ratować Ojczyzny i być jej usłużnym, nawet w tak krytycznych okolicznościach...”

Celem Kołłątajowego postępków była więc chęć ratowania tego „co się da”, chęć obrony — nawet za cenę współpracy z ludźmi pokroju Szczęsnego Potockiego — choćby resztek dzieła reformy. Z perspektywy historycznej uderza nas iluzoryczność rachub Kołłątaja. Osobiście sądzę zresztą — za Wacławem Tokarzem — że błąd Kołłątaja polegał i na czymś innym: nie rozumiał on, iż „takiemu jak on człowiekowi nie wolno wchodzić na te drogi, dobre co najwyżej dla drugorzędnej dyplomacji”. Zgadza się jednak z Tokarzem i wtedy, gdy powiada, że „Kołłątaja (...) trzeba sądzić ze stanowiska tych warunków, wśród których działać mu wypadło. Warunkami tymi były czasy upadku Rzeczypospolitej a więc z jednej strony — zaciśnienie tej dławiącej obroży zewnętrznej (...), a z drugiej — przejściowe osłabienie charakteru narodowego (...). W takich

stosunkach – konkludował Tokarz – polityk praktyczny nie może iść drogą zbyt prostą, o ile przyświeca mu istotnie myśl ocalenia publicznego”.

A oto Stanisław Staszic. Autor słynnych „Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego” i „Przestróg dla Polski”, długoletni prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wielce zasłużony dla naszej nauki i kultury. Słusznie czcimy jego pamięć i przytaczamy jego dewizę pracy „Nie dla owoczesnych pożytków, lecz dla dobra i użytku pokoleń przyszłych”. A przecież ten czczony Staszic świetnie pasuje do grupy protoplastów „gnid”. Głósciciel radykalnego programu reform w epoce Sejmu Czteroletniego (widział w nim szansę obrony niepodległości Polski) zwąpiał w epoce Królestwa Kongresowego w możliwość pokonania Rosji. Stał się prekursorem programu pracy organicznej i działał w ramach wyznaczonych przez status polityczno-prawny Królestwa. Postanowienia Kongresu Wiedeńskiego uważał za optymalne dla polskiego interesu narodowego, a narażanie osiągniętego *status quo* przez spiskujących młodzieniaszków jawiło mu się jako niebywała lekkomyślność.

Pewnego razu – było to w 1818 roku – publiczność wygwizdała podczas jednego ze spektakli teatralnych faworytę wielkiego księcia Konstantego – doprowadzony do pasji Konstanty zakazał gwizdów podczas przedstawień teatralnych. Opinia publiczna uznała to za pogwałcenie Konstytucji, a prasa gwałtownie skrytykowała rozporządzenie. W odpowiedzi na to książę nakazał wprowadzenie cenzury prasowej; ten akt kontrasygnował ówczesny podsekretarz Stanu – Stanisław Staszic. Postępek Staszica rozjuszył opinię publiczną. Opozycyjni posłowie zażądali postawienia go przed sądem za łamanie Konstytucji. Rozgoryczony Staszic skarżył się Koźmianowi: „nas pod sąd oddają, co się dla kraju, dla ich synów poświęcamy i położeniem tamy rozpasanym piórom i językom oszczędziliśmy krajowi nieszczęść, które by niebacznosc i głupota sprowadziły. Nie, naród, który z doświadczenia tak korzysta, który nie rozumie, co jest wolność, a co swawola, naród tak zakochany w anarchii, który tak ceni zasługi i zasłużonych prześladowuje, istnieć nie może i losy swoje, konstytucję, swobodę i dolę potomków na szwank wystawia i zgubi”.

Nie jest moją intencją obrona postępowania Staszica. Przeciwnie: sympatyzuję z jego krytykami, posłami „opozycji kaliskiej”. Chciałbym jednak uświadomić dobitnie czytelnikowi, że konflikt Staszica z kaliszzanami (których wkrótce o ugodowość oskarży radykalna młodzież), to niekoniecznie spór gniidy z nie-gnidą, że po obu stronach stały autentyczne racje i że tych racji bronili ludzie wielce zasłużeni w dziejach naszego narodu i wielce dzisiaj szanowani.

Albowiem mieli „kaliszanie” słusznosc powiadając, że wprowadzenie cenzury jest jaskrawym i niedopuszczalnym pogwałceniem Konstytucji. Miał jednak i Staszic swoją rację, gdy tłumaczył, że warunkiem koniecznym kontynuowania robót „dla dobra i użytku pokoleń przyszłych” jest jakiś kompromis z księciem Konstantym oraz, że zakaz wygwizdywania książęcej faworyty nie jest tym najbardziej dotkliwym ograniczeniem swobód obywatelskich, z powodu którego warto edkopywać topór wojenny przeciw Rosji.

Miał wreszcie swoją rację i Maurycy Mochnecki, gdy w kilka lat później tłumaczył zwolennikom Staszica i zwolennikom „kaliszan” jednocześnie: „Choćby nawet przyszło stracić tę Polskę, jaką dzisiaj macie, to ją lepiej straćcie, niżeli żebyście mieli skazać na rusztowanie sam zamysł odbudowania całej i niezależnej”.

Spory bywały gwałtowne, a różnice fundamentalne pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami ugody, pomiędzy legalistami i konspiratorami, pomiędzy organicznikami i insurekcyjnistami. Zwolennicy działań radykalnych zawsze zacierali — w ferworze polemiki — różnice pomiędzy zdradą narodową, ugodą i pracą organiczną, oraz przejawiali skłonność do sprowadzania wszystkich wzorów odmiennych zachowań do wspólnego mianownika: własnej kiesy. Dopiero czas prostował kanty, wyrównywał kontury, pozwalał ocenić skuteczność rozmaitych form oporu przeciw niedoli obcego zaboru; pozwalał dojrzeć w przeciwieństwach komplementarność.

Powiedzmy wyraźnie: różne były drogi walki o sprawę polską i różne bywało z ich skutecznością. Nie tylko uczestnicy powstań zbrojnych walczyli o narodowy byt. Czasem skuteczna bywała ugoda, czasem legalna opozycja, a czasem społeczeństwo bywało wprost skazane na pracę organiczną. Jeśli sensowną była (a tak właśnie skłonny jestem sądzić, choć do dziś bywa to kwestionowane) taktyka insurekcyjna w epoce Kościuszki, Legionów czy „nocy listopadowej”, to z całą pewnością nonsensem politycznym były insurekcyjne spiski w Królestwie epoki paskiewiczowskiej. Tradycja powstań jest nam najbliższa — i trudno się temu dziwić. Bez tej tradycji byłibyśmy dziś innym narodem — bardziej pokornym, łatwiejszym do ujarznienia. Nic przeto dziwnego, że Polak przechowuje w swym duchowym konterfekcie wizerunki Kościuszki i Prądyńskiego, Traugutta i Piłsudskiego. Ale pomyślny: jak wyglądałaby nasza świadomość narodowa bez tych wszystkich, którzy innych dróg szukali? Bez Staszica i Stanisława Potockiego, bez Hotelu Lambert i galicyjskich „stańczyków”, bez Świętochowskiego i Spasowicza?

Sylwetki insurekcyjnistów bardziej rozpalają wyobraźnię i łatwiej pasują do emocji. Szarża pod Samosierrą jest bardziej fotogeniczna niż żmudne organizowanie oświaty, modernizacja rolnictwa, żeby już nie wspomnieć o sieci urządzeń sanitarnych. Wszelako pamiętajmy, że bez tych „organicznikowskich” i „ugodowych” dokonań — zwłaszcza w Galicji — nie byłibyśmy zdolni do zorganizowania własnej państwowości. I pamiętajmy, że za uzyskanie możliwości podejmowania tych prac nasi dziadowie płacili wysoką nieraz cenę ryzykując pretensją moralną ze strony swych owoczesnych przeciwników.

Mój historyczny suplement byłby niepełny, gdybym pominął protoplasów „gnidy” z epoki II Rzeczypospolitej. Postawy opisane przez Wierzbickiego są zawsze wynikiem kompromisu między sumieniem a służbą władzy narzuconej społeczeństwu. Ta władza nie musi być wcale obca i nie musi być koniecznie narzucona z zewnątrz. Czymże, jeśli nie pło-

miennym oskarżeniem niemieckich „gnid”, jest list Tomasza Manna do Waltera von Mole z września 1945? Czymże innym uwagi Sołżenicyna o „obrazowanszczyźnie”? Czymże – wreszcie – był list otwarty Antoniego Słonimskiego do Wacława Sieroszewskiego i Juliana Kadena z sprawie Brześcia?

Słonimski pisał: „Nie wierzyłem i miałem prawo nie wierzyć plotkom o znęcaniu się i torturowaniu więzionych przeciwników politycznych. (...) Relacje podane w interpelacji sejmowej, grozą swą przerosły wszystko, co można było przypuszczać. (...) Dlatego wydaje mi się słusznym, aby pisarze, którzy łączyli i łączą swą działalność z obozem rządzącym (...) wypowiedzieli się i potępiłi publicznie ohydne i niegodne czyny: (...) Wacław Sieroszewski i Kaden-Bandrowski zajmują czołowe stanowiska w naszych organizacjach zawodowych. Na nich skierowane były oczy opinii. Uważam, że obowiązkiem tych właśnie pisarzy, mających zarówno zaufanie rządu, jak i opinii, było zajęcie otwartego i zdeklarowanego stanowiska w sprawie dla wszystkich tak ważnej i bolesnej. (...) Pisarz społeczny, pisarz czołowy zwycięskiego obozu, milczący w sprawie Brześcia, jest czymś tak niepokojącym, że usprawiedliwia to publiczne wyzwanie, które rzucam w tym miejscu”.

List Słonimskiego jest świadectwem szoku, jaki stał się udziałem wielkiej części opinii po sprawie Brzeskiej, zwłaszcza zaś tych środowisk demokratycznych, które popierały obóz belwederski. Tym ludziom wprost trudno było uwierzyć w prawdziwość relacji przenikających zza więziennych murów. Gdy zostały one potwierdzone, stały przed dramatycznym wyborem.

Spóbjąmy ich zrozumieć. Ci ludzie żyli długie lata w przeświadczeniu o słuszności tej drogi politycznej, którą reprezentował główny architekt orientacji niepodległościowej – Józef Piłsudski. Niełatwo jest takie przeświadczenie zrewidować z dnia na dzień. W końcu nie kto inny, lecz właśnie Antoni Słonimski zaatakował początkowo kampanię prasy opozycyjnej przeciw uwięzieniu opozycyjnych przywódców w Brześciu. I choć wkrótce potem przyszedł cytowany wyżej list do Kadena i Sieroszewskiego, choć Słonimski zaangażował się nader ostro w konflikt z organizatorami Brześcia – to jego felieton z *Wiadomości Literackich*, świadectwo pierwszej, impulsywnej reakcji, istnieje przecież na kartach historii polskiego życia umysłowego. Wielokrotnie rozmawiałem z Panem Antonim na ten temat. Opowiadał mi o dramatyzmie tamtych dni, o wielkiej atencji, jaką jego środowisko darzyło obóz Piłsudskiego, o trudnych rozstaniach ze starymi znajomymi (z Matuszewskim, Beckim, nade wszystko z Wieniawą). I wielokroć tłumaczył mi Pan Antoni, że choć sam zerwał z sanacją, to nie wszyscy zwolennicy tego obozu byli łajdakami czy choćby konformistami; że bardzo wielu ludzi sanacji osiamało służyło Polsce i temu, co szczerze uznawali za jej dobro. W rzeczy samej bowiem: czy łatwo jest jednoznacznie zaszkladkować tych wszystkich, którzy w owym czasie bronili racji władzy i próbowali usprawiedliwiać jej – haniebne, przyznajmy – postępowanie? Wszak na tej liście znajdzie się Tadeusz Hołów-

ko i Walery Sławek, Jan Lechoń i Kazimierz Wierzyński, Eugeniusz Kwiatkowski i Stefan Starzyński. Wszyscy ci ludzie położyli zasługi tak niewątpliwe, że zastużyli sobie na wnikliwą refleksję, a nie na mocno brzmiący epitet.

Wszelako ową „mądrością bez gniewu” dzielił się ze mną Pan Antoni po upływie wielu lat. W owym czasie opinie formułowane były w całym innym tonie. Instruktywne może być na przykład sięgnięcie do wspomnień Wincentego Witosa. Przeczytać tam można, między innymi, że „p. Beck jest zdrajcą przez Niemcy hitlerowskie opłacanym, że Mościcki jest zwyczajnym indywiduum nadużywającym swojego urzędu do osobistych celów, że rządząca klika obdziera społeczeństwo i naród ze wszystkiego, prowadząc go w odchłań nędzy i upodlenia, gdy sama tonie w rozkoszach i rozpuście. Jeżeli ci szkodnicy – konkludował Witos – nie chcą się zmienić ani ustąpić, to obowiązkiem i prawem świadomego społeczeństwa jest użycie siły, w przeciwnym razie stanie się i ono współwinne”.

Czyż ludzi akceptujących taki system sprawowania władzy można nie uznać za prekursorów „gnid”?

Przywołuję tamten odległy już czas dlatego również, że łatwiej – myślę – o przewyciężenie emocji i spokojny namysł.

Odnotujmy przeto, że inaczej ogląda rzeczywistość czynny opozycjonista, inaczej relacjonujący intelektualista, a jeszcze inaczej moralista wymierzający sprawiedliwość „widzialnemu światu”. Każdy z tych poglądów ma swe blaski i cienie. Perspektywa opozycjonisty jest nieuchronnie skazona jednostronnością. Pomaga przekształcać świat, ale utrudnia dostrzeżenie jego wielowymiarowości. Moralizm pozwala dostrzec pułapki etyczne czyhające na każdego z podejmujących aktywną odpowiedzialność, ale sprzyja też pięknoduchowskiemu kultowi „czystych rąk”. Postawa spektatorska ułatwia rozumienie złożoności ludzkiej kondycji ale nie ułatwia znalezienia odpowiedzi na pytanie: „co robić?” i na pytanie: „co jest dobrem, a co złem?”.

Inaczej ogląda się świat, gdy chce się go zmienić, inaczej – gdy chce się go zrozumieć, a jeszcze inaczej – gdy chce się go moralnie osądzić. Świadom jestem, że nie zmienię tego stanu rzeczy swoim artykułem. Nie jest to zresztą moją ambicją. Jest nią natomiast próba uświadomienia memu adwersarzowi, że jeśli całkowicie podda się myśleniu w kategoriach moralistycznych bądź bieżąco-opozycyjnych (co zresztą na jedno wychodzi), to zgubi z pola widzenia pewną istotną część rzeczywistości.

Czym innym jest – myślę – ocena jakiegoś systemu politycznego, a czym innym ocena konkretnych ludzi weń zaangażowanych i ich dokonań. Można negatywnie oceniać bilans rządów sanacji, a doceniać budowę portu w Gdyni, dzieło nie krasnoludków przecież, lecz ludzi stanowiących fragment obozu sanacyjnego. Sądzić ludzi można według dokonań i według intencji. Sądząc według intencji, rekonstruując wewnętrzne motywacje; niepodobna czynić tego na podstawie krótkiego tylko wycinka czyjejs biografii. Inaczej przecież jawić się nam mogą moty-

wy Stefana Starzyńskiego, akceptującego polityczny program OZON-u, a inaczej widzimy tę samą sylwetkę moralną przez pryzmat bohaterkiej obrony Warszawy i męczeńskiej śmierci.

Albo Eugeniusz Kwiatkowski. Był politykiem, który akceptował realia zwalczane przez przeciwników obozu sanacyjnego. Dlaczego tak czynił? Wolno chyba sformułować domysł, że Kwiatkowski nieraz stawał przed trudnym dylematem moralnym: akceptować musiał Brześć i fałszowanie wyborów, jeśli pragnął budować Gdynię czy Centralny Okręg Przemysłowy, jeśli pragnął mieć efektywny wpływ na polską politykę gospodarczą. I – być może – stawiał sam sobie pytanie: co jest ważniejsze? Czy demonstracja moralno-polityczna przeciw brzeskiemu bezprawiu, czy też budowanie portu w Gdyni? I być może niełatwo znajdował odpowiedź.

Przypominam sobie te wszystkie dość banalne prawdy po to, by przypomnieć jeszcze jeden banał: można brać – w porządku politycznym i moralnym – stronę przeciwników Kwiatkowskiego, stronę opozycji antysanacyjnej, stronę Witosy i Pużaka – ale niepodobna nie widzieć całej złożoności obrazu. Dotykając zaś subtelnego problemu moralnej oceny ludzkich intencji i motywacji, należy być nader ostrożnym. Bowiem – takie jest moje głębokie przekonanie – obowiązywać winna w tej mierze presumpcja dobrej woli. Oznacza to, że należy dawać wiarę temu, co ludzie mówią o swych motywacjach i – osądzając posępki po ich skutkach – raczej usprawiedliwiać złe skutki dobrymi intencjami, niż dopatrywać się w ludziach pobudek niskich. Nade wszystko zaś pojmować trzeba złożoność ludzkiej kondycji i ludzkiej natury; pamiętać trzeba, że wszyscy bywamy niekonsekwentni i małoduszni; trzeba się starać zrozumieć, dlaczego tak się dzieje.

O tych zawstydzająco banalnych spostrzeżeniach warto pamiętać, gdy podejmuje się spór o postawy inteligencji polskiej pod rządami Przewodzącego Ustroju. Obraz nakreślony przez Wierzbickiego jest jasny i jednoznaczny. Polską rządzić mieli w owym czasie stalinowsko-bierutowscy czynownicy, a partyjno-zetempowskie bojówki dokonywały egzekucji na polskiej nauce. I tyle. Ginie gdzieś cały dramatyzm społecznej i politycznej rzeczywistości, ginie gdzieś cały ten pasjonujący obraz mieszaniny klęski i nadziei, rozumu i naiwności, strachu i brawurowej odwagi, dynamizmu społeczeństwa i zakulisowych działań sowieckich doradców. Jakby w odpowiedzi na stalinowskie czytanki, którymi byliśmy kiedyś kamieni, otrzymujemy czytanekę a rebours, gdzie barwy są równie zgaszczone i jaskrawe, a obraz świata równie infantylny.

Kogo interesuje prawda o tamtym niezwykłym czasie, prawda o zniewolonych umysłach i zdewastowanych sumieniach, prawda o heroicznym nonkonformizmie jednych, o inkwizytorskim zapale drugich, o wallenrodystycznej przebiegłości trzecich i o zobojeźnieniu czwartych – niech nie szuka jej w szkicu Wierzbickiego. Jakże nieprawdziwy jest pomieszczony tam wizerunek epoki, gdy go zestawić choćby z felietonami Kisiela, opowiadaniem J.J. Szczepańskiego, z „Prześwitami” Rudnickiego i „Matką

Królów” Brandysa, z eseistyką Kuli i Miłosza, z prozą Marii Dąbrowskiej i Hanny Malewskiej. Powiada Wierzbicki, że źródłem wiedzy o „gnidach” była dlań jego własna książka „Cyrk” (znakomita, przynajmniej karykatura Kraju Miłującego Kraj Miłujący Pokój). Dla mnie najbardziej instruktywną z lektur ostatniego roku była książka Kazimierza Brandysa – „Nierzeczywistość”. Ta książka, fascynująca biografia polskiego inteligenta, którego inicjacją w dorosłe życie było uderzenie w głowę przez ONR-owskiego bojówkarza na uniwersyteckim dziedzińcu, przynosi nader sugestywny obraz złożoności polskiego losu. Jest tam opisana sytuacja, w której narrator dostaje wezwanie do UB w związku ze swoją działalnością w Ruchu Oporu – a jednocześnie zapoznaje się z tekstem dekretu o reformie rolnej. Czy ten osobliwy splot realiów był wymysłem „gnid”, kolejnym wykretem „gnidziego” intelektu, który lubi powtarzać, że prawda leży po środku?

Marginesowo tylko – piszę wszak o ludziach, którzy zawarli kompromisowy pakt z przemocą – wspomnieć wypada mi innych ludzi: tych, którzy dali się w swoim czasie uwieść prawicowym bądź lewicowym ideologiom totalitarnym. Zapewnić pragnę moich ewentualnych polemistów, że nie żywię sympatii ani dla totalitarnych ideologii, ani do totalitarnych praktyk. Ale staram się pamiętać, że polscy zwolennicy totalitarnego, faszyzującego nacjonalizmu zapłacili tak wielką ofiarę krwi w latach II wojny światowej, iż każde to innym okiem spoglądać na sferę ich intencji i motywacji. Myślę tu choćby o Stanisławie Piaseckim, o Gajcym, Trzebińskim i Pietrzaku. Myślę tu również o Adamie Doboszyńskim, człowieku, który zdemaskował w trakcie procesu sądowego metody stalinowskiego śledztwa, który po śledztwie pełnym tortur umiał zachować niezwykłą godność na sali sądowej. Zamordowany został z wyroku PRL-owskiego sądu w 1949 roku pod fałszywym i hańbiącym zarzutem kolaboracji z hitlerowcami i po dziś dzień nie został zrehabilitowany...

Myślę również o jednym z moich profesorów, przedwojennym działaczu ONR-Falangii, który wyciągnął do mnie rękę w trudnej chwili i przez wiele godzin tłumaczył mi nieprosty los swego pokolenia i środowiska. Ideologia faszystowska nie stała mi się bliższa, ale korzenie jej popularności bardziej zrozumiałe.

Staram się też zrozumieć ludzi, którzy, uwiedzeni lewicową frazeologią totalitarnego mocarstwa, stali się narzędziem w rękach reżyserów i manipulatorów scen zbiorowych na „wielkich budowach socjalizmu”. Z ich rozrachunkowych utworów wiemy, że przeżyli dramat. Ich los, fragment duchowej biografii polskiej inteligencji (tak jak innym jej fragmentem jest pisano „Prosto z mostu”), winien być dla nas lekcją i przestrożą. Ci ludzie padli ofiarą oszustwa i samooszustwa. Czy oni pierwsi? I czy ostatni?

Przeczytajmy jeden z obrachunkowych tekstów.

„Morzyliśmy brać naszą. Urząd twój morzył Ojczyznę naszą. (...) Szliśmy dalej w bezprawiu. (...) Kazaliśmy braciom radować się lub boleć, kochać lub nienawidzić, często nie mając w sobie tego uczucia bólu lub radości, do któregośmy wzywali. Wielość rozkazujących mnożyła wyzy-

wy, częstokroć sprzeczne... My wyzywający, sami będąc w braku wiary, nie mogąc znieść samotności, która nas wobec nas stawiając, nicosć nam naszą pokazywała, wypadaliśmy na braci. Zadawaliśmy im cierpienia (...) Odejmwaliśmy braciom ostatnią już wolność, szanowaną przez wszelkie tyranie, wolność *milczenia*. (...) Bo każdy, kto z czymkolwiek i kiedykolwiek nie zgodził się z nami, a raczej echem naszym nie był, został ogłoszony na buntownika. Zaprowadziliśmy władzę najsmutniejszą. (...) Stałiśmy podobni trzodzie wilków. Woleliśmy zostać w Kole i w nim jak w dziedzicznej wiosce panować, choć nad niewolnikami, byle po pańsku”.

„Kołło” nie jest nazwą komórki partii komunistycznej, a autorem cytowanego tekstu nie był rozczarowany komunista. Napisał te słowa, po zerwaniu z Kołem towiańczyków, Adam Mickiewicz.

„Żyli jutrzemką
i posieli mrok.
Żyli ideą
i wzięli rozbrat z ludźmi.
Żyli marzeniem
i kłamstwo się stało chlebem ich codziennym”.

Tego zaś nie napisał żaden towiańczyk. To z „Krytyki poematu dla dorosłych” Wazyka.

Czemu przypominam te teksty, tak osobliwie je zestawiając? Ponieważ grozą mnie ogarnia łatwizna umysłowa sądów o przeszłości, sądów niepokojąco popularnych i żałośnie schematycznych, sądów będących mieszaniną prymitywizmu, ignorancji i złej woli. Nie odnoszą się te określenia do Wierzbickiego, ale do tych wszystkich, którzy w „Traktacie o gnidach” dostrzegają biblię norm moralnych i encyklopedię wiedzy o Polsce współczesnej.

Rzeczywistość pierwszych lat powojennych była – podług mego zdania – nieporównanie bardziej skomplikowana, niż to wynika z arcyprostych formułek o „czerwonych” i ich umysłowych pachółkach – „gnidach”.

Należy ten okres do najbardziej bolesnych w naszych dziejach i najbardziej zakłamanych. Być może zresztą, dlatego tak bardzo bolesnych, że tak bardzo zakłamanych. Odkładając szczegółową refleksję, której potrzeba jest dojmująca, na inną okazję, tu poczynić wypada kilka uwag fragmentarycznych.

Zatem: kraj był wykrwawiony, a losy wojny rozstrzygnięte na konferencji jałtańskiej. O kształcie powojennej rzeczywistości zdecydowała nie ilość przelanej krwi i heroizm antyfaszystowskiego oporu, lecz międzynarodowy układ sił. Zachodni alianci odstąpili od Polski. Jakież drogi postępowania pozostawały społeczeństwu?

Wielekroć zastanawiałem się nad tym problemem. Wielokrotnie usiłowałem odszukać w niezbyt odległej historii ów punkt, w którym błąd czy fałszywy wybór polityki polskiej przesądził o późniejszej narodowej

rędoli. I nie znalazłem. Śledząc dzieje sprawy polskiej podczas wojny i później, miałem uczucie, jakby Klio – muza Historii odwróciła się tyłem do Polaków, jakby nie dała im nawet cienia szansy na przerwanie pasma nieszczęść i odnalezienie dróg wyjścia z narodowej opresji. Przegrały wszystkie orientacje polityki polskiej.

Mam wielki szacunek dla dorobku powojennej emigracji, dla tych ludzi, co wyrzekli się powrotu w ojczyste strony, by przypomnieć światu o losie zniewolonej Polski; dla tych ludzi, co najpierw żyli przez lata na walzkach w oczekiwaniu na swój czyn zbrojny, a potem gigantycznym wysiłkiem stworzyli wielki zrąb kultury narodowej, tak dziś ważny dla młodego pokolenia w Polsce. Wszelako emigrowanie nie mogło być programem politycznym dla całego narodu, a bezpośrednie diagnozy i prognozy polityczne emigrantów – nie sprawdziły się.

Totalnie „niezłomnym” można było być na emigracji. Przywódcy krajowego podziemia – skupieni w Radzie Jedności Narodowej – uchwalili na początku 1945 roku zgodę na treść porozumienia jałtańskiego. Szesnastu przywódców podziemia, wśród nich delegat Rządu na Kraj, przewodniczący RJN, Komendant Armii Krajowej, udało się na rozmowy z przedstawicielami władz ZSRR. Wszyscy zostali zdradziecko porwani i uwięzieni w Łubiance. Konsekwencją takiego stosunku władz ZSRR do polskiego podziemia było utworzenie konspiracyjnej organizacji „Wolność i Niezawistość” (WIN). Mam wielki szacunek dla WIN-owców, dla ludzi, którzy już w 1945 roku podjęli trud organizowania niepodległego ruchu oporu, wysiłek kontynuowania konspiracji niepodległościowej w zmienionych, o ileż trudniejszych warunkach. Ofiarowali oni swoją wolność, a często i życie, świadcząc o polskiej woli niepodległościowej. Żywię najwyższy podziw dla niezłomnej i heroicznej postawy Józefa Rybickiego na procesie Komendy WIN-u w styczniu 1947. Wiem, że każdym słowem rzucił na szalę swoje życie. Staram się jednak zrozumieć i tych, którzy postępowali inaczej, oraz uszanować ich wybór.

„Niezłomni” emigranci wiele gorzkich i krytycznych słów napisali o powrocie do Polski przywódcy Stronnictwa Pracy – Karola Popiela. Dla wielu „niezłomnych” zerwanie z rządem Arciszewskiego było po prostu zdradą Polski. Polacy w kraju przyjęli ich jednak z entuzjazmem, mimo że Mikołajczyk i Popiel decydowali się na daleko idący kompromis: na przekreślenie ciągłości instytucjonalnej, na nowy kształt terytorialny Polski, na uznanie rządu tymczasowego z udziałem komunistów. Podobny pogląd reprezentował jeden z przywódców ruchu socjalistycznego – Zygmunt Żuławski. Starali się oni – za cenę kompromisu – ocalić w nowej rzeczywistości to wszystko, co wydawało się możliwe do ocalenia. Oskarżano ich, że podjęli walkę w ramach wyznaczonych przez przeciwnika – ale innych ram wtedy nie było. Analogiczne stanowisko – należy to w tym miejscu przypomnieć – zajął Episkopat.

Mikołajczyk wraz z całym ruchem ludowym przegrał walkę o demokrację dlatego, że walki tej nie można było wygrać w warunkach przemocy policyjnej i twardego sowieckiego dyktatu. Pozostanie chwałą

i historyczną zasługą ludowców, że toczyli tę walkę – płacąc krwią – przez kilka lat. Nie zmienia to jednak faktu, że ich polityczne rachuby na pomoc Zachodu okazały się iluzoryczne.

Obrona „tego co możliwe” była również celem działań znacznej części tzw. koncesjonowanej PPS. I ci ludzie, broniący autentyczności samorządu i autentyczności ruchu spółdzielczego – przegrali. Przed klęską szli na liczne kompromisy godząc się na wyklinanie dawnych towarzyszy partyjnych: Pużaka, Zaremby, Ciołkosza czy Żuławskiego. Na tym właśnie polegała ich tragedia i na tym polegała perfidia tego systemu: na zmuszaniu ludzi o niekwestionowanej uczciwości do zachowań moralnie dwuznacznych.

Wszyscy, którzy włączyli się w życie publiczne, byli takich sytuacji świadkami: intelektualiści, artyści, działacze społeczni. Zważmy, że byli wśród nich ludzie, których zasług nikt nie podaje w wątpliwość. Przypomnijmy więc, że aktywną obecność, a nie wewnętrzną emigrację wybrali: Tadeusz Kotarbiński i Kazimierz Ajdukiewicz, Tadeusz Manteuffel i Kazimierz Wyka, Maria i Stanisław Ossowsy, Maria Dąbrowska i Leon Schiller, Antoni Słonimski i Jerzy Zawieyski. Powtórzmy: celem ich wszystkich była obecność w życiu narodu i obrona tego, co wydawało się możliwe do obrony.

Czas płynął, stalinowska pętla zaciskała się coraz dokładniej na szyi znękanego i wykrwawionego narodu. Przed każdym stawało pytanie: gdzie jest granica dopuszczalnego kompromisu? Jaką cenę można zapłacić za możliwość wykładania, publikowania, uprawiania własnego zawodu? Bo w systemach totalitarnych zawsze trzeba było płacić za obecność, a cena stawała się coraz bardziej wygórowana. Dyktowanym warunkom towarzyszyły, mniej lub bardziej zawaolowane, groźby i szantaże.

Nie pamiętam tamtych czasów, znam je tylko z rozmaitych relacji i dokumentów. Dziś – po latach – bardzo trudno ocenić konkretne wybory wówczas dokonywane. Jeszcze trudniej znaleźć miarę, abstrahując od ówczesnych realiów. Kto zna taką miarę, temu po prostu zazdroszczę. Jeśli nie polega ona na udowodnionym i świadomym udziale w krzywdzeniu innych ludzi – to każde inne kryterium wydaje mi się chybottliwe. Jak ocenić postawę prof. Manteuffla, dyrektora Instytutu Historii w okresie stalinowskim? A postawę prof. Wyki? Albo też Marii Dąbrowskiej, łącznie z napisanym przez nią nekrologiem po śmierci Stalina? Jeśli słuszne jest stwierdzenie Nadzieży Mandelsztam, że milczenie w obliczu totalitarnej przemocy jest „prawdziwym przestępstwem przeciwko rodzajowi ludzkiemu”, to winni tego przestępstwa byli niemal wszyscy. Nawet najszlachetniejsi skazani byli na bierność i milczenie. Wyłączeni z tego byli jedynie mieszkańcy więzień i łagrów. „Błogosławione więzienia!” – pisał Solżenitsyn. Tylko tam mógł człowiek osiągnąć wolność od udziału w tej przekłej maszynie nieprawości.

Aleksander Wat napisał gdzieś, że jedna tylko istnieje odpowiedź na pytanie, jak się powinni zachować intelektualiści w krajach rządzonych przez Stalina. Jest to odpowiedź szekspirowska: „powinni umrzeć”.

Być może, iż jest to odpowiedź prawdziwa. Wszelako – sędzę – tej

odpowiedzi wolno udzielić tylko sobie, tą miarą można sądzić tylko siebie, tej ofiary wolno żądać tylko od siebie. Każdy, kto żąda tej odpowiedzi od innych, arbitralnie przyznaje sobie samemu prawo stanowienia o cudzym życiu. Co się na ogół nie kończy niczym dobrym.

Z powyższego wynika, że nie odpowiada mi nadmierny rygorizm moralny stosowany wobec innych. Nie odpowiada mi również taki sposób oceny zaangażowanych w stalinizm intelektualistów, który abstrahuje od ich biografii wcześniejszych i późniejszych. Wyobraźmy sobie, że któryś z moralistów zechce ocenić Andrzeja Kmicica wyłącznie na podstawie tego okresu jego życia, gdy służył Radziwiłłom i – chcąc nie chcąc – działał na szkodę Najjaśniejszej Rzeczypospolitej; wyobraźmy sobie moralistę, który będzie pamiętał Adamowi Czartoryskiemu, że był ministrem u rosyjskiego imperatora, a pominie takie drobiazgi jak to, że był później członkiem powstańczego rządu i jednym z przywódców Wielkiej Emigracji.

Generałowa Natalia Kicka opisuje w swoich pamiętnikach historię Stanisława Sołtyka, wartą może przypomnienia. Otóż w epoce konfederacji barskiej, gdy rosyjski ambasador Replin organizował porwanie polskich senatorów (m.in. biskupa Kajetana Sołtyka), uciekł się do podstępów. Mianowicie udał się do Stanisława Sołtyka, biskupiego synowca, i „jedwabnymi słowami wyzyskał świadectwo twierdzące, że biskup cierpi napady niebezpiecznego obłąkania. Biskup surowo nieraz karcił niedorzeczne wybryki synowca, więc zemścił się na stryju synowiec, podpisując świadectwo żądane przez Replina, a kiedy przychodzących więzić go Moskali zapytał się biskup Sołtyk, na zasadzie jakiego zarzutu odbierano mu wolność, imieniem publicznego bezpieczeństwa odpowiedziano, pokazując świadectwo synowca. „Bodajby uszła ręka, która ten fałsz podpisała!” – krzyknął biskup. I uszła z czasem rzeczywistość”.

Później los się odwrócił. Małoduszny synowiec stał się gorącym patriotą, jednym z przywódców – obok Waleriana Łukasińskiego – niepodległościowej konspiracji w epoce Królestwa Kongresowego. Wraz z innymi spiskowcami został uwięziony. „Sołtyk w więzieniu – wspomina Kicka – wielkie męczarnie, moralne i fizyczne cierpiał z przyczyny tej bezwładnej ręki...”.

Tyle generałowa Kicka. Z innych relacji wiadomo, że co bardziej życzliwi współcześni nie szczędzili uwięzionemu spiskowcowi kaśliwych przyczinków na temat jego młodzieńczych grzechów.

Kiedy czytam roczniki prasy tuż-powojennej, pełne przedwojennych wypominków niepięknej przeszłości, mających dyskwalifikować ludzi, którzy swą metamorfozę udokumentowali krwią; kiedy czytam agresywne ataki na ludzi zaangażowanych w stalinizm, ludzi, którzy następnie przez całe lata szukan i prześladowań dowiedli szczerości swej ewolucji ideowej, przychodzi mi na myśl historia Sołtyka, słusznie dziś czczonego na kartach historycznych monografii. Myślę o tym ze smutkiem – czyż zawsze stać nas będzie tylko na pośmiertne rehabilitacje?

To oczywiście – w stalinizmie zaangażowani byli i inni ludzie, zwyczajni

karierowicze i podli donosiciele, a także okrutni oprawcy, którzy torturowali niewinnych. Kiedy otworzone zostaną archiwa policji politycznej, uzyskamy pełniejszą wiedzę w tym przedmiocie. Wierzbicki ewokuje obraz tej przyszłości pisząc, że „kiedyś jakiś tłum wielki wylegnie na ulicę, by się każdy rozliczył z tego, co zrobił dla Polski”. Wyznam, że nie uśmiecha mi się wizja Wierzbickiego. Nie chciałbym, aby w pierwszym dniu wolności wielki tłum wylegał na ulice i rozliczał wszystkich z tego, co zrobili i z tego, czego nie zrobili dla Polski. Czuję w tym atmosferę ulicznego samosądu. Podniecony odzyskaną wolnością tłum jest zdolny do linczu, ale nie jest zdolny do rzetelnego rozliczania z uczynków. Dlatego też każdy, kto będzie taki tłum podjudzał do rozrachunków, będzie sział ziarna nienawiści. Dlatego też rozrachunki pozostawmy lepiej historykom.

Wbrew temu, co czytamy w „Traktacie o gnidach”, ani rektorzy, ani reaktorzy, służący na zewnątrz, a „prozachodni” i „kontrrwoluacyjni” w głębi duszy, nie mieli wcale łatwego życia w epoce stalinowskiej. Stałe patrzono im na palce, wciąż byli podejrzewani o „obciążenie burżuazyjną świadomością”. Nadgorliwi agitatorzy widzieli w nich zakamuflowanych obrońców przeszłości. „Pryszczałym” agitatorom świat jawił się nader prosto. Ustrój kapitalistyczny – kolebka faszyzmu – był wrogiem numer 1 szczęścia ludzkości. Każdy, kto decydował się na najmniejszy nawet kompromis ze zgniłą kulturą kapitalistycznego Zachodu, był dla nich pryncypialnym przeciwnikiem.

Owa prostota widzenia świata, łatwość ferowania ocen, pełen nietolerancji fanatyzm polityczny podyktował w tamtych latach młodemu, choć dysponującemu już znakomitym dorobkiem pisarzowi takie oto pamfletowe sformułowania: „dla pisarzy mieszczańskich rozprawianie się z faszyzmem niemieckim stało się ucieczką od decyzji politycznej, a nawet gorzej: stało się przykrywką ideologii imperialistycznej! (...) Należy przewartościować dzieła, które w latach odchylenia nacjonalistycznego okreśaliśmy mianem 'antyfaszystowskich', 'moralizatorskich', myśląc, że to wystarczy na wieki. Trzeba rozpiłować tę wytuptaną platformę, na której się całował Żółkiewski z Zawiejskim”.

Tak oto wyglądał pamflet na „gnidy” Tadeusza Borowskiego. Stefan Kisielewski zareagował na tę publicystykę listem, zastrzegającym na przypomnienie: „Sądzę – pisał Kisiel do Borowskiego – że jest Pan publicystą o wielkim talencie i równie wielkiej ignorancji. Swoje pojęcia o świecie kształtował Pan w okupacyjnej Warszawie, w piekle Oświęcimia i w złażdaczonych okupowanych Niemczech. To diablo mało. Przypomina mi Pan dziewczynę malajską z noweli Conrada: dziewczyna czytając jedyne miejscowe pismo, stanowiące przedruk kroniki wypadków z pism europejskich, dochodzi do wniosku, że Europa jest jedną wielką mordownią. (...) Wątpię zresztą, abym mógł powstrzymać Pana na intelektualnej równi pochyłej, po której Pan leci. Ale chcę mieć czyste sumienie: że ostrzegąłem”.

Nie chcę – byłaby to demagogia – twierdzić, że Wierzbicki powtarza wobec tych samych ludzi te same zarzuty, które niegdyś formułowali naj-

bardziej fanatyczni zwolennicy stalinowskiego kursu. Umieć odróżnić tekst służący moŜnym tego świata od tekstu będącego żarliwym protestem przeciw konformizmowi i załganiu. Nie jest też moją intencją fatwiałkie demaskowanie Tadeusza Borowskiego, który swój stalinowski wybór ideowy opłacił najpierw ruiną własnego talentu, a potem samobójczą śmiercią. Chcę jedynie przyznać ewentualnych wielbicieli „Traktatu o gnidach”, że rzeczywista przemoc złoŃwona światła świata ludzkiego i dokonana na rzecz pamfletowej czystości rysunku wieść moŃe ku nazbyt juŃ prostym rozstrzygnięciom i krzywdzącym werdyktom. Nie wiem, czy ich przekonam, ale chcę móc powtórzyć za Kisielem: ostrzegalem.

Proszę mi wierzyć: ja naprawdę rozumiem gniew Wierzbickiego i jego sprzeciw wobec procesów, które Miłosz nazwał przed kilku laty „moralną próchnicą” i „petainizmem”. Rozumiem jednak równieŃ gorycz ludzi, którzy przez lata całe, zaciiskając nieraz zęby i znosząc upokorzenia, stworzyli kawał naszej umysłowej rzeczywistości, chronili i restaurowali wartości stare, budowali wartości nowe, a dziś nazwani zostali – gnidami.

Bezsens jest domagać się od pamflecisty ocen ostroŃnych i wywaŃzonych. Sama poetyka pamfletu zakłada radykalizację opinii. Nie mam do Wierzbickiego pretensji, Ńe posługując się okreŃleniem „gnidy” wyostrza kontury rzeczywistości, lecz o to, Ńe anty-gnidzia pasja uniemoŃliwia mu ich rozpoznanie.

Albowiem – choć to z tekstu Wierzbickiego nie wynika – rzeczywistość naszego kraju różni się istotnie od rzeczywistości krajów, z którymi sąsiadujemy. Jesteśmy mniej podatni na procesy sowietyzacyjne. Dlaczego?

Na naszą odrębność składają się różne czynniki: tradycja historyczna, Kościół katolicki i odważna, choć tak bardzo realistyczna linia postępowania Episkopatu; wieść, która obroniła się przed kolektywizacją; wreszcie, nieprzerwana presja społeczeństwa. Manifestuje się ona czasem gwałtownymi eksplozjami (Poznań 56, marzec 68, grudzień 70, Radom 76), lecz zazwyczaj cichym, codziennym, zaciętym oporem. Ten opór, to choćby niezgoda na donos. To atmosfera umysłowa części środowisk intelektualnych: wykłady i seminaria na wyższych uczelniach, przewody prac doktorskich i publikowane rozprawy naukowe, powieści, tomiki poezji, eseje, zebrańia Związku Literatów czy PEN-Clubu, filmy i spektakle teatralne, muzea, koncerty i wernisaŃe. To nader często wynik pracy ludzi, którzy nie podpisują protestów i nie wykonują spektakularnych gestów opozycyjnych. A przecieŃ równieŃ dzięki nim oddychamy w Polsce innym powietrzem duchowym. Powietrze duchowe, ta tworzona codziennie, niewidoczna, lecz jakŃe fundamentalna tkanka kultury i Ńwiadomości narodowej – to nie tylko wynik lektury *Zapisu*, *Biuletynu Informacyjnego* czy publikacji Niezależnej Oficyny Wydawniczej. To wynik całoŃci polskich dokonań.

Owa całoŃć stanowi przedmiot zazdroŃci wizytujących Polskę obywateli innych narodów „obozu”. Zazdrozczą oni nam nie tylko KOR-u, TKN-u i wydawnictw nieocenzurowanych, ale i wydawnictw oficjalnie publikowanych (nie tylko *Tygodnika Powszechnego* czy *Więzi*, ale równieŃ *TwórczoŃci*

Pamiętnika Literackiego, a nawet *Polityki*, zazdroszczą nam pełnych kościołów i sprawnie funkcjonujących punktów katechetycznych, spektakli Dejmka i filmów Wajdy, wyglądu naszych ulic i ładnie ubranych dziewczyn. Dzięki temu wszystkiemu bowiem zachowujemy tożsamość i umiejętność stawiania oporu procesom sowietyzacji.

Będę ostatnim, jakoby rzeknie, iż nasza sytuacja jest zadowalająca, a nasze aspiracje zaspokojone. Pisze się bez przerwy na ten temat w prasie nieocenowanej. Czasem spojrzeć jednak należy na naszą sytuację, na nasze schorzenia i niedole nie tylko z perspektywy dążeń i celów, ale i z perspektywy zagrożeń. Do tych zagrożeń zaliczam kształt narodowego losu naszych wschodnich sąsiadów: Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. Oni walczyć muszą o swe istnienie na poziomie elementarnym: walki o język, o religię, o zabytki kultury narodowej. Doceńmy te różnice, docieśmy, jak różno bywa los narodów w ustroju komunistycznym. Rozważć także wartość okoliczności przesądzające o najbardziej istotnej różnicy między sytuacją rosyjskich i polskich obrońców praw człowieka. Powiedzmy krótko: choć policja zatruwa nam życie, czujemy się silni i jesteśmy silni, bowiem mamy poparcie – moralne i materialne – szerokich warstw naszego społeczeństwa. Mamy poparcie ludzi, którzy nie są z temperamentu ani politykami, ani bohaterami; ludzi, którzy nie chcą rezygnować z pracy zawodowej i wględnie ustabilizowanego życia rodzinnego; którzy zapewne rzadko zdecydują się na podpisanie listu protestacyjnego, a którzy – twierdzą – faktycznie przesadzili o sukcesie akcji w obronie robotników Radomia i Ursusa. Bez poparcia tych ludzi niezależna działalność wydawnicza byłaby trudna do pomyslenia.

Na ludzi znajdujących się „między władzą i opozycją” patrzę inaczej niż Wierzbicki. Gdy uczony profesor socjologii, reagując na protesty intelektualistów przeciw torturom w Radomiu, pisze wyrafinowane studium teoretyczne, w którym protesty owych intelektualistów deprecjonuje – to złoścę się podobnie jak autor „Traktatu o gnidach” i z satysfakcją odczytuję wnikliwą replikę Jacka Bocheńskiego na te elukubracje. Ale gdyby ów profesor, miast uprawiać psychoanalizę historyczno-porównawczą protestujących intelektualistów, zechciał skorzystać ze swego immunitetu poselskiego i udał się do Radomia na jeden z procesów, by osobiście przekonać się, jak funkcjonuje wymiar sprawiedliwości, gdyby następnie, nie włączając się bynajmniej do kontestacyjnych akcji, sporządził raport dla władz z tego, co tam widział – czy i wtedy Wierzbicki nazwałby jego postępowanie „gnidzim”? Ja bym tak nie uczynił. Cieszyłbym się raczej, że w łonie elity władzy kształtować się poczynają postawy racjonalne, że warstwy rządzące uczą się poprawnie definiować swój własny interes, że odnajdują w kręgu mych przeciwników choćby jakiś cień kultury politycznej. niewiele jest dotąd takich symptomów. Zważmy jednak, że jeśli nadzieję na taką ewolucję zarzucimy, to alternatywny scenariusz wydarzeń obejmować musi kolejne gwałtowne konfrontacje między władzami a społeczeństwem. Każda z tych konfrontacji może być brzemienna w narodową tragedię.

Unikanie takich sytuacji jest zbiorowym obowiązkiem, bowiem mogłoby się zdarzyć, że cały naród, wszyscy Polacy, nie wyłączając władz, musieliby zapłacić za brak odpowiedzialności w tej materii cenę nadmiernie wysoką*.

Powyższy wywód nie oznacza, rzecz prosta, namiawiania kogokolwiek do udziału w wewnątrzpartyjnych rozgrywkach. Podzielałam w tym przedmiocie sceptycyzm Wierzbickiego. Warto jednak pamiętać, że żyjemy w społeczeństwie, gdzie do partii komunistycznej należą setki tysięcy ludzi aktywnych. Często jest to cena płacona za udział w życiu publicznym, za możliwość sprawowania kierowniczych funkcji itd. Może Wierzbicki uważać – sam jestem tego zdania – że jest to cena zbyt wysoka, cena, której płacić nie warto i nie przystoi. Wszelako żyjemy i żyć będziemy wśród ludzi sądzących inaczej. Musimy nauczyć się z nimi współżyć i ich nauczyć współżycia z nami. Musimy nauczyć się trudnej sztuki kompromisu, bez której nie jest możliwy autentyczny pluralizm. Musimy również wobec władzy przestrzegać norm kultury politycznej, nawet gdy władza tych norm nie przestrzega. Tylko wtedy potrafimy totalitarnemu chamstwu przeciwstawić godność.

Wierzbicki opisuje rozmowę „opozycjonisty” z „gnidą” na temat złożenia podpisu pod listem protestacyjnym. Wysztycha przy tej okazji cały katalog „gnidzich” wykrętów i mistyfikacji. Z mieszanymi uczuciami czytałem ten wywód. Sam oglądałem nieraz takie sceny rodzajowe i – przyznaję – opis Wierzbickiego jest na wskroś mistrzowski. Ale... Ale sam przecież odradzałem kilku osobom podpisywanie takich listów, wychodząc z założenia, że pewne osoby i placówki życia publicznego wymagają ochrony.

Niech mnie Wierzbicki nie przekonuje, że ten rodzaj argumentów – obrona placówki – bywa nader często nadużywany. Niech mnie raczej spróbuje przekonać, że większą wagę ma podpis Mariana Brandysa pod listem protestacyjnym niż jego szwależerska epopea na półkach księgarń i bibliotek, że większą wagę mają podpisy Dejмка i Wajdy niż ich spektakle teatralne i filmy. Błogosławione czasy, kiedy można zarazem podpisywać listy protestacyjne i publikować książki czy reżyserować filmy. Wiemy jednak, że nieraz trzeba wybierać. Otóż nie mam ja na taki wybór recepty. Wszystkim, którzy taką receptę mają – zazdroszczę. I troszkę się ich lękam. Brałem udział w organizowaniu kilku listów protestacyjnych. Doceniam ich znaczenie. Intelktualiści-sygnatariusze dokonali rzeczy niezwyklej –

* Podobny pogląd sformułowałem kilkakrotnie, m.in. w artykule „Nowy ewolucjonizm”. Napotkało to na polemiczną replikę prof. Jana Drewnowskiego, który na łamach *Kultury* paryskiej zarzucił mi, że szukam porozumienia z komunistyczną władzą. W innej publikacji, ogłoszonej przez *Zeszyty Historyczne*, prof. Drewnowski rozwinął swą myśl formułując tezę, że interwencja radziecka w Polsce miała miejsce w latach 1944-45 i kolejna interwencja nic w tym przedmiocie nie zmieni. Czy istotnie kolejna interwencja wojsk radzieckich w Polsce nie może przynieść żadnych zmian – oddaję ten pogląd pod rozwagę czytelników. Ze swej strony pragnę wyrazić opinię, że kolejne interwencje wojsk radzieckich na Węgrzech w 56 r. i w Czechosłowacji w 68 r. zmieniły wiele. Przeraziły wiele...

ryzykując stabilizację zawodową, możliwość drukowania etc. podnieść głos w obronie imponderabilów, w obronie niszczonej kultury narodowej, w obronie ludzi skrzywdzonych i poniżonych. Te listy były świadectwem obudzenia się sumienia narodowego, były dowodem odrodzenia się w środowiskach inteligencji poczucia odpowiedzialności za kształt polskich aspiracji, były artykulacją tych aspiracji.

Te listy były wszelako tylko wierzchołkiem „lodowej góry” polskich dążeń, które manifestowały się – i manifestują się nadal – w formach nader różnorodnych. Dlatego sekciarskim nonsensem jest wrzucać wszystkim inaczej myślących i postępujących do pojemnego worka z nalepką „gnidy”. Tak uczynić może ten tylko, kto wierzy, że poznał tę jedyną, moralną, słuszną drogę do niepodległości i demokracji. Typ takiego „posiadacza prawdy” znam dobrze z historii. I stąd mój lęk.

Podzielał negatywny stosunek Wierzbickiego do niebezpiecznie popularnego konceptu: że większość opozycyjnych wystąpień jest policyjną super-prowokacją. Nie oznacza to jednak, że policja nigdy nie posługuje się prowokacją. Niedawno w jednym z kościołów łódzkich rozdawane były ulotki sygnowane przez grupę „Samoobrona Wiary”. Obok deklaracji patriotyczno-religijnych przeczytać w nich można było jadowity atak na takich wewnątrzkościelnych nowinkarzy, jak kardynał Wojtyła i arcybiskup Gulbinowicz, których dodatkowo oskarżono o upowszechnianie pomografii i współpracy z ośrodkami kosmopolitycznymi w rodzaju KOR-u. Czy trzeba być „gnidą”, by postawić sobie pytanie o genezę tych osobliwych ulotek?

Wysztycha Wierzbicki argument, że „teraz akurat jest zupełnie nieodpowiedni moment na podjęcie tej akcji”. Słyszałem dziesiątki takich wykrętów. Ale ... komunikuję, że jeśli ktoś przyjdzie do mnie dzisiaj (tj. 6 XII 78) z propozycją, bym podpisał petycję, aby wojska radzieckie wymaszerowały z Polski, to – choć postulat podoba mi się i choć ryzykuję przezwał „gnidy” – odmówię. Nieodpowiedni moment.

Dowiedziałem się z „Traktatu”, że gnidy nie lubią „nacionalizmu” i zaraziły się nawet niechęcią do niego od niektórych opozycjonistów. Łatwość z jaką Wierzbicki załatwił ten problem, powoduje, że pytanie o to, jaki to zespół poglądów i emocji nazywa się tu „nacionalizmem”, jest po prostu w złym tonie. Ryzykując jednak towarzyski dysonans, zapytam: czy dążenie do niepodległości jest dla Wierzbickiego tożsame z nacionalizmem? Jeśli tak, to spór byłby terminologiczny. Wszelako „nacionalizm” może być również nazwą określonej doktryny politycznej lub też – nierzadko – stanowiskiem osądającym świat wartości z punktu widzenia tzw. egoizmu narodowego. Z faktu, że komuniści zwalczają nacionalizm – zresztą coraz rzadziej – nie wynika wcale, by obowiązkiem opozycjonisty i zwolennika niepodległości była zgoda na określoną doktrynę polityczną, ani – tym bardziej – na ideologię nienawiści czy pogardy do innych narodów*.

* Na marginesie wspomnę, że uwagi Wierzbickiego na temat Husaka uwięzionego przez komunistów za „słowacki nacionalizm” są kompletną fantazją. Husak był

Dążenia do niepodległości w Gruzji, Łotwie czy Estonii nie są bynajmniej tożsame z nacjonalizmem, jednakże nawet w Gruzji czy na Ukrainie nacjonalizm może być tępy obskurantyzmem, może być schorzeniem, którego źródło łatwo zrozumieć, ale które zatruwa krwiobieg życia duchowego narodu. Można np. zrozumieć obsesyjną nienawiść krymskiego Tatarsa do wszystkiego co rosyjskie: do języka, do całej rosyjskiej literatury i muzyki, do wszystkich Rosjan wreszcie – ale trudno nie uważać takiej postawy za objaw smutnej choroby niewoli. Zaś entuzjazm do Berlinguera ma się – Panie Piotrze – do całej tej problematyki tak, jak Krym do Rzymu.

W trakcie rozlicznych dyskusji wokół „Traktatu o gnidach” usłyszałem – w odpowiedzi na głosy krytyczne – uwagę, iż Wierzbicki kontynuuje tradycję wielkich romantyków, tradycję Słowackiego piętnującego w „Grobie Agamemnona” słabość i małość Polaków, a nie po prostu opresję zaborców. Jest to uwaga celna. „Miotanie obelg na własny naród stanowi omszały już i dostojny przywilej polskiej literatury” – zauważył słusznie Jan Błoński. Istotnie, Słowacki pisał o „pawiu i papudze” oraz o „smutnym kraju ilotów”, ale pisał również:

„Choć wiem, że słowa te nie zadrzą długo
w sercu – gdzie nie trwa myśl nawet godziny (...)

I pisał także w apostrofie do Polski:

Przeklnij – lecz ciebie przepędzi ma dusza

Jak eumenida – przez węzowe różgi,

Boś ty jedyny syn Prometeusza:

Sęp ci wyjada nie serce – lecz mózgi”.

Tu jest sedno sprawy. Jestem za „szarganiem” i „kalaniem”, jestem za pamfletem oraz szyderstwem – nie na tym się zasadza różnica z Wierzbickim. Drażni mnie natomiast kierunek jego ataku; drażni mnie, że nie piętnuje intelektualistów za niedostatek myśli, lecz za niedostatek gestu: To polskie, arcy-polskie uwielbienie dla gestu! „Niczego tak chętnie – pisał Brzozowski – nie składa Polak na ołtarzu Ojczyzny jak pracy swej wewnętrznej. Gdy chodzi o wykazanie pogardy i lekceważenia dla największych problemów myślowych, ‘sumienie obywatelskie’ przemawia u nas niezwykle głośno. Wobec zagadnień myśli i wymagań szczeroci umysłowej każdy przeciętny Polak ma już nie tylko odwagę, ale wprost celność cywilną”.

Jakież to przeraźliwie aktualne... Lękam się, by reakcją na nasze zniewolenie nie stała się *niewola gestu* – i w konsekwencji pogarda dla wartości artystycznych i umysłowych, nie tłumaczących się bezpośrednio na język polityki. Nie chodzi mi tu o Piotra Wierzbickiego, któremu nie grożą zapewne podobne rafy. Ale może on – *nolens volens* – stworzyć swym „Traktatem...” ideologię dla tych wszystkich, którym „sęp wyjada

prześladowany za obronę – formułowaną w języku komunistycznym, to prawda – słowackich aspiracji narodowych i tradycji powstania słowackiego, a nie za chęć przyłączenia Słowacji do ZSRR.

nie serca, lecz mózgi". Opozycjoności, ścigani przez policję i dręczeni przez rewizje, mogą się z tego tekstu uczyć pogardy dla ludzi, którym przekonania, temperament czy po prostu strach nakazuje inny rodzaj życia i inny rodzaj służenia wspólnej często sprawie. Jest to niebezpieczeństwo dobrze znane z historii narodów podbitych, także z historii Polski. Jeśli bowiem codzienny żywot Polaka pod zaborem był – i musiał być – żywotem pełnym kompromisów, to dydaktyzm i moralistyczny heroizm polskiej literatury był reakcją na ten stan rzeczy. W mentalność Polaka wpisane było zatem osobliwe rozdwojenie. Społeczeństwo polskie, na codzień kompromisowe, w godzinie „W” stawało się odważne aż do szaleństwa. W godzinie „W” literatura zaczynała władać życiem w sposób niepodzielny. „Politycy – powiada Jan Błński – rezygnowali zwykle z politykowania, albo przedzierzgiwali się w męczenników (...) Męczeństwo stanowiło alibi podłości, nikczemność ojców prowokowała ofiamictwo synów, i odwrotnie”.

Kult męczeństwa, kult heroicznej ofiary ukonstytuowały w polskiej tradycji ethos piękny, ale i niebezpieczny. Dla spiskowca, ukształtowanego przez ten ethos, więzienie było codzienną realną rzeczywistością, było fragmentem ceny płaconej całym, bezprzykładnie heroicznym życiem. Spiskowiec musiał być w każdej chwili gotów do męczeńskiej śmierci. Ta gotowość – zespolona z romantycznym ethosem – wykrzywiała obraz świata, sprzyjała autoidealizacji. Spiskowiec, który postrzegał skonformizowany „ogół” na kształt i podobieństwo „łotów”, w swoich przyjaciółach i sobie odnajdywał patos i dramat Kordianów i Konradów; jeśli w zastraszonym społeczeństwie widział rysy „gnidzie”, to siebie i swych przyjaciół – bojowników o niepodległą i sprawiedliwą Polskę – „wyaniała”. „Anielskość” własnego wizerunku polegała na przyznawaniu sobie – często podświadomie – szczególnych praw.

Wielce instruktywna dla zrozumienia tego zjawiska jest lektura wspomnień Henryka Kamieńskiego o Edwardzie Dembowskim. Ten czerwony kasztelan, urodzony spiskowiec, człowiek znakomitego umysłu i wielkiej odwagi, posługiwał się w dążeniu do narodowej insurekcji metodami, które trudno uznać za eleganckie: manipulował innymi ludźmi, szantażował ich moralnie, kłamał. Moralne prawo do takiego postępowania dawała mu własna ofiara i święty cel: świetlana przyszłość. W imię tego celu rozmaite pokolenia spiskowców osądzały świat na modłę manichejską: co służyło celowi, było dobrem, co mu przeszkadzało – było złem, kto nie stawał w szeregu bojowników słusznej sprawy, zasługiwał na pogardę. Manicheizm – postawa świętych i inkwizytorów... Manicheizm – przekleństwo społeczeństw zniewolonych...

Trzeba było mieć w sobie coś ze świętego i z inkwizytora zarazem, by zasztyletować w czasie powstania styczniowego Józefa Miniszewskiego za to, że piórem swym służył Aleksandrowi Wielopolskiemu. Trzeba było uważać się za anioła, by zastrzelić w Wilnie w 1944 roku Teodora Bujnickiego za wiersze – w rzeczy samej plugawe – na cześć sowieckiego okupanta.

Nie rzucam tu lekkomyślnych oskarżeń – wykonawcami tych czynów

byli zapewne ludzie o nieposzlakowanej uczciwości i bohaterskim życiorysie. Rzecz jednak w tym, że w ich mentalności nie było hamulców, że manichejski obraz świata ludzkich powinności nie skłonił ich do zaniechania. Byli konsekwentni. Przerazająco konsekwentni. Cel usprawiedliwiał wszystko.

W 1914 roku młodzi chłopcy z inteligentkich rodzin odłożyli książki i kajety i raz jeszcze chwycili za broń „w Ojczyzny potrzebie”. Społeczeństwo potraktowało ich zimno i nieufnie. Odpowiedzieli mu na ten chłód piosenką:

„Nie trzeba nam od Was uznania
Ni waszych serc, ni waszych łez,
Przeminął już czas kołatania
Do waszych kies. J...! Was pies”.

Jest w tej piosence niebezpieczna nuta pogardy, jest w niej mentalność ludzi, którzy „rzucając na stos swój życia los” dla Polski idealnej, wysnionej przez wieszczów i konspiratorów, czynią to za cenę pogardy dla Polski realnej, Polski ludzi zwyczajnych. Ta mentalność owocowała lekceważeniem własnego niebezpieczeństwa i wspaniałym czynem zbrojnym Legionów. Ale owocowała również lekceważeniem bezpieczeństwa i aspiracji innych ludzi. Dlatego, słuchając tej piosenki dzisiaj, odnajdujemy ten wielce niepokojący ton, którym wydawane były w kilkanaście lat później rozkazy uwięzienia opozycyjnych posłów w Brześciu. Jedni legionści prześladowali drugich. Pogarda dla innych, czymkolwiek byłaby spowodowana, mściła się okrutnie.

Wiedzą o tym dobrze ci wszyscy, którzy znają historię ruchu komunistycznego. Dość przypomnieć wiersz Broniewskiego „Magnitogorsk czyli rozmowa z Janem”, by natychmiast odnaleźć się w kręgu ethosu „ofiary” i „świetlanej przyszłości”. Pieśń Magnitogorska – symbol owej przyszłości – miały odkupić udramę nocy i dni spędzonych w więziennej celi. Miały odkupić również i inne udramy, o których Broniewski wtedy nie pisał, ale których nie mógł być całkiem nieświadom. Wizja odkupienia w przyszłym raju komunizmu owocowała osobistą ofiarą wielu komunistów, którzy lata całe spędzali w więzieniach, ale owocowała też wyczynami Departamentu Śledczego MBP, którym kierowali komuniści – przedwojenni więźniowie polityczni, upadłe anioły. Ofiara przekształcała się w kata, święty w inkwizytora.

Los „ludzi podziemnych” i „legionistów”, los bohaterów Broniewskiego: towarzysza Jana i krawca Izaaka Gutkinda jest groźną przestrogą dla tych, którzy działają w warunkach pogardy dla prawa, tej trucizny dla wszystkich: prześladowców i prześladowanych. Niechaj współcześni aniołowie pamiętają, że szacunek, którym się cieszą w społeczeństwie, nakłada na nich szczególnie obowiązek wrażliwości moralnej. Inaczej bowiem mleczną siostrą ich heroicznego poświęcenia może łatwo stać się pogarda dla tych, których szczęściu chcą służyć.

Niełatwo jest pisać o aniołach. Niełatwo jest pisać mając w pamięci ich codzienność wyznaczoną przez żmudny i nieefektywny trud, mając w pamięci, że już dziś płacą za swój ideowy wybór usunięciem z pracy i politycznymi szykanami, zaś jutro...

Cokolwiek by się jednak jutro miało wydarzyć, to już dziś czuję się w obowiązku wyznać, iż – moim zdaniem – anioł żądający heroizmu nie tylko od siebie, ale i od innych, negujący totalnie wartość postaw kompromisowych, postrzegający świat z manichejską prostotą, pogardzający ludźmi, którzy inaczej pojmują swe powinności wobec bliźnich – taki anioł, choćby wielbił niebo, wstąpił już na drogę wiodącą do piekieł. Nieważne, czy motywuje swoje postęпки frazeologią niepodległościową, czy też socjalistyczno-universalistyczną utopią – sieje ziarna późniejszej nienawiści.

Nie jestem pięknoduchem i nie przypuszczam, by kiedykolwiek wszyscy ludzie mogli być sobie nieprzerwanie życzliwi. Wierzę jednak w kreatywną moc naszych działań, wierzę, że możemy zwiększyć lub zmniejszyć ilość nienawiści i nietolerancji w naszym życiu publicznym. Wierzę – wręcz – że już dziś wykuwany jest kształt Polski niepodległej i demokratycznej. Chciałbym ją widzieć opartą na tolerancji i kulturze politycznej, ale wiem, że na upowszechnienie tych wartości trzeba długich lat pracy. Dlatego trzeba upowszechniać je już dzisiaj i nie werbalnymi deklaracjami, ale codziennym postępowaniem.

Dlatego tak bardzo boję się pewnego stylu recepcji eseju Wierzbickiego. Bowiem „Traktat o gnidach” jest tekstem wielce sugestywnym w swej pasji demaskowania istotnych schorzeń polskiego życia umysłowego i obywatelskiego. Jest to kontynuacja wielkiej tradycji polskiego pamfletu na społeczeństwo. Wierzbicki nie schlebia czytelnikowi, oskarża i bulwersuje. Taka postawa autora zasługuje na szacunek.

Wszelako będzie ten „Traktat...” nie kubłem zimnej wody na inteligencję, lecz poczciwą czytanką skreśloną ku pokrzepieniu serc dysydentów, jeśli nie będzie dopełniony „Traktatem o aniołach”. Bowiem anioły są u nas skazane na krytykę, którą muszą pogardzać, skoro wychodzi spod piór Gontarza czy Kłodzińskiej. Zaś anioł nie krytykowany, anioł utwierdzony w swoim anielstwie, może przeobrazić się w czarta. Nie wierzycie? Przeczytajcie książkę o najszlachetniejszych i najodważniejszych ludziach w Rosji; książkę, której nie znosiłem przez lata, ale do której wracałem jak narkoman do kokainy; książkę – krzywe zwierciadło, w którym każdy anioł zobaczy swą wstrętnie wykrzywioną twarz; książkę antypatyczną i przenikliwą aż do okrucieństwa. Przeczytajcie „Biesy”.

Ja wiem, że kiedy „gnida” chce swą „gnidowatość” uzasadnić, wyciąga z półki tę właśnie, w safran oprawioną książkę Dostojewskiego, po czym siada w głębokim fotelu i odczytuje interlokutorowi co celniejsze fragmenty. Wiem jednak również, że jeśli doświadczenie „Biesów” nie zostanie przemyślane i uwewnętrznione przez polską opozycję demokratyczną, to grozić jej będą, bardziej od ubeków o zmiętych twarzach i martwych oczach, Stawoginowie i Wierchowieńscy *à la polonaise*.

Bowiem ruch, który nie dostrzega tego, co jest w społeczeństwie wartością nieprzemijającą, nie jest dostatecznie dojrzały, aby je przekształcać.

ADAM MICHIK

LESZEK SZARUGA

EMIGRACJA CZY IZOLACJA?

1.

Myszę, że warto zająć się poważnie zagadnieniem, które dla mnie przynajmniej stanowi dziś problem pierwszoplanowy. Chodzi mi o różne typy i przejawy „emigracji wewnętrznej” pisarzy w Polsce. Nie jest to sprawa błaha i sądzę, że może mieć ona olbrzymi wpływ na kształtowanie się postaw pisarskich w naszym kraju w ciągu lat najbliższych. Samo zagadnienie nie jest nowe: najbardziej widoczne i najczęściej omawiane stało się ono w odniesieniu do literatury Niemiec hitlerowskich, ale nie tylko – wystarczy wspomnieć, iż sprawa ta pojawiała się również w Polsce powojennej, choć może nie w takim rozumieniu, jakie terminowi temu przydaje w niniejszym szkicu: dotyczyło to pisarzy nie chcących podjąć nakazów realizmu socjalistycznego, a więc spychających się, by tak powiedzieć, własnoręcznie, poza nawet margines życia społecznego; jest to – rzecz jasna – interpretacja partyjna.

Sytuacja staje się poważna. Spore już grono pisarzy współpracuje z pismami niezależnymi, *Zapiskami* i *Pulsem*; olbrzymia większość z nich skazuje się tym samym na nieistnienie w oficjalnym życiu literackim. Decyzje, które podejmują, są na ogół decyzjami własnymi, podejmowanymi dobrowolnie. Choć i z tą dobrowolnością bywa różnie – formy nacisku są tu różnorakie: od spychania w nurt nieoficjalny przez cenzurę, czarne listy itp., po swoisty przymus moralny, może nie zawsze świadomy, nakazujący solidarność z już represjonowanymi kolegami, przy czym jest to raczej przymus wynikły z sytuacji niż z czyichś piętnujących wypowiedzi. Myszę, że w najbliższym czasie grono autorów publikujących jawnie (tzn. nie pod pseudonimem) swe teksty w prasie nieoficjalnej, będzie gronem zamkniętym: uczynienie owego „pierwszego kroku” oznacza bowiem konieczność przełamania swoistej „bariery lęku” nie tylko przed „zemstą” władzy, lecz

również przed niedostatkiem materialnym. Sądzę jednak, iż powoli powiększać się będzie grupa autorów publikujących pod pseudonimem, zwłaszcza gdy się okaże, że redakcje pism nieoficjalnych potrafią uchronić pseudonim przed jego rozszyfrowaniem — po prostu możliwość wypowiedzenia się „pełnym głosem” jest dla pisarza, autentycznie zaangażowanego w problemy swego czasu, zbyt nęcąca, by z niej zrezygnować. To jedna grupa „emigrantów wewnętrznych”, przy czym pisarze publikujący pod pseudonimem skazują się na emigrację niejako piętrową, metaemigrację.

Druga grupa to ci wszyscy, którzy w swej twórczości świadomie wybierają tematy neutralne — ta grupa zawsze istniała i myślę, że prawie wszystkie przeciw niej zarzuty są nieporozumieniem. Jednakże są też w tej grupie pisarze, którzy z tematów neutralnych uczynili sobie swoisty azyl. I ta właśnie grupa najbardziej mnie interesuje: czy to Harasymowicz, czy — w inny nieco sposób — Białoszewski, albo — jeszcze inaczej — Władysław Terlecki. Pisarze ci posługują się swoistą formułą bezkonfliktowości, zmuszeni są zatrzymać się w pół podjętej przez siebie analizy czy opisu. Oczywiście — moje „zarzuty” są i tu zarzutami pozomymi: trudno mieć pretensje do Białoszewskiego, że w „Donosach rzeczywistości” ledwie zauważa ruchy tektoniczne wstrząsające życiem społecznym; do Terleckiego o to, iż związek analiz historycznych, którymi się świetnie zajmuje, otóż że związek ich ze współczesnością konstruowany być musi ponad tekstem; do Harasymowicza wreszcie o to, że zajęł się „zajaczkami” — mają oni do tego pełne pisarskie prawo tak, jak ma je i Lem pisząc swe w większości znakomite utwory fantastycznonaukowe.

Literatura, wbrew temu, co się zwykło u nas o niej sądzić, nie musi walczyć z, powinna raczej zająć się walką o. W tym wypadku przede wszystkim o swoje własne prawa.

2.

Interesujący wydaje się przypadek Jarosława Iwaszkiewicza, przypominający pod wieloma względami problem związany z postacią Gerharda Hauptmanna i jego zachowaniem się w totalitarnym systemie państwa niemieckiego. Obaj pisarze w swej twórczości w zasadzie nie poddają się wymogom czy żądaniom systemu politycznego, obaj też jednak na swój sposób współpracują z władzami. Pewnie — pozostaje literatura i w ostatecznym rachunku tylko ona się liczy, a nie sposób robienia oficjalnych, dworskich karier. To, że się służy za alibi dla systemu nękającego niezależną myśl, jest w końcu sprawą osobistą każdego człowieka: niary, którą przykładamy do jego życia, nie powinniśmy przykładać do twórczości. „Olimpijska” wyniosłość — odnajdywanie rzeczywistych wartości poza i ponad doczesnością (a warto pamiętać, iż w wypadku obu pisarzy przeżyli oni autentyczne rozpady światów, doświadczyli nauce kruchości imperiów) — w literaturze nie oznacza, iż wybitny pisarz nie może się w życiu okazać byle kim, zwykłym karierowiczem z namaszczeniem przyjmującym grzechności i tak bezsilnego wobec niego i dlatego go tolerującego władcy. Nawet geniusze są w końcu tylko ludźmi. Czy więc swoiste „niezaangażowanie”

Iwaszkiewiczza może być – lub inaczej: czy słusznie jest – potępiane przez tych, którzy zdecydowali się walczyć z przemocą?

Myślę, że czas już przełamać pewne schematy naszego myślenia o pisarzach i literaturze. Sam fakt opozycyjnej postawy pisarza nie podnosi wartości jego utworów, tak samo jak nie obniża ich uległość wobec władzy. Osobiście nie zachwyca mnie postawa Iwaszkiewiczza (choć trudno nie zauważyć, iż szereg gestów, które ostatnio poczynił, przynosi mu raczej chwałę), ale wobec jego ostatniego tomu wierszy – nawet wtedy, gdy odcyfrowuję, jakie prywatne porachunki w nich załatwia – pozostaję pełen podziwu. Tak to jest. I czas sobie z tego zdać sprawę.

Nasz sposób traktowania literatury i powinności ludzi ją tworzących, jest co najmniej osobliwy. Gotowiliśmy niemal szubienice wznosić tym, którzy w chwilach narodowej niedoli ośmielają się zajmować pięknem klasycystycznych ogrodów. No, może nie szubienice, ale też uważamy, iż pisarz taki w takiej chwili zachowuje się niestosownie. Lecz czas już zdać sobie sprawę z tego, iż z literatury utworzyliśmy sobie jedyną instytucję narodowego bytu. Ma to swoje cechy dobre, ma jednak również i złe – jedne i drugie powinniśmy po równi dostrzegać, emocje mącą umysły i deprawują, a deprawacji trzeba umieć się przeciwstawić.

Inaczej będziemy dzielić pisarzy – miast na dobrych i złych – na „naszych” i „nie naszych”, postępując dokładnie tak samo jak ci, przeciw którym występujemy.

Ocalić własną osobowość można jedynie wówczas, gdy się potrafi wy dostać z sideł ostrych, dwuczłonowych jedynie alternatyw – życie jest bogatsze i bardziej interesujące. Poddając się tym schematom wyboru, automatycznie skazujemy się na brak spontaniczności, która stanowi fundament ludzkiej wolności. Tymczasem nasz sposób myślenia o literaturze zamienia ludzi ją tworzących w wykonawców przypisanych im ról. W ten właśnie sposób uruchamiamy, chcąc nie chcąc, mechanizm owego przymusu moralnego, o którym wspomniałem wcześniej, przymusu, który wiedzie ludzi do podejmowania decyzji w zasadzie niewiele mających wspólnego z literaturą. Prawdopodobnie wywikłać się z tego będzie trudno, tym bardziej konieczne jest uświadomienie sobie tej sytuacji. Ludzie rozsądni – a jest ich niestety niewiele – nie ulegają presjom, o których tu mowa. Większość natomiast często podejmuje decyzje, które szkodzą i im samym, i ich twórczości: nikt nie chce uchodzić za człowieka niewrażliwego na krzywdę.

Wszystko to są problemy trudne, zwłaszcza u nas – pisarz polski jest bowiem podwójnie zniewolony: przez system i przez tradycję naszego życia literackiego. Celowo wydobywam owe ciemne strony: chodzi mi o to, iż walcząc o wolność literatury powinniśmy przynajmniej próbować uwolnić jej twórców od przymusu nieludzkich, politycznych wyborów. Oczywiście – powie ktoś – ale póki żyjemy w sytuacji, w której jakiś jeden utwór zatrzymywany jest przez cenzurę, póty cała literatura pozostaje zniewolona. To prawda. Ale – nie bagatelizując cenzury – nie jest to jedyny problem, z jakim musi się uporać nasze pisarstwo.

3.

Literatura, aby być sobą, musi na sobie samej polegać. Tymczasem przyzwyczajeni już jesteśmy do tego, iż tworzy się ją w opozycji: w opozycji do czegoś lub – częściej – kogoś, w opozycji do ograniczeń zewnętrznych. W niestychanie mądrym wierszu Kawafisa „Czekając na barbarzyńców” czytamy w zakończeniu takie oto strofy:

Dlaczego nagle budzi się taki niepokój
i zamęt? (Wszystkie twarze – jakże spoważniały!)
Czemu pustoszeją tak szybko ulice nasze i place
i wszyscy wracają do swych domów głębooko zamyśleni?
Dlatego, że noc zapadła, a barbarzyńcy nie przyszli.
Jacy nasi, co właśnie od granicy przybyli,
mówią, że już nie ma żadnych barbarzyńców.
Bez barbarzyńców – cóż poczniemy teraz?
Ci ludzie byli jakimś rozwiązaniem.

Literatura polska, póki co, ma tych swoich barbarzyńców i choć niewiele wskazuje na to, by mogła się ich w najbliższej przyszłości pozbyć, strach pomyśleć, co by to było, gdyby nagle do tego doszło. Okazać by się mogło, na przykład, że miast stworzyć swój własny, odrębny świat, potrafi jedynie bronić swego stanu posiadania, tego, czego dorobiła się w swjej burzliwej dwudziestoletniej historii okresu międzywojennego. Bo oto, gdy spojrzeć na dorobek naszej literatury z tego właśnie punktu widzenia, okaże się nagle, że ostatnimi niezależnymi utworami były dzieła Gombrowicza, Schulza i Witkacego.

Specjalnie przeciągam strunę: w końcu, jeśli oczyścić je ze specyficznego dość klimatu czytelniczego, odnajdziemy ową niezależność i w powieściach Bocheńskiego, i w poezji Ważyka, i – jakkolwiek na to patrzeć – w dramatach Mrożka. Ale mało tego, bardzo mało. Większość naszych tekstów literackich zawdzięcza swe znaczenie obecności barbarzyńców. To nie jest zarzut: po prostu trzeba o tym wiedzieć, by móc cokolwiek jeszcze kiedyś zrobić.

Dla przykładu: w rok po rozpoczęciu działalności redakcja *Zapisu* urządziła spotkanie, w czasie którego słowo wstępne wygłosił Batańczak, zauważając w nim, że pismo znalazłoby się w dość trudnej sytuacji, gdyby mu przyszło publikować, dajmy na to, prozę Buczkowskiego. I rzeczywiście – byłaby to sytuacja ciężka, pismo bowiem stać by się musiało piśmie ściśle literackim.

Literatura polska uwikłana jest w tzw. życie społeczno-polityczne na dwa różne sposoby: jednym z nich jest sposób barbarzyńców narzucających literaturze swoje wymagania, drugim sposób literackiej opozycji. W jednym i drugim wypadku mniej o literaturę chodzi, bardziej o literatów. A to są, mimo wszystko, sprawy dość różne, choć – rzecz jasna – nie dające się całkowicie od siebie oddzielić. Liczą się w gruncie rzeczy postawy pisarzy wobec władzy – i nawet nie to jeszcze: liczą się manifestacje postaw pisarzy. Manifestacją taką jest m.in. publikowanie w *Zapisie*. Dążyć należy do

tego, by nie była to *tylko* manifestacja.

Mamy to szczęście, że w *Zapisie* publikują na ogół autorzy o ugruntowanym dorobku: Andrzejewski, Barańczak, Bocheński, Nowakowski, Woroszyński. Jest to szczęście: pismo to bowiem od samego początku ma rangę stosunkowo wysoką już nie tylko dlatego, że publikuje dobre utwory — o to się zawsze można spierać — lecz dlatego, iż piszą w nim pisarze, których dorobek w naszej literaturze trudno całkowicie zignorować. Określa to dość specyficzną sytuację pisma. Oto bowiem w prasie oficjalnej nazwiska tych wybitnych się pojawiają, przynajmniej na razie: władza nie chce zrezygnować ze swego alibi. Lecz biada tym, których istnienie w naszym życiu literackim nie jest tak mocno zakorzenione — oni to właśnie, w tej liczbie i ja sam, publikując w *Zapisie* czy w *Pulsie* skazują się na całkowite oficjalne nieistnienie. Z tego trzeba sobie zdawać sprawę po to chociażby, by nie zatracać zmysłu orientacji. Właśnie tacy przede wszystkim autorzy muszą prędzej czy później zetknąć się z problemem „emigracji wewnętrznej”, emigracji lub też, co wydaje się tu terminem bardziej właściwym — banicji.

4.

Jest to zgoła inny typ emigracji niż ten, który wybierają pisarze posługujący się „językiem ezopowym”, a więc językiem niosącym treści władzy niemiłe, ale za to swoiście zaszyfrowanym lub też mówiącym wprost, ale wmontowanym w całość „tonizującą” wymowę (tu np. *passus* o faszyzmie w „Kalendarzu i klepsydrze” Konwickiego, czy wiersz Woroszyńskiego „Państwa faszystowskie”). Pisarze posługujący się językiem ezopowym — a coraz trudniej o względną czytelność kody: cenzorzy też są dobrze u nas wytresowani, a nawet i na wykłady o sposobach maskowania nieprawomyślnych treści w poezji prowadzani bywają, przy czym wykładowcom nie brak rzetelnej wiedzy i umiejętności — otóż pisarze ci, jakkolwiek na sprawę spojrzeć, prowadzą grę interesującą i nieraz artystycznie bardzo płodną. Prawdziwy jest bowiem argument, że cenzura zmusza do kształcenia kunsztu poetyckiego — prawdziwy, ale też wcale nie świadczący jeszcze o dobrodziejstwach płynących dla literatury z istnienia organów ścigania i tępienia myśli. Jest to zwykłe czynienie cnoty z konieczności — zwolennicy argumentów o wadze przeciwności w rozwoju literatury zdają się o tej drobnostce zapominać.

Tak więc, powiadam, autorzy tacy jak ja, decydujący się na manifestację braku uległości, muszą prędzej czy później stanąć przed problemem owej „wewnętrznej emigracji”. Nie prowadzi się tutaj z władzą żadnej gry — wręcz przeciwnie: jest to odmowa uczestnictwa w tej grze, odmowa powodowana niezgodą na jej reguły przez władzę ustalone, a więc skazujące pisarza na przegraną. Sprawa „emigracji wewnętrznej” ma się tutaj nieco inaczej niż np. w literaturze niemieckiej, gdzie za emigrantów uważana są m.in. Hölderlin czy Heine, odchodzący od problemów swego tu i teraz w świat wartości prywatnych, uniwersalnych, ponadczasowych itp.

Konieczne się więc staje, by uniknąć mnożenia nieporozumień i zbyt

łatwych analogii – uściślenie, przynajmniej dla potrzeb niniejszego szkicu, owej kategorii.

Cóż zatem rozumiem przez „emigrację wewnętrzną”?

Otóż jest to decyzja uczestnictwa w izolowanym od całości życia kulturalnego kręgu – czy raczej nurcie – literatury niezależnej. Wygodniej tu zreszrą będzie posłużyć się innym sposobem podziału: na literaturę małego zasięgu i literaturę zasięgu pełnego. Pierwsza dociera do licznie niewielkiej grupy odbiorców, jest też izolowana od możliwości zderzenia się – w recenzjach czy omówieniach krytycznych – z literaturą pełnego zasięgu. Obsługuje ją stosunkowo niewielka grupa krytyków literackich. Ponadto widoczne są tu tendencje do autoizolacji wynikające ze szczególnych funkcji pism tę literaturę obsługujących. Również – i to też jest istotne – zakres penetracji świata przez ową literaturę jest tu w dużej mierze zdeterminowany przez funkcje pisma: dąży się tu do prezentacji utworów, które stanowią opis tabu wyznaczonych przez cenzurę państwową. Stąd też ów „problem Buczkowskiego”, o którym mówił w czasie wspomnianego zebrania Barańczak.

Trzeba sobie zdać sprawę z faktu, iż pisma nieoficjalne nie są w zasadzie zainteresowane publikowaniem każdego typu literatury, byle dobrej. Pociąga to określone konsekwencje: oto autor, skazany na oficjalne nieistnienie, znów część swojej twórczości musi przeznaczyć do szuflady. To zrozumiałe: selekcja utworów w prasie nieoficjalnej posiada swoją specyfikę (m.in. określoną przez możliwości techniczne) i sam bym się zdziwił (byłoby to zdziwienie radosne), gdyby pisma te zaczęły masowo publikować utwory „niecenzuralne”. Choć i ta sprawa, myślę, nie jest przesądzona: może bowiem zaistnieć i taka sytuacja – przynajmniej teoretycznie jest to możliwe – iż pisarz dotąd nie szykanowany i „cenzuralny” zdecyduje się na zmanifestowanie swojej solidarności z grupą „wykle-tych” kolegów. W takim wypadku, rzecz jasna, pismo powinno udzielić temu pisarzowi swych łamów. Ale jest to rzeczywiście możliwość czysto teoretyczna.

5.

Decyzja życia i pracy w izolacji nie jest decyzją łatwą, zwłaszcza w zawodzie pisarza, który to zawód, podobnie jak zawód aktora, wymaga szerszej publiczności. Ograniczenie ilości czytelników, skazanie się na mały obieg, niemożność otwartej konfrontacji z innymi twórcami literatury, oderwanie się od sądów większości krytyki – wszystko to wymaga zachowania żelaznej dyscypliny wewnętrznej. Tym bardziej, że tutaj, jak w każdym mniej lub więcej izolowanym kręgu, istnieje tendencja do idealizowania pracy, do przeceniania wagi tego, co i jak się pisze. Powstaje zamknięty układ, w którym współuczestnicy takiego ruchu wzajemnie oceniają swe utwory – układ ten coraz mniej liczy się z głosami zewnętrznymi. Jest to zjawisko nieuniknione – takie tendencje muszą prędzej czy później dojść do głosu. Inną tendencją – dość, myślę, groźną – jest autoizolacja grupy, niedostrzeganie tego, co się dzieje na zewnątrz, w naj-

lepszym wypadku ograniczanie się do wypadów polemicznych (tak, jak w wypadku polemik Bocheńskiego i Barańczaka ze Szczepańskim i Bratnym). Dla przykładu: w ciągu ostatniego roku ukazały się dwie bez wątpienia wybitne książki poetyckie – „Mapa pogody” Iwaszkiewicza oraz „Zdarzenia” Ważyka. Obie prasa nieoficjalne pominęła milczeniem. Dominacja tej tendencji stanowi poważne niebezpieczeństwo: ogranicza się kulturowy kontekst własnej działalności.

Wszelako – i z tego też trzeba sobie zdać sprawę – pojawiają się książki, których swobodne omówienie na łamach *Zapisu* czy *Pulsu* mogłoby zaszkodzić ich autorom, stać się formą donosu. Swobodne rozszyfrowywanie języka ezopowego może spowodować uwrażliwienie cenzury na następne książki danego autora: tu recenzent ma w prasie niezależnej dość trudny wybór – dostosowanie się do obowiązujących w kulturze oficjalnej reguł gry i napisanie pseudorecenzji lub złamanie milczącej umowy między autorem a czytelnikami, czyli otwarcie kodu. Nie jest to problem błahy.

Kolejna sprawa dotyczy przejęcia metod „centralizmu demokratycznego”, a więc nieujawnianie wewnętrznych polemik i różnic stanowisk uczestników ruchu, zaniżanie kryteriów lub wręcz unikanie jednoznacznych ocen twórczości pisarzy „wyklętych”, zwłaszcza, gdy ma się do czynienia z utworami słabszymi. I znów przykład: numer pierwszy *Pulsu* był bardzo nisko notowany wśród wielu jego czytelników, w tym również przez pisarzy działających niezależnie – opinie te nie zostały dotychczas opublikowane. Sprawa ta niby bez większego znaczenia, ale tylko „niby”, ma ona bowiem znaczenie pierwszorzędne.

Jak z tego wszystkiego widać, niezależny ruch literacki powinien, by bronić się przed wewnętrznymi zagrożeniami, dobić się dyscypliny, jaka w oficjalnym życiu literackim wydaje się zbędna. Myślę, iż czas już o owych wewnętrznych zagrożeniach otwarcie pomówić. Po to choćby, by nie powtarzać stanowiska chrześcijan z wiersza Kawafisa „Nie zrozumiałeś”:

Na temat naszych przekonań religijnych
głupi Julian powiedział: „Przeczytałem, zrozumiałem,
potępiłem”. Pewnie myślał, że nas unicestwił
tym swoim „potępiłem”. Cóż za błąd!

My, chrześcijanie, nie ulegamy takim konceptom.

Od razu odpowiedzieliśmy: „Przeczytałeś, ale nie zrozumiałeś.
Gdybyś zrozumiał, nie mógłbyś potępić”.

Pisarz niezależny musi zająć taką postawę jak Kawafis – znaleźć dystans zarówno wobec Juliana, jak wobec chrześcijan. To jest to minimum, o które musi walczyć literatura nie tylko z zagrożeniem zewnętrznym, lecz i ze sobą.

LESZEK SZARUGA

Wiersze Konstantinosa Kawafisa w przekładzie Zygmunta Kubiaka.

STANISŁAW BARAŃCZAK

WALKA W CIEMNOŚCI

Julian Strykowski: *Przybysz z Narbony*. „Czytelnik”, Warszawa 1978, str.396.
Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich.

W małym miasteczku zjawia się przybysz z północy, młody mężczyzna na dorodnym koniu. Przybywa niby to w prywatnych sprawach, ale wszyscy mieszkańcy czują, że ten przyjazd może coś zmienić w ich życiu. Miasteczko, zagrożone przez prześladowców, stoi na skraju zagłady i nie potrafi oprzeć się jej własnymi siłami. W obrębie jego społeczności zachowały się jeszcze dawne więzy i hierarchie, ale solidarność mieszkańców z dnia na dzień słabnie, coraz częstsze są wzajemne podejrzania, wypadki zdrady, dezercji, przejścia na stronę wroga. W tej sytuacji postać nieznanego przybysza staje się symbolem nadziei: może to on dokona czynu, na który wszyscy czekają, przywróci ufność i wiarę, sprawi, że można będzie znowu żyć bez lęku i niepewności.

Tak mógłby się zaczynać westem, albo romantyczno-awanturnicza powieść „płaszczka i szpady”. Bohater mógłby być jeszcze jednym wcieleniem rycerza — obrońcy uciśnionych lub szlachetnego szeryfa. Tak się co prawda nie staje, dalszy ciąg powieści rozwija się właśnie w całkowitej niezgodzie z takimi popularnymi wzorcami. Mimo to trudno oprzeć się początkowym analogiom. Zwłaszcza, że najnowsza powieść Juliana Strykowskiego z całej jego, i tak przecież atrakcyjnej dla czytelnika twórczości, najbardziej załuguje na miano „czytadła” — w najlepszym sensie tego słowa, oczywiście. Nie wiem, czy tygodnik *Przekrój* w swoim wykazie nowości książkowych opatrzył tę pozycję zachęcającą adnotacją: „Czyta się”, ale z pewnością miałby prawo tak zrobić. Bo istotnie: ta powieść daje się czytać z zapartym tchem i z płonącymi uszami. Przede wszystkim — ileż tu się dzieje! Dynamiczna, wręcz sensacyjna akcja, pełna zaskakują-

cych i dramatycznych zwrotów, rzucona przy tym na tło egzotyczne w swoim kulturowym, geograficznym i historycznym oddaleniu, a odmalowana z porywającą plastyką szczegółu. Ostro zarysowane sylwetki bohaterów, opanowanych przez gwałtowne namiętności i targanych sprzecznymi dążeniami. I wreszcie wśród nich – pozytywny bohater. Już to, samo w sobie, jest czymś niecodziennym. Ile dałoby się wymienić współczesnych powieści, w których występuje pozytywny bohater, a które nie są przy tym – i w skutek tego – nudne, jałowe i załgane?

Ale rzecz w tym, że nie jest to westem. Świat tej powieści jest gruntownie odmienny od świata populamej, „czytadłowej” literatury. Nie chodzi mi w tej chwili nawet o fakt, że jego kulturowa i historyczna lokalizacja jest ostentacyjnie niedzisiejsza, że „Przybysz z Narbony” to powieść z czasów hiszpańskiej inkwizycji, traktująca o prześladowaniu społeczności żydowskiej w jednym z miast królestwa Kastylii. Mam na myśli raczej to, że świat powieści Strykowskiego jest tak daleki od czarno-białego świata westemu, jak pogmatwana ludzka rzeczywistość odległa jest od uproszczonych podziałów bajki, przypowieści czy moralitetu. Nie ma tu wyraźnej, czystej granicy pomiędzy białym a czarnym, dobrem a złem. Nie ma dydaktycznego moralizowania i podsuwania gotowych wzorów. Jest to mnożenie pytań i wątpliwości. Główny bohater, Eli, przybywa z dalekiej, spokojnej Narbony, aby rzeczywiście – westernowym wzorem – zaprowadzić porządek: chce przebudzić serca swoich rodaków, wlać w nie męstwo i ducha oporu, wyrwać ich ze stanu destrukcyjnej bierności. Z pozoru moment jest po temu najbardziej odpowiedni: zagrożenie gwałtownie wzrosło, z Toledo przybył właśnie mianowany przez samą królową Izabelę inkwizytor, trwa oblawa na „Żydów ukrytych”, chrześcijanie szykują się do *autodafe*. Ale w żydowskim *barrio* Eli zastaje inną sytuację, niż się spodziewał. Już wkrótce, zgnębiony, napisze do ojca: „W Narbonie wszystko jest proste i jasne. Zło jest złem, a dobro dobrem. Ale w zetknięciu się z cierpieniem zło i dobro mieszają się, wirują”.

Zagrożona społeczność nie jest bowiem jednolita: ci, którzy cierpią, nie są w swoim cierpieniu solidami. Wszyscy pragną ocalać, ale każdy ma na to inną receptę. Rozpiętość postaw sięga od woli zbiorowego i zbrojnego oporu do indywidualnych prób przystosowania się, a nawet zdrady. Poza obrębem *barrio* są nowochrześcijanie, którzy przyjęli nową wiarę, aby przeżyć, niektórzy z nich jednak z narażeniem życia praktykują w ukryciu starotestamentowy obrządek. W samym *barrio* są zapalczywi radykałowie i ostrożni zwolennicy zasady „lepszy żywy lis niż martwy lew”. Są również tacy, których, jak rabina Don Baltazara, zmuszono do wyboru między dobrem kogoś bliskiego a dobrem całej społeczności: tragicznego wyboru, w którym każda z obu możliwych decyzji jest zła. Ale są jeszcze stale obecne możliwości ucieczki – podsuwa je Don Jakub Isserlein, który zrobił karierę na dworze sułtana, w Turcji, chętnie przyjmującej żydowskich wygnańców i emigrantów. Cała ta splełana rzeczywistość ludzkich postaw i wyborów rządzona jest z jednej strony przez wspólne

dla wszystkich nakazy wiary i tradycji, z drugiej – przez przemożne pragnienie przeżycia, pętającą rękę odpowiedzialność, mielizny zdrowego rozsądku, wzajemne podejrzania, a przede wszystkim strach. Terror i zbiorowa odpowiedzialność, stosowane przez prześladowców, potrafią rozbić najbardziej spoiste struktury społeczne. Ich resztki przetrwały wprawdzie w murach *barria*, którego mieszkańcy pieczołowicie kultywują rodzinne, religijne i społeczne tradycje. Ale podtrzymywanie tradycyjnych hierarchii może okazać się dwuznaczne. Świadczy o tym scena w szkole, gdzie nauczyciel wpaja uczniom zasadę: „Idzie o to, żeby nasz naród nie rozsypał się wśród narodów. A co rozbija jedność? Podrywanie ufności w tych, co nam przewodzą”. Dwuznaczna może się w takich warunkach okazać również religia, która wprawdzie daje wiarę pozwalającą przetrwać, jednocześnie wskaże przez zsyłanie się na niezbadane wyroki Boże odbiera jednostce prawo do własnej woli i świadomego czynu. Na ten właśnie temat dyskutuje Eli z rabinem wkrótce po przybyciu do *barria*:

– Widzisz, nie ma prostej drogi, jak nie ma prostej mądrości.

– Rabbi mi wybaczy, że poproszę o wytłumaczenie tego zdania.

– Nie ma nic, co by było całkiem czyste.

– A wiara? (...) O ile dobrze rozumiem, nieograniczona wszechwiedza Boga ogranicza wolę ludzką, aż przestaje ona istnieć. Ale czyż wola nie została stworzona przez Boga, który dał wszystkim istnienie? (...) Wciąż mnie męczy pytanie: jaka rola przypada człowiekowi? W którą stronę ma się odwrócić twarzą?

– Zapytaj serca. Ono ci odpowie. Wiara będzie ci drogowskazem. A wiarę tłumacz sercem. Daremny trud rozsądkiem uzasadniać wiarę (...)

– A co ma człowiek czynić w powszednie dni? (...)

– Doskonalić duszę (...). Tylko tak przetrwamy. Inaczej zginiemy.

Przekonanie rabina „nie ma nic, co by było całkiem czyste” skazuje go na bierność. Eli, właśnie dlatego, że pragnie czystości, dąży do czynu: chce dokonać czegoś, co wyrwie jego naród z zabójczej śpiączki, co pozwoli mu przetrwać naprawdę. Pierwszy czyn Elego jest instynktowny, ale moralnie czysty i niewątpliwy, choć może wydawać się postępkem szaleńcym: to ów okrzyk: „Pokój z tobą Żydzie”, którego na pełnym rozfanatyzowanego tłumu Placu Płomieni przynosi ulgę konającemu na stosie Miquelowi. Drugi czyn, w przeciwieństwie do pierwszego, jest starannie przemyślany i przygotowany: zaszytowanie inkwizytora może istotnie stać się symbolicznym aktem poświęcenia, który poderwie do zbrojnego oporu żydowską społeczność i da legendamy przykład przyszłym pokoleniom. Ale ten z kolei czyn, gdy dochodzi do jego realizacji, okazuje się moralnie niejednoznaczny: zamiast inkwizytora ginie Alonso, przechrzta i zdrajca, lecz człowiek będący jedynie narzędziem w rękach właściwych prześladowców, człowiek, który nawet w chwili zdrady jest raczej po stronie doświadczających cierpień niż zadającym cierpienia. Eli umiera wiedząc, że mieszkańcy *barria*, porwani jego przykładem, przygotowują się do stawienia oporu. Jego ofiara nie poszła na marne. Ale dalsze wydarzenia zasnuwa mrok.

Nie ma tu odpowiedzi – są mnożące się pytania. Nie ma racji jedynej – są starcia racji różnych, z których każda jest w jakimś sposób uzasadniona. O tym antywestemowym, anty-moralitetowym charakterze powieści Strykowskiego warto pamiętać, gdy próbuje się odczytywać w niej analogie do współczesności. Podobnie jak niegdyś „Ciemności kryją ziemię” Andrzejewskiego, „Przybysz z Narbony” do takich odczytań wręcz prowokuje – poza wszystkim innym, na taką intencję autora jednoznacznie wskazuje dedykacja książki („Powstańcom Getta Warszawskiego poświęcam”). Oczywiście nie sposób sprowadzić całego świata tej powieści do kostiumu historycznego, w który przebrane byłyby nasze, dwudziestowieczne problemy. Zbyt wielki jest tu udział konkretnych, historycznych i kulturowych czynników determinujących zachowania bohaterów: starotestamentowa koncepcja Boga, patriarchalne struktury rodzinne i społeczne, sytuacja polityczna i narodowościowa ówczesnej Hiszpanii, wszystko to nie stanowi w powieści zespołu barwnych ornamentów, lecz wywiera istotny wpływ na motywację i rozwój fabuły. Z drugiej strony jednak, rzeczywistość terroru i strachu ma chyba zawsze i wszędzie swoje uniwersalne prawa – przynajmniej dopóki człowiek jest człowiekiem, istotą zarazem słabą i heroiczną, egoistyczną i solidarną, popychaną przez ślepe instynkty i obdarzoną wolną wolą. System terroru wprowadzony przez Inkwizycję z tego punktu widzenia nie różni się jakościowo do systemów terroru wcielanych w życie przez dwudziestowieczne ustroje totalitarne: bazuje bowiem na tych samych właściwościach natury ludzkiej. I na tych samych właściwościach ludzkiej natury opiera się dawniej i dziś bunt przeciwko terrorowi. Zarazem zaś w punkcie styku tych przeciwstawnych właściwości rodzą się wciąż te same pytania. Jakie są granice ludzkiej odporności wobec strachu i cierpienia? Gdzie kończy się konieczność walki o przetrwanie, a zaczyna podłość? Gdzie przebiega granica między szlachetną wiarą a zbrodniczym fanatyzmem? Czy wolno narażać ogół w imię dobra ogółu? Czy lepsze samooszustwo, które podtrzymuje zagrożoną wspólnotę, czy prawda, która skłóca ją od wewnątrz? Jak sprawić, aby opór wobec terroru i nienawiści sam nie przerodził się w terror i nienawiść? Czy wolno być bohaterem w zastraszonym społeczeństwie, które lęka się bohaterów, nawet, gdy walczą o jego ocalenie?

„Wbrew wszelkim złudnym pociechom” – pisała niegdyś Anna Morawska w książce „Chrześcijanin w Trzeciej Rzeszy” – „i wbrew tęsknotom za restauracją ustabilizowanych sytuacji społecznych i kodeksów postępowania, świat jest w ruchu nieodwracalnie, walka dobra i zła toczy się w nim w olbrzymiej mierze w ciemności, i 'miejsc bezpiecznych', tak jak 'czystych rąk', po prostu nie ma”. Powieść Strykowskiego, tak wciągająca w lekturę, że może się wręcz wydawać doskonałą powieścią popularną, nie oferuje czytelnikowi popularnych rozwiązań. Nie podsuwa przystępnych i jednoznacznych recept etycznych. Jedno tylko jest pewne (i dedykacja powieści dobitnie to potwierdza): jakikolwiek byłby wynik tej walki w ciemnościach, jaka toczy się między dobrem a złem, wzięcie w niej udziału stanowi o naszym człowieczeństwie. Jest naszym ludzkim obowiązkiem.

STANISŁAW BARAŃCZAK

DWUGŁOS O NIERZECZYWISTOŚCI KAZIMIERZA BRANDYSA

n.d.

NIEDORZECZYWISTOŚĆ

Kiedy umierał Stalin, leżałem w pieluchach, Październik mnie zastał w przedszkolu, Marzec przeżyłem jako licealista. Należę więc do pokolenia, które zna lata 1945-56 wyłącznie z lektur i opowieści i jako taki nie rozumiem ich, podobnie jak nie rozumie córka narratora „Nierzeczywistości” Kazimierza Brandysa, choć jest ode mnie o ładnych parę lat starsza. Nie rozumiem zwłaszcza przyczyn, dla których tylu inteligentów polskich nawiązało po wojnie romans z ekipą rządzącą, czyli by użyć gazeciarskiego zwrotu – „opowiedziało się za nową rzeczywistością”. Niegdyś potępiłem ich w prostocie ducha, później, z wiekiem, przyszło opamiętanie, ale problem pozostał. Skomplikował go jeszcze rok 1968 i następne, bo jeżeli dzisiaj są oni tacy, to jak mogli wtedy? I oto nagle ze wszystkich stron slysze: – Chcesz zrozumieć dlaczego, przeczytaj „Nierzeczywistość”.

Przeczytałem i nie rozumiałem. Ktoś, z kim dzieliłem się wrażeniami z tej lektury, powiedział mi, że nic w tym dziwnego, bo wbrew memu namięnaniu powieść Brandysa nie jest bynajmniej rachunkiem sumienia jego generacji. Sądę, że nie miał racji. „Nierzeczywistość” nie jest spowiedzią – zgoda – bo spowiedź zakłada skrucę, czyli przyznanie się do winy, a sentymentu tego próżno by szukać na jej stronach. Jest ona natomiast próbą wytłumaczenia tym wszystkim, którzy owych lat nie odczuli na własnej skórze, jakim to sposobem zaprzedało się wówczas duszę diabłu.

Zarówno nadawca powieści, jak i jej adresat są określani równie precy-

zynie. Narrator „Niereczywistości” występuje w imieniu tych wszystkich, „których łączyło – niezależnie do różnych przekonań i orientacji – elementarne pojęcie godności czy odpowiedzialności. Albo po prostu konsekwencja w wyznawanych poglądach. Może inaczej: takich, którzy zachowali powagę wobec spraw poważnych, to jest w stosunku do siebie, do społeczeństwa, do świata” (s.56). W imieniu wszystkich, oprócz „pospolitych i tępych okrutników, którzy nienawidzą wszystkiego, co jest wahaniem, skrupulem, niepewnością” (s.55). Mowa tu więc o wszystkich ludziach mądrych i porządnym, nie zaślepionych fanatyzmem (ani młodością, narrator urodził się w roku 1913 lub 1914), o uczciwych inteligentach, których uformował okres międzywojenny i wojna, a więc w roku 1945 w pełni dojrzałych intelektualnie i moralnie (co automatycznie eliminuje pryszczatych).

Tyle nadawca. Co do adresata, jest nim oficjalnie rówieśnik narratora, jak on wychowanek warszawskiego gimnazjum, ale od czasów wojny mieszkający w Ameryce. W rzeczywistości bohater Brandysa zwraca się do wszystkich, którzy mówią tym samym co on językiem, choć jak on nie muszą wertować encyklopedii i podręczników, by dowiedzieć się, co to takiego Sejm Czteroletni czy „Wesele”, nie przeżyli tych lat w Polsce jako osoby dojrzałe i pytają: – Dlaczego? Amerykański socjolog jest uprzejmy wobec swego rówieśnika, mówi więc, że owe lata „w Polsce stanowią dla niego lukę, że brak mu psychologicznych uzasadnień dla wielu ówczesnych ludzkich sytuacji” (s.61); młodsza od niego o połowę, trzydziestoletnia pani geolog nie oszczędza własnego ojca i krzyczy: – jak mogłeś?! A więc narrator tłumaczy jemu, jej, tym wszystkim, którym nie dane było przeżyć świadomie lat, które jeszcze niedawno nawet oficjalnie nosiły miano okresu błędów i wypaczeń.

Bohater „Niereczywistości” przemawia w imieniu całej rzeszy, co nie znaczy, iż jest pozbawiony rysów indywidualnych. Wśród nich bodaj najciekawszy jest wybitnie nieortodoksyjny sposób opieki, jaką roztacza nad nim Anioł Stróż, a która objawia się w waleniu go po głowie. Psychikę narratora kształtują uderzenia w czaszkę lub pobliskie rejony. Pierwszy uczynił go zdolnym do normalnego myślenia, to znaczy wykierował go na lewicowca, drugi pozwolił mu okiełznać chucie cielesne. W jednym przypadku duch opiekuńczy posłużył się laską oenerowca, w drugim koniem, korzeniem i zapewne ograniczonymi umiejętnościami jeździeckimi podopiecznego. Trzeci cios podzielił narrator, jak dotąd szczególnie wyróżniony obiekt nadprzyrodzonej interwencji, z całym pokoleniem. Siła wyższa przybrała bowiem postać Wiatru Historii, który porwał go wraz z resztą narodu, zawirował jak liściem i cisnął o ruiny Warszawy roku czterdziestego piątego, wśród których huczało już o nowym porządku rzeczy i upadku starego. Choć różne były skutki tego uderzenia, jego wstrząs odczuli wszyscy, w których imieniu występuje narrator. „Oni, Polska, świat, wszystko było zachwiane, wstrząśnięte” (s.56), nikt nie był całkowicie pewien swoich racji. „W tych dniach widywałem znajomych mi ludzi pełnych rozpacz i innych przejętych entuzjazmem, ale w jednych i drugich

czułem jakąś szczelinę. W ich rozpaczy tkwił głęboko ukryty lęk o słuszność własnych przekonań, a w entuzjazmie zrywanie z siebie ostatnich krępujących więzów” (s.54). Szczelina szczeliną, ale rozpacz i entuzjazm to stany diametralnie przeciwne. Łączy je tylko ich intensywność. Jak mogło dojść do tego rozdwojenia inteligencji polskiej, dlaczego jej przedstawiciele stanęli „po każdej stronie rowu – a była w nim już krew” (s.57). Według narratora, przyczyna „nie wynikała z różnic w poziomach etycznych i intelektualnych. Gdyby uczciwi i mądrzy szli w jedną stronę, a głupi i źli w przeciwną, wszystko byłoby proste. A nie było proste” (s.55).

Na następnej stronie czytelnik dowiaduje się, że jednak było proste. „W znacznym stopniu decydował o tym duchowy środek ciężkości, punkt jego umieszczenia. Nowy stan rzeczy przyjmowali na ogół ludzie związani z tradycjami lewicy... Odrzucali go przede wszystkim ludzie uformowani przez drugą, równoległą nurt tradycji” (s.56). Wprawdzie bohater zaznacza, że podział to gruby, powierzchowny, ale nie to jest istotne. Ważne, że wojna i lata bezpośrednio po niej były dla myślących Polaków tak wielkim szokiem, że po obu stronach barykady stawali nieświadomie, a przynajmniej nie w pełni świadomie, w zamroczeniu. Jednych ciągnęła na lewo reforma rolna, innych na prawo likwidacja akowskiego podziemia, czy zgoła fakt posiadania sklepiku, ale wszyscy byli w jakiejś mierze niepoczytani, decydowała za nich Historia. I tu znajdują pierwsze postanie Brandysa do potomnych: – Nie wińcie nas, którzy w swej nieświadomości zawarliśmy pakt z szatanem, bo ci, którzy opowiedzieli się za aniołem, również zrobili to nieświadomie.

Zupełnie mnie to nie przekonuje. Znam zbyt wielu ludzi, którzy twierdzą, że owszem, przeżyli w tych czasach szok, była nim jednak wyłącznie świadomość zdrady jałtańskiej i uprzytomnienie faktu, iż w walce z piekłem liczyć mogą znowu tylko na siebie samych. Najbardziej nieprzejednani uszli do lasu lub za granicę, inni zacisnęli zęby i zabrali się za czynność od pokoleń praktykowaną przez Polaków, za przetrwanie. Mniemają przy tym, że byli wówczas w pełni świadomi siebie, Polski i świata, a ja nie widzę powodu, by im nie wierzyć. Czy więc przedstawionego w „Nierzeczywistości” stanu ducha polskiej inteligencji nie należałoby nieco zmodyfikować? Czy nie było tak, że część w rzeczywistości uległa zamroczeniu, część jednak pozostała przy zdrowych zmysłach?

Ciężko odpokutował narrator ów trzeci cios w głowę. Poprzednie kosztowały go niewiele, ot, wstrząs mózgu i lekkie skrzywienie kręgu, ten natomiast przysparzał go o ponad dziesięcioletnią schizofrenię, czyli według jego własnego określenia, „sprzeczną podwójność”. Choć wyjaśnienie na czym polegała, nastęrcza narratorowi pewne trudności, „sedno jest proste. Tkwi ono w tym, co nazwałem cesją, odstąpieniem od siebie. Bo z chwilą, gdy sam przestaję być swoją wewnętrzną koniecznością, z tą chwilą pomniejszam rzeczywistość o siebie, o moją wolę” (s. 69) Rekonstruując wstecz swe ówczesne zapatrywania, wspomina bohater o przekonaniu, że Historia miała rację, o Dobrej Nowinie Marksa i Lenina, która weszła w puste miejsce po „inteligentkich złudzeniach”

i „mieszkańskiej moralności”, nawet o wierze w człowieczeństwo, która każe nam racjonalizować, czyli usprawiedliwiać straszne nieszczęście lub krzyczącą niesprawiedliwość. „Dostrzegałem wokół przymus, strach i szarzyznę, a jednocześnie sumowałem argumenty przeciw sobie, przeciw mojej samotności i udręce. Tak jakbym wyrywał się komfortu na rzecz zbiorowego opodatkowania” (s. 61). Sprzeczna podwójność Brandysa nie jest synonimem podwójnego myślenia Orwella, ale służy temu samemu: by patrzący nie widział, a słuchający nie słyszał. Tylko że członkowie Partii Wewnętrznej w „Roku 1984” nie przejmują się „mieszkańską moralnością”. Natomiast bohater „Niereczywistości” nie chce uchodzić za tchórze lub cynika, podaje się więc za schizofrenika, który w trakcie przesłuchania tłumaczy sobie, że jest oskarżony niesłusznie, ale w inną słuszną sprawę, i który żegnając się z nadzieją, czuje zarazem, że staje się coś uzasadnionego.

Ten rodzaj stosowanego heglizmu nie jest niczym nowym: w XVII wieku niejeden myślący człowiek, choć przekonany o bezpodstawności oskarżeń o czary, które znał z własnego doświadczenia, odrzucał od siebie myśl, że czarownice nie mają w ogóle, nie mając odwagi stawić czoła kosztownej konkluzji, że setki tysięcy płonących stosów były wyłącznie rezultatem ludzkiej głupoty i nieczemności. Pomędzy siedemnastą a dwudziestowieczną kapitulacją rozumu istnieje wszakże zasadnicza różnica. W dwudziestym wieku przynosiła ona korzyści materialne, socjalne, nawet duchowe, choćby w sensie mniejszej obawy o byt własny i bliskich. W jednym miejscu potwierdza to sam narrator „Niereczywistości”. „Zdaje się, że moment akcesu jest podświadomym paktem z koniecznością: jeśli i tak jest nieuchronna, lepiej się z nią sprzymierzyć”. Po to, żeby uczestniczyć w jej spełnieniu, a również po to, żeby swoim udziałem ją przejednać. Żeby stąpić jej ostrze, żeby śięćla mniej głów. Więc nie tylko żeby ocalić własną” (s.68). Mimo najlepszych chęci nie widzę w tych słowach nic poza tchórzostwem, czy może wygodnictwem zaprawionym szczyptą wallenrodyzmu. A podświadomość „paktu z koniecznością” wygląda mi na świadome zagłuszanie głosu sumienia. Jak zresztą długo może trwać zaburzenie wywołane uderzeniem w głowę? Miesiąc? Rok? Dwieście lat? Wyjaśnienie narratora jest tyleż precyzyjne, co kompromitujące dla tych, w których imieniu przemawia: człowiek, który nabawił się rozdwójenia osobowości w następstwie uderzenia Historią w głowę, „potępia konieczność w momencie jej osłabienia, konieczność popusztą i skompromitowaną – naprawia Historię dopiero wtedy, gdy ona poprawia sama siebie” (s.69-70). Zawarcie układu jest aktem jednorazowym i może być wynikiem impulsu, ale dotrzymywanie go aż do momentu, gdy staraniem innych stracił ważność, jest dowodem jego świadomej akceptacji. Wierzę, że wcześniej niełatwo było zerwać ów pakt z koniecznością, możliwe, że jedynym po temu sposobem było rozwiązanie Borowskiego, które trudno wszak aprobować, ale dlaczego narrator nie nazwie rzeczy po imieniu i nie przyzna, że jego „sprzeczna podwójność” była zwyczajnym przyzwoleniem, nie tyle może nawet na stan rzeczy, co na własny w nim

udział. I czy przypadkiem głównym jej motywem nie był strach przed wystawieniem się na zemstę bezitosałej władzy?

Naczelną atoli przyczyną, dla której nie przekonuje mnie tłumaczenie ówczesnych postaw schizofrenią, jest fakt, że Autor „Nierzeczywistości” sam w nie nie wierzy. Jego bohater bowiem, ów przedwojenny lewicowy intelektualista, który po wojnie czynnie zaakceptował nowy porządek, tym różni się od swych kolegów, że nigdy nie wstąpił do partii. Chwył to poniżej pasa, godny Żukrowskiego i jego zakłamanych „Kamiennych tablic”. Narrator a jednej strony niby przeżywa wspólnie z innymi chorobę psychiczną lat 1945-56, na jawie obwozi go przez jakiś czas służbowym autem kierowca-ubek, a jednocześnie o nierzeczywistości tamtych czasów opowiada z boku, jako widz. To nie on wyczuwał kapitulację przed Historią, tylko jego przyjaciele, którzy około roku 1950 wstąpili do partii, to nie on przystępował do idei z milczącym zastrzeżeniem „przyjmuję wszystko prócz metod”, by w Październiku rozkrzyżczed się na te właśnie metody. On przeciwnie, wtedy właśnie złożył wniosek o przyjęcie do partii, by podkreślić swą niezależność i odrębność wobec pozostałych, którzy w tym momencie gromili błędy i wypaczenia. Będąc w zasadzie jednym z nich, był w tych latach jednocześnie kimś innym i, co tu ukrywać, lepszym.

A na co to wszystko Brandysowi? Bo chce, żeby go czytelnicy lubili. Witkacy pisał, że „habranie się w autorze *a propos* jego utworu jest niedyskretnie, niestosowne, niedzenteimatskie”. Ale Autor wie, że proces to nieunikniony. Odwraca więc kota egonem, w najściślejszym tego słowa znaczeniu. Rozterki lat czterdziestych i pięćdziesiątych dotyczą narratora „Nierzeczywistości” tylko w minimalnym stopniu. Udział w grzechu kolektywnym brał w ostatecznym rozrachunku wszyscy z wyjątkiem ich rzeczynika. I tak tu nie czuć sympatii do bohatera, który mimo tortur duchowych nie skapitulował ostatecznie przed Historią, a teraz tak przejmująco o tym opowiada? A czując sympatię do bohatera, jak nie okazać jej również jego twórcy? Nie przeczę, że życiorys przedstawiony w powieści Brandysa może odpowiadać czyjejs biografi, ale dlaczego jego bohater ogranicza analizę poglądów i postaw całej warstwy, z którą czuje się związany, do tych właśnie lat? Dlaczego, skoro przedtem i potem ogranicza swą narrację do przeżyć własnych, ewentualnie swych najbliższych, ojca, córki. Bo i chciałby, i boi się. Chce się jakos wytłumaczyć, ale czuje jednocześnie, że jego argumenty nie są żadną obroną, udaje więc w końcu, że wszystko to jego samego w gruncie rzeczy nie dotyczy.

Moją niewiarę w wyjaśnienia zaproponowane w „Nierzeczywistości” pogłębia inna niekonsekwencja Autora, ściśle związana z poprzednią. Jeżeli bowiem jego bohater nie wstąpił do partii (ani do PAX-u, ani do Księży Patriotów), jeżeli tym samym nie zgłosił akcesu, to o co właściwie kłócił się ustawicznie ze swą nie wiedzącą i nie rozumiejącą córką? Przecież nie zrobił nikomu nic złego, a czy to jego wina, że przez wiele lat nie mógł ze sobą dojść do ładu? Otóż kłócił się o to, że milczał. Oskarżenie absurdalne, bo dlaczego miałby wołać? I co? Zawsze

tłumaczono mi, że w tamtych latach sama odmowa wstąpienia do partii była krzykiem. Pytanie-zarzut Mewy: -- „Jak mogłeś wtedy milczeć?” (s.57) -- byłoby na miejscu tylko pod adresem tych pozostałych, tych, którzy się zapisali. A tymczasem to narrator na dziesięciu stronach tłumaczy się przed córką i jej pokoleniem ze swego milczenia. Biedny Brandys. Na moment zapomniał o mistyfikacji i potraktował swego bohatera, jak na to zasłużył.

Wytłumaczenie powstania „Nierzeczywistości” znajduję w następujących słowach Autora: „Buduje się dziś wstecz rekonstrukcje poglądów i sposobów postępowania, w obiegu są liczne interpretacje takich czy innych form aktywności lub nieobecności w tamtym okresie. Niemał wszystkie są uproszczone. Prawdy właściwie nikt nie zna. A interpretacje nadal tworzą podziały, mimo że od tej pory minęło ćwierć wieku i prawdziwe podziały od dawna już przebiegają inaczej” (s.62). Powieść Brandysa uważam za przyczynek, za próbę na drodze ku likwidacji owych podziałów, które nie ominęły nawet mojego pokolenia. Niestety, moim zdaniem jest to próba chybiona.

n.d.

TOMASZ BUREK

A TO POLSKA WŁAŚNIE

„Nierzeczywistość” w jej kształcie pierwotnym – to znaczy w postaci obszernego maszynopisu, z jakim dane mi było zaznajomić się wczesniej jesienią 1975 roku – zdawała się być propozycją pod względem formalno-edytorskim niezwykłą i raczej niespotykaną w literaturze. W intencji autora bowiem wspólna okładka projektowanej książki oraz jeden i ten sam tytuł widniejący na niej – miały połączyć dwa niepodobne do siebie i wręcz rozbiegające się teksty. Niepodobne z punktu widzenia ogólnych założeń estetycznych, przynależności gatunkowej, rodzaju prozy, zastosowanej techniki literackiej i form przekazu. Niepodobne w jakościowym nacechowaniu i wyróżnikach stylu, w tempie i metodzie narracji, a także w samej konstrukcji narratora. Rozbiegające się zaś ponadto w adresie czytelniczym, ponieważ skierowane jak gdyby do dwóch biegunowo odmiennych typów odbiorcy. Toteż kończąc lekturę maszynopisu „Nierzeczywistości” można było w pierwszym odruchu myśleć nie tyle o dwóch częściach jednej powieści, ile o dwóch różnych powieściach sztucznie połączonych w jedną książkę.

A jednak nie było to zespolenie z przypadku, nie było to sąsiedztwo zrządzone przez kaprys czy arbitralną decyzję autora. Przy wszystkich strukturalnych różnicach, sięgających w artystyczną organizację tych dwu niepodobnych do siebie tekstów, które wszakże nosiły identyczny tytuł: „Nierzeczywistość”, przy całym ich rozbieżnym nastawieniu intelektualnym, językowym etc., coś je przecież ze sobą wzajemnie wiązało, nawet paradoksalnie upodabniało i wcale nieprzypadkowo kazało następować po sobie. Za owym złączeniem i wspólnym tytułem przemawiała konieczność wyższego rzędu, racja merytoryczna.

Otóż usiłując zestawić pewną całość – nazwijmy ją tradycyjnie *d z i e ł e m* lub utworem literackim – z niezupełnie przylegających do siebie

czy też zgoda nie pasujących formalnie i nie zestrojonych fabularnie części i fragmentów, układając konkordancję pełną luzu, konstruując związek następstwa i ciągłości pomiędzy dwoma tekstami odrębnymi i niezgodnymi w charakterze – jakkolwiek pokrewnymi w przedmiocie – autor osiągnął zaplanowany efekt niejednorodności i niezłomności wewnętrznej swego dzieła, przewrotnie obmyślony i artystycznie celowy efekt „sprzecznej podwójności”, zerzytu, drastycznego pęknięcia i asymetrii.

W ten sposób samą formą swojej książki, samym jej kształtem ujawniał, prześladowane go stale i od dawna, problemy polimorfizmu i nieciągłości, obnażał w jej kompozycji – istotny brak reguł i dekompozycję, w jej jedności – przepolowanie, wskazywał na całość, która złożyć się nie może. A ta całość z nieodłączną od niej skazą i defektem, całość, by się tak wyrazić, chronicznie niecałkowita, rozłamana, jak gdyby na zawsze nie wykończona i do końca nie scalona, to przecież – całe dzieło pisarskie Kazimierza Brandysa; to może – poszarpana nie *romancee*, powieść jego własnego życia; ale zarazem – filozoficzna wizja rzeczywistości jak najniewątплиwiej obecna w dorobku Brandysowskim, w tym niejednorodnym, zastanawiająco pomieszanym wieloksięgu; to – nade wszystko chyba – paradygmat podzielonej, bo sprzecznymi doświadczeniami żyjącej, świadomości i osobowości narodowej; to – model polskiej formy istnienia i myślenia. Ta całość okaleczona to metafora Polski.

Sens chwytu zastosowanego w maszynopisowej wersji „Niereczywistości” posiadał więc liczne wykładniki i nie musiał tłumaczyć się prosto. Przyjrzyjmy się bliżej temu oryginalnemu chwytowi i jego funkcjom. Najpierw uderzał nas fakt niespodzianki gatunkowej, estetyczny fakt niejednorodności i niezgodnienia dwu tekstów składających się na jedną i tę samą książkę, wzbudzała pytania i dziwiła jej nie skrywana podwójność, wielokształtność i synkretizm jej poetyki „dwuskrzydłowej”. Kiedy bowiem skrzydło pierwsze naginało się całym swym wielomównym ciężarem ku rodzajowi prozy imaginatywnej, bajecznej, typu „romans”, „opowieść”, „fikcja fabularna”, „beletrystyka”, „narracja epicka”, to drugie, wprost przeciwnie, czerpało swe podniety i wzorce z tradycji nowoczesnej prozy intelektualnej, nie opowiadającej, z nurtu *nonfiction*, z owego charakterystycznego dla dzisiejszej antyliteratury zmieszania eseju, autobiografii, paranaukowej analizy lub politycznej polemiki.

Tam zaznaczała się przewaga anegdoty i skomplikowanej, zawilej intrygi moralno-psychologicznej, relacjonowanej z perspektywy subiektywnego wspomnienia i przepuszczonej przez odkształcający filtr wyobraźni. Tu dominowała asecea środków wyrazu i dyscyplina samowiedzy. Tam – w pierwszym członie książki – mieliśmy do czynienia z rzeczywistością przeżyta sentymentalnie, powracającą do bohatera-narratora po latach, w masie szczegółów istotnych i nieistotnych, w bezładzie pamięci, w niekończących się dygresjach, w poplątanych wątkach i rozwidlonych tropach narracji, w retrospektywnym, iście sterm’owskim „trzy po trzy”. Tutaj natomiast – w części drugiej – rzeczywistość jawiła się narra-

torowi nr 2 jako przynajmniej w intelektualnym zakresie opanowana i zrozumiana, odciedzona już z bujnej, nieporządnej rodzajowości anegdotyczno-fabularnej, zagęszczona do sentencji i zwężonej formuły, dająca się zamknąć w chłodnej i dobitnej puencie.

Jeżeli pierwsza część wystylizowana została na monstrualnie długi, rozwlekły i, raptownie, po stu kilkudziesięciu kartkach maszynopisu, w pół zdania porzucony, zamiechany -- „list do redakcji” (przy czym szło o redakcję pewnego krajowego kwartalnika historycznego, zajmującego się ogłaszaniem przyczynków i materiałów pamiętnikarskich z lat II wojny światowej), list, którego celem miało być „sprostowanie”, a właściwie gruntowne skorygowanie rażących falsyfikacji i uchybień, jakich w przedmiocie prawdy faktycznej dopuścił się niejaki prof. W. Janota, autor publikacji pt. „Kartka z dziejów walki”, to część druga „Nierzeczywistości” napisana została w konwencji diametralnie innej, przybrała mianowicie formę zarejestrowanych na taśmie magnetofonowej odpowiedzi na szereg pytań z kwestionariusza ankiety. Równocześnie ze zmianą adresata relacji - przypomnijmy, że jest nim w drugim wypadku naukowiec amerykański polskiego pochodzenia, na wpół anonimowy „ankieter”, skupiający w sobie cechy reprezentanta odbarwionej ideologicznie i wypranej z emocji, neutralnej, ponadnarodowej wiedzy -- uległa też zasadniczej zmianie, jeśli o wyposażenie duchowe chodzi, postać narratora-nadawcy. Co oznaczają wszystkie te odmiany?

Myszę, że odzwierciedliła się w nich, więcej, że znalazła tutaj swój programowo wyostrzony kształt i wyraz naczelną właściwość prozy Brandysa. Można by ją określić mianem tendencji synkretystycznej. Pisarstwo to znamionowała bowiem od początku wielotorowość warsztatu twórczego, brak stabilizacji w zakresie gatunku i formy, wewnętrzna potrzeba alternatywności i przemienności ujęć stylistycznych, kompozycyjnych, czy może raczej przeświadczenie o ambiwalentności funkcjonalnej poetyk literackich i wynikający stąd właśnie amorficzny – bądź polimorficzny – modelunek prozy. Kiedy spojrzeć na całość kształtu twórczości Kazimierza Brandysa, to okaże się, że naruszała ona prawie zawsze i w każdym momencie zastane systemy klasyfikacji gatunkowej, że jej ideą przewodnią i konstytutywną była idea wielości, służącej jako przekaz świadomości i niespokojnej, zmiennej i wzburzonej.

Czyż nie miał charakteru sprzecznej podwójności tuż powojenny, „dwuskrzydłowy” debiut prozatorski Brandysa? Debiut złożony z dwóch książek niemal jednocześnie wydanych, a tak niepodobnych do siebie, że nasuwał się domysł o dwóch przeciwlegle usytuowanych warsztatach pisarskich, jeśli nie o dwóch różnych autorach. „Drewniany koń” i „Miasto nieopokonane” były znamienym precedensem. Były właściwie jedną i tą samą książką, lecz „rozdwójoną w sobie”; książką powtórzoną w dwóch tonacjach, w dwóch wyłaczających się postaciach stylistycznych, w dwu odległych rejestrach literacko-ideowych; książką, która nie wytrzymała różnorodnych ciśnień odśrodkowych, nie sprostała dezintegrującym siłom, zarówno wewnętrznym jak zewnętrznym (skomplikowane okoliczności

polityczne, nowe postulaty rynku wydawniczego), i rozpadła się w końcu na dwa odrębne tytuły i osobno żyjące tomy. Dwutekstowa „Niereczywistość” (inwólne ciągle o jej wersji maszynopisowej) wynalazkiem swojej formy łączyła to, co w rzeczywistości polskiej kultury duchowej i w do-robku współczesnych pisarzy rozdzielone i pokurczone, z przeciwstaw-ności i różnicy, z oddalenia i niepodobieństwa stwarzała na nowo symbo-liczną całość. Symboliczną je d n o ś ć w i e l o k s i ę g u.

Dwoista poetyka „Niereczywistości” imitowała w udany sposób pod-wójny nurt stylistyczny Brandysowskiego piarstwa, łączącego ogień z wo-
dą, kunszt retoryki powieściowej z dokumentaryzmem, potrzebę autode-
maskatorskich wyznań i „obnażeń” z równoległą potrzebą dyscyplinują-
cych (i zarazem krępujących, nieraz hamujących) konwencji i przebrań
fabularnych, a w wymiarze filozoficznym -- zespalającego „staroświecki”
racjonalizm ładu myślowego z „romantycznym” wątpieniem w sens i po-
rządek świata.

Wszakże za to rozszczepienie i, następnie, synkretyczne pomieszanie
form i stylów odpowiedzialna była nie tyle literatura jako taka, ile sama
rzeczywistość z jej nieustannym potokiem zmian i przekształceń, z jej
„tajemniczymi potencjami”, z jej niejednorodnością i przerwanyimi liniami
kompozycyjnymi. Rzeczywistość psychiczna człowieka i rzeczywistość
historyczna zbiorowości ludzkich -- zawsze nieukończona i „otwarta”.
W filozofii piarstwa, jaką Brandys formułował i z jaką eksperymentował
w „Listach do pani Z.”, w „Dzokerze” i „Rynku”, inspiracją i podstawą
współczesnej literatury nie mogła już być „świadomość osiadła”, owa
tęsknota za utraconą równowagą form, ale dotrzymanie kroku skanda-
licznie niestałej rzeczywistości, polemiczne z nią starcie, nieustająca dys-
kusja. „Nie ma je d n e j myśli o tym, co nigdy nie jest jednym” („Ry-
nek”, 1968, s.72). „Możliwości są nieskończone, do świata można prze-
mawiać różnymi głosami, od sentymentalnych po sydercze.(...) Wszystko
przebiega w sprzecznych kiennikach; zdobywca cywilizacja o samobój-
czych skłonnościach -- tragiczność, która nazajutrz staje się groteską --
rozwój spełniający się poprzez zniszczenie. Zapewne mam powody, aby
być optymistą, ale mam również powody do szaleństwa, i muszę to wyrazić
przecząc sam sobie, bo nie chcę, żeby przeczyła mi historia. Gdybym się
okazał mniej niekonsekwentny niż wiek, w którym żyłem, znaczyłoby to,
że mieliśmy ze sobą niewiele wspólnego. Muszę się przyklepać w różnych
miejscach, używać zmiennych perswazji, żeby nie stać się bardziej spo-
kójny i cały niż nasza epoka” („Dzoker”, 1966, s.38-39). W doskonałej zgo-
dzie z przytoczonym rozumowaniem została zbudowana „Niereczywistość”.

Obydwie składające się na nią wypowiedzi -- „staroświecko” listowna
i „nowocześnie” magnetofonowa -- posiadały jedną cechę niewątpliwie
wspólną: odznaczały się mianowicie mniej lub bardziej polemicznym na-
stawieniem wobec adresata; nosiły znamiona roz-
mowy, czyli: mówienia
do kogoś, mówienia wewnątrznie rozszczepionego, dialogowego, a nawet
skłóconego; rozwijały się, każda z osobna, jako spór i dyskusja własne

Formalnie partnerami powieściowego sporu były fikcyjne postacie utytułowanych przedstawicieli nauki. (Czyżby symbole autorytetów?) Pierwszy z dwóch profesorów – krajowiec Janota – reprezentował, bodajże, gałąź wiedzy historycznej, wszelako w specyficznie taktycznym, „zaktualizowanym”, nonszalancko obchodzącym się z realiami, czyli w gruncie rzeczy nieobiektywnym, antynaukowym wydaniu. Specjalnością drugiego – zamerykanizowanego emigranta i obywatela świata – była, przeciwnie, psychosocjologia, a więc dyscyplina już w samych założeniach „bezpieczniejsza” i „czystsza” nie uwikłana aż tak mocno w lokalne mitologie albo ideologiczne kontredanse z duchem czasu, posługująca się uniwersalnym z natury pojęciem i kryterium prawdy. Otóż z tymi to dwoma odmianami Wielkiego Uproszczenia – w pierwszym wypadku uproszczenia przez wulgarnie pragmatyczną interpretację materiału empirycznego, w drugim przez podporządkowanie tegoż materiału abstrakcyjnemu schematowi „średniej statystycznej” – narratorzy i równocześnie główni bohaterowie „Niereczywistości” konfrontowali swoje nietypowe i konkretne Istnienie Poszczególne. Temu, co zbyt ogólnie ujęte (lub też beztrosko ogólnikowe), wiedzy akademicko oderwanej (bądź pseudowiedzy maskującej stroniczą ideologię), prawdziwościom i normom postułowanym przez czysty rozum (bądź werbalnej żonglerce uprawianej przez „rozum dialektyczny” i „zaangażowany”) – przeciwstawiali oni swoje jednostkowe, niepowtarzalnie przeżyte i często dziwacznie zwiłkane egzystencje; umownie bezgrzesznej rzeczywistości słów i nalepek – czyli niereczywistości – przeciwstawiali nierozum i szaleństwo, zagnieżdżone w realnym doświadczeniu i przebiegu ich ludzkich losów; jednolicie zorganizowanym systemom myśli, czy to naukowej, czy ideologicznej – przeciwstawiali rozdzarcia i odchylenia swoich wstrząsniętych i niespójnych świadomości; złudzeniom o absolutnych wartościach i esencjach – przedstawiali tragiczne (i zarazem groteskowe) nauki życia.

I tak narrator pierwszej części „Niereczywistości” sprzeciwiał się dziejopisarstwu mitologicznemu w dziedzinie historii niedawnej i najnowszej, zwłaszcza okupacyjnej, owym najpopularniejszym i naiwnie albo cynicznie nadużywanym konwencjom heroistyczno-konspiracyjnym, pokazując za posagowym obliczem historii – paradoksalną psychologię, chwilami nawet psychopatologię uczuć, a za gładkim falsyfikatem literackim, osnutym na kanwie tejże historii – dramat egzystencjalnych powikłań, łańcuch sprzeczności, nieporozumień, zaskakujących motywacji i nieoczekiwanych działań. Narrator drugiej części natomiast obnażał odrębności i dwuznaczności, tyżące się zarówno charakteru i przebiegu polskich dziejów zbiorowych, jak i ukształtowanych przez te dzieje postaw mentalnych.

Prawdziwym, chociaż nie nazwanym z imienia, partnerem sporu prowadzonego przez Brandysa w „Niereczywistości”, była osobowość duchowa narodu i wyrażające ją formy świadomości polityczno-społecznej i kulturalnej. Z jednej strony megalomańska świadomość nacjocentryczna, „zakorzeniona w polskości”, w istocie zniewolona, wessana przez swe kompleksy i fikcje wyższościowe, izolująca się od tematów powszechnych.

kompleksy i fikcje wyższościowe, izolująca się do tematów powszechnych. Z drugiej strony zaś, odrywająca się ambitnie od partykularza i abstrahująca od jego szczególnych przypadłości w imię tego, co racjonalne i ogólno-ludzkie świadomości typu zachodnioeuropejskiego. Czyli sarmatyzm versus okcydentalizm. Lecz Brandys nie wybierał między nimi. W podwójnym uchwycie polemicznym książka Brandysa broniła i n n e j prawdy. Pełniejsze: i szerszej. Broniła wspólnoty uniewersaliów przeciw neo-sarmackiej komedii pozorów, reżyserowanej przez aparat władzy szukający tu patriotycznego alibi. Jednocześnie broniła autentyzmu narodowych losów, zygzakowatych dróg postępu dziejowego, ewolucji i emancypacji dokonującej się w Polsce częstokroć „w jakimś piekielnym społeciu” (jak po zdławionym Powstaniu Styczniowym; jak w państwie niepodległym, rządzonym osobistej ręką Piłsudskiego; jak wreszcie po roku 1945, kiedy to: „Jedni w zmienionej Polsce widzieli obcą aneksję i gwałt polityczny. Drudzy — krajowy program reform, zrównanie społeczne”). Przeciwwstawiała się w tej samej mierze ahistorycznemu moralizmowi o zabarwieniu konserwatywnym, skłonnemu dziś osądzać jednoznacznie to, co wczoraj nie miało bynajmniej jednego oblicza, jak i umiała zdysansować się od gorączki i niecierpliwości neorewolucjonistycznej młodzieży Zachodu. W meandrach i fluktuacjach zdarzeń i nastrojów — a także wbrew maskaradom ideologicznym z prawa i z lewa — szukała twarzy Polski r z e c z y w i s t e j. Polski nie zubożałej o żaden z jej współczesnie charakterystycznych rysów. I odnajdywała — z ł o ż o r o s ć.

„Wie pan, żyję w oryginalnym kraju, w którym tysiące ludzi ma samochody, w którym dziesiątki tysięcy odkłada na samochód i miliony marzy o samochodzie. W którym ci sami ludzie stoją w długich kolejkach po mięso. W którym spędza się noc przed kasą festiwalu teatralnego w ogonku po bilety i w którym pijane wycieczki dowozi się na miejsca straceń. W dziwnym kraju. Ten kraj nigdy nie zapomina o swojej przeszłości, ale najczęściej jej nie rozumie”.

„W tym okresie (chodzi o rok 1956, przyp. T.B.) gromadnie obalano światopoglądy swoje i cudze, często odcinano się również od swoich życiorysów. Dokonywało się to publicznie, na oczach zemocjonowanej widowni, w atmosferze falującej między krasomówczą swadą a moralnym uniesieniem, gdy mieszają się i współgrają ze sobą najróżniejsze intencje i rachuby. Ale główny, zasadniczy motyw płynął z głębi, z wnętrza narodu, to było jasne dla wszystkich. Szkoda, że nie wybrał się pan w tych dniach do Polski, zobaczyłby pan ciekawy kraj, w którym miasta wydały się zdobyte przez młodzież, a z fabryk wywożono dygnitarzy na taczkach. Prasa zmarwychwstała, zaroilo się od studenckich kabaretów i klubów, uwalniano więźniów politycznych. Dawnych ideologów tłum przepłaskał z trybun jak kury, na wiecach przemawiali robotnicy i artyści. O tych latach, a to były niecałe dwa lata, mówi się dziś: Październik. W trzecim roku zaczęto rozwiązywać kluby i wyciszać prasę, w czwartym było już po wszystkim, pękło, zapadło się — było po wszystkim i było wiadomo, że z tego nie będzie wolności”.

„(...) uświadamiając sobie moje nienadążanie za myślą dzisiejszego Zachodu i przeciążenie mózgu polskimi kompleksami, uświadamiam sobie również przyczynę tego stanu rzeczy. Żyję w kraju, który od dwustu lat jest skazany na odruchy samoobronne, w narodzie, który przetrwał dzięki modlitwom, dzięki tajnym uniwersytetom i przemycanym książkom i który w okresie, gdy krystalizowały się charaktery społeczeństw zachodnich, miał jedyny cel: przetrwanie”.

O nowej książce Kazimierza Brandysa mówiłem konsekwentnie w czasie przeszłym lub przeszłym niedokonanym. W samej bowiem rzeczy była ona – jej forma – pewną propozycją kształtu, propozycją, która ostatecznie została wycofana i zastąpiona odmiennym rozwiązaniem: w miejsce jednej książki pojawiły się dwie „Nierzeczywistości”. Pierwszą opublikowała *Twórczość* (w numerach: grudniowym z 1975 i styczniowym z 1976 roku). Druga ukazała się w 1978 r. nakładem paryskiego Instytutu Literackiego jako 285 tom Biblioteki „Kultury” i – w parę miesięcy później – w wydaniu krajowym, firmowanym przez Niezależną Oficynę Wydawniczą.

Stało się. Hipotetyczna całość pękła, kształt symbolicznych powiązań pomiędzy wieloma różnymi płaszczyznami świadomości uległ (tyczasowemu?) zniweczeniu. Wniosek końcowy sam się naprasza: „Nierzeczywistość” to obok „Miazgi” Andrzejewskiego drugie wielkie dzieło nie istniejące polskiej literatury współczesnej.

TOMASZ BUREK

JERZY FICOWSKI

POŻEGNANIE

Pamięci Wacława Zawadzkiego

Mówiono o Nim, że jest znawcą i przyjacielem książek. Nigdy jednak nie był typem klasycznego bibliofila zazdrosnego o swe skarby – przedmiot kolekcjonerskiej delektacji. Cenił ich dusze, wiedzę i piękno w nich zawarte, świadectwa prawdy i dokumenty czasów – bardziej niż ich zewnętrzną urodę, wykwint typografii, osobliwość oprawy, choć i na szacie woluminów, na ich stroju znał się jak mało kto. Szczególną uwagą i umiłowaniem darzył pamiętnikarstwo, zwłaszcza polskie i Polski dotyczące, doceniał wagę pamięci jako czynnika ciągłości i gwarancji trwania. W historii, w jej zawiłych przebiegach, poruszał się swobodnie, znał jak swój własny czas zarówno jej słupy milowe, jak i rozliczne, nikłe nawet drobiazgi indywidualnych ludzkich losów. Pytającym o jakiś szczegół dawności – nie szczędził informacji, pomocnych wyjaśnień, a robił to po swojemu, więc całkiem po prostu, jakby dzielił się jakimś osobiście doświadczonym wspomnieniem, wyrosłym z własnej biografii, którego wiarygodność poręcza się pamięcią przeżytych wydarzeń. I zawsze można było Mu zaufać.

I oto ten memuarzysta z zamiłowania i wiedzy milczał o sobie z rzadko spotykaną dyskrecją i okazało się – co było zresztą do przewidzenia – że nie pozostawił po sobie żadnych zapisków, które by utrwalały cokolwiek z jego długiego i pięknego życia. Jeśli przywoływał czasem w rozmowie jakieś migawki ze swojej przeszłości – to zazwyczaj jedynie ze względu na ich walor anegdotyczny i nieraz traktował je jako rodzaj żartobliwej przypowieści ilustrującej trafnie i skrótowo jakąś ważną aktualnie sprawę, wydarzenie, problem moralny zaprzatający jego rozmówców.

Paradoks to pozorny jedynie. Jego nie udawana skromność kazała Mu bez żadnego poczucia krzywdy usuwać się w cień służby – służby własnym ideałom i umiłowaniam – i znikać w tym cieniu. To my teraz, Jego

liczni przyjaciele i niewypłacalni już dłużnicy, czujemy się skrzywdzeni tym niedostatkiem wiedzy o wielu latach Jego życia. Najważniejszego nie mógł jednak ukryć: swojej niezwyklej uczynności i dobroci, której doznawał każdy, kto się z Nim bliżej zetknął, kto potrzebował Jego pomocy i otrzymywał ją -- z Jego zawsze domyślnej, często wyprzedzającej prośbę inicjatywy.

W przeciwieństwie do wielu zazdrosnych zbieraczy, najchętniej pożyczał cenne dzieła ze swojego księgozbioru. Zaprzyjaźnionej Czeszce przydziwił kilka ksiąg o Komenskim i Braciach Polskich, zanim zdążyła poprosić o nie. Tadeuszowi Konwickiemu, po przeczytaniu „Kompleksu polskiego”, który wywarł na Nim wielkie wrażenie, przyniósł starą księgę o Osmiańszczyźnie... I jeśli kiedy upominał się o zwrot, to zawsze po długim i cierpliwym oczekiwaniu, bez wymówek i z ogromną delikatnością. Bo ten przyjaciel książek był przede wszystkim przyjacielem ludzi.

Jego poczucie humoru było sojusznikiem Jego męstwa, które umiało się wyrazić poprzez uśmiech i pogodę ducha, poprzez żart bagatelizujący jakby wstydliwie format jego osobowości, żart rozbrajający poczucie zagrożenia. Ten mały wzrostem a wielki duchem Człowiek składał się na pozór z wielu paradoksalnie sprzężonych sprzeczności, które nie wadziły sobie wzajemnie. Zawołany memuarzysta, który nie napisał słowa o sobie samym. Człowiek o niewyczerpanych zasobach uśmiechu rozdzielanego hojnie innym -- a jednocześnie ten, któremu los nie oszczędził najtragiczniejszych doświadczeń osobistych. Wspominam i oto wciąż natrafiam na cechy charakteru Pana Wacława, które -- widziane z dystansu -- mogły uchodzić w czyichś oczach za spłot sprzeczności. W istocie jednak błędna to konstatacja -- mało kto był tak jednolity jak On -- nawet kiedy przypominam sobie Jego etyczną bezkompromisowość, a jednocześnie jakby tolerancję w zakresie ocen moralnych, czy raczej -- dar wybaczenia, skłonność do usprawiedliwiania ludzkich słabostek.

W dziedzinie spraw zasadniczych, w imponderabiliach, nie Go tak nie pobudzało do stanowczego sprzeciwu jak moralna ambiwalencja, jak rozgrzeszanie zbrodni, służalstwa, kłamstwa, nieprawości -- argumentem „wyższych racji” taktyki, czy wygodnym pretekstem „dialektyki”. Nie znajdował usprawiedliwienia ani dla krzywdy, ani dla jej obrońców -- potępiał z takim ogniem, jakiego nikt by się po Jego łagodności nie spodziewał. W wyjątkowo jaskrawych wypadkach potrafił zgasić swój uśmiech i walczyć całym sobą przeciwko moralnemu szalbierstwu. Umiał przy tym okazywać wyrozumiałość wobec wielu ludzkich potknięć, błędów, słabości, usprawiedliwiać czy choćby łagodzić potępienie okolicznościami jako pierwszymi współwinowajcami. Myślę, że i ta bezkompromisowość, i ta wyrozumiałość (obie wyrażane częściej postępowaniem, niż nieśmiałym słowem) miały pokrycie w Jego własnej praktyce życiowej, we własnych doświadczeniach, wzlotach i upadkach.

Miał już wiele lat, wiele wiedzy, wielki zbiór umiłowanych książek, a zarazem coraz mniej sił nadwątlonych wiekiem, przeżyciami i chorobą -- kiedy jako jeden z kilku najpierwszych powołał do życia Komitet Obrony

Robotników i z całą świadomością przystąpił do wymagającej tyle hartu działalności, przeciwko której wymierzono wszystkie możliwości bezprawia, liczne formy terronu i okrucieństwa. „Ja już nie mogę umrzeć młodo!” – pocieszał z uśmiechem zaniepokojonych przyjaciół.

Więc jak to jest właściwie? Mól książkowy, erudyta przemierzający minione stulecia, zdomowiony w przeszłości, zbieracz świadectw i przestróg historii – wyruszył swym drobnym, utrudzonym starością kroczkiem do walki przeciwko przemoc, bezprawiu, krzywdzie rodaków i ojczyzny? Pozwolił funkcjonariuszom bezpieczeństwa grzebać w swej bibliotece, rewidować starannie posegregowane druki, rozrzucić nagromadzone przez lata skarby? Liczył się z możliwością pobicia, którym grozili mu dobrze nam znani „niezidentyfikowani osobnicy”, podjął ryzyko najwyższe. Ano miał poczucie hierarchii, w której służbę krajowi i społeczeństwu – jak kiedyś w 1920 roku – uznać musiał za wartość nadrzędną i zadanie, któremu przede wszystkim ma obowiązek sprostać.

Gdyby żył, miałby mi za złe powyższe zdania – za niezasłużenie przesadną opinię o zasługach, których sam nie uznawał. Zapewne zrobiłby mi nieśmiały wyrzut za ten ton, który uznałby za patetyczny, co w kategoriach Jego ocen byłoby określeniem pejoratywnym. On inaczej. Po rewizji mieszkania odwiedził swoich bliskich – bez gestykulacji popłochu, bez żadnych zdyszanych sensacji. Zapytał swoim zwyczajem „co słychać”, wysłuchał nowin; zainteresował się jak zawsze ich sprawami, po czym – z niewzruszonym uśmiechem – uzupełnił rozmowę zwięzłą wypowiedzianą mimochodem wiadomością: „... a wiecie, wczoraj miałem w domu rewizję”. Tak samo reagował w groźniejszych okolicznościach, w odpowiedzi na pogroźki i próby wtargnięcia tajniaków do mieszkania, w którym już od ponad ośmiu lat mieszkał samotnie. Wyruszył w męczącą dlań podróż do Radomia, aby – nie bacząc na grupy napastników w cywilu – uczestniczyć na sali sądowej jako członek KOR-u w rozprawie przeciwko pobitym i fałszywie oskarżonym robotnikom.

Toteż kiedy w końcu lipca 1978 nie przyszedł na umówione z nami spotkanie, abyśmy razem mogli udać się na zebranie Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, poczuliśmy, że stało się coś najgorszego, niezależnego już od woli Puchatka. Puchatek... Tak Go kiedyś ktoś nazwał i tak już zostało i przetrwało Jego wśród nas obecność. Miał bowiem w sobie coś z dobrotliwego sylfa, z postaci, jakie zdarzają się w bajkach tylko: Maleńki Rozdawca Wielkiej Dobroci.

Nie zadaliśmy Mu wielu ważnych pytań. Wszyscy nasi najbliżsi odchodzą, zanim zdążymy zadać im te najważniejsze pytania. Być może Jego skromne przemilczanie siebie zostałoby przynajmniej trochę naruszone, przyznałby się choć w części do swojej przeszłości, której przecież nigdy się nie zaparł. Ale On sam, jako obiekt czyichś biograficznych zainteresowań, nie istniał w swym własnym przekonaniu, toteż zapewne wykpiłby się uśmiechniętym żartem, unieważniłby dowcipem takie pytania. Robił tak niekiedy. Gdy ktoś spytał Go o źródła Jego stoicyzmu i niepoddawania się złym losom i zwątpieniu, odpowiedział z wątpliwą powagą, że ma

to pewno po swoim pradziadku, który handlował zbożem i na wieść o tym, że burza zatopiła w Wiśle galary wyładowane po brzegi jego towarem, urządził bal z muzyką i tańcami, aby poniósłszy stratę, w ten przynajmniej sposób przeciwstawić się gnębielskim zamiarom losu.

I dopiero po Jego odejściu od nas – po trochu dowiadujemy się z przechowanych gdzieś dokumentów, że wspomnień tych, którzy byli współuczestnikami Jego przeszłości – kim potrafił być nawet wtedy, kiedy na podstawie hitlerowskich ustaw norymberskich odebrano mu prawo do życia. W warszawskim getcie, póki było to w ogóle jakoś możliwe, prowadził akcje społeczno-oświatowe, założył w swoim mieszkaniu polską tajną szkołę. Sam froterował podłogę, jeżdżąc na suknach, co dzień rano przed rozpoczęciem lekcji. Przez pewien czas na stole przy rodzinnym obiedzie, na który były już tylko głodowe porcje owsianki, kładł obrus, rozkładał talerze, kładł sztućce – zasiadano do posiłku, jakby to był normalny świat, że wszystkich sił normalny, w czterech niepodległych ścianach, wśród książek zbieranych od wczesnej młodości, świat, który postanowił – decyzją Puchatka – nie przyjąć do wiadomości obowiązku upodlenia, więc zachować choć gest podniesionej głowy, nie dać się zgarbić, póki się jeszcze jest.

A potem, zanim stracił żonę, wykładowczynię na przedwojennej Wolnej Wszechnicy, żonę zastrzeloną przez bandytę w ukraińsko-hitlerowskim mundurze, zanim uratowała go i ukryła po „aryjskiej stronie” jego późniejsza, druga towarzyszka życia i bojowniczką Armii Krajowej – zdążył jeszcze w cieniu śmierci, napiętnowany opaską z gwiazdą, kolportować prasę podziemną i kilka razy osobiście prznosić broń i amunicję do getta przez posterunki hitlerowskiej żandarmerii...

Znałem Pana Wacława w ostatnich dziesiątkach lat Jego życia, ale pewien jestem, że tak pod koniec swej drogi, jak i dawniej, czynił to wszystko, ryzykował wszystkim po cichu, bez potrzeby uznania, traktując swoje życie jako nałożony na siebie samego najdobrowolniejszy obowiązek, zwykłą rzecz, nie tylko „nie warta aż poematu”, ale nawet wzmianki. Więc nigdy o tym nie wspominał, jako że nie miał – wedle własnego przekonania – zasług, miewał tylko obowiązki dyktowane lub uzgadniane z własnym sumieniem, a i tak nie wszystkim podołał.

Opowiadał kiedyś, że praczka w czasie okupacji wozila bieliznę z Woli aż na Żoliborz, gdzie ukrywano Go wówczas. Musiała przejechać tramwajami przez całą Warszawę, a po drodze widziała z przerażeniem łapanki, budy z żandarmami, listy rozstrzelanych, egzekucje uliczne... Złożywszy na podłodze toboł z praniem opowiadała o tym wszystkim i kończyła sakramentalnie retorycznym pytaniem: „No i moje państwo, czy to tak powinno być?”.

Ba! Czy powinno! Śmieliśmy się z tego pytania, pełnego tragikomicznej naiwności. Zacytował je Puchatek wraz z całą anegdotą w związku z czymś „dziwowaniem się” nieprawościom władzy, „dziwowaniem się”, które uznaliśmy za objaw oportunistycznej obłudy, „udawaniem greka” – w przeciwieństwie do świętej prostoduszności owej praczki. A teraz to pytanie, prawie takie samo i równie bezsilne w swej niezgodzie – powraca.

kiedy zabrakło nam jednego z najlepszych przyjaciół i najmężniejszych sojuszników. Czy tak musiało się stać? Czy nie mógł dłużej być z nami? Ale On jest z nami, jest to puste miejsce, które nie opuszcza nas i przywołuje całą Jego byłą obecność i bliskość, skłania do odwagi serca, strzeże nadziei i uczy nas uśmiechniętej po Nim pamięci.

JERZY FICOWSKI

KRONIKA

RADOŚĆ I ZGRZYTY Ostentacyjna radość oficjalnych środków przekazu PRL z powodu wyboru „polskiego Papieża” przez parę dni starała się dotrzymać kroku spontanicznej radości milionów ludzi. Niestety, już od początku coś w tej machinie zgrzytało. Ledwie ogłoszono, że chętni będą mogli udać się do Rzymu dla uczestniczenia w inauguracji pontyfikatu Jana Pawła II – a już zaczęto odmawiać paszportów, m.in. uniemożliwiono udział w uroczystości wybitnym intelektualistom katolickim: Tadeuszowi Mazowieckiemu (redaktorowi naczelnemu *Więzi*), Bohdanowi Cywińskiemu (byłemu redaktorowi naczelnemu *Znaku*), Jackowi Woźniakowskiemu (dyrektorowi wydawnictwa „Znak” i członkowi Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich) Są w tym gronie również osobyści przyjaciele niedawnego Metropolity Krakowskiego...

Niebawem wyciszono też środki przekazu. Nie znany kolejnych instrukcji, jakie otrzymywały redakcje gazet, radia i telewizji – można się ich było tylko domyślać, obserwując, jak z dnia na dzień informacje z Rzymu stawały się rzadsze i powściągliwsze. Wiemy

jednak o paru przygodach, jakie przytrafiły się tygodnikom: tak więc w *Kulturze* warszawskiej cenzura uszczupliła korespondencję z Rzymu o ponad połowę tekstu, *Polityce* zaś w ogóle zakazano publikowania obszernego materiału o Karolu Wojtyła – Janie Pawle II, przygotowanego przez specjalnie wydelegowaną do Krakowa i Wadowic grupę dziennikarzy, na której czele stała Marta Wesołowska. Redaktor M.F. Rakowski zrezygnował zresztą z prób obrony tego podobno świętym opracowania i zgodził się na sprzedanie go prasie polonijnej. W *Tygodniku Powszechnym* cenzura skonfiskowała wiersz Anny Pogonowskiej „Na wybór Jana Pawła II”, w miesięczniku *Znak* – pewne teksty samego Papieża.

Wreszcie – to wiadomość z ostatniej chwili – posłanie papieskie do wiernych diecezji krakowskiej z okazji Świąt Bożego Narodzenia zostało tak okrojone przez cenzurę, że *Tygodnik Powszechny* poczuł się zmuszony opracować z ogłoszenia go w formie okaleczonej (m.in. bez wzmianki o św. Stanisławie), a fakt ten odbił się głośnym echem w świecie

Zgrzyty rozległy się i z innej strony. Kilka pism europejskich opublikowało wypowiedzi mające zdecydowanie Kościół polski lub Polskę w ogóle, a więc pośrednio i pochodzącego z Polski Papieża. M.in. w poczytnym dzienniku *Le Monde* ukazał się 21 października 1978 r. list francuskiego profesora i literata, Aleksandra Minkowskiego.

twierdzący, że polski Kościół katolicki – „jeden z najbardziej tradycyjalistycznych i konserwatywnych w świecie” – wyróżnił się w historii wojującym antysemityzmem, organizował jeszcze przed odzyskaniem niepodległości „pogromy i masakry”, a po roku 1918 kontynuował tę działalność wspólnie z „faszystowskim rządem Piłsudskiego”. Masakra hitlerowska, wedle tego listu, byłaby niemożliwa, gdyby nie poparcie moralne, jakiego dostarczył rozpowszechniany przez Kościół polski obraz „Żydów morderców Chrystusa, narodu bogobójcy”. Wreszcie po wojnie katolicy wraz ze stalinowcami „uczynili życie niemożliwym” resztkę ocalałych Żydów i zmusili ich do emigracji.

Obrona przed podobnymi atakami jest utrudniona w sytuacji, gdy aktualne władze PRL dają spektakularne dowody antysemityzmu, np. zacierając w Oświęcimiu ślady po zagładzie miliona Żydów, albo nie wpuszczając do kraju obywateli szwedzkich (a niegdyś polskich) pochodzenia żydowskiego. Obok tych okoliczności wszakże znaczną rolę gra dezinformacja i nonszalancja, a nawet nie całkiem dobra wola, pozwalająca przeinaczać fakty historyczne, przerzucać winę z jednych na drugich, złowrogo mylić adresy odpowiedzialności. Dobrze więc stało, że list Minkowskiego nie pozostał bez odpowiedzi. W felietonie pt. „O moralności w niewoli niewiedzy” (*Tygodnik Powszechny* z 12 listopada 1978) Kisiel wskazał m.in., że Piłsudski nigdy nie był faszystą, antysemitą ani w ogóle szowinistą, że Kościół w Polsce nigdy nie organizował pogromów, czynił to natomiast na wielką skalę rząd carski, a potem na jeszcze większą Hitler... W samym *Le Monde* również ukazały się polemiki z Minkowskim (4 XI 1978), na czele z listem Adama Michnika, który, po wytknięciu tych samych błędów rzeczowych na temat pogromów, Piłsudskiego etc. kończy: „Jestem Polakiem pochodzenia żydowskiego. Antysemityzm nie jest dla mnie problemem abstrakcyjnym. Spotykałem się z nim wielokrotnie, na ogół ze strony organów policji politycznej i oficjalnej propagandy. Niektóre elementy tej propagandy nagrafiaty na podatny grunt

wśród pewnych ludzi deklarujących wyznanie katolickie. Trzeba jednak przypomnieć, że biskupi polscy, stawiający od trzydziestu lat opór totalizacji naszego społeczeństwa, wypowiedzieli się i w tym przedmiocie. W pamiętnym roku 1968 Prymas Polski potępił „sense nienawiści” i „potworny cień odnowionego rasizmu”. Żałować wypada, że p. Minkowski nie znał tych faktów. Zaniechałby, być może, pisania swego listu nasyconego fobią antypolską, równie pożądaną godną, jak fobia antysemicka”.

X SACROSONG Tegoroczny, jubileuszowy X Sacrosong odbywał się w dniach 17-24 września w Częstochowie. Jury przyznało wiele nagród w kategoriach kantat, pieśni, piosenek i zespołów, a także nagrody specjalne, m.in. zaproponowało „ufundowanie specjalnej nagrody jubileuszowej dla twórcy i organizatora ruchu sacrosongowego, księdza Jana Palusińskiego, który niezwykle ofiarnie służy sprawie Sacrosongu w całym jego dziesięciolecie”.

Kazanie inauguracyjne Sacrosong wygłosił sprawujący nad nim przez wszystkie te lata patronat Ksiądz Kardynał Karol Wojtyła, wskazując m.in., iż „jest rzeczą żenującą, że pomimo dziesięciolecia lat Sacrosongu sama nawet nazwa pozostaje wciąż nazwą zakazaną w polskich środkach przekazu, w polskiej prasie, w polskim radiu”.

Nawiązując do znanych słów Cypriana Norwida („Piękno na to jest, by zachwyciło...”), Ksiądz Kardynał powiedział: „Trzeba tego zachwytu, ażeby w życiu człowieka, społeczeństwa, narodu występowało piękno. To piękno, które jest fundamentem i sprawcą kultury. Nie da się stworzyć kultury środkami administracyjnymi. Środkami administracyjnymi można tylko kulturę niszczyć... Trzeba zachwytu nad wszystkim, co jest w człowieku. A jeżeli w człowieku jest taki wymiar, któremu na imię *sacrum*, a jest!!! – to tego nie można zakłamywać, tego nie można eliminować środkami administracyjnymi i mówić, że jest to kształt współczesnej kultury”.

NOWY ROK AKADEMICKI UNIWERSYTETU LATAJĄCEGO Towarzystwo Kursów Naukowych rozpoczęło nowy rok akademicki. W Warszawie podjęli wykłady bądź zajęcia seminaryjne: Stefan Amsterdamski (Filozofia wiedzy), Władysław Bartoszewski (Historia polityczna Polski 1939-1945), Tomasz Burak (Literatura jako wyraz świadomości społecznej), Jerzy Jedlicki (Wiodące idee naszej epoki), Tadeusz Kowalik (Historia gospodarcza i historia myśli ekonomicznej), Jacek Kuroń (Wychowanie a życie społeczne), Adam Michnik (Historia polityczna Polski Ludowej), Irena Nowakowa (Życie społeczne a scentralizowana struktura władzy), Adam Stanowski (Społeczne problemy wychowania), Zdzisław Szpakowski (Kwestia chłopska i ruch ludowy w Polsce), Wiktor Woroszyński (Wybrane zagadnienia z historii literatury rosyjskiej). *Novum* w planie zajęć stanowi cykl pt. „Tradycja”, w którym wystąpią różni wykładowcy (pierwszy wykład miał książd Bronisław Dembowski). W oświadczeniu TKN pt. „Dlaczego tradycja” czytamy m.in.: „Centralistycznie i autorytarnie zarządzany monopol kultury i wychowania traktuje naszą tradycję dziejową jako przedmiot politycznej manipulacji; niezagrożony konkurencją może dowolnie przemilczać niewygodne dlań postaci historyczne lub dzieła narodowego piśmiennictwa, cenzurować przeszłość, ustanawiać obowiązujące interpretacje wydarzeń, stronnictw, ruchów umysłowych. Może także przycinaczą ideowe motywacje działań ludzkich i przywłaszczac sobie tradycje i symbole jawnie sprzeczne z nagradzanymi przez postawami... W wyniku takich zabiegów składniki dziedzictwa tracą znaczenie, historia okazuje się zbiorem znaków pustych, wartości fałszowanych, a przeto – dla młodzieży zwłaszcza – staje się obojętna... Sądzimy, iż nadzrodzić czas po temu, aby wspólnymi siłami humanistyki i literatury polskiej zbadać i ujawnić, wedle jakich to reguł, jakimi środkami i z jakim wychowawczym skutkiem dokonuje się owo preparowanie „tradycji” w różnych dziedzinach masowej kultury i oświaty. Sądzimy także, iż jest naszym, inteligencji pol-

skiej, wspólnym obowiązkiem wiązać na powrót porwane wątki ideowe, odsłaniać obrazy historii, do których wstęp publiczny został wzbroniony, przywracać – gdzie trzeba – właściwe proporcje postaciom, ruchom i zdarzeniom dziejowym, a przede wszystkim ukazywać barwną wielorakość ludzkich i narodowych ideałów, dążeń, zwycięstw i rozczarowań”.

Jak i w poprzednim semestrze, przedsięwzięte zostały próby utrudnienia działalności TKN: przed wykładem zatrzymywano na 48 godzin wykładowców (a w Krakowie Milicja wkroczyła nawet na wykład Tomasa Burka i tam go zatrzymała), grożono właścicielom mieszkań, w których wykład miał się odbyć, tu i ówdzie przeprowadzano rewizję potoczoną z „kotłem”. Większość zajęć odbyła się jednak zgodnie z planem.

WIECZORY W PEN-CLUBIE Spośród licznych wieczorów PEN-clubowych odnotujemy dwa o szczególnym znaczeniu. 10 listopada 1978 r. odbyło się uroczyste zebranie literackie poświęcone 60 rocznicy odzyskania niepodległości Państwa Polskiego, na którym referaty wygłosili prof. Stefan Kieniewicz („Inteligent polski wobec II Niepodległości”), prof. Aleksander Gieysztor („Historycy w Polsce Odrodzonej”) oraz Jacek Woźniakowski („O przemianach kultury polskiej około roku 1918”). Z kolei wieczór 5 grudnia poświęcony był twórczości literackiej (zwłaszcza poetyckiej) Andrzeja Jawienia. Pod pseudonimem, tym (i innym jeszcze) ukrywał się przez lata całe książd, następnie kardynał Karol Wojtyła, publikując swe utwory w *Tygodniku literata*, Aleksandra Minkowskiego, książd, następnie kardynał Karol Wojtyła, publikując swe utwory w *Tygodniku Powszechnym* i *Znaku*. Niektóre z nich odczytał w PEN-clubie Andrzej Szczepkowski, a książd Janusz S. Pasiech wygłosił słowo wiążące i komentujące. Na zakończenie Jerzy Turowicz w sposób bardzo ciepły i osobisty opowiedział o Karolu Wojtyłe jako wieloletnim współpracowniku i przyjacielu *Tygodnika*, a także o innych jego związkach i zainteresowaniach kulturalnych. W

przypadkowo zachowanym spisie „prywatnych” lektur kardynała z którychś wakacji nie zabrakło ówczesnych nowości literackich, m.in. książek Kijowskiego, Konwickiego, Nowakowskiego i... „Urzędu” Brzy.

ZJAZD FILMOWCÓW: DYSKUSJA I WYBORY Pisaliśmy już w tym miejscu o fermentie w polskim środowisku filmowym – wyrazem jego były między innymi dyskusje na dwóch kolejnych festiwalach filmu fabularnego w Gdańsku. Kulminacją tego fermentu – wielce wymowną i, jak się zdaje, szczęśliwą w skutkach – można było ostatnio zaobserwować na IV Zjeździe Stowarzyszenia Filmowców Polskich, który odbył się w Warszawie w dniach 18 i 19 listopada 1978.

W zjazdach filmowców uczestniczą nie delegaci, jak np. w zjazdach literatów, lecz wszyscy członkowie stowarzyszenia. Oprócz zebrań plenarnych odbywają się zebrania sprawozdawczo-wyborcze w sekcjach skupiających reprezentantów poszczególnych gatunków filmowych; do Zarządu Głównego wchodzi piętnaście osób wybranych przez plenum oraz przewodniczący i wiceprzewodniczący wszystkich sekcji.

W przemówieniach zjazdowych nawiązywano do próby „zamachu stanu” – jak to określił Krzysztof Zanussi – podjętej w ubiegłym roku przez ministra Wilhelmiego (projekt likwidacji zespołów etc.): to wtedy zarysowała się wyraźnie potrzeba energicznych działań w obronę polskiej kinematografii. Kinematografia jest chora – stwierdził K.T. Toeplitz – i diagnozy tej nie może ostabić fakt, że pojawiły się ostatnio dobre filmy polskie. Kolejni mówcy wymieniali symptomy choroby: brak perspektyw dalszego rozwoju, katastrofalny stan organizacyjno-produkcyjno-techniczny, upadek filmu dokumentalnego, zatrzymywanie filmów przez różne odmiany cenzury, niczowiązany problem wchodzenia do zawodu młodych filmowców, zupełne „położenie” sprawy rozpowszechniania filmów krótkometrażowych, faworyzowanie finansowe (i nie tylko) zespołu „Profil” Bohdana Poręby kosztem innych

zespołów, dopuszczenie do masowej likwidacji kin (mamy najniższy wskaźnik ilości miejsc kinowych w Europie), dominacja kłamliwej i demagogicznej publicystyki w prasie filmowej.

Jako najważniejsze w tej dyskusji odebrano wystąpienie Krzysztofa Zanussiego, który przedstawił sprawy kinematografii na tle stanu krytycznego, w jakim znalazł się w ogóle kraj i społeczeństwo polskie. Reżyser mówił o pogorszeniu się klimatu, w którym pracują i tworzą filmowcy, o ciężkiej i bolesnej atmosferze, o nieprzestrzeganiu reguł gry. W tym miejscu wytknął przykładowo, że Poręba prawem kaduka czytuje wszystkie scenariusze przed akceptacją ministerialną. Zanussi zakończył stwierdzeniem, że dla zapewnienia rozwoju twórczości filmowej konieczne jest powściągnięcie brutalności w stosunkach władz z twórcami, okazanie środowisku filmowców szacunku i zaufania. Ta godna i poważna wypowiedź wywarła duże wrażenie na słuchaczach; przez aklamację przyjęto następnie wniosek, by uznać ją za głos całego zjazdu.

Grupa skupiona wokół zespołu „Profil” i tygodnika „Ekran” skutecznie zmobilizowała przeciwko sobie nastroje, na przykład Mieczysław Waśkowski z trybuny zjazdowej oskarżył kolegów o chęć robienia filmów antypaństwowych; w trakcie tego wystąpienia masowo i manifestacyjnie opuszczano salę.

Wybory przyniosły „profilowcom” całkowitą klęskę: 85 głosów uzyskanych przez Porębę nie wystarczyło, by wprowadzić go do Zarządu Głównego. Nie mieli powodzenia również oficjalni reprezentanci organizacji partyjnej; jej pierwszy sekretarz Czesław Petelski także przepadł w wyborach. Pierwsze miejsce na liście zajął Andrzej Wajda, który otrzymał 301 głosów (na 370), następne za nim kolejno: Krzysztof Zanussi, Jerzy Kawalerowicz, Stanisław Różewicz i Krzysztof Kieślowski. Znaczną ilością głosów wybrano również Kazimierza Kutza, Bohdana Kosiniego (znanego dokumentalistę, którego perypetie w WFD relacjonowaliśmy swego czasu), wybitnego krytyka filmo-

wego Bolesława Michałka, młodego reżysera Janusza Kijowskiego (autora niedopuszczonego na ekrany filmu „Indeks”) i innych. Prezesem sekcji filmu fabularnego wybrano Edwarda Żebrowskiego, a jego zastępcą Janusza Zaorskiego; analogicznie w sekcji filmu dokumentalnego – Krystynę Gryczewską i Marcela Łozińskiego. Nowy zarząd ukonstytuował się, powołując na prezesa SFP Andrzeja Wajdę, a na wiceprezesów – Krzysztofa Kieślowskiego, Krzysztofa Winiewicza i Krzysztofa Zanussiego. *Życie Warszawy* podało tę wiadomość najdrobniejszym drukiem w rubryce „PAP donosi w skrócie”.

DNI KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ WE WROCŁAWIU Na Dni Kultury Chrześcijańskiej, które odbyły się we Wrocławiu w dniach 21-29 października 1978, złożyły się wieczory poezji i prozy, koncerty muzyki sakralnej, wystawy rzeźby religijnej, wreszcie liczne prelekcje. Oto tytuły niektórych z nich: *Walka o kulturę w okresie okupacji – postawy moralne inteligencji polskiej* Władysława Bartoszewskiego, „Jerzy Liebert – poeta religijny” Jacka Łukasiewicza, „Kultura masowa a jakość życia” Tadeusza Mazowieckiego, „Kultura chrześcijańska – co to znaczy?” Jacka Woźniakowskiego. Z recytacją wierszy Lieberta, po wprowadzeniu Stefana Frankiewicza, wystąpili Elżbieta Barszczewska i Józef Duryasz. W każdej z imprez uczestniczyło od kilkuset do tysiąca osób.

JESIEŃ POEZJI? Jak się należało spodziewać, tzw. VII Warszawska Jesień Poezji, organizowana przez Urząd m.st. Warszawy bez udziału Związku Literatów Polskich i wbrew środowisku literackiemu stolicy (poszło, jak już podawaliśmy, o dyskryminację części poetów ze względów politycznych, na co Klub Poetów i Zarząd Oddziału Warszawskiego ZLP nie chciał się zgodzić), skończyła się kompletnym fiaskiem. Na obszernym afiszu prawie zabrakło liczących się nazwisk, a paru zamieszczonych tam na okres wybitnych poetów (jak Urszula Kozioł) w rzeczywistości również nie przybyło. Odmówili tym razem udziału także polscy poeci

emigracyjni, jak Bolesław Taborski i inni – mimo że w kolejnych depešach kuszono ich honorariami i całkowitym opłaceniem podróży. W tej sytuacji organizatorzy chybionej imprezy nadszukowali ją głównie przy pomocy zaangażowanych na normalnych handlowych zasadach bardziej lub mniej znanych aktorów i piosenkarzy. Z pierwotną koncepcją święta poezji i poetów nie miało to nic wspólnego.

NOWY SEZON U WALENDOWSKICH Od jesieni znowu co drugą środę odbywają się u państwa Anny i Tadeusza Walendowskich spotkania towarzyskie z udziałem zaproszonych literatów i publicystów. W tym sezonie bohaterami kolejnych wieczorów byli: Piotr Wierzbicki (który przedstawił swój „Traktat o gnidach”, bardzo kontrowersyjnie przyjęty przez zgromadzonych), Jacek Kaczmarski (autor piosenek, które sam śpiewa, towarzysząc sobie na gitarze), Antoni Pawlak (odczytał „Książeczkę wojuskową”, którą czytelnik znajdzie w tym numerze *Zapisu*), Ryszard Krynicki, Janusz Krupski (redaktor lubelskich *Spotkań*) i Jan Strękowski (debiutant, autor opowiadania zamieszczonego w *Pulsie*). Frekwencja jak zazwyczaj dopisywała, a nawet przekraczała możliwości lokalu.

AMBASADOR USA W STOWARZYSZENIU DZIENNIKARZY POLSKICH Ambasador Stanów Zjednoczonych Ameryki, William E. Schauffele, był 7 grudnia 1978 gościem Klubu Spraw Międzynarodowych Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Przemówienie, które tam wygłosił, nie zostało przytoczone ani omówione w prasie oficjalnej PRL.

Wspominając o trwających dwieście lat przyjaznych stosunkach polsko-amerykańskich, Ambasador powołał się nie tylko na tradycję Kościuszki i Pułaskiego, a także generała Krzyżanowskiego, który „w Gettysburgu ... pomógł zachować jedność Unii”, lecz powiedział również: „W XIX i XX wieku przybyły do Ameryki miliony polskich emigrantów; użyczyli oni naszemu przemysłowi swoich umwstów i rąk, pomagali budować nasz handel, nasze przedsiębior-

stwa i kompleksy przemysłowe. Artyści i intelektualści tacy jak Artur Rubin-stein, Helena Modrzejewska, laureat Nagrody Nobla, Isaak Baszewicz Singer, Czesław Miłosz, wzbogacili nasze wspólne dziedzictwo kulturalne. Żaden chyba Polak nie był lepiej znany w tym okresie niż Ignacy Jan Paderewski...”

„Dzisiaj – ciągnął Ambasador – dwa nasze narody, złączone wspólnymi tradycjami zachodnimi, zachowały historyczne i kulturalne więzy, przekraczając ustroje polityczne”. Mówca wyraził rozczarowanie, że polskie środki przekazu prawie zupełnie zignorowały to, co Zastępca Sekretarza Stanu W.H. Luers oznajmił podkomisji Kongresu na temat amerykańskiej polityki w stosunku do Polski. „Przykro nam, że społeczeństwu polskiemu prawie nie dano sposobności rozważenia tej ważnej wypowiedzi. Wydaje mi się, że do polskich środków przekazu należało dopatrzeć, by społeczeństwo polskie miało tę sposobność. Zastanawiam się, czy się nie stanie tak też z moją dzisiejszą wypowiedzią. Mówiąc bardziej ogólnie, rozczarowani jesteśmy sposobem przedstawiania Stanów Zjednoczonych przez polskie środki przekazu. W przeciwieństwie do tego obrazu, ukazawanego przez polskie środki przekazu, większość społeczeństwa amerykańskiego żyje całkiem dostatnio, nie będąc ani nędzarzami, ani bezrobotnymi, ani narkomanami, ani też ofiarami dyskryminacji rasowej”.

Prezentując w dalszych fragmentach swego przemówienia zasady polityki Stanów Zjednoczonych wobec Polski, W.E. Schaufele oświadczył m.in.: „Nasze stosunki z Polską rozwijamy niezależnie od stosunków ze Związkiem Radzieckim i pragniemy, aby rozwijały się one siłą swojego własnego rozpędu”. Jeżeli chodzi o szczegóły codziennego współżycia narodów, to: „Musi być większa swoboda podróżowania dla członków rodzin podzielonych między Polską a Stanami Zjednoczonymi oraz dla Polaków, którzy pragną zwiedzać, nauczać lub studiować w Stanach Zjednoczonych, a którym odmówiono paszportów”.

....nie wiem, jak ważne jest to – dorzucił Ambasador w części przemó-

wienia poświęconej obecnym stosunkom amerykańsko-polskim – że Doradca Prezydenta do Spraw Bezpieczeństwa Kraju mówi Waszym językiem, ale jestem przekonany, że Papież, który – obok swoich innych wartości – posiada tradycyjne polskie umiłowanie ludzkości i rozumienie dla ludzkiego cierpienia, wzmocni ducha międzynarodowej współpracy”.

I wreszcie pod sam koniec przemówienia: „Jedną z najbardziej pomocnych rzeczy w porozumieniu się jest swobodny przepływ informacji, ludzi i idei. Żaden kraj nie broni tych wolności energiczniej ani nie popiera ich silniej niż Stany Zjednoczone, ponieważ wiemy, że odegrały one niezwykle wielką rolę w uczynieniu naszego kraju wielkim. Jako pracownicy polskich środków przekazu zajmujecie ważne, a nawet mające decydujące znaczenie stanowisko w szerzeniu zrozumienia między naszymi narodami”.

KLUB STU W Warszawie dużo się mówi o imprezie, której animatorem jest Stefan Bratkowski. Jak fama głosi, impreza ta cieszy się poparciem „kogoś wyżej postawionego”. Jedni nazywają ją „klubem stu”, inni skrótniej – „konwersatorium”; chodzi zaś o spotkania dyskusyjne, w Towarzystwie Wolnej Wszelchnicy Polskiej, grona zaproszonych intelektualistów z różnych dziedzin, w tym nawet paru doradców Gierka, ale również – paru osób zbliżonych do opozycji. Na pierwszym spotkaniu „klubu stu” (w listopadzie) pod hasłem wywoławczym „Doświadczenia i przyszłość” burliwie dyskutowano o aktualnej sytuacji społecznej w Polsce, m.in. o rozpiętości dochodów i służbie zdrowia; każdy miał prawo mówić nie dłużej niż pięć minut, ale z góry ustalono, że w dyskusji nie będzie żadnych tabu, i bodaj stosowano się do tego. Drugie spotkanie wyznaczono na grudzień, niebawem jednak zaczęły się piętrzyć trudności; okazało się, że komuś w KC PZPR inicjatywa ta jednak nie odpowiada; zaczęto mówić o zmniejszeniu ilości uczestników, o kłopotach z lokalem, a w chwili, gdy zamykamy kronikę, w ogóle nie ma pewności, czy „konwersatorium” będzie kontynuowane.

KASZUBI I GÜNTER GRASS

W dniach 22-23 września 1978 odbył się we Wdzydżach VIII Zjazd literatury kaszubsko-pomorskiej. Referat pt. „Prawdy i przypuszczenia na temat rodowódów literackich w kręgu kultury kaszubskiej i pomorskiej” wygłosił Bolesław Fac. Jedną z podstawowych tez brzmiała, że „droga do uniwersalnego prowadzi od lokalnego” i że na twórczość pisarzy „przeemożny wpływ ma ich rodowód”. Prelegent tezy tej nie ujmuje wąsko, nie chodzi mu o folklor, gwara, ani nawet o obywatelstwo twórcy: w referacie kilkakrotnie powraca „przykład z naszego kręgu kulturowego, choć nie pisany ani po kaszubsku, ani nawet w polszczyźnie literackiej”, mianowicie pisarstwo Günтера Grassa. „Pisarz zachodnioniemiecki – stwierdza Fac – którego matka była Kaszubką, stawia w swojej twórczości pomnik Kaszubszczyźnie, Pomorzu, Gdańskowi i polskości. Czyni to dlatego, że to wszystko stało nad jego kolebką i jako mądry i utalentowany pisarz nie chce tego stracić, co więcej, jest pewny, że odrzucenie tego rodowodu oznaczałoby zubożenie jego twórczości, kto wie, czy w ogóle nie uniemożliwiłoby mu dojścia do spraw tego świata... A przecież Grass, jak żaden chyba pisarz w RFN, na codzień przeżywa wspólnie z całym społeczeństwem Republiki Federalnej problemy polityczne i społeczne tego kraju...”. Fac wyraża żal, że autora, który powinien mu być tak bliski, czytelnik polski właściwie nie zna: Grassa się u nas nie wydaje, a jego znakomity „Błaszany bębenek” był w sposób absurdalny atakowany na łamach prasy – niegdyś przez Wojciecha Żukrowskiego, niedawno przez Michała Miśniewskiego. „Ograniczenie poznawania tej książki jest w końcu naszą stratą” – ze smutkiem konkluduje prelegent.

Tak się złożyło, że sam Günter Grass, przebywający akurat w Gdańsku, mógł być obecny pierwszego dnia na obradach Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i odebrał nawet jego honorową odznakę, wszelako wiadomości o tym cenzura nie dopuściła na łamy prasy.

TEATR OTWARTY We Wrocławiu i Olszynie odbył się Międzynarodowy

Festiwal Teatru i Sztuki Otwartej, w którym uczestniczyły teatry „niekonwencjonalne” i studenckie (bądź eks-studenckie) z wielu krajów, m.in. z Hiszpanii, Szwecji, Czechosłowacji, Meksyku, Francji, Anglii, Japonii. Polskę reprezentowała Akademia Ruchu z Warszawy, wrocławski „Kalambr”, poznański Teatr Ósmego Dnia i inne. Do występów Teatru Ósmego Dnia usiłowano nie dopuścić, ale wskutek stanowczej postawy części uczestników Festiwalu dopuszczono w końcu, tyle że w niedogodnych godzinach i na wszelkie sposoby utrudniając dostęp widzom, co nie przeszkodziło jednak ich tłumnej obecności i wielkiemu powodzeniu przedstawień. Przeważająca część naszej prasy przemilczała udział Teatru Ósmego Dnia w Festiwalu.

FESTIWAL KULTURY STUDENTÓW I SPRAWA MAŁGORZATY BRATEK

W dniach 25-29 października 1978 odbywał się w Poznaniu finał VI Festiwalu Kultury Studentów PRL. Program przewidywał 117 rozmaitych imprez. Nie przewidział natomiast imprez towarzyszących, których pomysłodawcami i wykonawcami byli bynajmniej nie studenci.

Już w pierwszym dniu Festiwalu rozpoczęto regularną inwigilację niektórych uczestników, wieczorem odnotowano pierwsze zatrzymania, następnego dnia odbyły się cztery jednoczesne przeszukania mieszkań. 28 października – dalsze kilkugodzinne zatrzymania oraz dalsze rewizje. W trakcie przeszukań skonfiskowano (zapewne w trosce o właściwy profil kultury studenckiej) liczne książki, egzemplarze prasy niezależnej, dokumenty, notatki, maszynę do pisania itp. Przepadła również część nakładu ulotki, przy pomocy której poznański SKS informował uczestników Festiwalu o sprawie Małgorzaty Bratek. Małgorzata jest studentką muzykologii i piosenkarką studencką, m.in. laureatką I nagrody (*ex aequo* z Jackiem Kleyffem) na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. Razem z Kleyffem wystąpiła też w lutym 1978 w klubie „Od nowa”, śpiewając m.in. piosenki według wierszy St. Barańczaka. Od tego czasu działacze SZSP zaka-

zali jej występowania w klubach studenckich, a w trakcie Festiwalu zabronili jej w ogóle występów...

Jak głosi opublikowane w parę dni później oświadczenie SKS w Poznaniu, finał VI Festiwalu obnażył w całej pełni osobliwy charakter koncesjonowanej „kultury studenckiej”. Koncert inauguracyjny został w całości (z wyjątkiem przemówienia przewodniczącego SZSP, Gabrielskiego, i występu kapeli ludowej) odegrany z *play-backu*, wszystkie imprezy objęte były ścisłą kontrolą cenzury, zaś nad całością czuwały dodatkowo tłumy tajnych funkcjonariuszy.

„OAZA NOWEJ KULTURY” Tak nazwany został przez inicjatorów (ks. Leona Kantorskiego i ks. Henryka Szarejkę) cykl spotkań niedzielnych przy kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej. Inauguracyjne spotkanie 1 października 1978 poświęcone było pamięci Jerzego Zawieyskiego. O życiu i twórczości pisarza mówił Stefan Frankiewicz, fragmenty utworów interpretowali Halina Mikołajska i Maciej Rayzacher. W tydzień później odbył się poranek autorski Wiktora Woroszyńskiego.

PAMIĘCI WITOLDA DĄBROWSKIEGO 25 października 1978 w Związku Literatów odbył się wieczór poezji zmarłego w maju Witolda Dąbrowskiego. Wiersze z teki pośmiertnej – niektóre bardzo przejmujące – odczytali Zofia Mrozowska i Zbigniew Zapasiewicz. Andrzej Mandalian odczytał skonfiskowany w tygodniku *Literatura* esej przebywającego aktualnie poza krajem Jacka Trznadla pt. „O poecie, który zamilkł”. Andrzej Jarecki wystąpił ze wspomnieniem – również skonfiskowanym, na odmianę w *Polityce* – o wspólnych z Dąbrowskim młodych latach w STS-je.

Przytaczamy fragmenty relacji Trznadla o autorze „Ognichy”: „...wierność temu narodowi jako grupie przerażała się u niego w coś więcej: wierność formom skazanym na przemijanie, zamknięcie, zaniknięcie, rozproszenie się w pyle czasu. Stary problem uniwersalizmu: czy ta polskość przekłeta może kogoś zainteresować, może to ciasnota tylko właśnie? Jeśli jednak tańczą-

cy chochoł nie jest tylko chochołem podkrakowskiej wsi, lecz staje się symbolem zniewolenia grupy tej przez jej własny mit, jeśli wierność realiom staje się przywiązaniem do konkretnego bytowania w ogóle, a więc jeśli przedmiot jest potraktowany dostatecznie głęboko, partykularyzm przestaje być partykularyzmem... Sytuacja się zmienia, okoliczności trwają, poezja Dąbrowskiego pragnie należeć do kulturowej jedności. Dlatego porusza ton, który zdaje się być charakterystyczny szczególnie dla literatury polskiej: poczucie zagrożenia kultury grupy narodowej, co bywa zagrożeniem całości ludzkiej kultury w ogóle”. Dąbrowskiemu właściwe jest „doznanie kruchości istnienia w jakimś sensie metafizycznym prawie. Kruchości jednostki i jej przeżyć. Byt narodowy też uważał za kruchy. To się okazało osobistą i ważną cechą tej poezji... Ocalić: słowa rzadkie, które nierzadko zjawiają się w tej poezji, ocalić: rzeczy, których już nie można oglądać, ocalić: uparte dążenia, za które oddawano życie lub spokój...”.

WIECZÓR JERZEGO NARBUTTA W ZLP Przed rokiem narodził się o uniemożliwieniu przez ówczesny zarząd Oddziału Warszawskiego ZLP odbycia zapowiadzanego wieczoru autorskiego Jerzego Narbutta. Wieczór taki odbył się wreszcie obecnie, 6 grudnia 1978 roku, z udziałem aktorów: Elżbiety Barszczewskiej, Mieczysława Mileckiego i Mariana Opani. Autor wyjaśnił w kilku słowach swoje intencje, aktorzy zaś odczytali wiersz, fragmenty prozy i dramatu historycznego.

„DRAMAT GULIWERA” Urszula Kozioł zwierzała się parokrotnie, że ulubioną jej książką, którą często czytuje i nad którą od lat się zastanawia, są „Podróże Guliwera” Jonatana Swifta. Jak się dowiadujemy, poetka napisała esej pt. „Dramat Guliwera”, nie poznamy jednak zawartych w nim refleksji, ponieważ całość została skonfiskowana najpierw w *Odrze*, a następnie w warszawskiej *Kulturze*. Co jest niecenzuralnego w dramacie Guliwera? Spętanie przez Liliputów? Przewaga społeczeństwa koni – Houvbnbnmów – nad

ludźmi Jahu? Bardzo radzi byśmy się byli dowiedzieć...

„EGZAMIN DOJRZAŁOŚCI” W Wytwórni Filmów Dokumentalnych, od ponad roku spacyfikowanej, zdarzył się jednak jeszcze jeden – jedyny w roku bieżącym – przypadek zatrzymania filmu. Tytuł: „Egzamin dojrzałości”, realizator Marcel Łoziński. Kamera zaobserwowała przebieg egzaminu maturalnego z tzw. propedeutyki nauki o społeczeństwie (wychowania politycznego) w jednym z liceów warszawskich, a następnie rozmowy abiturientów po egzaminie na korytarzu szkolnym.

Po ukończeniu filmu, przyjęciu na kolaudację przez WFD i wykonaniu kopii – Naczelny Zarząd Kineematografii w trybie nadzoru zażądał przedstawienia sobie filmu, po czym decyzją naczelnego dyrektora NZK, Sołuby, „Egzamin dojrzałości” został zatrzymany. Autorowi filmu nie podano powodów i oczywiście nie rozmawiano z nim przed podjęciem tej decyzji.

Warto przypomnieć, że również poprzedni film Łozińskiego „Jak żyć” (fabularyzowana relacja z obozu ZMS dla młodych rodzin ztemesowskich) nie trafił do rozpowszechnienia.

POP LITERATÓW ODMAWIA SOLIDARNOŚCI ZAWODOWEJ Z REPRESENTOWANYMI KOLEGAMI Podstawowa Organizacja Partyjna PZPR przy Związku Literatów w Warszawie uchwaliła 27 października 1978 „założenia programowe działalności”, w których można przeczytać, że literatura „z natury swojej nie nadaje się do instrumentalnego traktowania”, jednakże (kilka zdań niżej) – polityka wydawnicza „stanowi ważki instrument w polityce kulturalnej naszej partii i państwa”.

„Opinie decydujące o losach utworów literackich podejmowane być winny w ramach systemu, zapewniającego maksimum racjonalności i kompetencji”, a „pozycja społeczna pisarza zależy wyłącznie od rangi jego dzieła, nie zaś od okoliczności natury pozaliterackiej”.

„Stoimy na stanowisku, że bez względu na incydenty polityczne zaistniałe w przeszłości, przed każdym

człowiekiem pióra, członkiem naszej społeczności literackiej, respektującym ideowe założenia statutu ZLP, winna być otwarta droga do pełnego korzystania z praw pisarskiego zawodu”. Po czym jednym tchem: „Jesteśmy przekonani, że w tej sytuacji członkowie Związku uznają za nie licujące z godnością pisarza polskiego publikowanie utworów i wypowiedzi za pośrednictwem tych zagranicznych środków upowszechniania, których cel funkcjonowania, nieukrywany zresztą, ogranicza się tylko i wyłącznie do dywersji psychologicznej wobec naszego społeczeństwa, PRL, jej układu sił politycznych, spójności wewnętrznej i sojuszów międzynarodowych. Jesteśmy zdania, że na podobną ocenę w tych warunkach zasługiwali będzie pobieranie honorariów, zasiłków finansowych i nagród z instytucji o takim przeznaczeniu. Przykładki łamania tych zasad pozbawia nas moralnego prawa do solidarności zawodowej. Chcemy też wyrazić pogląd, że decydując się na polityczną działalność pozaliteracką pisarz-członek ZLP nie powinien szukać dla siebie ochrony na gruncie Związku”.

Założenia powyższe organizacja partyjna uchwaliła – poza jednym głosem wstrzymującym się – jednogłośnie.

JACEK BIEREZIN NIE PRZYJĘTY DO ZWIĄZKU LITERATÓW Komisja Kwalifikacyjna przy Zarządzie Głównym ZLP (przewodniczący: Wiesław Myśliwski) odrzuciła podanie Jacka Bierzina o przyjęcie do Związku Literatów Polskich. Bierzina nie tylko uważany jest za jednego z najbardziej talentowanych poetów w pokoleniu trzydziestolatków, ale spełnia też wymagania regulaminowe: wydał dwa liczące się tomy wierszy – „Lekcja liryki” (1972) oraz „Wam” (1974). Niestety, drugi z tych tomów, złożony swego czasu w „Czytelniku” i zakwestionowany – do dzisiaj nie wiadomo dokładnie – przez cenzurę czy przez asekurujące się wydawcę, ukazał się ostatecznie w paryskim Instytucie Literackim. Ta okoliczność posłużyla za pretekst do uznania książki za nie istniejącą. Za przyjęciem Jacka Bierzina do ZLP głosowała mniejszość Komisji Kwalifi-

kacyjnej w osobach Anny Kamieńskiej i Jerzego Kwiatkowskiego.

CASUS CHORAŻUK W Polityce z dnia 18.XI.1978 opisano aferę w Rzeszowie: dyrektor tamtejszej estrady, Bogdan Chorażuk, w ciągu dwóch lat zakupił u literata Bogdana Chorażuka teksty za sumę 544 tysięcy złotych; w 90 procentach teksty te nie były wykorzystywane, tylko tworzyły „podręczny bank” przedsiębiorstwa; niektóre zaś figurowały w transakcji kupna-sprzedaży dwukrotnie. Inny literat, Andrzej Zaniewski, powołany jako ekspert przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, określił twórczość Chorażuka jako „głęboko zaangażowaną, ideową i użyteczną społecznie”, ale okrągłemu Zarządowi Duchodów Państwa i Kontroli Finansowej w Rzeszowie nie został, zdaje się, przekonany, że powinien przestać się czepiać...

Postać Chorażuka nie jest obca wielu członkom Oddziału Warszawskiego ZLP, którzy pamiętają, że był on – zanim wyjechał do rzeszowskiego Klondike – bardzo lansowany przez tutejszą organizację partyjną, jako jej mąż zaufania, notoryczny członek komisji skrutacyjnej na walnych zebraniach, a nawet kandydat do władz związkowych. Cóż, nie pierwszy to przykład nie całkiem czystych rąk „zaangażowanych” aktywistów i prominentów. Nie tak dawno postrach literatów Wybrzeża, Stanisław Goszczurzyński przyliznął się na aferze przemytniczej; całkiem ostatnio wyszło na jaw, że autor bestsellerów polityczno-sensacyjnych i członek egzekutywy POP przy ZLP w Warszawie, Jerzy Grzymkowski, przywłaszczył sobie w Telewizji honorarium kolegi. Dlaczego mieć pretencje akurat do Chorażuka?

WYSTĄPIŁI Andrzej Mandalian, poeta i tłumacz, współautor antologii poezji rosyjskiej, członek partii od wczesnej młodości, wystąpił z PZPR w grudniu 1978, kierując list w tej sprawie do POP literatów warszawskich.

Również w tym roku opuścił szeregi partii pisarz z Wybrzeża, Stanisław Załuski.

ZMARTWIENIA PROFESORA SZCZEPAŃSKIEGO Profesor Jan Szczepański, znakomity socjolog i bezpartyjny członek Rady Państwa PRL, zabrał głos na posiedzeniu komisji sejmowej nauki i postępu technicznego, utyskując m.in. (jak podaje biuletyn wymienionej komisji z 24 maja 1978), iż: „Również w działalności wydawniczej występują pewne absurdalne wręcz zjawiska. Np. wychodzi obecnie w Polsce około 20 czasopism wydawanych przez grupy opozycyjne, wychodzi na pół legalnie, przy nakładzie niektórych z nich w wysokości kilkunastu tysięcy egzemplarzy. Nasuwa się pytanie, jakie są źródła zaopatrzenia w papier tych wydawnictw?

Jak widać, różnymi „absurdalnymi zjawiskami” można się martwić w Polsce Anno Domini 1978. Śpieszmy jednak uspokoić Profesora, że mimo takiego marnotrawstwa papieru, jakie zauważył bystrym okiem eksperta, ciągle jeszcze jest na czym drukować dzieła Breźniewa, Machejka, opowieści o Hermaszewskim i magazyn komiksów *Relaks*.

OSTATNI TOM „GŁÓWNYCH NURTÓW MARKSIZMU” Nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu ukazał się pod koniec roku 1978 trzeci i ostatni tom fundamentalnego dzieła Leszka Kołakowskiego, któremu filozof poświęcił wiele lat życia: „Główne nurty marksizmu. Powstanie – rozwój – rozkład” Tom I ukazał się w tym samym wydawnictwie w roku 1976, tom II – w 1977. Oto tytuły niektórych rozdziałów obecnie wydanego tomu: „Pierwsza faza marksizmu sowieckiego. Początki stalinizmu”, „Trocki”, „Georg Lukacs – rozum na służbie dogmatu”, „Herbert Marcuse – marksizm jako utopia Nowej Lewicy”, „Rzut oka na przemiany lat ostatnich”... Tom I „Głównych nurtów marksizmu” omawialiśmy w *Zapiskach 4* piórem Stefana Amsterdamskiego; postaramy się omówić również pozostałe dwa tomy.

REWIZJA U CHOREGO POETY W mieszkaniu Bohdana Ostromeckiego, pod nieobecność właściciela (cięż-

ko chory poeta przebywał od wielu dni w szpitalu – i nadal tam przebywa w chwili, gdy podajemy tę wiadomość), Służba Bezpieczeństwa przeprowadziła rewizję i zabrała wiele książek, m.in. „Dziennik” Gombrowicza. Zarząd PEN-Clubu interweniował w tej sprawie w Prokuraturze Generalnej; nie wątpliwy, że zajmie się nią również Zarząd Główny Związku Literatów Polskich.

W „ANEKSIE” O „ZAPISIE”
W *Aneksie* nr 19, który właśnie do nas dotarł, ukazał się artykuł Andrzeja Liedera pt. „Szansa *Zapisu*. Jest to próba bilansu blasków i cieni pierwszych sześciu numerów naszego pisma oraz próba szerszej refleksji nad literaturą niecenzurowaną w Polsce. Lieder nie szczędzi uwag krytycznych, zwraca m.in. uwagę na trudności wyrwania się z konwencji literatury aluzyjnej, podtekstowej, ale zarazem pisze, że powstanie *Zapisu* było „rewolucją w myśleniu, rewolucją w sposobie wygłaszania swych poglądów. Po wielu latach... ludzie pióra zaczęli mówić pełnym głosem, bez kamuflażu, bez konieczności maskowania swych swych myśli. Jest to nowa kompletnie sytuacja... Dlatego też słuszna i konstruk-

tywna jest postawa... pozwalająca widzieć w *Zapisie*... laboratorium, gdzie wychoduje się nową świadomość intelektualną i pisarską, gdzie można przyjść, by wespół z innymi uczyć się odnajdywania w sobie prawdziwej uczciwości, a następnie jej wyrażania”. Niektóre pozycje *Zapisu* autor omawia szerzej, szczególnie ceniąc sobie m.in. opowiadania Marka Nowakowskiego.

W tym samym numerze *Aneksu*: esej George’a Watsona pt. „Czy intelektualści dali się nabrać?” (o przyczynach akcesu, a następnie odejścia od komunizmu grona literatów zachodnich, zwłaszcza angielskich, w latach trzydziestych), artykuł lekarza psychiatry Tamary Kołakowskiej pt. „Psychiatria sowiecka i dysydenci”, „Ideologie w społeczeństwie radzieckim” Andrzeja Anadlika, duży blok materiałów zatytułowany „Ekonomia wyzysku” (m.in. dokumenty – nigdy dotąd nie publikowane – na temat sprzedaży polskiego węgla do ZSRR w latach 1946–1953), obszerna relacja Jana Wojtaszka z wydanej w Warszawie (do użytku wewnętrznego) pracy „Elementy patologii społecznej w Polsce”.

Kronikę zamknięto 23 grudnia 1978

NOTY O AUTORACH

STANISŁAW BARAŃCZAK

Urodzony w roku 1946. Poeta, escista, tłumacz, teoretyk literatury. W latach 1976–1978 objęty zarządzonymi centralnie represjami, nie może wydawać swoich książek w żadnym z oficjalnych wydawnictw krajowych. Współtwórca i autor wszystkich numerów *Zapisu*.

LESZEK BUDREWICZ

Urodzony w roku 1956. Poeta. Student filologii polskiej we Wrocławiu. Debiutował w *Konfrontacjach* (nierregularnie wychodzącej jednodniówce studentów wrocławskich). Trzy jego tomiki („Ruchy tektoniczne”, „Arytmia serca” i „Jak miął dzień”) ukazały się jako nr 4, 10 i 15 wydawanej poza zasięgiem cenzury Biblioteki „Agory”. Po raz pierwszy drukowaliśmy wiersze Budrewicza w *Zapisie* 5.

TOMASZ BUREK

Urodzony w roku 1938. Badacz literatury i krytyk literacki. W *Zapisie* publikuje poczynając od numeru pierwszego.

n.d.

Autor urodzony w roku 1950, absolwent wydziału historii jednego z uniwersytetów.

ANDRZEJ DRAWICZ

Urodzony w roku 1932. Doktor filologii rosyjskiej, autor kilku książek o literaturze rosyjskiej i polskiej, tłumacz. W latach 1976–1978 objęty zakazem druku. W roku akademickim 1977–1978 wykładał w RPN; stamtąd nadesłał refleksje o Niemczech, które publikujemy w tym numerze.

JERZY FICOWSKI

Urodzony w roku 1924. Poeta, prozaik, badacz folkloru cygańskiego, badacz i wydawca twórczości Brunona Schulza. W latach 1976–1978 objęty zakazem druku. W *Zapisie* ogłaszaliśmy m.in. jego wiersze (kilkakrotnie), obecnie publikujemy nowe wiersze i wspomnienie pośmiertne w Waclawie Zawadzkim.

GÜNTER GRASS

Prozaik i poeta niemiecki, również rzeźbiarz i grafik, urodzony w roku 1927 w Gdańsku, obecnie zamieszkały w Berlinie Zachodnim. Debiutował tomem wierszy, zastąpił na całym świecie powieścią „Blaszany bębenek” (1958), następnie wydał m.in. książki: „Kot i mysz”, „Pisic lata”, „Miejscowe zniczenie”. W Polsce ukazała się jedynie „Kot i mysz”. (O niektórych okolicznościach niewydania „Blaszanego bębena” wspominamy w kronice). Publikujemy rozdział IX powieści „Der Butt” (Turbot), która ukazała się po niemiecku w roku 1977 nakładem wydawnictwa Luchterhand.

STEFAN KISIELEWSKI

Urodzony w roku 1911. Prozaik, publicysta, kompozytor, stały felietonista *Tygodnika Powszechnego*. W poprzednich numerach *Zapisu* drukowaliśmy zarówno jego felietony skonfiskowane przez cenzurę w *Tygodniku Powszechnym*, jak i artykuły napisane specjalnie dla nas.

ADAM MICHNIK

Urodzony w roku 1946. Historyk, publicysta. Dotknięty zakazem druku, publikował

w pismach krajowych pod pseudonimami. Wydał książkę „Kościół, lewica, dialog” w Instytucie Literackim (Paryż, 1977), ogłosił też liczne eseje i artykuły na tematy historyczne i polityczne, m.in. w *Kulturze* paryskiej, *Aneksie*, *Esprit*, *Spiegel*, *Le Monde*. W poprzednim *Zapisie* wydrukowaliśmy jeden z esejów historycznych Michnika, w obecnym publikujemy polemikę z „Traktatem o gniadach” Piotra Wierzbickiego, zamieszczonym również w tym numerze.

ANTONI PAWLAK

Urodzony w roku 1952. Poeta i prozaik. Studiuje filozofię w Akademii Teologii Katolickiej. Wydał dwa arkusze poetyckie: „Czynny całą dobę (1975) i „Jestem twoim powszechnym mordercą” (1976). Tom wierszy „Obudzimy się nagle w pędzących pociągach”, po uprzednim zatwierdzeniu, został skreślony z planu w Wydawnictwie Morskim. W *Zapisie* 7 drukowaliśmy wiersze Pawlaka, obecnie publikujemy prozę faktograficzną, związaną z niedawno odbytą dwukrotną służbą wojskową autora.

SEWERYN POLLAK

Urodzony w roku 1907. Poeta, eseista, tłumacz poezji i prozy rosyjskiej, wydawca poetów rosyjskich, autor antologii. Esej o listach Borysa Pasternaka, który publikujemy w niniejszym numerze, odczytany został na zebraniu literackim w PEN-Clubie i na publicznym spotkaniu u państwa Anny i Tadeusza Walendowskich.

LESZEK SZARUGA

Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, prozaik. Również w poprzednich numerach *Zapisu* publikowaliśmy jego utwory (wiersze i recenzje).

PIOTR WIERZBICKI

Urodzony w roku 1935. W latach 1957–67 nauczyciel języka polskiego, później dziennikarz, publicysta, felietonista. Dotychczas drukowaliśmy felietony Wierzbickiego skonfiskowane przez cenzurę w tygodniku *Literatura* oraz rozdziały powieści satyrycznej pt. „Cyrk”. W tym numerze publikujemy pamflet – „Traktat o gniadach” – wraz z polemiką pióra Adama Michnika.

ADAM ZAGAJEWSKI

Urodzony w roku 1945. Poeta, prozaik, eseista. W *Zapisie* 2 drukowaliśmy jego wiersze, w tym numerze zamieszczamy esej pt. „O naszych strojach”.

ZAPIS

Zapis jest niezależnym czasopismem literacko-społecznym, wolnym od cenzury. *Zapis* publikuje poezję, prozę, eseje, kronikę i ukazuje się kilka razy w roku. Kolejny numer *Zapisu* będzie wydaniem specjalnym, zawierającym wyjątkowo tylko jedną pozycję -- powieść Tadeusza Konwickiego pt. „Mała apokalipsa”. W ogłoszonych dotychczas dziewięciu numerach *Zapisu* zamieszczone zostały prace 83 autorów:

Stefan Amsterdamski	Tadeusz Korzeniewski
Jerzy Andrzejewski	Anka Kowalska
Stanisław Barańczak	Marcin Król
Jan Baudoin de Courtenay	Ryszard Krynicki
Władysław Bieńkowski	Jan Kucharzewski
Jacek Hocheński	Jadwiga Kwiatkowska
Adam Boniecki	Jan Józef Lipski
Jiří Boreš	Jerzy Markuszewski
Kazimierz Brandys	Ignacy Matuszewski
Andrzej Braun	Adam Michnik
Jarosław Broda	Halina Mikołajska
Josif Brodski	Jan Nepomucen Miller
Leszek Budrewicz	Czesław Miłosz
Tomasz Burek	Zdeněk Mlynář
Anna Chmielewska	Zygmunt Mycielski
Wanda Chylicka	Jerzy Narbutt
Witold Dąbrowski	Marek Nowakowski
Andrzej Drawicz	Kazimierz Orłós
Lech Dymarski	Zyta Oryszyn
Leszek Elektorowicz	Jan Patočka
Jerzy Ficowski	Antoni Pawlak
Kornel Filipowicz	Jan Polkowski
Natalia Gorbaniewska	Seweryn Pollak
Günter Grass	Jan Prokop
Maria Grodecka	Barbara Sadowska
Teodor Halicz	ks. Jacek Salij
Stanisław Hartman	Gesine Schwan
Vaclav Havel	Antoni Słonimski
Zbigniew Herbert	Aniela Steinsbergowa
Lothar Herbst	Leszek Szaruga
Grzegorz Herian	Joanna Szczęsna
Gustaw Herling-Grudziński	Wiesław Paweł Szymański
Kornel Jankowski	Barbara Toruńczyk
Henryk Jasiczek	Marek Turbacz
Władysław Jasiński	Ludvik Vaculík
Jakub Karpiński	Jan Walc
Andrzej Kijowski	Tadeusz Walendowski
Stefan Kisielewski	Stanisław Warecki
Leszek Kołakowski	Piotr Wierzbicki
Jan Komolka	Witold Wirpsza
Tadeusz Konwicki	Wiktor Worozylski
	Adam Zagajewski

Wśród publikujących w *Zapisie* było 71 polskich autorów współczesnych, z czego 63 mieszkających w kraju, 4 przebywających stale za granicą, 4 nie żyjących. 63 autorów wystąpiło pod własnymi nazwiskami, 8 pod pseudonimami.

Zapis ogłosił prace 9 autorów obcych. Przekładów dokonało kilku tłumaczy (z których część zamieszczała również w *Zapisie* swoje utwory oryginalne). Wyłącznie jako tłumacze współpracowali z *Zapiscem*:

Paweł Heartman

Małgorzata Łukasiewicz

1 tłumacz posłużył się pseudonimem.

W 3 przypadkach *Zapis* przypomniał fragmenty dzieł dawniejszych autorów polskich (ostatni zmarł w r. 1952).

Nad redakcyjnym przygotowaniem kolejnych numerów *Zapisu* pracowało w różnym okresie 15 redaktorów: Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Tomasz Burek, Anna Chmielewska, Andrzej Drawicz, Jakub Karpiński, Ryszard Krynicki, Adam Michnik, Marek Nowakowski, Kazimierz Orłoś, Barbara Toruńczyk, Wiktor Woroszyński, Adam Zagajewski.

NAKLADEM *Niezależnej Oficyny Wydawniczej*

UKAZAŁY SIĘ

Stanisław Baranczak
Władysław Bienkowski
Kazimierz Brandys
Josiif Brodski
Tomasz Burek
Józef Czapski
Jerzy Ficowski
Władysław Gnomacki
Witold Gombrowicz
Günter Grass
Gustaw Herling-Grudziński
Bohumil Hrabal
Paweł Jabienica
Zdzisław Jaskuła
Wieniedikt Jerofiejew
Andrzej Kijowski
Tadeusz Konwicki
Tadeusz Konwicki
Jacek Kuron

Antonin M. Liehm
Osip Mandelsztam
Adam Michnik
Czesław Miłosz
Czesław Miłosz
Czesław Miłosz
Czesław Miłosz
George Orwell
Maria Ossowska
Józef Piłsudski
Jan Strzeliński
Marek Tarniewski
Marek Tarniewski
Piotr Wierzbicki
Kazimierz Wierzyński
Witold Wirpsze
Wiktor Woroszyłski
Stefan Żeromski

JA WIEM ŻE TO NIESŁUSZNE
SOCJALIZM PO 60 LATACH
NIERZECZYWISTOŚĆ
WIERZSZE I POEMATY
JAKIEJ HISTORII LITERAT. POTRZEBUJEMY
WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE
GRYPŚ
TOW. SZMACIAK
WSPOMNIENIA POLSKIE
BLASZANY BEBENEK
INNY ŚWIAT
ZBYT GŁOŚNA SAMOTNOŚĆ
ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ
DWA POEMATY
MOSKWA - PIETUSZKI
NIEDRUKOWANE
KOMPLEKS POLSKI (Zapis nr 3)
MAŁA APOKALIPSA (Zapis nr 10)
ZASADY IDEOWE. MYŚLI O PROGRAMIE.
UWAGI O STRUKTURZE RUCHU
NOWA UMOWA SPOŁECZNA
PÓŹNE WIERZSZE
CIENIE ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW
TRAKTAT POETYCKI. TRAKTAT MORAŁNY
KRÓL POPIEL I INNE WIERZSZE
MIASTO BEZ IMIENIA
GDZIE SŁOŃCE WSTAJE I KĘDY ZAPADA
ZNIEWOLONY UMYSŁ
FOLWARK ZWIERZECY
O PEWNYCH PRZEMIANACH ETYKI WALKI
BIBUŁA
ZAPISKI 1950-1953
POCHODZENIE SYSTEMU
DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ
CYRK
CZARNY POLONEZ
POLAKU, KIM JESTEŚ ?
JESTEŚ I INNE WIERZSZE
NA PROBOSTWIE W WYSZKOWIE

Antysemityzm (wybór) • Dwie rozmowy - Moskwa 1960 (stenogramy rozmów Poisko-Chińskich) • Uwagi o sytuacji gospodarczej kraju • Eurokomunizm (wybór) • Nocne rozmowy z Józefem Smirkovskim • Z księgi zapisów GUKPPiW • Śpiewnik domowy i uliczny • Śpiewnik warchola • Dokumenty bezprawa (opracowanie KSS KOR) • Pakty praw człowieka i obywatela • Opracowanie 265 problemów problemowych PPN • Język propagandy (zeszyt TKN) • Kultura (wybór z rocznika 1978) • Tępa (wybór artykułów z września 1939) • Raport o stanie Rzeczypospolitej (opracowanie DiP)

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazują się kwartalnik: **literackie PULS i ZAPIS**

Druk:

Zakłady Graficzne "KOWSZA" S-ka Akc. 1 00.

Warszawa, wrzesień 1979

7200 00 00/00